

Powieści **Michaela Kiliana**

Ostatni dżentelmen z Wirginii

Świadek

Wielka rozgrywka

Z rozkazu prezydenta

Taniec na tonącym statku

Bad Girl Blues

Blood of the Czars

Kilian Michael

Ostatni
dżentelmen
z Wirginii

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Żółta lampa oświetlała zakurzony, staromodnie urządzone pokój hotelowy. Vicky Clay wciąż jeszcze widziała. Niezbyt wyraźnie, jak przez mgłę albo we śnie, ale jednak widziała. Kątem oka dostrzegła zamazane zarysy nagiego męskiego ramienia.

Coś słyszała — lecz nie był to oddech Meade'a, który leżał obok, dziwnie nieruchomy, tylko gwar rozmów i wybuchy śmiechu na parterze. Rozpoznała nawet kilka znajomych głosów, ale wszystko dobiegało gdzieś z oddali, z bardzo, bardzo daleka...

Głęboko pod odretwiąłą skórą czuła niezwykle mrowienie, przeszywające całe ciało niczym prąd. Zaczął się kolejny czerwcowy wieczór: gorący, wilgotny i duszny, tak jak każdego lata w Wirginii. Kiedy kochała się z Meade'em, pot ściekał z niej strumieniami. Teraz, mimo upału, niemal zadrżała z zimna.

Co się stało? Przecież zawsze robiła to samo, szczególnie w pełni sezonu. Nic nadzwyczajnego. Może to i niezdrowe, ale przecież nigdy dotąd nic się nie działo...

Koń, którego trenowała, wygrał główny bieg tego popołudnia. Zwycięstwo tak ją podnieciło, że nagle zapragnęła mężczyzny — ale nie swojego męża. Chciała kogoś innego: przystojnego, uprzejmego kapitana Showersa. Niezwykły facet. Każda kobieta w Dandytown bez chwili wahania poszłaby z nim do łóżka. W ostateczności, pomyślała, nie pogardziłabym też jednym z tych waśniaków, którzy: przyjechali na wyścigi z Waszyngtonu.

Ale nikt do niej nawet nie podszedł. Meade nieustannie kręcił się dookoła, odstraszać wszystkich. Wpadł w częsty ostatnio nastrój, pijąc i kłócąc się przez cały dzień. Wreszcie, na podjeździe do hotelu, w obecności kilku najbardziej szanowanych osób w Dandytown, dał

upust złości i uderzył ją w twarz. Krzyczała, żeby zdechł, że go nienawidzi — i naprawdę tak myślała.

Ale sama też już sporo wypijała, więc w końcu wylądowali razem w pokoju. Wszystko jedno, po prostu chciała poczuć faceta między nogami. Zawsze kiedy doprowadziła się do takiego stanu, sypiała z kim popadło. Raz nawet próbowała z ogierem, tak jak podobno kiedyś caryca Katarzyna. Została wtedy sama w domu, pijana i naćpana, w równie gorący wieczór co dziś. Przeklęta bestia. O mało jej nie rozerwało.

Następnego dnia zajeżdżała tego cholernego konia na śmierć.

Dzisiaj też nie skończyło się na picu. Meade miał sporo kokainy — jest przecież weterynarzem — więc naszprycowali się kilka razy, zanim ściągnęli ubrania. Narkotyk podniecił ją jeszcze bardziej. Rozpalona, nie chciała już czekać ani chwili dłużej, więc kiedy znaleźli się w łóżku, z całej siły objęła Meade'a umięśnionymi udami, uniosła biodra i wciągnęła go w siebie.

Dał jej to, czego potrzebowała; niczego nie żałował. Kiedy się wreszcie nasyciła, wyprostowała nogi, a potem zamknęła oczy, odprężona, rozleniwiona, zadowolona. Wreszcie zasnęła.

Teraz się obudziła, ale wszystko było takie dziwne. Widziała, słyszała i czuła to dziwne mrowienie.

Tylko że nie mogła się poruszyć.

Otwierała i zamykała oczy, a nawet odrobinę obracała głowę. Ale kiedy próbowała unieść rękę, dłoń albo palec, nie dała rady. Chciała ruszyć stopą, skrzyżować nogi — nic z tego. Mogłaby równie dobrze nie mieć kości ani mięśni.

Pomyślała — łudziła się — że to tylko sen, który za chwilę zniknie. Ale nagle głośny, wyraźny kobiecy śmiech z pokoju poniżej uświadomił jej, że nie spała. Wszystko działo się naprawdę.

Dlaczego nie mogła się ruszyć, do cholery? Próbowała z całych sił, napinając mięśnie — bezskutecznie. Lewa ręka zwisała bezwładnie z łóżka, ale to wszystko.

Zaczęła się naprawdę bać. Chciała coś powiedzieć, ale z gardła wydobył się tylko niezrozumiały bełkot. Spróbowała jeszcze raz. To samo. O mało nie zemdlała z wysiłku.

Co się dzieje, do diabła? Czyżby Meade przywiązał ją do łóżka? Nie czuła żadnych więzów ani ich nie widziała — przynajmniej na piersiach i rękach, bo nawet nie mogła podnieść głowy, żeby zobaczyć nogi.

Jedyne, co się poruszało, powoli, miarowo i niemal niewidocznie, to klatka piersiowa. Z trudem, ale jednak oddychała. Próbowwała się uspokoić, skoncentrować myśli. Miała w sobie sporo siły, jak dobrze wytrenowany koń. Cokolwiek się stało — przetrwa, pokona słabość. Wcześniej czy później wszystko minie. Musiała źle zareagować na mieszankę kokainy z alkoholem. Zdarza się. Słyszała, że jeden facet nawet umarł z przedawkowania. Ale ona jest silna. Nie wpadła w śpiączkę. Pikawa wciąż bije, dudki wciąż pracują. Wdech, wydech. Ffffff, bzzzzzz.

Przypomniała sobie ogiera, którego uśpiła kilka tygodni wcześniej. Nie dał rady przeskoczyć przez dziewięćdziesięciocentymetrowy mur, potknął się, upadł i zwichnął nogę. Kontuzja wcale nie była groźna, nawet nie złamanie, ale niedołączne bydlę tak ją zdenerwowało, że... Nie miała pod ręką żadnej ze śmiertelnych trucizn Meade'a, ale znalazła etorfinę, przeciwbólowy narkotyk, osiemdziesiąt tysięcy razy silniejszy od morfiny. W małych dawkach znosił każdy ból i wprost cudownie poprawiał wytrzymałość koni na torze.

Dziesięciokrotna dawka sparaliżowała go od razu, zamieniając w bezkształtną kupę mięsa i kości, a jednak umierał tak długo. Najdłużej żyły wybałuszone oczy, wpatrzone w nią ze strachem i gniewem.

Czy teraz ona wygląda tak samo?

Nagle przypomniała sobie coś jeszcze. Coś przerażającego. Gdzieś w zakamarkach pamięci tkwiło delikatne ukłucie w pośladek. Krótkie, ale bolesne. Przeszywające. Jak kolec róży albo igła. Tuż poniżej biodra. Właśnie wtedy się obudziła. Pomyślała, że to szorstki szew prześcieradła. Myliła się.

W pokoju był ktoś jeszcze. Najpierw daleko, potem coraz bliżej. Przyglądał się uważnie; tak samo jak Vicky patrzyła na zdychającego konia. Czyja to twarz?

Nieznajomy — mężczyzna, a może kobieta? — sięgnął w stronę Meade'a, zaciskając jego palce na długim, cienkim, połyskującym przedmiocie. Strzykawka. A potem bezwładna ręka zsunęła się z łóżka.

Igła. Ukłucie w pośladek.

Wtedy usłyszała dwa słowa. Cicho, ale wyraźnie: „Do widzenia”. Pożegnanie. Koniec. A potem milczenie.

Zamazana twarz wróciła, uśmiechnęła się, ale nic już nie powiedziała. W końcu rozplynęła się w oddali. Po chwili głucho stuknęły zamykane drzwi. Nastąpiła cisza.

Vicky chciała krzyczeć, płakać, błagać o pomoc, ale tym razem nie mogła wydać z siebie nawet najcichszego dźwięku. Więc krzyczała w duszy: z żalu, gniewu, beznadziei, nienawiści.

Etorfina. Wstrzyknięto jej etorfinę. Kiedy to zrozumiała, przeraziła się naprawdę jak dziecko, które pierwszy raz staje w obliczu śmierci, tego nieuniknionego końca wszelkiego życia. Najgorsza była bezradność, poczucie, że nic nie mogła już zrobić. Zaraz oszaleje.

To naprawdę koniec.

Pomyślała, że coś podobnego musi czuć kierowca, który nagle widzi tuż przed sobą nadjeżdżającą z przeciwka ogromną ciężarówkę. Umierała. Vicky Clay, dwadzieścia sześć lat. Kostucha zbliżała się wielkimi krokami. Za chwilę nastanie nicość. Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz. Zabiła w swoim życiu tak wiele koni, a teraz sama musi umrzeć. Chciała wyć.

Ile to jeszcze potrwa? Godziny? Minuty? Ginęła bez słowa, uwięziona w zeszywniałym ciele, tuż obok tego drania, tego przekłętego sukinsyna. Leżał nieruchomo. Już umarł, czy męczył się jeszcze, tak samo jak ona? A może był szczęśliwy, zadowolony? Może to jego sprawka? Sukinsyn. Drań. Fałszywy, obłudny, nędzny, cholerny, zasrany, pieprzony sukinsyn. Boże, jak go nienawidziła. Wprost płonęła nienawiścią. Nienawidziła Meade'a i nienawidziła tej rozmytej twarzy. Dlaczego ktoś jej to zrobił? Nienawidziła, nienawidziła, nienawidziła, NIENAWIDZIŁA!

Gniew i przerażenie eksplodowały pod czaszką.

Zdobyła się na ostatni wysiłek, unosząc głowę i bezwładny tułów, obracając się na bok. Ręką dotknęła Meade'a. Nic nie czuła, ale przecież wciąż tam był.

Znieruchomiła na chwilę, aby zaczerpnąć tlenu, z twarzą o centymetry od różowej skóry jego szyi. Robiło się coraz ciemniej, jakby światło — a może słońce — powoli gasło. Z każdą sekundą życie nieubłagane uchodziło z Vicky. Zdeterminowana walczyć do końca, poruszyła palcami. Przecież nie może tak po prostu odejść, zniknąć, rozpaść się. Coś zostanie. Nazwisko. Pamięć. Ludzie będą pamiętać. Resztką sił wbiła paznokcie w poduszkę. Ciemność. Cisza. Straciła poczucie czasu. Godziny, minuty, dni, wszystko jedno. Odchodziła. Ześlizgiwała się w otchłań, staczała w nieskończoność, zapadała w nicość. Ale jej palce wciąż żyły, zaciśnięte, skurezone, walczące. Wreszcie i one znieruchomiały. To już koniec. Naprawdę...

ROZDZIAŁ DRUGI

W Belize zrobiło się gorąco. Nic szczególnego, na pewno to jeszcze nie trzecia wojna światowa. Trudno nawet traktować ów kraik jak samodzielne państwo. Gdyby nie Brytyjczycy, już dawno stałoby się częścią Gwatemali albo Meksyku. Ale teraz wybuchł tam kryzys, który łatwo mógł ogarnąć sąsiadów. Nie chodzi o Belize ani nawet o Gwatemalę, ale o Meksyk — i dlatego Robert Moody zaczął się niepokoić. Partia Demokratyczna wygrała prawybory w Teksasie tylko dzięki głosom hiszpańskojęzycznej mniejszości. Prezydent pewnie się zbytnio nie przejął. No, ale on przecież nie musiał. Właśnie od takich spraw miał Moody'ego.

W Ameryce Łacińskiej ciągle wybuchały podobne afery. Jakiś minister został zaatakowany i zastrzelony w swoim samochodzie, a rząd Belize obwiniął o wszystko Gwatemalę. Kiedy aresztowano kilku Gwatemalczyków, tamci z kolei zagrozili odwetem: doszło do szarpaniny na granicy, a jacyś nieznani sprawcy ostrzelali posterunek policji w stolicy, Belmopan. Wszystko wydarzyło się w ciągu ostatnich godzin i zaczynało nabierać międzynarodowej rangi. Ambasada amerykańska w Belmopan została postawiona w stan gotowości, kilka niszczycieli zakotwiczyło w pobliżu Belize City, a w Waszyngtonie zebrała się Rada Bezpieczeństwa Państwa — zgodnie zresztą z wcześniejszymi rozporządzeniami Moody'ego, który nie miał zamiaru ułatwiać republikanom życia przed następnymi wyborami, dając im do ręki argument, że jeśli chodzi o politykę zagraniczną demokraci zachowują się jak mięczaki.

Ale gdzież był główny zwolennik kursu twardej ręki, Robert Moody, szef gabinetu Białego Domu? Ugrzązł w wiejskim zajeździe gdzieś w środku Wirginii, w prowincjonalnym miasteczku zwanym

Dandytown, sto dziesięć kilometrów od stolicy — i teraz musiał rozmawiać z zaspanym oficerem dyżurnym Rady o sprawach najwyższej wagi przez publiczny telefon. Bez wahania zwolniłby każdego podwładnego, gdyby nakrył go na czymś podobnym.

— Linia nie jest zabezpieczona — poinformował swojego rozmówcę.

— Nie zabezpieczona. Zrozumiałem, sir.

— Jesteście pewni, że prezydent wie o wszystkim? — zapytał. Przycisnął słuchawkę do ucha. Stał w holu zajazdu, między zatłoczonym barem a zatłoczoną restauracją. Na sobotnio-niedzielne wyścigi przyjeżdżali tu ludzie z całej Wirginii i Marylandu, więc nawet w holu było ich mnóstwo. Wszyscy głośno się śmiali i rozmawiali.

— Tak, sir. Generał St. Angelo złożył pełny raport.

— I?

— To wszystko, sir.

— Jaka była reakcja prezydenta? Co mówił? Mam przyjechać?

Podróż zajmie mu co najmniej półtorej godziny, chyba że wezwaliby śmigłowiec.

— Kazał się tylko informować o rozwoju wydarzeń. To znaczy, o ile będzie coś nowego.

Prezydent pojechał na weekend do Cape Cod odpoczywać nad morzem. Zawsze wyjeżdżał na trzy dni, nawet gdyby świat miał się za chwilę zawalić. Błogi relaks na łonie natury; jakby nie stał na czele najpotężniejszego państwa na kuli ziemskiej. Nie interesował go wtedy ani Moody, ani nikt inny z Białego Domu. Ledwie tolerował nawet obecność osobistego adiutanta, który nosił za nim walizkę zawierającą kody głowic nuklearnych. Ciągłe proponował Moody'emu podobny wypad.

— Zniknij gdzieś na weekend, Bob — mawiał ojcowskim to nem. — Odpocznij sobie. Z dała od telefonów. Zabaw się. Wkrótce czeka nas sporo roboty. Chcę, żebyś zebrał wszystkie siły.

Gdyby nie „wszystkie siły Boba”, nigdy by nie został wybrany...

— Co z sekretarzem stanu?

— Próbowaliśmy go złapać w Genewie — odparł oficer dyżurny — ale bez skutku. Pojechał w góry.

Przez chwilę Moody zastanawiał się, czy jednak nie wrócić. Może ktoś powinien zająć się na serio tym środkowoamerykańskim kryzysem. Szef waszyngtońskiej dyplomacji, nieciekawy typ z Dartmouth na-

zwiskiem Charles Skip Hollis, odwiedził właśnie Szwajcarię; rzekomo po to, aby uczestniczyć w konferencji ONZ, ale tak naprawdę zajmował się wyłącznie własnym hobby — chodzeniem po górach. Nazywał to wspinaczką, ale w rzeczywistości trzymał się z dala od wysokich szczytów. Był przyjacielem prezydenta i pochodził z bogatej rodziny, ale w głowie miał pusto — mało prawdopodobne, żeby w ogóle wiedział, gdzie jest Belize. W sumie to jedna z największych pomyłek personalnych prezydenta. Wielu ludzi w Waszyngtonie miało nadzieję, że sekretarz stanu odejdzie jeszcze przed końcem roku. Jeśli między Gwatemalą i Belize wybuchnie wojna, a Moody odwali całą robotę za Hollisa, może dałoby się nieco przyspieszyć rozwój wydarzeń.

Ale to chyba szyte zbyt grubymi nićmi. Poza tym ci Latynosi są naprawdę nieprzewidywalni...

Trochę stanowczości jednak nie zaszkodzi.

— Czy ktoś rozmawiał już z ambasadorem Belize? — zapytał.

— Nie, sir.

— Więc wyślijcie mu oficjalną notę, podpisaną przeze mnie, że nie będziemy tolerować żadnych działań na szkodę amerykańskich interesów. To samo do ambasadora Gwatemali.

— Rozkaz, sir.

— Dowiedźcie się, jak zareagował Meksyk.

— Tak jest.

— I informujcie mnie o wszystkim na bieżąco.

— Oczywiście, sir.

— A teraz chcę rozmawiać z Wolfensonem. Powinien być w moim biurze.

— Tak jest.

Kiedy czekał na połączenie ze swoim zastępcą, zauważył wysokiego, bardzo szczupłego mężczyznę w jeździeckim stroju, który przystanął opodal. Miał siwe włosy i wyglądał na czterdzieści lat, a jednak nosił czarne wysokie buty do konnej jazdy, białe bryczesy oraz granatową marynarkę — ubiór tutejszych dzokejów. Czy to możliwe, żeby w tym wieku ktoś jeszcze startował? Moody znał się trochę na wyścigach na torze, ale tutejsze zawody w niczym ich nie przypominały.

— Czym mogę służyć, przyjacielu? — zapytał.

Mężczyzna miał ponad sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu. Był bardzo opalony — jak każdy, kto pół życia spędził w siodle — i całkiem przystojny, chociaż ktoś musiał mu kiedyś złamać nos,

a policzek przecinała ledwie widoczna blizna. Moody widział go już przedtem, chyba w Waszyngtonie, ale nie mógł sobie przypomnieć gdzie i kiedy.

— Chciałem tylko zadzwonić — odparł mężczyzna.

— Rozmawiam z Białym Domem.

— Aha. Oczywiście. Bardzo przepraszam. — Cofnął się uprzejmie, stając przy wejściu do baru, poza zasięgiem głosu.

Mówił z tym arystokratycznym akcentem, który Moody słyszał ostatnio tak często, jego zdaniem o wiele za często. Tam gdzie się urodził, w górach na zachodzie, angielski brzmiał trochę inaczej... Tak, na pewno znał tego człowieka, ale skąd?

Nagle poczuł się skrzepowany. Rzeczywiście był nieodpowiednio ubrany. Drogi, ciemnoszary garnitur w prążki od braci Brooks wyróżniał się idiotycznie wśród sportowych kurtek oraz blezerów miejscowych bogaczy. Jego żona, Deena, nie omieszkała mu tego żartobliwie wypomnieć, kiedy szykowali się na kolację. I jak zwykle miała rację: taki strój nadawał się może na posiedzenie rady nadzorczej, ale na pewno nie na wyścigi. Moody pochodził z biedoty i ani doskonałe wykształcenie, ani okazały majątek nie zdołały tego ukryć. Proste czarne włosy, różowa twarz o surowych rysach, wydatny podbródek i długa szyja nie pasowały do kosztownych ubrań, które nosił, ani do władzy, którą miał.

Ale niewątpliwie potrafił onieśmielać i sprawiać, że wszyscy słuchali go z szacunkiem. Zawdzięczał tę umiejętność ciemnym oczom o inteligentnym, przenikliwym spojrzeniu, w którym nierzadko pojawiał się gniew. Spojrzał na siwowłosego dżokeja. Mężczyzna odwrócił wzrok i zerknął na zegarek.

— Dzień dobry, panie Moody! — W słuchawce rozległ się nowy głos. — Mam nadzieję, że spędza pan miły weekend. — Gorliwość Wolfensona była równie irytująca co senność oficera dyżurnego.

— Masz dla mnie coś nowego? Poza strzelaniną w Ameryce Środkowej?

— Nie, sir. Chociaż właściwie... Dzwonił senator Reidy. Powiedział, że są problemy z paktem, ale da sobie radę.

Przystojny dżokej obserwował Moody'ego, zmarszczywszy lekko brwi.

— Jakie problemy?

— Sorenson próbuje się wycofać z wcześniejszych zobowiązań.

Senator Reidy mówił, żeby pana nie niepokoić. Zajmie się wszystkim w poniedziałek.

— W poniedziałek?! Ten przeklęty komitet będzie głosować nad całą sprawą we wtorek rano! Gdzie jest Sorenson?

— Nie wiem.

— Jak to nie wiesz?! To po co tam siedzisz, do diabła? A Reidy?

— Mówił, że ma zamiar spędzić weekend na jakiejś łodzi. Dzwonił z Annapolis.

— Dowiedz się, gdzie jest ta łódź! I każ mu do mnie zadzwonić!

— Tak jest, sir!

Moody odwiesił słuchawkę bez słowa.

— Może pan już dzwonić — rzucił do eleganckiego dżokeja. Zajmował linię dosyć długo, ale nie zamierzał za to przeproszać.

— Dziękuję, gubernatorze — odparł uprzejmie mężczyzna.

Musiał rozpoznać Moody'ego, który — zanim został szefem gabinetu prezydenta — był demokratycznym gubernatorem stanu Maryland. Dziwne. W Wirginii mało kto przywiązywał do tego wagę.

— Nie ma za co — powiedział polityk.

Mieszkańcy okolicznych terenów przypominali trochę górali ze szkockich klanów albo angielskich feudałów. Tutejsza arystokracja — Fairbrotherowie w Dandytown, Arundelowie w Middleburgu, Mellonowie w Upperville — na swój sposób była równie potężna jak średniowieczni baronowie. Ich żony i córki panowały niepodzielnie podczas widowiskowych wyścigów, pokazów koni czy polowań z lisami niczym królowe i księżniczki na dawnych dworach.

Hodowcy, trenerzy oraz jeźdźcy także zaliczali się do miejscowej szlachty. Kitty Beveridge z Middleburga i Alixe Percy z Dandytown wygrywały tyle razy, że wstążki, którymi nagradzano każde zwycięstwo, powiewały nad ich namiotami jak bojowe proporce dawnych rycerzy. Młody Patrick Worali ze stajni Sheppard-Worall dwukrotnie zdobył Złoty Puchar Wirginii, zanim skończył dwadzieścia lat. Smithwick „Błyskawica” z Middleburga triumfował na torze przeszło sto razy, a kapitan David Spencer Showers, siwowłosy dżokej, którego Moody spotkał przy telefonie, ale nie rozpoznał, wygrał ponad trzydzieści głównych biegów — mimo wielu lat spędzonych za granicą w służbie dyplomatycznej.

Królestwo koni rozciągało się u podnóża Appalachów, od Karoliny Południowej do rzeki Hudson i Nowego Jorku. Sercem krainy była Wirginia. Inne stany miały własne arystokratyczne rody, ale tradycje tutejszych sięgały najdalej w przeszłość, bo właśnie tu osiedlili się pierwsi angielscy osadnicy w Ameryce. Jeden z przodków Smithwicka „Błyskawicy” sprzedał wierzchowca samemu generałowi Robertowi Lee, a farma Showersa należała do jego rodziny jeszcze przed Rewolucją Amerykańską. W Waszyngtonie kapitan był tylko jednym z wielu urzędników średniego szczebla, tutaj — szlachetnie urodzonym, rycerzem, arystokratą.

Życie mieszkańców Wirginii obracało się wokół koni, a kwintesencję systemu wartości, któremu hołdowali, stanowił pewien szczególny sport: steeplechase — morderczy, wielokilometrowy bieg terenowy z przeszkodami.

Sławny projektant tras do steeplechase, Raymond Woolfe, napisał kiedyś: „Konie biegające w tych wyścigach to najwytrzymalsze i najodważniejsze okazy swojego gatunku, ostatnie prawdziwe konie bojowe, tak jak ich jeźdźcy są ostatnimi prawdziwymi rycerzami. W naszych czasach, kiedy tradycja i odwaga coraz mniej znaczą, to jedyna szansa, aby zasmakować chwały. Czasami trzeba nawet ryzykować życie, ale tylko niebezpieczeństwo pozwala docenić jego radość i wartość. Niewielu potrafi się zdobyć na coś podobnego”.

Showers usłyszał kiedyś te słowa od pewnej kobiety — i zapamiętał je na zawsze.

Skończywszy rozmowę, wszedł do baru, wywołując swoim pojawieniem burzę oklasków. Startował tego popołudnia dwukrotnie — raz wygrał, a potem niemal powtórzył sukces, ale przewrócił się niefortunnie na ostatniej przeszkodzie. Wciąż trochę utykał po upadku.

Najgłośniej biły mu brawo dwie kobiety, siedzące przy stoliku w rogu: Alixe Percy, jego sąsiadka i najserdeczniejsza przyjaciółka, oraz Becky Bonning, młoda dziewczyna, która mieszkała na farmie i pomagała przy koniach.

— David! — krzyknęła Alixe tak głośno, że słyszeli ją wszyscy obecni w barze. — Gdzieżeś się podziewał, do diabła? Przeleciałeś jakąś panienkę na górze?

Zawsze była taka sama — pogodna, rubaszna, nikogo i niczego nie szanująca. Jej rodzina mieszkała w Wirginii jeszcze dłużej niż Shower-

sowie. Miała ogromną posiadłość, jedną z największych w hrabstwie Banastre, niemal dorównującą imperium Lynwooda Fairbrothera. Słońce, wiatr i alkohol zniszczyły niegdyś imponującą urodę. Tego wieczoru wypila już co najmniej pięć szklanek bourbona, podobnie zresztą jak reszta gości. W Waszyngtonie, szczególnie wśród urzędników państwowych i dyplomatów, coraz częściej ograniczano się do wina oraz wody mineralnej, ale tutaj nadal królowały mocniejsze trunki, zwłaszcza przy takich okazjach.

Kapitan nie miał ochoty na wino. Ukłonił się, znalazł wolne krzesło i zamówił whiskey.

— Spałem w stodole — odrzekł. — Sam. Doktor dał mi coś na kolano. Wprost ścięło mnie z nóg.

— Wciąż boli? — zainteresowała się Alixe. — Jeszcze parę razy i będziesz musiał przesiąść się na bryczkę jak ksiązę Filip.

— Wszystko w porządku? — zapytała Becky, niemal jak zatroskana żona. — Nie mogliśmy się ciebie doczekać i zjedliśmy już obiad.

— Czuję się świetnie — zapewnił. Dziewczyna była dziwnie podekscytowana. Na pewno nie tylko z powodu jego zwycięstwa w małym ważnym biegu.

Skończyła niedawno dwadzieścia lat. Dobrze zbudowana, miała brązowe oczy, jasne, związane w koński ogon włosy i dosyć ładne rysy twarzy, ale nikt nie nazwałby jej skończoną pięknoscią. Uśmiechnęła się. Jeździła chyba najlepiej w całym hrabstwie, ale brała udział tylko w pokazach, a wyścigami interesowała się dopiero wtedy, kiedy startował Showers. Bez reszty kochała zwierzęta i nie mogła znieść okrucieństwa steeplechase. Gardziła też krwawymi polowaniami z lisami, chociaż kapitan — jako oficer Gwardii Narodowej Wirginii miał pełne prawo do tego tytułu — należał do miejscowego klubu łowieckiego.

Wyprostował nadwerżoną nogę, krzywiąc się z bólu.

— Chyba jestem już na to za stary — zauważył.

— Nie poszło ci tak źle — odparła Becky. — Raz wygrałeś.

— Nigdy nie splacę kredytu, jeśli będę wygrywał biegi po trzy tysiące dolarów.

— Wszystko zależy od tego, na jakim koniu pojedziesz, kochanie — powiedziała Alixe. — Czy Fairbrother proponował ci start na Moonsugar w jutrzejszym biegu o Puchar Dragonów?

Puchar Dragonów, z pierwszą nagrodą w wysokości piętnastu tysięcy dolarów, stanowił najważniejsze wydarzenie weekendu. Wprawdzie ojciec Showersa wywalczył kiedyś Złoty Puchar Wirginii, ale nigdy nie zdobył Pucharu Dragonów ani też Pucharu Krajowego, największego trofeum całego sezonu.

— Rozmawiał ze mną — przyznał kapitan — ale jeszcze się nie zdecydował.

— Ma doskonałego konia. Potrzebuje równie doskonałego jeźdźca.

— Takiego, który utrzyma się w siodle.

— Dasz sobie radę — powiedziała Becky. — Po prostu za dużo czasu spędzasz za biurkiem.

Kelnerka przyniosła whiskey dla Showersa. Dziewczyna obserwowała go uważnie.

— Mam dla ciebie niespodziankę — dodała. — Pozbyłam się Billy'ego. Zgodził się na rozwód. Dziś wieczorem zabierze resztę swoich rzeczy.

Billy Bonning był mężem Becky. Uciekła z domu, aby za niego wyjść, a może posłużył jej tylko jako pretekst, aby stamtąd uciec; w każdym razie popełniła wówczas pierwszą pomyłkę dorosłego życia. Kapitan pozwalał im mieszkać na farmie, choć z trudem tolerował Billy'ego — wyjątkowego dziwaka i łajdaka, który trzymał w domu całą kolekcję pistoletów i szpad, a kiedy Showers wyjeżdżał do Waszyngtonu, całymi godzinami oglądał filmy pornograficzne. Czasami razem ze swoją siostrą, Vicky Clay.

— Dzięki Bogu.

— Zapomniałaś o drugiej nowinie — zauważyła Alixe.

Becky rozpromieniła się.

— Jutro wieczorem kupisz konia na aukcji.

Uśmiechnął się.

— Nie stać mnie nawet na te, które już mam.

— To ogier. Z bardzo dobrej linii. Nawet nie masz pojęcia, z jak dobrej. Jego prababka to Królowa Tashamore.

Delektowała się dwoma ostatnimi słowami, zupełnie jakby stanowiły magiczne zaklęcie, które miało zapewnić wieczne szczęście.

Odstawił szklankę. Królowa Tashamore była ostatnim koniem, którego sprzedał ojciec kapitana, kiedy został zmuszony do spłaty długów. Najlepszą klaczą, jaką kiedykolwiek posiadała rodzina Showersów.

— Nie zauważyłem takiego konia w katalogu — powiedział.

— Zostanie wystawiony na sprzedaż tuż przed aukcją. Zdradziła mi to Vicky Clay.

— Vicky?

— Słyszała, jak Bernie Bloch mówił, że pewnie pójdzie za niską cenę. Nie miała pojęcia, dlaczego go to interesuje, ale pomyślała, że też powinna o tym wiedzieć. Królowa Tashamore!

Bloch, miliarder z Baltimore, który od niedawna interesował się wyścigami, siedział przy dużym stole na środku sali, otoczony grupką pochlebców. Vicky Clay trenowała jego konie, więc kiedy Showers wyrzucił Billy'ego, znalazła dla brata pracę u Blocha.

— Bernie nie odróżniłby klaczy od ogiera — podsumowała Alixe. — To prostak.

— Jeśli pan Bloch interesuje się jakimś ogierem, nikt inny nie ma żadnych szans — dodał Showers.

— Skąd wiesz? — zaperzyła się Becky. — Może wcale nie chce go kupić. A jeśli ktoś przypadkowy zapłaci marne pięć czy dziesięć tysięcy, dopiero będziesz się głupio czuł.

— Nie będę, bo nie mam, jak mówisz, marnych pięciu czy dziesięciu tysięcy. Nawet nie widziałem tego konia.

— Zawsze możesz go obejrzeć.

— Nie dzisiaj.

— Jutro rano.

Uśmiechnął się.

— Zgoda.

— Rano kapitan może być zmęczony — zauważyła Alixe — bo oto zbliża się Jej Lordowska Mość, do tego lekko zawiana.

Kiedy Showers obrócił się, zaniepokojony, zobaczył kobietę, która chwiejnym krokiem podeszła do stolika.

Jeśli Dandytown miało królową, najbardziej zasługiwała na to określenie lady Lenore Fairbrother, dwadzieścia lat młodsza od swojego wszechmocnego męża, Lynwoda. I tak rządziła tu wszystkim i wszystkimi, nawet zanim jeszcze wyszła za najbogatszego człowieka w mieście. Urodzona w Wirginii, w niezbyt zamożnej rodzinie hodowców koni, odznaczała się za to niezwykle urodą, którą zasłynęła nie tylko w hrabstwie Banastre, ale także w Richmond, Waszyngtonie i Londynie — podbiła te miasta zręcznymi małżeństwami oraz niezapomnianymi przyjęciami, z których jedno trwało podobno cały tydzień,

stając się przyczyną trzech rozwodów. Szlachecki tytuł zachowała po jednym z dawnych małżonków, brytyjskim adwokacie.

Lenore i Showers znali się od dzieciństwa, więc tym bardziej zaszewili wszystkich w Dandytown, kiedy pobrali się przed laty. Kapitan po prostu do niej nie pasował. Nie miał prawie żadnych pieniędzy.

Była szczupła, niemal koścista, ale trzeba przyznać, że wyglądała wspaniale. Długie popielatoblond włosy związała szarą wstążką, dobraną do koloru jej oczu, a letnia, kwiecista sukienka od Laury Ashley oraz lawendowa torebka i buty — strój może bardziej odpowiedni dla dwudziestolatki — nie przyniosłyby jej wstydu na królewskich wyścigach w Ascot. W jednym ręku trzymała kieliszek, a w drugim, jakby dla równowagi, kapelusz z szerokim rondem.

— Davidzie, ty świnió — powitała go, opierając się o krzesło. — Dlaczego przez cały dzień nie zamieniłeś ze mną nawet jednego słowa? Zdarłam sobie gardło, dopingując cię podczas biegu.

Chciał wstać, ale nagle usiadła mu na kolanach, wywołując ból w stłuczonej nodze.

— Co się stało, kochanie? — zapytała. — Zgniotłam ci chłopczyka? — Mówiła z angielskim akcentem, chociaż wyjechała za ocean dopiero po trzydziestce. Teraz miała już prawie dziesięć lat więcej i nieuchronnie zaczynała się starzeć.

Zaczerwienił się, ale nic nie odpowiedział. Lenore pociągnęła łyk z kieliszka, spoglądając na inne kobiety przy stoliku.

— Witajcie, moje drogie. Czy nudzicie się dziś wieczorem tak jak ja?

— Nigdy w życiu nie byłam równie znudzona — westchnęła Alixe.

Becky zachowywała ostentacyjną obojętność. Kapitan czuł się niezręcznie.

Lenore napiła się jeszcze raz.

— Davidzie, mam dla ciebie wspaniałą nowinę. Lynwood chce, żebyś wystartował jutro na Moonsugar w wyścigu o Puchar Dragonów.

Popatrzył na nią uważnie. Jego była żona przynosiła czasem dobre wieści, ale częściej złe.

— Jesteś pewna? Jeszcze niedawno się wahał.

— Absolutnie, całkowicie pewna — odparła. — Podjął decyzję przy kolacji. Miał ci o tym sam powiedzieć, ale gdzieś zniknął. W każdym razie, mój drogi, musisz zjawić się rano w naszej stajni.

— Davidzie — wtrąciła się Becky niczym zawiedzione dziecko, któremu obiecano cukierka. — Rano mieliśmy przecież iść na aukcję.

Showers zawahał się.

— Pójdziemy i tu, i tu.

— A teraz moja nagroda — zażądała lady Fairbrother.

— Twoja nagroda?

— Za to, że przekonałam męża — wyjaśniła figlarnie. — Myślisz, że bez moich próśb zgodziłby się na kulejącego, podstarzałego dżokeja?

Znowu nic nie odpowiedział, zastanawiając się tylko, ile osób w barze słuchało tej rozmowy. Nagle Lenore pochyliła się i namiętnie pocałowała go w usta.

Becky bez słowa wstała od stolika.

— Kim jest ten facet, do diabła? — zapytał Moody.

Siedział na samym środku baru razem z Bernie Blochem, co chwila spoglądając w stronę stolika Showersa, podczas gdy Deena rozmawiała z żoną Blocha, Sherrie, zabawiając innych gości.

— Nie znasz go, Bobby? — zdziwił się Bloch, łysy grubas z podkrążonymi ciemnymi oczami, ubrany niezbyt gustownie. W kra ciastej, sportowej kurtce, cytrynowozielonych spodniach i niebieskim polo od Lacoste'a wyglądał raczej jak nowojorski taksówkarz. Był serdecznym przyjacielem i dawnym wspólnikiem Moody'ego. Wartość jego osobistego majątku przekraczała miliard dolarów.

Eks-gubernator Marylandu potrząsnął głową.

— Pracuje dla ciebie — wyjaśnił Bloch. — Ścisłej mówiąc, w Departamencie Stanu. Kapitan David Showers, tutejszy sir Galahad.

No właśnie. Zwykle Moody pamiętał takie rzeczy, ale tym razem nie skojarzył siwowłosego dżokeja z urzędnikiem w ciemnoszarym garniturze, który uczestniczył w międzyministerialnym spotkaniu, zorganizowanym niedawno w stolicy w związku z Paktem o Ziemi. Został przedstawiony jako Spencer Showers, więc najwyraźniej używał drugiego imienia, podobnie jak większość absolwentów ekskluzywnych uniwersytetów ze Wschodniego Wybrzeża. Ta przekłeta arystokracja zawsze musi się jakoś wyróżniać...

Moody przypomniał sobie jeszcze, że Showers zrobił na nim wrażenie bystrego człowieka. Inteligentnie odpowiadał na zadane pytania i zasugerował pozyskanie poparcia kanadyjskiej ambasady. Bardzo rozsądna propozycja. Czemu go nie zapamiętał? Wszystko

przez ten nawał obowiązków. Zarządzanie Białym Domem to nie to samo co fotel gubernatora.

— Dlaczego nazywają go kapitanem? — zainteresował się.

— Bo naprawdę nim jest — odparł Bloch. — W Gwardii Narodowej, a może w rezerwie. Dokładnie nie wiem.

Moody służył w Wietnamie jako kapitan piechoty morskiej i nawet dostał Srebrną Gwiazdę, ale mimo że był podpułkownikiem rezerwy, nikt w Waszyngtonie tak go nie nazywał. Chociaż wszyscy doskonale wiedzieli, że nie miałby nic przeciwko temu.

— A kobieta, która siedzi mu na kolanach? — Zauważył ją podczas wyścigów. Miała już swoje lata i nie mogła równać się z Deeną, ale mimo to wciąż prezentowała się atrakcyjnie, żeby nie powiedzieć ponętnie: piękna i elegancka niczym modelka. Sprawiała wrażenie bardzo bogatej.

— To żona Lynwooda Fairbrothera — wyjaśnił Bloch.

Deena przestała rozmawiać i spojrzała na Lenore.

— Znam go? — zapytał Moody.

— Powinieneś. To zapalony gracz, najważniejsza osoba na wyścigach. Jego dżokeje startują też w Pimlico, Belmont i Saratodze. Razem z żoną należą do tutejszej śmietanki towarzyskiej.

— Interesuje się czymś poza końmi?

— Jasne. Ma więcej kopalni węgla niż ja. I kilka niezłe prosperujących banków. Parę lat temu proponowano mu fotel ambasadora w Wielkiej Brytanii, ale wycofał swoją kandydaturę z powodu żony. Nie cieszyła się tam zbyt dobrą reputacją. Za dużo alkoholu. I zbyt wielu kochanków.

Moody z zaciekawieniem patrzył na Lenore, ale odwrócił wzrok, kiedy zorientował się, że zauważyła to Deena.

— Bernie, co się stało z tą rudą dziewczyną, która dla ciebie pracuje? Chyba zrezygnowała z naszego towarzystwa.

— Vicky Clay? Pewnie pieprzy się z kimś w stajni. Zobaczmy ją dopiero rano.

— Ale jutro jest wielki wyścig.

— Nic nie szkodzi. Przygotowała mojego konia tak, że nikt inny nie zrobiłby tego lepiej. Możesz postawić na Berniego Blocha wszystko, co masz.

Showers, tłumacząc się bolącą nogą i potrzebą odpoczynku przed następnym dniem, uwolnił się wreszcie od Alixe i reszty towarzystwa. Dobrze wiedział, że zabawa potrwa do rana. „Rozpusta jest piekielnie nudna, ale cóż innego można tu robić?” — mawiała Lenore.

Tak jak się spodziewał, Becky czekała w jego dziuple.

— Nie byłam pewna, czy wybierasz się do domu.

— Oczywiście.

— Mam poprowadzić? Oszczędzić twoje kolano?

— Dziękuję.

Farma znajdowała się pięć kilometrów na zachód od miasta. Wąska, kręta droga wiała się między wzgórzami, wymagając od kierowcy pełnej koncentracji. Nie miał ochoty rozmawiać, w przeciwieństwie do Becky.

— Teraz, kiedy Billy się wyprowadził, czy chcesz, żebym zrobiła to samo?

— Jasne że nie — zachnął się.

— Wszyscy będą plotkować.

— I tak plotkują.

— Poza tym któż inny zająłby się farmą?

— Nie chcę nikogo innego. Żałuję tylko, że nie mogę płacić ci więcej. — Musnął palcami jej kolano.

— Dobrze wiesz, że robiłabym to nawet za darmo.

Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że najchętniej zostałyby jego żonę, ale bał się, że nie potrafi odwzajemnić jej oddania. Przez prawie dwadzieścia lat kochał inną kobietę.

— Pewnego dnia założysz własny dom — powiedział. — Wyjdiesz za męża. Urodzisz dzieci.

— Chcę zostać z tobą — odparła.

Naprawdę miała na imię Rebecca i była córką bogatego waszyngtońskiego psychiatry, doktora Gibbonsa. Kapitan poznał ją, kiedy jeszcze jako dziecko wystartowała w konkursie jeździeckim w Dan-dytown. Od tego czasu każdą wolną chwilę spędzała na jego farmie, a na szesnaste urodziny dostała od ojca konia za sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów i postanowiła go trzymać właśnie u Showersa—mimo że z Waszyngtonu miała kawał drogi.

Kiedy skończyła osiemnaście lat, zamieszkała na farmie na stałe. Kilka dni wcześniej uciekła z domu i wyszła za Billy'ego Bonninga. Kapitan nie sądził, żeby powodem tego małżeństwa była miłość czy

też zauroczenie urodą skądinąd przystojnego chłopaka. Becky chciała po prostu wyzwolić się spod władzy ojca, który zmuszał ją do pójścia do college'u.

Tak jak wszyscy w Dandytown, Showers nie przepadał za Billym. On i jego siostra Vicky pochodzili ze starej rodziny, która mieszkała tu jeszcze przed wojną domową, ale nigdy niczego nie osiągnęła. Ich ojciec sprzedawał używane samochody, miał też małą farmę; jeden z wujów prowadził w miasteczku stację benzynową oraz bar, a drugi handlował końmi w Charles Town, w Wirginii Zachodniej. Bonningowie byli pospolici. A w Dandytown to określenie absolutnie dyskredytowało człowieka. Co prawda, niektórzy mówili o nich jeszcze gorzej: śmieci.

Dzięki jakiemuś przodkowi, który został mianowany „porucznikiem” w słynnej bandzie konfederackich rabusiów, Bonningowie mieli dostęp do miejscowych wyższych sfer, gdzie Billy polował na bogate, naiwne dziewczyny. Bardzo przystojny, barczysty, jasnowłosy, dobrze się prezentował nawet w najtańszym smokingu z wypożyczalni. Zaciągnął do łóżka wiele kobiet, ale tylko nieliczne dały mu uszczknąć swoich pieniędzy.

Showers nie był szczególnie zachwycony, kiedy Becky i Billy zjawili się na jego progu, ale pozwolił im zostać, informując o wszystkim doktora Gibbonsa. Psychiatra przyjął to z ulgą, mając najwyraźniej nadzieję — całkiem słuszną, jak się okazało — że osoba kapitana posłuży trochę jako przywoitka.

Zgodnie z zawartą umową Becky zajmowała się końmi, a do obowiązków Billy'ego należały cięższe prace. Nie było ich zbyt wiele. Showers trzymał tylko jedną klacz, która właśnie się ożrebiła, a ponadto konia do polowań z lisami. Do tego dochodził wierzchowiec Becky. Młodzi dostawali niewielką pensję i mieszkali w dawnym domku dla służby, a kiedy w tygodniu kapitan wyjeżdżał do Waszyngtonu lub za granicę, mieli do dyspozycji całą farmę.

Potwierdzając obawy Showersa, Billy wkrótce zaczął traktować posiadłość jak własną, urządzając huczne przyjęcia dla młodzieży z okolicy. Poniżał Becky, próbując poderwać co ładniejsze i bogatsze dziewczęta. Kapitan wyrzucał Billy'ego z domu trzykrotnie — dwa razy za kradzież, raz za to, że uderzył żonę. W końcu nakłonił Becky do zerwania z mężem, nawet jeśli trzeba będzie spłacić drania, żeby się odczepił.

— Wspomniałaś, że Billy zgodził się na rozwód — powiedział. — Podpisze dokumenty?

— Tak — odparła, skoncentrowana na prowadzeniu samochodu. — W przyszłym tygodniu pojedziemy do adwokata w Culpeper.

— Ile chce?

— Sto tysięcy. Zaproponowałam mu dwadzieścia pięć. Zgadza się na pięćdziesiąt plus furgonetkę.

— Obawiam się, że nie mogę ci pomóc. Nie mam tyle pieniędzy.

— Nie musisz. Tata obiecał wystawić czek. Tylko że chce, abym wróciła do college'u.

— Niezły pomysł.

— Bez studiów też można jeździć konno.

Milczał.

— Nie chcę wyjeżdżać — dodała.

— No cóż, uniwersytet stanowy jest godzinę drogi stąd. A jeśli tam cię nie przyjmą, jeszcze bliżej masz miejscowy college.

— Nie przeszkadzałoby ci to?

— Oczywiście, że nie.

Dodała gazu.

Bramę prowadzącą na farmę zastali otwartą na oścież, co rozzłościło Showersa. Jego pies, owczarek szkocki, na pewno uciekł, korzystając z okazji i teraz trzeba go będzie szukać po całej okolicy. Furgonetka, którą Billy najwyraźniej uważał już za swoją, stała przed głównym wejściem. Kiedy zaparkowali obok i zgasili światła, właśnie wyszedł na ganek, taszcząc dwa czy trzy karabiny oraz stary kawalerski pałasz. Otworzył drzwiczki i delikatnie ułożył broń w kabinie. Niczego innego nie traktował z równym namaszczeniem. Z tyłu samochodu stało duże kartonowe pudło i dwie stare walizki.

— Mam nadzieję, że niczego nie ukradłeś — odezwała się Becky.

— Odpieprz się — warknął Billy i zniknął w drzwiach.

— Lepiej sam sprawdź, Davidzie — zaproponowała.

— Nie ma sprawy — rzekł kapitan na tyle głośno, żeby Bonning usłyszał. — Jeśli coś zginie, po prostu każę go aresztować.

— Ciebie też pieprzę! — krzyknął ze środka Billy.

Po chwili wyniósł kolejne kartonowe pudło: mniejsze, ale chyba o wiele cięższe.

— Zabrałeś wszystko z góry? — zapytała Becky. — Te wstrętne gazety i filmy? Nie chcę więcej oglądać żadnych kobiet z poderżniętym gardłem.

Cały spocony, wrzucił wreszcie pudło do furgonetki. Odwrócił się, oparł o zderzak i zapalił papierosa. Miał na sobie wysokie kowbojskie buty, niebieskie dżinsy i T-shirt; zakładał coś innego tylko wtedy, kiedy szedł się gdzieś zabawić.

— Wziąłem wszystko — powiedział.

— Gdzie będziesz mieszkał? — zainteresowała się dziewczyna.

— U Vicky i Meade'a. Odsyłaj tam moją korespondencję.

— Załatwię zmianę adresu na poczcie. Nie chcę dotykać tych świństw, które nazywasz „korespondencją”.

— Wszystko jedno, ale radzę ci pilnować, żeby nic nie zginęło.

— A ja ci radzę, żebyś nie spóźnił się do adwokata. Nie mam zamiaru być twoją żoną ani sekundę dłużej, niż to konieczne.

— Widziałas Vicky? — zapytał Billy. — Szukałem w hotelu, ale nikt nie otwierał drzwi. Nigdzie jej nie ma.

— Szukałeś w niewłaściwym łóżku — odrzekła Becky.

Zerknął na Showersa.

— Przynajmniej wiem, w którym będzie można teraz znaleźć ciebie.

Kapitan zrobił krok naprzód, krzywiąc się z bólu.

— Proszę się stąd wynosić, panie Bonning. I nie chcę tu pana więcej widzieć.

Billy pogardliwie wyszczerzył zęby.

— Trzeba by spędzać trochę więcej czasu w domu, kapitanie. — Upuścił na ganek zapalonego papierosa.

Becky przydeptała niedopałek.

— Jesteś skończonym draniem — powiedziała.

Showers nie ruszył się z miejsca.

— Odpieprz się — powtórzył Billy, wsiadając do samochodu. Zapalił kolejnego papierosa, uruchomił silnik, wykręcił na trawniku i odjechał, wzbijając kłęby kurzu.

Kapitan usiadł na schodach, rozprostowując obolałą nogę.

— Chcesz się napić? — zaproponowała Becky. — Sprawdź, czy niczego nie zostawił.

— Nalej mi whiskey z wodą sodową.

Dwa drinki w przeddzień wyścigu to aż nadto. Czuł, że musi się położyć do łóżka.

Położyła mu rękę na ramieniu — jak przyjaciółka... albo jak żona.
— Zaraz wracam.

Oparł się o jeden z białych filarów ganku. Był zmęczony. Cały dzień zawodów przyniósł aż nadto wrażeń. Czasy niespożytych sił młodości minęły bezpowrotnie. Jego życie dobiegało półmetka.

Cóż zdołał osiągnąć? Zakurzone wstążki i puchary w salonie? Niewiele... Z drugiej strony może to wystarczający sukces, że wciąż miał własny salon? Jakoś zdołał utrzymać farmę i kilka koni — w stajni mogącej pomieścić czterdzieści. Po piętnastu latach w dyplomacji, wożąc wiadomości, rozkazy, raporty i bez ustanku zbierając ignorowane lub nie wykorzystywane informacje, doszedł do stanowiska drugiego zastępcy sekretarza stanu, odpowiedzialnego za sprawy morskie i ekologiczne. Ale co tak naprawdę zrobił? Jediną godną uwagi sprawą w całej karierze był Pakt o Ziemi, globalny projekt ochrony środowiska naturalnego. Obecny prezydent postawił sobie za cel ratyfikację paktu, chociaż niewielu wierzyło, że uda się wprowadzić w życie jego postanowienia.

Showers nie miał żony, rodzice nie żyli, a jedyna siostra, która nienawidziła Południa, nawet tak nowoczesnego jak północne krańce Wirginii, mieszkała samotnie w Vermoncie i nie odwiedzała go od lat. Poza dalekim kuzynem — dziennikarzem, Becky, Alixe i kilkoma innymi przyjaciółmi nie miał nikogo. Gdyby nagle zniknął, wsiał do dzipa, odjechał i nigdy więcej nie wrócił, nikomu nie sprawiłoby to wielkiej różnicy.

Oczywiście nigdy nie zdobyłby się na coś podobnego. Beztroski, lekkomyślny ojciec prawie nie interesował się synem — nauczył go jedynie jeździć konno — ale dziadek, staromodny, lecz stanowczy dżentelmen, który uosabiał wszystkie pokolenia rodu Showersów, wpoił wnukowi rodzinne zasady. Honor, obowiązek, rodzina i tradycja. Kapitan starał się ich przestrzegać, chociaż tej ostatniej trudno było mu sprostać.

Noc była ciemna, bezksiężycowa, a w powietrzu unosił się zapach lata. Lampy w oknach oświetlały trawnik, ale rosnące dalej drzewa kryły się w mroku. W powietrzu migotały robaczki świętojańskie, a większe, niewidoczne owady bzycały monotennie.

W takie wieczory życie nigdy nie cichło. Showers słyszał niespokojny rechot żab w strumieniu, grę tysięcy koników polnych na pastwisku, śpiew ptaków wśród gałęzi, sporadyczne szczekanie psa, ledwie słyszalne nawoływanie dzikich zwierząt.

Wszystkie te dźwięki symbolizowały urok spokojnego, cichego życia poza miastem — ale tak naprawdę było to jedno wielkie, romantyczne oszustwo. Robaczki świętojańskie świeciły po to, żeby samica po kopulacji mogła zjeść samca, ptaki odpędzały się wzajemnie, żaby pożerały owady, owady polowały na inne owady, a węże, sowy, nietoperze i rysie zjadały wszystko, co się tylko dało zjeść. Wszystkie boże stworzenia zabijały się nawzajem, każdego dnia i każdej nocy, w każdym miejscu na Ziemi, a człowiek opiewał to w pieśniach, nazywał naturą, pięknem, życiem.

Pewnego dnia, za tydzień lub za dziesięć lat, może nawet w równie piękną noc, on również umrze, dzieląc los milionów zwierząt i ludzi, a pokolenia po jego śmierci farma zamieni się w podmiejski parking, porośnięte trawą nieużytki albo wysypisko śmieci. Żaden Pakt o Ziemi nie powstrzyma momentu — za miliardy lat — w którym Słońce nagle wybuchnie i zgaśnie, a wraz z nim zginie wszystko, co nas otacza. Ileż spośród gwiazd widocznych na niebie to tylko przemierzające wszechświat światła nie istniejących już galaktyk?

Zaskoczyły go te przygnębiające myśli. Bez ostrzeżenia wtargnęły do świadomości niczym koszmarny sen. Zaczynał się starzec. Potrzebował syna, córki, żony. Życie w samotności to zbyt duży ciężar.

Becky usiadła obok i podała mu drinka. Ucieszył się na jej widok.

Delikatny, ciepły wiatr poruszał gałęziami drzew, przynosząc letnie zapachy. Showers pociągnął łyk whiskey i poczuł się odrobinę szczęśliwszy.

— Dziękuję.

— Billy zapomniał zabrać jedną z taśm — powiedziała Becky, pokazując videokasetę. Na białej naklejce widniało słowo: VICKY. — Bóg wie, co tam nagrał.

— Oddasz mi ją, kiedy spotkacie się u prawnika.

— A może zobaczymy sami?

— Nie.

— Jestem ciekawa.

— Becky, musisz wyrzucić go z życia tak szybko, jak to tylko możliwe.

Odłożyła kasetę na schody i wyprostowała się. Pełne piersi napinały materiał bluzy.

— Wracasz w poniedziałek do Waszyngtonu? — zapytała.

— Tak, oczywiście. Muszę. — Kostka lodu zagrzechotała w szklance.

— Dlaczego nie możesz zostać i po prostu zająć się tylko farmą?
— Bez rządowej pensji nie byłbym w stanie jej utrzymać.
— Mógłbyś prowadzić kursy jazdy konnej i trenować konie. Alixe pożyczycy ci na początek.

— Becky, przez te wszystkie lata ciężko pracowałem, żeby spłacić długi ojca. Nie chcę zaciągać teraz nowych.

— Mój ojciec też może dać mi trochę pieniędzy.

— Już to przerabialiśmy, Becky.

Przez chwilę siedzieli bez słowa.

— Teraz, kiedy Billy się wyprowadził — zapytała — czy nadal muszę spać w domku?

— Tak byłoby najlepiej.

— Co za różnica? Jesteśmy tu sami. Ludzie i tak będą plotkować.

— Różnica.

— Nie chcesz mnie.

— Becky...

— Tak, tak, nie chcesz.

— Naprawdę bardzo cię lubię. Sam nie dałbym sobie rady. Zostawmy wszystko tak, jak jest teraz. Nie komplikujmy życia.

Podciągnęła kolana pod brodę i objęła je rękami. Popatrzyła na swoje dłonie, a potem zdjęła obrączkę i cisnęła ją w krzaki.

— Tak jest, kapitanie. Zgodnie z rozkazem.

Nagle usłyszeli warkot silnika. Jakiś samochód skręcił z drogi w bramę, podskakując na wybojach. W pierwszej chwili Showers pomyślał, że to wraca Billy szukać nowych kłopotów, ale pojazd — luksusowy czarny jaguar — był o wiele niższy od furgonetki. Kiedy zgasły światła, zobaczyli kierowcę.

— Idź do łóżka, Becky.

— Żebyś ty mógł zrobić to samo, kapitanie?

— Po prostu idź spać. Proszę. Dobranoc.

Wstała, pocałowała go w czoło na pożegnanie, a potem zeszła z ganku bocznymi schodkami i zniknęła w ciemnościach. Drzwi jaguara trzasnęły. Lenore Fairbrother zatrzymała się na chwilę i oparła o samochód, żeby utrzymać równowagę. Potem uśmiechnęła się przebiegle, sięgnęła ręką do zapięcia sukienki i ruszyła przed siebie. Po chwili kwiecisty materiał opadł na ziemię. Jeszcze dwa kroki i to samo stało się z biustonoszem.

Nie miała na sobie pończoch. Zanim dotarła do Showersa, została

tylko w butach. Uklęła tuż przed nim niczym sługa przed swoim panem.

— Lenore, proszę. — Był naprawdę zmęczony.

— Proszę?

— Nie teraz.

Przykucnęła. Światło z okna padło na jej nagie piersi.

— Dlaczego nie?

— To chyba nie najlepsza rzecz, jaką moglibyśmy teraz zrobić.

— Ależ, Davidzie, mój drogi. Nie ma takiego miejsca w hrabstwie Banastre, gdzie byśmy się nie kochali.

— Dawne dzieje. Teraz jesteś żoną Lynwooda.

— I co z tego?

— Żoną mojego przyjaciela. To duża różnica.

Rozsiadła się wygodnie.

— Daj spokój, kapitanie. Zagrzeję cię do jutrzejszego boju.

Westchnął, ale nic nie odpowiedział.

— Tak jak za pierwszym razem, Davidzie. Pamiętasz tę dziewczę, która czerwieniła się z byle powodu? Weź mnie tutaj, na trawie. Nucisz jeszcze czasami naszą ulubioną piosenkę?

Mieli wtedy po dwadzieścia lat, ale wcale nie była już dziewczą. Wkrótce potem zostawiła go dla jakiegoś bogatego faceta z Filadelfii. Długo nie mógł się otrząsnąć, ale mimo to zawsze życzył jej wszystkiego najlepszego.

— Proszę, Lenore.

— To ja proszę. Jesteś mi coś winien, drogi panie. Lynwood nie dałby ci jutro wsiąść na Moonsugar, gdyby nie moje namowy i osobisty urok. Nie miej złudzeń. — Roześmiała się, a potem nagle umilkła. Wreszcie odezwała się znowu: łagodnie, melancholijnie, niemal poetycko. Zawsze wiedziała, jak go podejść. — Kiedy tak leżałam, uosobienie niewinności, z włosami rozrzuconymi na trawie, coś mi przysiągłeś, pamiętasz? Że zawsze będziesz mój. Mój kochanek i zdobywca.

Pomimo upału, bourbona, zmęczenia i kłopotów Showers powoli ulegał czarowi chwili: dojrzała, naga kobieta klęczała przed nim w piękną letnią noc, wraz z sobą ofiarowując mu szansę zapomnienia, ucieczki od zmartwień i pustki dnia, wszystkich jego dni.

— Nie masz honoru, jeśli po tych wspaniałych obietnicach teraz mnie odepchniesz. — Wstała i podeszła bliżej. — Kiedyś ci udowodnię, że Lynwood Fairbrother wcale nie jest twoim przyjacielem.

Kapitan odstawił szklanekę. Dziadek nie nauczył go, co robić w takich sytuacjach. Zresztą nigdy dotąd nikt nie odmówił Leno-re — jeśli tylko kogoś naprawdę pragnęła.

Objął ją i dotknął piersi. Pocałowali się. Miała takie gorące usta. Pieścił biodro, udo, jeszcze niżej. Nagle znieruchomiał.

— Davidzie...

— Nie. — Odsunął się. — Na litość boską, jutro startuję na jego koniu.

— Och, Davidzie, proszę... Bardzo proszę, kochanie. Wiem, że mnie pragniesz. Twój mały jest naprawdę twardy, czuję to. — Przytuliła się do niego. — Muszę cię dziś mieć. Zapamiętasz tę noc na zawsze.

Wstał.

— Przestań, Lenore. Zaraz zadzwonię do Lynwooda i powiem mu, żeby po ciebie przyjechał.

— Nie mówisz serio.

— Owszem tak. Powiem, że się upiłaś i robisz z siebie idiotkę. Znowu.

— Jego to nie obchodzi.

— Ale mnie tak. Nie cierpię, kiedy się tak zachowujesz.

Skrzyżowała ręce na piersiach jak nieszczęśliwe dziecko. Czekał na jakiś złośliwy przytyk. Miała naprawdę bogaty repertuar. Ale nic z tego.

— Kocham cię, Davidzie. Dobrze o tym wiesz. Nikt nigdy nie kochał cię tak jak ja.

— Zostawiłaś mnie, Lenore. Prosiłem, żebyś została, ale nie traktowałaś mnie poważnie.

— Cóż, Davidzie, byłeś tak nieprzywoicie biedny...

— No właśnie, to cię zawsze najbardziej bolało, prawda?

Przez chwilę siedzieli bez słowa. Nagle usłyszeli szczekanie psa. Przez bramę wbiegł owczarek Showersa, Hardtack. Stał w kręgu świateł, popatrzył na nich ciekawie i podrapał się tylną łapą po łbie.

— Och, mój drogi Davidzie — odezwała się Lenore, wstając. — Jesteś taki zarozumiały.

Kołysząc zalotnie biodrami, wróciła do samochodu i odjechała bez jednego spojrzenia.

Całe jej ubranie zostało na trawniku.

ROZDZIAŁ TRZECI

Ciała Clayów znaleziono dopiero późnym rankiem następnego dnia. Młoda hotelowa pokojówka zostawiła sobie ich pokój na koniec; chciała uniknąć krępującej sytuacji, gdyby próbowała go sprzątać zbyt wcześnie. Kiedyś, mimo że na drzwiach nie było tabliczki NIE PRZESZKADZAC, a nikt nie zareagował na pukanie, weszła do środka i natknęła się na nagą trenerkę, siedzącą okrakiem na jakimś mężczyźnie.

Pierwszy bieg tego dnia — wyścigi kucyków dla juniorów — zaczął się o jedenastej. Kilka minut wcześniej, sądząc, że wszyscy dawno już poszli na zawody, pokojówka wreszcie zajrzała do pokoju Vicky, ale spostrzegła dwoje nagich ludzi na łóżku i szybko zamknęła drzwi. Wróciła dopiero po godzinie. Kiedy się zorientowała, że ciała są dokładnie w tej samej pozycji co poprzednim razem, weszła jednak do środka. Vicky i jej mąż, trupio bladzi, leżeli nieruchomo. Zadrapania na plecach Meade'a pokrywała zakrzepnięta krew, a w ręku tkwiła strzykawka. Przerazona dziewczyna pobieгла po pomoc.

Recepcjonista, niewiele starszy od pokojówki — razem studiowali na miejscowym uniwersytecie — niechętnie wszedł na górę, żeby sprawdzić, co się stało. Wrócił równie szybko jak ona.

— Musieli przedawkować — oznajmił, pośpiesznie wykręcając numer. — Ciekawe, co za świństwo brali.

— Dzwonisz do szpitala?

— Do szpitala? Są martwi. Zimni jak lód. Wzywam policję. O Boże.

Numer okazał się zajęty. Niemal wszyscy funkcjonariusze w hrabstwie Banastre kierowali ruchem na ulicach Dandytown, zatłoczonych w związku z wyścigami.

— Chyba się wtedy kochali — powiedział chłopak. — Trzeba było zobaczyć, jak mu podrapała plecy.

— Widziałam — odparła pokojówka. Opadła na jedno z krzeseł w holu, bo nagle zrobiło się jej niedobrze.

Początek czerwca był wyjątkowo ładny. W ciepłym powietrzu unosił się zapach trawy i kwiatów, a niebo, łąki i lasy rozbłysły jasnymi kolorami wiosny. Sędziowie, dżokeje w bryczesach, elegancko ubrani widzowie — mężczyźni w marynarkach, kobiety w kwiecistych letnich sukienkach i kapeluszach — przywodzili na myśl sceny z dziewiętnastowiecznych obrazów, których tak wiele ozdabiało ściany okolicznych rezydencji. Jedyne rządy luksusowych samochodów, stojących na parkingu dla VIP-ów — między innymi ogromny kabriolet, rolls-royce corniche, należący do Berniego Blocha — zakłócał tę podróż w czasie.

Robert Moody był pełen podziwu. Drażniło go tylko, że sam nie należy do tego świata.

Razem z kilkoma innymi osobami oglądał wyścigi z łoży Blocha — odgrodzonego sznurem kawałka trawy niedaleko mety, tuż obok stanowisk sędziów. Bernie musiał sporo zapłacić za takie miejsce, ale wyglądało na to, że żadne pieniądze nie wystarczą, aby inni widzowie zaczęli przyjaźniej traktować miliardera i jego gości. Moody powiedział dzień dobry leciwej damie w kapeluszu, która siedziała na rozkładanym stołku tuż za liną, ale starsza pani nie poświęciła swojemu sąsiadowi więcej uwagi niż latającym dookoła muchom. Może była głucha?

Moody spędził na wyścigach dopiero półtora dnia, ale zdążył już niemal znienawidzić tych ludzi. Dawno temu, kiedy jego córka May uczyła się jeździć konno, pojechał z nią na kilka pokazów w Marylandzie, ale nigdy nie zbrała się ze światkiem koniarzy — nawet kiedy został gubernatorem. Razili go swoją odmiennością. Nie chodziło tylko o bogactwo czy dziwaczne ubiory. Zachowywali się tak, jakby należeli do innej rasy. Nonszalancy, bez względu na okoliczności pewni siebie, nie tracili wewnętrznej równowagi nawet wtedy, gdy właśnie wszystko stracili. Po prostu nigdy nie przejmowali się porażką. Moody'emu to nie odpowiadało. On walczył, żeby wygrać. Odnosił sukcesy we wszystkim, do czego przyłożył rękę; zrobił karierę jako

prawnik, biznesmen, polityk, waszyngtoński intrygant. Cała Ameryka nagradza zwycięzców, tylko nie ci ludzie. Nawet gdy przegrywają, wciąż uważają się za najlepszych.

Potał ręką po brodzie i pomyślał, że chyba znowu powinien się ogolić. Czasami robił to nawet trzy razy dziennie — aby tylko pozbyć się tego przekłętego ciemnego zarostu, nadającego jego twarzy wieczne sinawy odcień. Krótko mówiąc, uważał swoją fizjonomię za wyjątkowo złośliwy wybryk natury.

W przeciwieństwie do ojca May wyrosła na niezwykle piękną kobietę. Została aktorką w Hollywood, odnosząc sukcesy w równej mierze dzięki urodzie, co wyjątkowemu talentowi. Zanim przeniosła się do Kalifornii, zbierała same najwyższe noty na Broadwayu.

Czarne włosy i oczy odziedziczyła po nim, jasną cerę po matce, natomiast genom irlandzkich przodków zawdzięczała oryginalność rysów twarzy. Wciąż nosił w portfelu jej fotografię z młodzieńczych lat — chociaż w przeciwieństwie do córki nigdy nie robił dobrych zdjęć. Dawniej kochała go do szaleństwa, a on chwalił się przed wszystkimi swoją ukochaną „małą dziką różyczką”. Ale od kiedy rozwiódł się z matką May, nie rozmawiali ze sobą ani razu.

Otarł pot z twarzy. Miał na sobie szare flanelowe spodnie i drogą tweedową marynarkę, które kupił specjalnie na ten weekend, wzorując się na oglądanych czasopismach — ale nie wziął pod uwagę prostego faktu, że zaczęło się lato. Tamte eleganckie stroje nie nadawały się na upał.

Zastanawiał się, ilu ludzi zauważyło jego męczarnie. Pewnie wszyscy.

Zaniepokojony sytuacją w Ameryce Środkowej — Gwatemala i Meksyk postawiły swoje armie w stan gotowości — oraz fiaskiem, które zagrażało prezydenckiemu Paktowi o Ziemi, większość poranka spędził przy telefonie. Sekretarz stanu Hollis został wreszcie poinformowany o kryzysie w Belize, ale ponieważ prezydent nie przerwał wypoczynku, on sam także postanowił na razie nie wracać do kraju.

Ludzie Moody'ego odnaleźli też senatorów Reidy'ego i Sorensona. Obaj zgodzili się spotkać z nim w Białym Domu w poniedziałek wczesnym rankiem. Poza tym w nocy koło północnego wybrzeża Florydy rozbił się tankowiec, ale to akurat była dobra wiadomość. Wyciek ropy ułatwi podpisanie paktu.

Nagle obok stanął Bloch, wręczając Moody'emu dzin z tonikiem. Sam przygotowywał napoje dla gości, korzystając z doskonale zaopatrzonego barku w limuzynie.

— Nie za gorąco ci, Bobby? — zapytał. — Ściągaj marynarkę, rozluźnisz się.

Moody z wdzięcznością przyjął zimnego drinka, ale nie zamierzał niczego zdejmować. Kiedy chodził do college'u, czytał sporo Thomasa Wolfe'a. Zapamiętał scenę, w której główny bohater jednej z powieści odwiedza bogatą nowojorską rodzinę i dowiaduje się, że prawdziwy dżentelmen nigdy nie pokazuje się bez marynarki w miejscu publicznym. Odtąd sam zawsze przestrzegał tej zasady.

— Wszystko w porządku.

— Moja trenerka jeszcze się nie pokazała. Zastanawia mnie tylko, z kim poszła do łóżka zeszłej nocy.

— Może z mężem.

— Daj spokój, Bobby. Przecież ją znasz. Sam się z nią zabawiałeś.

Moody odwrócił głowę.

— Nie wiem, o czym mówisz.

— W zeszłym miesiącu, kiedy byliśmy w Baltimore... — Bloch poklepał przyjaciela po ramieniu. — Nie ma sprawy. Jak myślisz, dlaczego ją trzymam? Katuje konie, ale troszczy się o moich przyjaciół. O mnie zresztą też.

— Tak, to miła dziewczyna.

Miliarder roześmiał się.

— Ma wiele zalet, ale chyba trudno nazwać ją miłą. — Ściszył głos. — Na twoim miejscu trochę bym uważał, Bobby. To ćpunka. Siedziała za handel narkotykami. Możesz sobie tylko narobić kłopotów.

— Chyba wyolbrzymiasz moje zainteresowanie jej osobą — odparł spokojnie Moody.

— Miło mi to słyszeć.

— Więc dlaczego ją wynajęłeś?

— Nie cieszę się tu zbytnią popularnością. To jedyna trenerka, która daje sobie radę z narowistymi ogierami.

— Czy ktoś nie powinien jej poszukać?

— Sama się znajdzie. Pewnie po prostu odsypia zarwaną noc. — Bloch rozejrzał się dookoła. — Muszę porozmawiać z kilkoma ludźmi. Ty też powinieneś. Przecież jesteś politykiem.

— Odpoczywam.

— Nigdy nie odpoczywasz, Bobby. Za dobrze cię znam — oznajmił odchodząc.

Miał na sobie żółte polo od Lacoste'a i cienki niebieski blezer. W sumie mimo nadwagi prezentował się nie najgorzej. Natomiast Moody czuł się fatalnie. Tweed gryzł go przez koszulę.

Deena stała tuż przy torze razem z Sherrie oraz jakimś małżeństwem. Uśmiechnęła się do męża, pomachała ręką i wróciła do przerwanej rozmowy. Ona również nie pasowała do otoczenia, chociaż bardzo się starała. Kapelusz z szerokim rondem był przesadnie wyszukany, platynowe włosy zbyt rozjaśnione, róż butów i sukienki za bardzo rzucający się w oczy, a dekolt o wiele za głęboki. Trybuna na mecie wyścigów Formuły I stanowiłaby dla niej o wiele lepsze miejsce.

Ale Deena doskonale dawała sobie radę. Lubiła otoczenie bogatych, wpływowych ludzi, drogich samochodów, kosztownych zabawek. Jeśli nawet ktoś nią pogardzał, udawała, że tego nie widzi.

Pochodziła z południa, z Kentucky. Młodsza od niego o piętnaście lat, była uległą, troskliwą żoną; zarówno podczas oficjalnych spotkań, jak i w łóżku. Często pomagała mu w pracy, uczestnicząc w waszyngtońskich intrygach, więc liczyli się z nią wszyscy, poza żoną prezydenta. Ale jedna myśl — przypuszczenie graniczące z pewnością — nie dawała Moody'emu spokoju: gdyby stracił pieniądze, a przede wszystkim stanowisko, Deena odejdzie od niego bez wahania. Był jej trzecim mężem, a przecież miała dopiero trzydzieści osiem lat.

W tym kraju już raz wybrano rozwiedzionego prezydenta, a inny z kolei nie przepuścił żadnej kobiecie. Ale ktoś, kogo żona rzucała kolejnych partnerów, gdy tylko na horyzoncie pojawiał się ktoś lepszy, nie ma szans na to stanowisko.

Obok rollsa stało kilka białych składanych krzeseł. Usiadł na jednym z nich, uważając, aby nie pognieść sobie marynarki. Popijał dżin, z niecierpliwością czekając na kolejny wyścig. To cholerne widowisko mogłoby się już skończyć.

Przy tym wcale nie traktowano go tutaj jak pariasa. Jego nazwisko wymieniono przez megafony razem z nazwiskami innych ważnych osobistości. Wielu widzów podchodziło do niego, żeby się przedstawić czy zamienić kilka słów. Bogaci republikanie, szukający przyjaciół i koneksji nawet w demokratycznej administracji, która rządziła Waszyngtonem. Ale oni także byli tu tylko gośćmi.

W oddali, za łąkami i pagórkami, widział zamglone szczyty Pasma Błękitnego. Jeszcze dalej rozciągały się bekresne wzgórza Wirginii Zachodniej. Sto pięćdziesiąt kilometrów na zachód od granicy stanu, w kotlinie między dwoma grzbietami gór, leżała biedna, zaniedbana górnicza osada, w której Moody dorastał — a obok mała, zabita deskami wieś, w której się urodził. Nie zaglądał w rodzinne strony od dwudziestu lat, chociaż teraz wydawały się tak blisko, że mógłby po prostu wstać i pójść tam pieszo.

Czasami chciał wrócić. Dwa razy nawet wybierał się w podróż, ale stchórzył. Głupi przesąd. Zupełnie jakby podupadłe miasteczka, od dawna nie odnawiane budynki, opustoszałe sklepy mogły go wciągnąć w otchłań biedy i brzydoty. Na zawsze.

W Wirginii Zachodniej mieszkała jego pierwsza żona, Geneva, matka May. Po rozwodzie zostawił jej tyle pieniędzy, że jak na tamtejsze standardy stała się bardzo bogata — jedna z najbogatszych w całych górach — ale mieszkała dość skromnie, wykorzystując większość majątku na potrzeby miejscowej społeczności. Czytał kiedyś raport jednej z rządowych agencji, że od 1980 roku liczba miejsc pracy w górnictwie zmniejszyła się w tamtych stronach o połowę. Za pośrednictwem Genevy pieniądze Moody'ego pomagały więc załagodzić skutki kryzysu.

Pakt o Ziemi, niczym wyrok śmierci na dawnego przyjaciela, ostatecznie zniszczy tamtejsze kopalnie — jeśli tylko Senat go ratyfikuje, a Kongres uchwali ustawy, które pozwolą rządowi wprowadzić w życie surowe przepisy o ochronie środowiska. Węgiel z Wirginii Zachodniej należał do najbardziej zanieczyszczonych w całym kraju.

Moody przerzucał strony programu wyścigów, gęsto zadrukowane reklamami samochodów, szampanów i perfum. Następna gonitwa, Puchar Dragonów, rozgrywana była na niemal pięciokilometrowej trasie. Przeszkody, wysokie na metr drewniane płoty, zeszłej jesieni stały się przyczyną śmierci jednego dżokeja i trzech koni.

Wierzchowiec Blocha, ogromny kasztan, nazywał się Marzenie Sherrie, co zawsze wywoływało niezliczone żarty na temat seksualnych preferencji żony milionera. Zdaniem Berniego jedynym prawdziwym rywalem jego konia był siwek Lynwoda Fairbrothera, Moonsugar. Dosiadał go kapitan David Showers. Moody rozejrzał się po wybiegu. Dżokeje przygotowywali się do startu. Stał wśród nich Showers, nieco wyższy od innych, ubrany w różowo-zielone barwy stajni Fairbrothera.

A może wezwać tu Showersa? Niech stanie na baczność przed rolls-royce'em Blocha i zda sprawozdanie z różnych analiz, które zlecił mu Departament Stanu w związku z Paktem o Ziemi. A potem zostanie odprawiony bez słowa podziękowania.

To chyba nie najlepszy pomysł. Wszyscy odebraliby żądanie Moody'ego jako niebywałą arogancję. Showers mógłby je nawet zlekceważyć, wystawiając swojego szefa na pośmiewisko. Dookoła kręciło się wiele osób, podobnych kapitanowi. W Waszyngtonie nie znaczyły nic, ale tutaj wszystko. Młoda kobieta, podrzędna asystentka prasowa w Smithsonian Museum, weszła dumnie do głównej łoży, zupełnie jakby była właścicielką całego Dandytown. Kiedy przechodziła obok brytyjskiego ambasadora, ten ukłonił się jej z szacunkiem. Moody przypomniał sobie nazwisko dziewczyny, przeczytane kiedyś w jednym z ekskluzywnych waszyngtońskich czasopism. Minęła także i jego, ale nie odezwała się doń ani słowem, mimo że na pewno wiedziała, kim jest, bo dyrektor muzeum przyjaźnił się z prezydentem.

Tymczasem Bloch, który widocznie poświęcił już wystarczająco dużo czasu innym gościom, opadł bezwładnie na sąsiednie krzesło. Wypił naraz niemal połowę zawartości swojej szklanki, beknął i wytarł usta grzbietem dłoni.

— Podoba ci się tutaj, Bobby? — zapytał.

— Bywałem już poza Waszyngtonem — odparł Moody, nieco rozdrażniony.

— To długa droga z Wirginii Zachodniej.

— Tam, gdzie się urodziłem, nie wiedzieliśmy, że tacy ludzie w ogóle istnieją. Poznałem ich dopiero wtedy, kiedy zacząłem studiować na uniwersytecie.

— Są w porządku. To gracze. Hazardziści.

— Republikanie.

— Być może, ale przede wszystkim gracze. Musisz się obracać wśród graczy. — Bloch podrapał się po brzuchu. — Kochają pieniądze niemal tak samo jak my.

— Ja już zarobiłem dosyć pieniędzy, Bernie.

— Kiedyś będziesz musiał się wynieść z Białego Domu.

Zawsze wyrażał się wieloznacznie. Moody gorączkowo poszukiwał w myśli innego tematu do rozmowy, kiedy z opresji wybawiła go kobieta, która podeszła do nich od tyłu i położyła rękę na ramieniu

miliardera. Obaj mężczyźni odwrócili głowy, zaskoczeni. Była to Lenore Fairbrother.

— Ty jesteś Bernie Bloch, kochanie, prawda? — zapytała z wyraźnym angielskim akcentem. — Podobno wozisz sporo flaszek dżinu w tym swoim wulgarnym samochodziku. Mógłbyś wyświadczyć przysługę i nalać mi jednego? Można umrzeć z pragnienia, zanim człowiek zdoła się przepchać przez ten cholerny tłum.

Bloch niezręcznie zerwał się z krzesła.

— Z przyjemnością, pani Fairbrother. Z prawdziwą przyjemnością. — Wziął jej szklanke i podszedł do samochodu.

— A pan kim jest? — zapytała, zwracając się do Moody'ego. Miała sporo trudności, aby skupić wzrok w jednym punkcie.

— Nazywam się Robert Moody.

— Który koń należy do pana?

— Nie mam konia. Przyjechałem tu tylko jako widz.

— Nie ma pan konia... — powtórzyła, rozglądając się po wybiegu. Właśnie siodłano wierzchowce przed następną gonitwą.

— Mieszkam w Waszyngtonie — wyjaśnił. — Jestem szefem gabinetu prezydenta.

Zabrzmiało to głupio, jakby się przed nią tłumaczył.

— Szefem gabinetu... — uśmiechnęła się. Miał wrażenie, że z niego drwi. — Ho ho ho...

Przez chwilę miał ochotę ją uderzyć. Nigdy nie zrobił czegoś takiego, w przeciwieństwie do swego ojca. Na szczęście Bloch przyniósł dżin, uwalniając Moody'ego od konieczności riposty.

Ale w uśmiechu Lenore poza drwiną kryło się także wyzwanie, a może nawet zachęta. Miała klasę. Podobała mu się. Nawet bardziej niż zeszłego wieczoru. Gdyby tylko nie była taka pijana.

— Dzięki za dżin, skarbie. Miło się z panem gadało, hmm, szefie.

Zachwiała się, zrobiła krok do tyłu, wypila łyk ze szklanki, a potem odeszła w stronę wybiegu.

Moody otarł pot z czoła i nosa.

— Do diabła — odezwał się.

— Nie daj sobie zawrócić w głowie — ostrzegł go Bloch. — Ona zawsze tak prowokuje mężczyzn.

— Na mnie to nie działa.

Miliarder zerknął na zegarek.

— Już niedługo.

Moody obserwował, jak Lenore Fairbrother wchodzi na wybieg, zręcznie omijając końskie odchody. Dżokej Blocha siedział już w siodle, a dwóch stajennych przytrzymało jego konia.

— Nie zamierzasz porozmawiać ze swoim zawodnikiem?

— Nigdy nie zbliżam się do moich koni, Bobby. Dopiero kiedy wygrają.

Teren wyścigów znajdował się u podnóża długiego wzgórza, miejsca krótkiej, ale gwałtownej potyczki kawalerii podczas wojny domowej. Konfederaci zaatakowali obóz unionistów i rozproszyli przeciwnika, który salwował się ucieczką do pobliskiego lasu. Na pamiątkę tego wydarzenia przy szosie postawiono mały pomnik.

Na wzgórzu znowu rozbito namioty, tym razem nie wojskowe, ale cywilne — schronienie przed słońcem dla bogatych widzów oraz przedstawicieli wielkich korporacji, które finansowały wyścigi. Chorągiewki i proporce falowały leniwie na wietrze. Całość przypominała miejsce średniowiecznego turnieju.

Na trawie przed różnokolorowymi namiotami stały stoliki i krzesła, ogrodzone sznurami. Tabliczki informowały: **WSTĘP TYLKO DLA ZAPROSZONYCH GOŚCI**. Robert Moody nie miał takiego zaproszenia i nie wiedział, że dostała je jego córka. Przyjechała z Kalifornii do Waszyngtonu, aby podpisać kontrakt na rolę Rozalindy w „Jak wam się podoba” Szekspira, wystawianym tej jesieni przez teatr Folgera. Jeden z głównych sponsorów przedstawienia, bankier Steven Granby, zaproponował jej spędzenie niedzieli za miastem, więc siedziała teraz między namiotami, obserwując z góry własnego ojca. Był ostatnią osobą, którą spodziewała się zobaczyć na wyścigach, wśród koni i arystokratów. Mógł pracować w biurze albo wybrać się na jakieś przyjęcie — ale nie tutaj. Zgadzała się na występy w Waszyngtonie, zdawała sobie sprawę z tego, że wcześniej czy później go spotka, ale wyobrażała to sobie inaczej: miała nadzieję, że przyjdzie z przeprosinami za kulisy, a ona będzie mogła go wpuścić albo nie... Tymczasem przyjechała dopiero dwa dni temu i już na siebie wpadli. Siedzi na dole razem z tym okropnym Bernie Blochem, przy którym najgorsi dranie w Hollywood to wszyscy święci.

Granby, całkiem przystojny mężczyzna w średnim wieku, był nieco onieśmielony, ale i dumny z towarzystwa gwiazdy filmowej. Cały czas

podrywał May i bez wątpienia chciał zaciągnąć ją do łóżka, ale szybko wybiła mu to z głowy, wymuszając obietnicę powrotu do Waszyngtonu wczesnym popołudniem.

Cieszyła się na ten dzień, ale spotkanie z ojcem zepsuło jej humor. Gdyby nie to, że nie chciała wywoływać sensacji, wyjechałaby stąd natychmiast, tłumacząc się upałem, bólem głowy albo czymkolwiek innym. Poza tym nie powinna zrażać do siebie Granby'ego... Nie rozmawiała z ojcem od trzech lat, jeśli nie liczyć krótkiej, burzliwej wymiany zdań przez telefon. Gniew minął, ale uraza i nienawiść pozostały.

Na szczęście nic nie zauważył. Spoglądał parę razy w jej stronę, ale zdołała zniknąć w tłumie. W tym zawodzie to bardzo ważna umiejętność. Nosila bardzo ciemne okulary, a na głowę założyła szyfonową chustę i kapelusz z szerokim rondem, trochę w stylu Marleny Dietrich. Granby przedstawiał swoją towarzyszkę przyjaciółom jako „pannę Moody”. Nic im to nie mówiło.

Jeśli ci ludzie mają dobry smak, na pewno nie widzieli kilku ostatnich filmów z jej udziałem; tak kiepskich, że nie nadawały się nawet do wypożyczalni wideo. Gwiazda zaledwie trzydziestoletniej aktorki powoli gasła. May nigdy zresztą nie rozumiała, dlaczego podoba się ludziom.

— Dobrze się bawisz? — zapytał Granby, kładąc dłoń na jej ramieniu.

— Wspaniale — odparła i odwróciła się do niego plecami. Zabrał rękę.

Za zwycięstwo Lynwood obiecał Showersowi siedem i pół tysiąca dolarów, dokładnie połowę nagrody. Dla Fairbrothera były to żadne pieniądze, ale dla kapitana znaczyły bardzo wiele. Rano obejrzał razem z Becky prawnuka Królowej Tashamore i teraz nie marzył o niczym innym. Poza swoją prababką pięcioletni ogier nie miał zbyt imponujących przodków, ale mimo to robił niesamowite wrażenie: potężnie zbudowany, wytrzymały i szybki. Showers mógłby wreszcie startować na własnym koniu, nie mówiąc już o tym, że odtworzyłyby linię, która przez wieki należała do jego rodziny. Okazja jest niebywała, jeśli tylko cena pozostanie niska.

Dyrektor domu aukcyjnego mówił, że nikt inny nie oglądał

ogiera —nawet Bernie Bloch, mimo że rozmawiał o tym z Vicky Clay. Showers miał na koncie kilka tysięcy dolarów. Razem z premią od Fairbrothera starczyłoby na urzeczywistnienie marzeń. Mógł nawet okazać się jedynym zainteresowanym. W porównaniu z Saratogą czy Lexington miejscowe aukcje nie cieszyły się aż taką popularnością i wiele wierzchowców sprzedawano tu za mniej niż dziesięć tysięcy.

Najważniejszy jest teraz Puchar Dragonów. Żaden koń Fairbrothera nigdy go nie zdobył. Nie udało się tego dokonać ani ojcu Showersa, ani jemu samemu. Wciąż bolało go kolano, a w głowie szumiał alkohol wypity poprzedniego wieczoru. Mimo to czuł, że da sobie radę.

Becky trzymała Moonsugar za uzdę. Sprawdził popręg. Potężny, siwy wałach Fairbrothera mógł przeskoczyć przez każdy płot na trasie w pełnym biegu. Ale był jeszcze młody i niedoświadczony. Łatwo stawał się niesforny.

— Trochę za gorąco — powiedziała — i za mało wiatru. On nie lubi takiego upału.

— Da sobie radę.

— A ty?

— Ja też.

— Za krótko spałeś.

Bez słowa wziął od niej cugle i wskoczył na siodło. To nie twoja sprawa, Becky, co stało się zeszłej nocy — albo co się nie stało.

Moonsugar poruszył się w bok. Becky ściągnęła uzdę, tak jakby chciała okiełznać nie zwierzę, lecz Showersa.

Kapitan znał tor lepiej niż ktokolwiek inny. Przejechał go wiele razy, a tego dnia rano przeszedł całą trasę pieszo. Popatrzył przed siebie. Żeby wygrać, musi szybko wyjść na prowadzenie i rozpędzić Moonsugar do pełnej prędkości. Miał tylko nadzieję, że koń wytrzyma ten morderczy wysiłek. Najtrudniejsze będą skoki przez przeszkody.

— Damy sobie radę — powtórzył.

Becky zmarszczyła brwi. Na wybiegu pojawiła się Lenore Fairbrother. W dłoni trzymała szklanę dzinu.

— Strzemiennego, mój dzielny kapitanie? — zaproponowała, podając mu drinka.

— Po biegu, Lenore — odparł Showers, nieco zmieszany.

— Doskonale, mój chłopcze. W takim razie pocałuj mnie w rękę.

Pochylił się, zdając sobie sprawę z tego, że obserwują ich setki

ludzi, włącznie z Lynwoodem. Becky patrzyła na nich tak, jakby obiecane siedem i pół tysiąca stanowiło zapłatę za zeszyły wieczór.

Moonsugar zrobił jeszcze jeden krok. Szklanka z dżinem wylądowała na ziemi.

— O cholera — zakląła Lenore.

— Na ciebie już czas — powiedział Showers. Ściągnął cugle, gotowy do drogi.

— Poczekaj. Weź to. — Podała mu wstążkę od kapelusza.

— Co mam z nią zrobić? — zapytał.

— Wsuń ją sobie za pas, mój drogi chłopcze. Będiesz o mnie myślał podczas jazdy. Do boju, dzielny rycerzu. Walcz uczciwie i wygraj.

— Czuję się, jakbyśmy żyli w średniowieczu.

— Ależ ty właśnie jesteś trochę średniowieczny.

Pokręcił głową i uśmiechnął się z pobłażaniem, wsuwając wstążkę do buta. Delikatnie ściągnął cugle, a Moonsugar ruszył w stronę linii startu. Koń i jeździec górowali nad pozostałymi zawodnikami.

— Postawiłem dziesięć patoli na Marzenie Sherrie — szepnęła Bloch do Moody'ego, kiedy wstali z krzeseł i podeszli do toru. — W ten sposób odbiję sobie część kosztów.

— Dziesięć tysięcy? Myślałem, że tutaj można się zakładać tylko o dwa dolary.

— Mam znajomego bukmachera w Baltimore.

— Nawet nie chcę o tym słyszeć, Bernie.

— Spokojnie, panie Czyste Ręce. Ciebie to nie dotyczy.

Deena stanęła między Moodym a Blochem.

— Cóż za piękny widok — powiedziała, biorąc ich obu pod rękę.

Piętnaście koni kręciło się niespokojnie na starcie niczym szwadron kawalerii przed szarżą.

Oczy Deeny błyszczały z podniecenia.

— Powinieneś nas tu częściej przywozić, Bernie. To naprawdę wspaniałe widowisko.

Moody zastanawiał się, na którego jeźdźca patrzyła. I dlaczego przytulała się do Blocha równie mocno jak do niego samego.

Dźwięk bębnow był coraz głośniejszy. Nagle urwał się: taśma startowa opadła na ziemię, a piętnaście koni ruszyło z kopyta. Wspaniały czarny rumak, zwany Inkydink, wysunął się na prowadzenie. Moonsugar nie rozpędzał się tak szybko, więc na początku zawsze trochę tracił. Co gorsza, biegnący z prawej strony wielki kasztan wepchnął go za Inkydinka. Przed pierwszą przeszkodą jeźdźcy zacieśnili szyk. Moonsugar zgrabnie przeskoczył płot, ale kapitan znalazł się w drugiej linii, bez możliwości jakiegokolwiek manewru. Jego plan brał w łeb.

Wpadli w wąski parów, a następnie wspięli się na zbocze. Moonsugar bez większego wysiłku dotrzymywał kroku prowadzącemu Inkydinkowi, ale nie mógł się do niego zbliżyć.

Naciskający z prawej kasztan potknął się na następnej przeszkodzie, co dało Showersowi trochę miejsca. Zmniejszył dystans do Inkydinka o jedną długość, ale wciąż był zablokowany. Musi ich jakoś ominąć albo wszystko zaprzępać.

Po trzecim płocie, morderczej, niemal półtorametrowej przeszkodzie, ustawionej w najtrudniejszym miejscu zakrętu, podjął decyzję: przesunął się w prawo, wyprzedzając kasztana. Stracił na ten manewr sporo czasu i prowadzące konie oddaliły się jeszcze bardziej. Ale za czwartym płotem rozciągała się otwarta przestrzeń łąki. Popuścił cugle. Moonsugar nabrał prędkości, jeden po drugim wyprzedzając konie biegnące z lewej strony. Stopniowo przesuwał się bliżej środka.

Wreszcie znalazł się na piątej pozycji. Nikt go nie blokował, nikt nie utrudniał biegu. Dookoła słychać było tylko rytmiczny, monotony tętent koni. Showers zrozumiał, że może wygrać. Do mety jeszcze daleko, a na długim dystansie Moonsugar doskonale dawał sobie radę.

Na dziewiątej przeszkodzie jeden z zawodników spadł z konia, który biegł dalej z pustym siodłem i strzemionami. Dżokej powoli wstał z ziemi, bezpieczny poza zasięgiem kopyt. Kapitan obejrzał się za nim i o mało nie przegapił następnej przeszkody.

Na szczęście Moonsugar dał sobie radę sam: łatwo wyprzedził pozbawione jeźdźca zwierzę. Trasa biegu opadała nieco w dół, skręcając najpierw w prawo, a potem w lewo, na północ. Inkydink i Marzenie Sherrie wyprzedzały trzeciego konia o kilka długości.

Zobaczyli publiczność. Tłum widzów zgromadził się po obu stronach toru. W pełnym biegu pokonali trzy kolejne przeszkody. Dalej, wzdłuż długiego, płaskiego odcinka, rozciągała się trybuna dla

VIP-ów. Showers strzelił z bata. Mieli przed sobą jeszcze jedno okrążenie, ale jeśli nie wyjdzie teraz na prowadzenie, nie zdoła wygrać.

Wśród widzów nie dostrzegł Becky, ale zauważył Lenore Fairbrother. Pozdrowiała go uniesioną ręką, stojąc na masce jaguara.

Okrzyki tłumu zagłuszyły tętent kopyt. Moonsugar zostawił z tyłu trzeciego konia, a po kilku krokach zrównał się z Marzeniem Sherrie. Zdumiony dżokej Blocha użył bata, ale było już za późno. Showers wyprzedził go o jedną długość, potem o dwie. Wszedł w zakręt tuż za Inkydinkiem, na każdej kolejnej przeszkodzie zyskując metr. Trzeci płot oba konie pokonały łeb w łeb.

Od tej chwili w wyścigu liczyło się już tylko dwóch rywali. Dżokej Inkydinka, młody chłopak nazwiskiem Jimmy Kipp, wyglądał na zaskoczonego szybkością przeciwnika. Wahał się, co robić, jakby nie wiedział, czy zdoła jeszcze coś wycisnąć ze swojego konia.

Kapitan raz jeszcze strzelił z bata. Kipp zrobił to samo, ale Moonsugar, w pełnym pędzie, wyprzedził Inkydinka o pół długości i wysunął się zdecydowanie naprzód.

Jeden za drugim pokonywali przeszkody, ciężko dysząc i twardo lądując na ziemi po kolejnym skoku. Moonsugar był już zmęczony. Wychodząc z zakrętu, zawadził o górną belkę w ostatnim płocie.

Ten cholerny upał! Sierść konia błyszczała od potu, który ściekał też strużkami z czoła Showersa, niemal zalewając mu oczy. Prawa noga znowu go rozboleła, a lewa zdrętwiała. Jestem szaleńcem, pomyślał. Porywać się na coś takiego w wieku czterdziestu lat.

Ale mimo wszystko czuł radość. Ojciec byłby z niego dumny.

Kolejny płot. Moonsugar słabł coraz bardziej, Inkydink również. Jeszcze osiemset metrów. Ból przeszywał kostkę, udo, kręgosłup. Ostatni zakręt.

Zbliżył się do lewej strony toru, zostawiając Inkydinkowi prawą wolną. Za następnym płotem rozciągał się wypełniony darnią rów, który zwolni Kippa, jeśli ten będzie próbował go pokonać na wprost, ale jeszcze bardziej, jeśli zechce ominąć przeszkodę. Czy chłopak pamiętał?

Rzeczywiście, Inkydink zachwiał się przy lądowaniu, ale kilka uderzeń batem zmusiło zwierzę do nadrobienia straty. Wciąż biegł tuż za ogonem Moonsugar.

Showers obejrzał się. Reszta przeciwników została w tyle, jedynie dżokej Blocha znajdował się niedaleko, z całych sił okładając pejcem Marzenie Sherrie.

Do mety zostały dwie przeszkody, a potem stumetrowy finisz. Tłum krzyczał coraz głośniej. Moonsugar wciąż prowadził, zziąjany, spokojny.

Na przedostatnim płocie o mało co nie skręcił nogi, ale utrzymał równowagę. Jeszcze jeden skok, a za nim już tylko gładka, zielona trawa. Ale Kipp naciskał: był coraz bliżej. Showers widział za sobą czarny łeb i wybałuszone ślepia Inkydinka.

Bliskość drugiego konia zdenerwowała Moonsugar. Kapitan próbował go uspokoić: byle przeskoczył na drugą stronę. Prawie się udało, ale w momencie odbicia od ziemi Moonsugar zrobił ruch w prawo i kopnął rywala.

Inkydink stracił równowagę i zawadził tylnymi nogami o płot. Cielsko obróciło się bezwładnie, a Kipp poleciał głową do przodu. Showers próbował utrzymać młodego dżokeja w siodle, aby uratować go przed strasliwym upadkiem.

Nie miał szans. Chłopak wysliznął mu się z ręki. Moonsugar przeskoczył przez płot, ale niespodziewane zachowanie jeźdźca wybiło ogiera z rytmu: potknął się przy lądowaniu i runął jak długi. Showers wyleciał w powietrze, koziołkując. Kątem oka zobaczył, jak Inkydink przygniata nogę Kippa. Przeraźliwy krzyk dżokeja złał się ze skowytem rannego zwierzęcia.

Showers upadł na ziemię, ale natychmiast potoczył się w bok. Musi odciągnąć rannego. Marzenie Sherrie jakimś cudem zdołał nad nimi przeskoczyć, ale kopyta reszty były coraz bliżej. Chwycił oburącz Kippa i szarpnął go z całych sił. Chłopak zawył z bólu. Jeszcze raz. Konie przebiegły tuż obok nich.

A potem zapadła cisza. Kapitan podniósł się na kolana. Kipp leżał nieruchomo, nieprzytomny. Jego prawa noga była wygięta pod nienaturalnym kątem. Ostry kawałek kości przebił skórę tuż nad butem, a krew obficie wyciekała z rany. Po drugiej stronie toru leżał Inkydink, sapiąc i krztusząc się. Moonsugar stał spokojnie koło płotu, z jedną nogą uniesioną wysoko do góry.

Showers czuł ból dosłownie wszędzie. Spuchnięta kostka zdrętwiała. Popatrzył w błękitne niebo. Jeśli jego ojciec patrzył na niego z góry, bez wątpienia śmiał się teraz albo płakał. Pewnie powiedziałby to samo, co Lynwood Fairbrother: „Ty głupcze! A mogłeś wygrać!”

May Moody z początku obserwowała incydent z przerażeniem i niedowierzaniem, ale teraz narastał w niej gniew. Jaki jest cel tej cholernej gonitwy przez drewniane płoty? Nie lepiej galopować przez pole minowe? Albo szarżować na baterię artylerii? Jeśli mężczyźni muszą udowodniać swoją odwagę w tak idiotyczny sposób, dlaczego muszą przy tym cierpieć te biedne konie?

Jeden z nich trzymał się wprawdzie na nogach, ale najwyraźniej był ranny. Drugi bezradnie wyl w agonii, próbując się podnieść. Jeden z dżokejów także leżał na ziemi, nieruchomy, groteskowo wygięty. Drugi wstał, oparł się o płot i zdjął kask, ukazując siwe włosy.

May zauważyła jeźdźca jeszcze przed startem, kiedy wsiadał na konia. Dobrze się prezentował. Teraz przeklinała go za udział w wyścigu, za wypadek i rzeź nieszczęsnych zwierząt, ale musiała przyznać, że wzbudził też jej podziw. Bez wahania zaryzykował życie, aby uratować rywala. Dobrowolnie zrezygnował ze zwycięstwa. Ze wszystkich mężczyzn, jakich знаła — kochanków, przyjaciół, kolegów, krewnych — żaden nie byłby zdolny do czegoś podobnego.

Chociaż nie, jest niesprawiedliwa. Jej ojciec uratował w Wietnamie trzech ludzi ze swojego oddziału. Dostał za to Srebrną Gwiazdę.

Na trasę gonitwy wjechała karetka, a za nią samochód terenowy z przyczepą, na której znajdowało się coś, co wyglądało na złożony namiot. Przez megafony ogłoszono nieoficjalne wyniki oraz czas zwycięzcy. Ani słowa o wypadku.

May zerwała się z miejsca, gdy tylko pierwszy koń i jeździec upadli na ziemię. Teraz zrobiła kilka kroków przed siebie i zdjęła okulary, żeby lepiej widzieć.

Pierwszy na miejsce wypadku dotarł samochód terenowy. Wysiadło z niego dwóch ludzi, ale wcale nie zainteresowali się ofiarami. Podbiegli do przyczepy i zaczęli rozkładać płachty płótna, zasłaniając wszystko przed widzami. Niewiarygodne, pomyślała aktorka. Dopiero po chwili nadjechała karetka. Sanitariusze wbiegli z noszami za parawan. Obok zatrzymało się kilka kolejnych pojazdów, wśród nich dżip z przyczepą do przewożenia koni.

— Coś nie tak, panno Moody? — zapytał Granby. — Strasznie pani zbladła. — Sam był szary na twarzy.

— Wszystko w porządku.

— Przynieść pani coś do picia?

— Drinka? Broń Boże, nie. — Nie piła od ponad roku, a to wcale nie takie proste.

Ku jej zdumieniu i przerażeniu w łoży Berniego Blocha rozległ się śmiech oraz wiwaty. Na szczęście ojciec nie wyglądał na zbyt urodzanego. Natomiast miliarder nie posiadał się ze szczęścia, podobnie jak blondynka, która była, niestety, macochą May. Obejmowała Blocha, nie zważając na to, że obok stoi jego żona. Ich koń wygrał. Resztę niech wezmą wszyscy diabli.

Przez megafon zapowiedziano — jak gdyby nic się nie stało — że do rozegrania pozostały jeszcze trzy wyścigi, a zwycięzca biegu o Puchar Dragonów będzie za chwilę udekorowany na podium.

Na tor wjechała następna przyczepa do przewożenia koni. Ranny wierzchowiec zrobił ruch, jakby chciał uciekać.

May odwróciła się do Granby'ego i dotknęła jego ramienia.

— Chciałabym już wracać — oznajmiła. Jeśli nawet pokrzyżuje plany bankiera, nie szkodzi. Sama nie mogła nazwać tego dnia udanym.

— Oczywiście — odparł uprzejmie. — Muszę się tylko z kimś pożegnać.

Spiker zaprosił do łoży sędziowskiej kilku ważniejszych gości, wymieniając ich nazwiska: słynnego pisarza powieści sensacyjnych, który kiedyś także był dżokejem; jednego z senatorów, a także ojca May.

W tym momencie padły słowa, które uderzyły w nią jak grom z jasnego nieba.

— Gościmy wśród nas nie tylko szefa gabinetu prezydenta, ale także jego piękną córkę, utalentowaną aktorkę May Moody. Mamy nadzieję, że dołączy do ojca podczas ceremonii wręczenia Pucharu Dragonów właścicielowi zwycięskiego konia, Bernardowi Blochowi, który zaszczyca nas swoją obecnością dopiero od niedawna, ale mimo to może się już pochwalić znaczącymi sukcesami.

Czuła, jak wpatrują się w nią wszyscy: znajomi Granby'ego, Bloch, ojciec, jego żona.

Nie wytrzymała. Uciekła, niemal przewracając się o linę namiotu. Mercedes bankiera stał na parkingu za ogrodzoną łąką, na której pasło się kilka koni. Kiedy dotarła na miejsce, przypomniała sobie, że samochód jest zamknięty. Granby gdzieś zniknął. Za parkingiem zobaczyła mały, drewniany budynek ze znakiem czerwonego krzyża: punkt pierwszej pomocy. Wbiegła do środka.

Człowiek w środku wyglądał stanowczo za młodo jak na lekarza.

— Coś się stało? Za chwilę przywiozą tu rannego z wypadku — powiedział.

— Po prostu mi słabo. To przez ten upał.

Po chwili namysłu mężczyzna wskazał kozetkę w rogu.

— Proszę się położyć. Zbadam panią, gdy tylko będę mógł. Zdjęła kapelusz, potem chustę. Rzeczywiście było jej słabo i niedo brze. Serce waliło jak oszałałe.

Ranny okazał się siwowłosym dżokejem. Utykał na jedną nogę, podtrzymywany przez młodą dziewczynę w jeździeckim stroju. Nikt nie zwracał uwagi na May.

Usłyszeli syrenę karetki, najpierw głośno, potem coraz ciszej.

— Zabierają Kippa prosto do szpitala — oznajmił doktor. — Pan chyba też powinien tam pojechać, kapitanie.

Dżokej potrząsnął głową.

— Nic nie jest złamane. Mogę na niej stanąć.

Lekarz obejrzał nogę.

— Nie byłbym taki pewien. Nie wygląda najlepiej. — Zawahał się. — Muszę przeciąć but.

— Czy to konieczne? To moja ulubiona para.

— Nie dam rady go zdjąć.

— Proszę spróbować. Wytrzymam.

W końcu się udało. Kostka była bardzo spuchnięta.

— To tylko zwichnięcie. Trzeba założyć bandaż.

Dżokej spojrział na dziewczynę.

— Co z Moonsugar? — zapytał.

— Przyjechało dwóch weterynarzy.

— Mam nadzieję, że nie ma wśród nich Meade'a Claya.

Doktor roześmiał się.

— Fairbrother też tam jest — dodała dziewczyna.

Jeździec zmarszczył brwi.

— To jego koń, Davidzie.

— Co mnie podkusiło, żeby to zrobić?

— Uratowałeś życie Jimmy'emu Kippowi.

Smutno pokiwał głową.

— Mam nadzieję, że Moonsugar nic się nie stanie.

— Wszyscy ją mamy.

— Idź do Fairbrothera, Becky. Powiedz mu, żeby nic nie robił z koniem, dopóki ze mną nie porozmawia. Dopóki sam go nie zobaczę.

— Dobrze, Davidzie.

— Przynies mi też koszulę i marynarkę. Myślisz, że jeszcze kiedyś wystartuję? — Rozebrał się. Błady tors kontrastował z opaloną szyją i twarzą.

— Nie mów głupstw. Na jesieni musisz zdobyć Puchar Krajowy.

Dziewczyna wyszła. Doktor zabierał się do bandażowania, kiedy kapitan spojrzał na May.

— Zajął się pan już tą młodą damą? — spytał.

— Jeszcze nie.

— Więc proszę to zrobić. Moja noga może poczekać. May potrząsnęła głową.

— Nic mi nie jest — wyjaśniła. — Po prostu musiałam się położyć.

— Na pewno?

— Tak.

Zamknęła oczy, słuchając, jak dwaj mężczyźni rozmawiają o drugim rannym. Miał otwarte złamanie, ale jego życiu nie groziło niebezpieczeństwo. Zawieziono go do odległego o kilkanaście kilometrów szpitala.

— Kipp to zawodowy dżokej, prawda? — zapytał lekarz. — Wi działem go kiedyś na pokazie.

Showers westchnął.

— Już nigdy nie wsiądzie na konia.

— Na tym świat się nie kończy.

Do środka wpadła Lenore Fairbrother. Potknęła się na progu, odzyskała równowagę i podeszła do Showersa.

— Davidzie, kochany — powiedziała, całując go w rękę. — Mój Boże, myślałam, że nie żyjesz.

— Wszystko w porządku, Lenore.

— Nie złamałeś swojej precudownej nóżki?

— Ja nie, ale Jimmy Kipp owszem. I to na dobre.

— Ten dureń i tak miał cholerne szczęście, że tam byłeś.

— Na miłość boską, Lenore! To Moonsugar spowodował wypadek. Kopnął Inkydinka. Z mojej winy.

— Bzdura.

Umilkła. W drzwiach pojawiła się Becky, niosąc ubranie Showersa. Towarzyszył jej starszy, elegancki mężczyzna w szarych spodniach, sportowej marynarce, białej koszuli, czerwonym jedwabnym krawacie i jasnym kapeluszu.

— Przykro mi, Lynwood.

Mężczyzna położył rękę na ramieniu kapitana.

— Davidzie, jestem z ciebie dumny. Postąpiłeś zgodnie z najlepszymi tradycjami Dandytown. To, co zrobiłeś, przejdzie do historii.

— Na twojej półce z nagrodami zostanie puste miejsce.

— Puchar to formalność. Zdobędziemy go w przyszłym roku. Zresztą w opinii wszystkich to ty dzisiaj wygrałeś. Wypadek na finiszu niczego nie zmienia. Bloch nie ma powodów do radości.

— Ale to jego koń dobiegł do mety pierwszy.

— Bo ty ratowałeś Kippa, Davidzie. I o to właśnie chodzi. — Fairbrother wyciągnął z kieszeni marynarki kawałek papieru, złożony na pół. Czek. — Proszę. Zgodnie z umową. Nigdy w ciebie nie wątpiłem.

— Przecież nie wygrałem.

— Proszę cię, stary. Nie wracajmy już do tego. Powiedz mi lepiej, jak się czujesz? Bardzo się potłukłeś?

— Wszystko w porządku. Co z Moonsugar?

Fairbrother zawahał się.

— Niestety, nie najlepiej. Złamał nogę. Musimy go uśpić.

— To niemożliwe.

— Musimy. Dobrze wiesz, że nie mam innego wyjścia.

— Wyjdzie z tego. Stał spokojnie. Proszę cię.

— Nie mam czasu, żeby się tym zajmować. W przyszłym tygodniu jadę do Londynu na aukcję. Zbyt dużo zachodu. Obaj weterynarze są zgodni. Nigdy już nie wystartuje.

Showers spuścił wzrok.

— Pozwól mi spróbować.

— Na twojej farmie? W twoim stanie? Tylko ty i Becky?

— Tak.

— To wałach, Davidzie. Nie nadaje się nawet do rozplodu.

— Proszę.

Lenore objęła męża i spojrzała mu w oczy.

— Kochanie, jeśli ktokolwiek może uratować Moonsugar, to tylko David. Daj mu szansę.

Fairbrother westchnął.

— To cię będzie sporo kosztować.

— Wiem.

— No dobrze, zgoda. Zawsze byłeś uparty... Dostał środek

przeciwbólowy. Weterynarze go zabiorą, ale musisz sam dopilnować nastawiania kości.

— Dziękuję. Jestem twoim dłużnikiem.

— To ja jestem twoim. — Jeszcze raz położył rękę na ramieniu Showersa. — Dobra robota.

Lenore splonęła rumieńcem. Pocałowała kapitana w policzek i szepnęła na tyle głośno, żeby wszyscy mogli usłyszeć:

— Do zobaczenia wieczorem w hotelu, skarbie. Zabawimy się. — Wyszła na dwór za mężem.

Oczy Becky świeciły się.

— Jesteś szalony.

Showers poprosił lekarza o pióro. Napisał coś na odwrocie czeku i podał go dziewczynie.

— Zawieź to do szpitala i daj Jimmy'emu Kippowi.

Spowaźniała, zaskoczona.

— Davidzie, potrzebujesz pieniądze na aukcję!

— Nigdzie nie idę. Zostanę z Moonsugar.

— Davidzie, nie żartuj sobie. Jeśli nie pójdziesz na aukcję, stracisz jedyną okazję. Królowa Tashamore ma numer 17A. Będzie licytowana tuż po dziewiątej. Musisz tam być! Przecież chciałeś ją kupić!

— Nie mam dosyć pieniędzy.

— Ależ masz! — wskazała czek.

— To dla Jimmy'ego Kippa.

— Proszę cię, Davidzie. Nie rób tego!

— Do niczego cię nie zmuszam, Becky. Sam zawiozę pieniądze Jimmy'emu. Ale nie idę na aukcję. Zostanę z Moonsugar.

Dziewczyna była bliska płaczu.

— Zrobię, co zechcesz. Ale żebyś później nie żałował.

Kiedy wyszła, Showers wstał.

— Przynajmniej to ta sama noga, w którą uderzyłem się wczoraj — zauważył, zakładając koszulę. — Zawsze mogę skakać na drugiej.

Doktor wyciągnął z szafki kule.

— Niech pan je weźmie, kapitanie. Proszę oszczędzać kostkę przez kilka dni.

Showers zapiął guziki koszuli i założył marynarkę.

— Niech to wszyscy diabli.

May usiadła na kozetce.

— Mogę panu w czymś pomóc?

Zatrzymał się, jakby w ogóle zapomniał, że tam była.

— Pomóc? Nie, dziękuję. Dam sobie radę. — Wyszedł, zapominając zabrać strój jeździecki.

Chwyciła zawiniątko i pobiegła za nim.

— Zostawił pan swoje rzeczy.

— Och, dziękuję.

— Pomogę panu je zanieść.

— Cóż, jeśli pani nalega — odparł. — Dziękuję. To niedaleko. —

Ruszył w kierunku długiego budynku stajni po drugiej stronie zagrody. — A pani czuje się dobrze?

Uśmiechnęła się.

— Tak, już lepiej. Nazywam się May Moody.

— David Spencer Showers. To pani jest tą aktorką? Powinna pani towarzyszyć ojcu.

— Nie. To nie było zasłużone zwycięstwo.

— Przykro mi za dzisiejsze widowisko.

Kapitan zafascynował May nie tyle swoją odwagą i poświęceniem, co łatwością podejmowania życiowych decyzji. Niektórzy producenci i reżyserzy w Hollywood potrafili tracić całe tygodnie na roztrząsaniu nieistotnych szczegółów. Czasami zmiana kilku słów w scenariuszu trwała wiele dni, a ten człowiek zaryzykował życie, tracąc pewne zwycięstwo, podarował znaczną sumę rannemu dżokejowi, zrezygnował z kupna konia, na którym najwyraźniej bardzo mu zależało i postanowił poświęcić czas, pieniądze oraz wysiłek dla innego konia, który i tak mógł paść — a wszystko to w przeciągu kilku minut, niemal bez wahania.

Brakowało jej słów, a nie chciała rozmawiać o błahostkach. Zerknęła na niego co chwila, dziwiąc się tylko, że on nie robi tego samego. Był o wiele młodszy, niż się wydawał na pierwszy rzut oka. Wszystko przez siwe włosy i bliznę na twarzy. Nie należał też do niskich: May miała prawie metr siedemdziesiąt wzrostu, a i tak bez przerwy musiała zadzierać głowę do góry.

Ze stajni wyszło dwóch młodych chłopców, a za nimi potężnie zbudowana kobieta, którą Showers przedstawił jako Alixe Percy. Wzięła rzeczy kapitana od May i zaczęła coś mówić o rannym koniu. Dżokej raz jeszcze podziękował aktorce, po czym wszedł do środka. Pomyślała, że mimo pozorów opanowania musiał być naprawdę przygnębiony. Dzień zapowiadał się tak przyjemnie, a skończył tak źle — i tak szybko. Szkoda.

Granby czekał przy mercedesie.

— Nie chcę jeszcze jechać do Waszyngtonu — oznajmiła. — Czy możemy pójść na wieczorną aukcję koni?

Bankier zdziwił się, ale bynajmniej nie ucieszył.

— Jak pani sobie życzy, panno Moody.

Bloch wrócił razem z przyjaciółmi do rolls-royce'a, serwując im ostatnie drinki. Do rozegrania pozostały jeszcze trzy gonitwy, ale dla niego wyścigi się skończyły. Można wrócić do wygodnego hotelu. Moody zdawał sobie sprawę z tego, że podobne zachowanie nie zostanie zbyt życzliwie przyjęte przez miejscowych, ale sam też nie miał ochoty zostać dłużej. Dawno nie widziana córka, która uciekła — na oczach wszystkich — gdy tylko spostrzegła ojca, wyprowadziła go z równowagi.

Teraz musiał zadzwonić. Wprawdzie Bloch planował na wieczór wielkie przyjęcie, ale Moody sądził, że jakoś uda mu się wymknąć do Waszyngtonu. Miał już dość tego miejsca i tych ludzi.

— Idziesz szukać córeczki? — zapytała Deena.

— Nie.

— Nie postąpiła zbyt ładnie, uciekając przed tobą.

— To wpływ jej matki.

— Co ona robi w Waszyngtonie?

— To duże miasto, skarbie.

— Zepsuje nam całe lato.

— Przestań.

— Czyż kapitan Showers nie postąpił wspaniale? — wtrąciła się Sherrie Bloch.

— Gdyby mój dżokej wywinął taki numer, wyrzuciłbym go na zbity pysk — powiedział Bernie, zamykając bagażnik.

— Powinieneś posłać mu butelkę szampana. Gdyby nie on, nigdy byś nie wygrał.

— Zamknij się, Sherrie.

Tymczasem wśród widzów zapanowało poruszenie. Ludzie odwracali się do siebie i z przejęciem o czymś rozmawiali. Wiadomość roznosiła się szybko. Moody dostrzegł Lenore Fairbrother. Uważnie wysłuchiwała tego, co miał do powiedzenia jej sąsiad, a potem wybuchnęła nieopanowanym śmiechem, patrząc w kierunku Blocha.

— Co się stało, do diabła? — zaniepokoił się miliarder.

— Pójdę i zapytam — zaproponował Moody. Dogonił Lenore. — Bardzo przepraszam, pani Fairbrother, ale czy coś się wydarzyło?

— Śmierć, mój drogi chłopcze. — Położyła rękę na jego ramieniu. — Vicky Clay, zdaje się trenerka pańskiego przyjaciela? Ona i jej mąż zabili się nawzajem. W łóżku! Biedny Bloch. Wygrał wyścig, ale będzie musiał sobie poszukać nowej panienki!

Znowu zaczęła się śmiać.

Zastępca prokuratora okręgowego, Wayne Bensinger, ciemnowłosy okularnik o pociągłej twarzy i z małym wąsikiem, ubrany w za duży, tani garnitur, dopiero niedawno skończył prawo. Najpoważniejszym przestępstwem, z jakim miał dotąd do czynienia w swojej karierze, był napad z bronią w rękę na supermarket. Broń przestępcy wypaliła przypadkowo, rozbijając lampę na suficie, a odłamki szkła zraniły sprzedawcę. Sprawca napadu, dziesiętnastoletni chłopak, dotychczas nie karany, został skazany na osiem lat. Tak, sądy w Wirginii potrafią ferować naprawdę surowe wyroki. Bensinger, który miał żonę i małą córeczkę, zastanawiał się tylko, co się stanie z chłopakiem w więzieniu stanowym albo potem, kiedy wyjdzie na wolność.

Ostatnie morderstwo w hrabstwie Banastre wydarzyło się wiele lat wcześniej. Miejscowy trener koni, który sypiał z żoną bogatego farmera, zabił nieszczęśnika w jego własnej sypialni. Farmer nakrył żonę z kochankiem *in flagranti* i zszedł na dół po broń. Kiedy wrócił, trener uderzył go butem w głowę, zabrał pistolet, i strzelił dwa razy. W przeciwieństwie do ofiary sprawca cieszył się w okolicy dużą popularnością, szczególnie wśród kobiet. Został skazany jedynie na trzy miesiące za bezprawne użycie broni. Zarzut morderstwa oddalono.

Sędzia zarzucił wtedy miejscowemu szeryfowi niestaranne wywiązywanie się z obowiązków: zgubiono jeden z dowodów — but, zatarto odciski palców na broni oraz nie uzyskano zeznania pod przysięgą od żony farmera, jedynego świadka morderstwa.

Owczesny szeryf, Richard Cooke, wciąż sprawował swój urząd. Przyjechał do zajazdu ponad godzinę po odnalezieniu ciał Clayów. Chociaż przypuszczał — tak jak wszyscy — że przyczyną śmierci były narkotyki i alkohol, tym razem nie zamierzał niczego przeoczyć. Wezwał techników z policji stanowej, a zanim przyjechali, co potrwało

kolejne dwie godziny, kazał swoim zastępcom sfotografować ciała, zawartość torby Meade'a, pokój, korytarz, zamek w drzwiach, a nawet widok z okna — aby móc udowodnić, że nikt nie wszedł tamtędy do środka.

Potem zaczęło się zbieranie zeznań. Cooke zaanektował do tego celu biuro kierownika hotelu. Sporządził długą listę pracowników i gości, a także tych wszystkich, którzy byli w zajeździe poprzedniego wieczoru.

Na pierwszy ogień poszedł personel. Wszystko trwało straszliwie długo: najpierw zabrakło czystych kaset, aby nagrywać zeznania, potem trzeba było dokupić baterie do magnetofonu. Ale szeryf nie dawał za wygraną. Wszyscy zostaną przesłuchani: mogą poruszać się po hotelu, wrócić do swoich pokoi, korzystać z baru i restauracji, ale nikomu nie wolno opuścić budynku bez złożenia zeznań.

Bensinger uczestniczył w przesłuchaniach, czasem robiąc notatki, czasem bezmyślnie rysując koła na kartce papieru. Wcale nie był pewien, czy Cooke postępuje zgodnie z procedurą ani czy to wszystko w ogóle jest potrzebne. Dowiedzieli się sporo o nałogach i życiu seksualnym Vicky Clay, ale przyczyna i okoliczności jej śmierci pozostawały nie wyjaśnione. Wieczór spędziła w barze, kłócąc się z mężem, kręcąc się dookoła innych mężczyzn, a przede wszystkim pijąc. Ostatni raz widziano ją tuż po dziewiątej. Zeznania pokrywały się ze sobą, z wyjątkiem kilku kwestii.

Moody także był w hotelu. Poszedł prosto do pokoju, aby wziąć prysznic i się przebrać, a potem zadzwonić do kilku osób. Jeśli Sorenson się wahał, to inni tym bardziej. Niespodziewany telefon w środku niedzieli trochę ich wzmocni: niech wiedzą, że Biały Dom dociera zawsze i wszędzie, aby przypomnieć o zobowiązaniach. Prezydent Bush sam załatwiał podobne sprawy, ale obecny szef Moody'ego nigdy by się do tego nie zniżył. Przypominał trochę Woodrowa Wilsona. Ale Wilson zależał od pułkownika House'a w stopniu, o którym Moody mógł tylko marzyć.

Doprowadzi do końca ten przekłęty Pakt o Ziemi czy co tam wymyśli prezydent. Obiecał sobie, że odniesie sukces, tak jak zawsze do tej pory: został gubernatorem, milionerem i mężem Deeny Atkinson. Najtrudniej chyba przyszło mu dopiąć tego ostatniego.

Obdzwonił dwunastu senatorów: dziewięciu demokratów i trzech umiarkowanych republikanów. Wszyscy się wahali. Niektórzy wysuwali nowe żądania. Paru niemal zmieniło zdanie na temat paktu.

Sprawdził też rozwój wydarzeń w Ameryce Środkowej. Nie było nowych aresztowań ani ofiar, ale rząd Meksyku wysłał na południową granicę wojsko, w każdej chwili gotowe wkroczyć do Belize lub Gwatemali.

Moody rozkazał wystosować stanowczą notę do ambasady meksykańskiej w imieniu prezydenta, ale podpisaną przez niego samego.

Kiedy wszystko załatwił, odprężył się. Deena zeszła już wcześniej na dół. Znalazł ją w barze, razem z Berniem i Sherrie. Bloch sączył martini. Był wściekły.

— Te przekłete kapuściane łby chcą nas tu trzymać, dopóki nie złożymy zeznań w sprawie śmierci Vicky — powiedział. — A ja muszę pojechać na aukcję.

— Bernie zabiera nas na kolację do Wintergreen — obwieściła Deena.

— To najlepsza restauracja w całej Wirginii.

— Najpierw muszę kupić konia — odparł Bloch. — Ma niski numer, więc uporam się z tym raz dwa. Ale ci dranie nie chcą mnie wypuścić.

— Chyba nie mają prawa — zauważył Moody. — Wiedzą, kim jesteś?

— Oczywiście. Ale nic ich to nie obchodzi. Nawet Lynwood Fairbrother musiał zostać. Nie zaprotestował nawet słowem, a mógłby roznieść ich na strzępy.

— Dlaczego po prostu nie wstaniesz i nie wyjdiesz?

— Próbowałem. Z przodu, z tyłu: nie da rady. Dupki pilnują wszystkich drzwi. Nie chcę kłopotów w Wirginii. Chcę tylko, żeby mnie zrozumiano. Nie wiem, co się stało z tą cholerną ćpunką. Muszę pojechać na aukcję i kupić ogiera.

— Nie możesz zadzwonić i wstrzymać sprzedaży?

— Próbowałem. Nie robią tego dla kupca. Jedyne sprzedający może wycofać konia z aukcji.

— Zadzwoń do sprzedającego.

— Mieszka w New Jersey. Dom aukcyjny występuje tylko w jego imieniu. Nie chcą ze mną rozmawiać.

— Tak czy inaczej szeryf postępuje bezprawnie. Jeśli chce twoich zeznań, musi cię oficjalnie wezwać na świadka. Nie wolno zatrzymywać nikogo poza podejrzanym.

— Może nim jestem — odparł Bloch. — Może wszyscy jesteśmy. Cholera!

— Zajmę się tym — zaproponował Moody.

Wpadł z impetem do biura kierownika hotelu. Cooke, jego zastępca oraz młody chłopak w garniturze i okularach przesłuchiwali gońca. Szeryf odezwał się gniewnie:

— Musi pan zaczekać na swoją kolej. Przesłuchamy pana tak szybko, jak tylko to możliwe.

— Wie pan, kim jestem? — zapytał Moody.

— Oczywiście. Byłem gubernatorem stanu Maryland. Ale tak się składa, że jesteśmy teraz w Wirginii. Popelniono morderstwo i mamy dwie ofiary.

Moody oparł się o biurko i spojrzał szeryfowi prosto w oczy.

— Jestem szefem gabinetu prezydenta Stanów Zjednoczonych i podlegają mi wszystkie tajne służby w tym kraju. W związku z kilkoma ważnymi sprawami, między innymi kryzysem w Ameryce Łacińskiej, wracam do Waszyngtonu. Jeśli ktokolwiek spróbuje mnie zatrzymać, gorzko pan tego pożałuje. Co więcej, jestem też prawnikiem. Nie wolno panu przetrzymywać nikogo spośród obecnych w hotelu, chyba że ma pan wystarczające dowody, aby kogoś aresztować.

— Wszyscy będą wolni, gdy tylko złożą zeznania. Każdy, kto spróbuje wyjść stąd wcześniej, będzie traktowany jako podejrzany albo zostanie zatrzymany za utrudnianie śledztwa.

— Nie ma pan prawa.

— Mam. Porozumiałem się z sędzią Merrickiem.

— Ja wyjeżdżam. Jeśli chce mnie pan przesłuchać, oto adres mojego biura: 1600 Pennsylvania Avenue, Waszyngton, Dystrykt Kolumbia. I lepiej niech się pan postara o oficjalne wezwanie.

Szeryf wstał.

— W porządku, może pan iść. Nie powinniśmy ingerować w sprawy państwowe.

— Zabieram ze sobą żonę i przyjaciół, państwa Blochów.

Cooke zawahał się. Spojrzał na Bensingera.

— To pan prowadzi śledztwo — odparł zastępca prokuratora okręgowego, nieco zakłopotany. — Ja się tylko przyglądam.

— Przykro mi, ale oni muszą zostać — zdecydował szeryf. — Pańska żona rozmawiała zeszłego wieczoru z Vicky Clay w damskiej toalecie, a pan Bloch przed drzwiami swojego pokoju. Chcemy zadać im kilka pytań.

— Więc proszę ich wezwać i zrobić to zaraz!

Szeryf nie ustępował.

— Muszą zaczekać na swoją kolej. Najpierw porozmawiam z panem Fairbrotherem. I tak długo już czeka.

Moody nabrał głęboko powietrza. Już dawno nikt go tak nie wyprowadził z równowagi. W samochodzie czekało dwóch agentów. Czasami korzystał z ich usług...

Ale prezydentowi nie spodoba się skandal, szczególnie jeśli w grę wchodziło morderstwo i funkcjonariusz policji, nawet najniższego szczebla.

— Będziecie tego gorzko żalowali — rzucił na koniec i wyszedł z gabinetu.

— Zostanie pan wezwany na przesłuchanie — odparł niewzruszony Cooke.

Bernie czekał w napięciu.

— Przykro mi — oznajmił Moody, patrząc na Deenę. — Mogę jechać, bo mam coś do załatwienia w Białym Domu, ale wy musicie zostać. Może zjemy kolację tutaj?

— Do diabła z kolacją! — odparł Bloch. — Muszę kupić tego konia!

— Nie wystarczy ci Marzenie Sherrie? — zapytała jego żona. — Przecież wygrał wyścig.

— Zamknij się.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, popijając drinki, równie wściekli co pozostali goście. Wreszcie Bloch odezwał się:

— Słuchaj, Bobby, możesz jechać, tak?

— Tak. Mogę i muszę. Wieczorem powinienem być w Białym Domu.

Miliarder wyciągnął książeczkę czekową i zaczął coś pisać.

— Chciałbym, żebyś wyświadczył mi przysługę. Pojedź za mnie na aukcję. To nie zajmie zbyt wiele czasu.

Moody pomyślał, że obaj sobie sporo zawdzięczają, ale on jemu chyba więcej. Gdyby nie Bernie, wciąż byłby skromnym adwokatem w Cumberland.

— Nie znam się na koniach.

Bloch podpisał czek i wyrwał go z książeczki.

— Wszystko przygotowałem. Wpiszesz tylko sumę. Koń ma numer 17A. Wystawiają je kolejno. Pamiętaj: 17A, nie 17. To chyba duży gniadosz. Dość ciemny.

— Nigdy go nie widziałeś?

— Wiem o nim wszystko. Nie muszę go oglądać.

Moody zdziwił się, ale nie oczekiwał wyjaśnień. Wziął czek, złożył go na pół i wsunął do portfela.

— Ile mogę wydać?

— Tyle, ile trzeba. Cena nie powinna przekroczyć dziesięciu tysięcy. Tutejsi kupcy są zainteresowani przede wszystkim rodowodem, a ten nie ma zbyt imponującego.

— Dlaczego tak bardzo chcesz mieć właśnie tego konia? — spytał Moody.

Bloch wyszczerzył zęby.

— Mam swoje powody. To szczególnie rumak... A teraz posłuchaj: mimo że będziesz właścicielem konia, nie musisz się o niego troszczyć po licytacji: wyślę tam Billy'ego Bonninga z przyczepą.

— Będę właścicielem? Mam się podpisać w twoim imieniu?

— Tak. Nieważne. To czysta formalność. Ważne, żebyś go kupił.

— A jeśli wydam za dużo?

— Daj spokój, Bobby. Mam dość pieniędzy, wierz mi.

Kierowca i ochroniarz czekali w samochodzie zaparkowanym przed samym wejściem do hotelu. Nie mogli się już doczekać powrotu do stolicy. Walizka powędrowała do bagażnika, a Moody usiadł z tyłu.

— Jedziemy na aukcję koni — oznajmił.

— Nie do Waszyngtonu, szefie?

— Przecież mówię wyraźnie.

— A pańska żona?

— Gdyby miała z nami jechać, już by tu była.

Czarna limuzyna ruszyła. Kilku ludzi szeryfa stało na podjeździe. Jeden z nich odsunął się na bok i zasalutował z szacunkiem.

Bloch wytłumaczył Moody'emu, dokąd ma jechać. Aukcja odbywała się niedaleko, na drugim końcu miasteczka.

Kiedy skręcali na parking, w samochodzie zabrzączał telefon. Ochroniarz podniósł słuchawkę, a po chwili oddał ją Moody'emu.

— Biały Dom, sir.

Dzwonił oficer dyżurny Rady Bezpieczeństwa Państwowego.

— W Belize znowu gorąco, sir — powiedział. — Nasi obywatele mają kłopoty.

— Strzelanina?

— Tak jest. Zginął jeden Amerykanin.

Moody zasłonił słuchawkę ręką i krzyknął do kierowcy:

— Zatrzymaj się!

Do budynku właśnie wprowadzano konie.

— Czy szef Połączonych Sztabów został poinformowany?

— Generał StAngelo właśnie do niego dzwoni, sir.

Moody nie zastanawiał się długo.

— Proszę mu przekazać, że już jadę. Dotrę do biura za godzinę.

Kierowca zawrócił, trąbiąc na inne samochody.

— Najświeższy raport będzie leżał na pańskim biurku, sir.

— Niech generał StAngelo poczeka na mnie. Jeszcze jedno. Proszę zadzwonić do mojej żony do zajazdu w Dandytown i powiedzieć jej, że musiałem nagle wracać do Waszyngtonu. Zadzwonię do niej, gdy tylko będę mógł.

— Tak jest, sir.

— Proszę też powtórzyć, że nie mogę czekać na konia.

— Nie rozumiem, sir.

— Ona zrozumie.

Mógł sam zadzwonić do Deeny, ale nie chciał słuchać jej marudzenia. I nie miał czasu na jakieś podejrzone interesy Berniego.

— To wszystko. Dziękuję. — Odwiesił słuchawkę i rozparł się wygodnie na siedzeniu. Kiedy wreszcie wjechali na autostradę i ruszyli na wschód, kierowca zerknął przez ramię:

— Nie dam rady w godzinę, szefie.

— Postaraj się.

Granby poczuł się chyba trochę urażony, gdy May nie chciała mu wyjaśnić, dlaczego nagle postanowiła wybrać się na aukcję, ale zadbał o dobre miejsce z przodu sali i przyniósł katalog.

Zauważyła, że przygląda się jej kilka osób — pewnie dlatego, że była nową twarzą. Odniosła wrażenie, że niemal wszyscy dobrze się znali.

Przypomniała sobie numer konia, na którym tak bardzo zależało kapitanowi Showersowi: 17 A. Znalazła go dopiero w naprędcie przygotowanym aneksie, dołączonym do katalogu.

Bywała już na aukcjach dzieł sztuki, ale nie знаła tutejszych

zwyczajów. Okazało się, że aby podbić cenę, wystarczy podnieść rękę. Niektórzy ograniczali się do skinięcia głową.

Katalog zawierał rozmaite informacje, począwszy od numeru boksu w stajni oraz nazwy sprzedawcy: Tampico Enterprises Limited, Newark, stan New Jersey. Dalej znajdowały się słowa „gniady wałach” i data urodzenia zwierzęcia, a pod spodem diagram wymieniający przodków konia aż do trzeciego pokolenia, ich zwycięstwa w biegach oraz nagrody w pokazach. W przypadku niektórych koni wyglądało to imponująco, ale w porównaniu z nimi 17A prezentował się całkiem skromnie.

Na pierwszych stronach znalazła szczegółowe przepisy dotyczące aukcji. Niektóre z nich nie brzmiały zbyt zachęcająco:

„Licytator i sprzedający nie gwarantują późniejszej możliwości odsprzedaży koni za cenę równą cenie zakupu ani ich zdolności do udziału w wyścigach, nie ponoszą również odpowiedzialności za wszelkie cechy i wady zwierzęcia nie znane w momencie zawierania transakcji, z wyjątkiem następujących...

Wszelkie spory pomiędzy dwoma lub więcej kupującymi rozstrzyga licytator, a jego decyzja jest nieodwozalna, ostateczna i wiążąca wszystkie zainteresowane strony...

Prawo własności, jak również pełne ryzyko związane z każdą możliwą szkodą, jakiej może doznać koń, przechodzi na kupującego z uderzeniem młotka. Koń pozostaje w stajni do momentu spełnienia przez kupującego następujących wymogów...

Wszelkie spory wynikające z punktów ósmego, dziewiątego i jedenastego podlegają arbitrażowi między kupującymi a właścicielem stajni..."

May odłożyła katalog i wzięła głęboki wdech. Miała dosyć pieniędzy, żeby to zrobić: właśnie sprzedała dom w Malibu Canyon za dwa i pół miliona dolarów. Wprawdzie nie zrobiła wymarzonej kariery, ale na pewno nie należała do biednych. Dziesięć czy dwadzieścia tysięcy nie miało znaczenia. Niektórzy spośród jej znajomych w Beverly Hills potrafili wydać więcej na zakupy w ciągu jednego popołudnia.

Za parę lat wszystko może się zmienić. Może wtedy będzie potrzebować każdego centa. Producenci nie mieli o niej zbyt dobrego zdania, uważali ją za nieodpowiedzialną wariatkę. Szczerze mówiąc, sama jest sobie winna... Teraz musi udowodnić, że to nieprawda. Dlatego przyjechała do Waszyngtonu, narażając się na spotkanie z ojcem. Zespół teatru Folgera należał do najlepszych w kraju, chociaż aktorzy zarabiali tu zaledwie nieco ponad sześćset dolarów tygodniowo. Jeśli potrafi się dostosować do reżimu ich pracy, jeśli zyska pochlebne recenzje, hollywoodzcy decydenci znowu zaczną ją zauważać... Nie będzie już musiała grywać w trzeciorzędnych filmikach, żeby tylko utrzymać się na powierzchni.

Licytacja przebiegała bardzo sprawnie. Jeden z koni miał cenę wywoławczą tysiąc dolarów i po chwili został za tyle sprzedany. Kilka sztuk poszło po trzydzieści tysięcy, a nawet więcej. May trochę się przeraziła, kiedy najdroższy rumak zmienił właściciela za sto dwadzieścia osiem tysięcy, ale postanowiła, że tym razem będzie konsekwentna. Zbyt często składała sobie obietnice, których nie dotrzymywała.

Granby trącił ją delikatnie.

— Pani koń, panno Moody. Wywołali jego numer.

Zerknęła do katalogu, a potem na scenę. Zwierzę kręciło się niespokojnie, ale wyglądało nieźle. Białe skarpetki na obu przednich i jednej tylnej nodze kontrastowały z ciemną maścią.

Licytator wymieniał przodków konia, mówiąc coś o „krwi zwycięzców”, ale na nikim spośród obecnych nie zrobiło to chyba zbyt wielkiego wrażenia.

— Piękna sztuka — szepnął bankier — ale trochę narowista.

Cena wywoławcza wynosiła dziesięć tysięcy. Umiarkowanie dużo. May podniosła rękę. Licytator zauważył ją dopiero po chwili.

— Dziesięć tysięcy dolarów po raz pierwszy! — zawołał. — Czy ktoś da jedenaście? Dziesięć tysięcy pięćset? Dziesięć tysięcy sto?

Nagle koń zarżał i stanął na tylnych łapach, niemal wyrrywając uzdę z rąk stajennego. Licytator opuścił młotek.

— Sprzedany! Za dziesięć tysięcy dolarów.

Z pomocą Granby'ego, który jako bankier był obeznany z różnymi procedurami prawnymi, May udało się przebrnąć przez gąszcz formalności. Podpisała kilka dokumentów, a w zamian dostała

ich jeszcze więcej — dowód własności, zaświadczenie od weterynarza i kilka innych, których znaczenia nie rozumiała. Doliczając rozmaite opłaty manipulacyjne, zapłaciła łącznie dziesięć tysięcy czterysta pięćdziesiąt osiem dolarów.

Potem poszli do stajni. Czekali dosyć długo, aż wreszcie wyprowadzono konia, który z bliska wydał się ogromny. Kiedy stajenny jak gdyby nigdy nic podał May uzdę, zbierając się do odejścia, zrozumiała, że znowu popełniła głupstwo.

— Przepraszam — zapytała — ale czy mogą go państwo do starczyć?

Chłopak zatrzymał się.

— Dostarczyć?

— Tak. Wysłać do kogoś.

— Nie robimy tego, proszę pani. My tylko je sprzedajemy.

— Ale ja nie mam przyczepy.

Granby wtrącił się, zakłopotany:

— Czy można go tutaj zostawić, dopóki nie zorganizujemy transportu?

— Czasami można. Muszę spytać szefa.

— Nawet nie wiem, gdzie jest jego farma — powiedziała May, kiedy stajenny odszedł. — Jakoś dotąd o tym nie pomyślałam.

— Czyja farma? — zdziwił się bankier. — Nie rozumiem.

— Kapitana Showersa. Dżokeja, którego poznałam dziś po południu. Kupiłam tego konia dla niego.

Zagryzła wargi. Przez chwilę chciała po prostu zostawić konia i uciec. Kiedyś May Moody właśnie tak by zrobiła.

Podszedł do nich inny młody człowiek, w dzinsach, kowbojskich butach, podkoszulku i z papierosem w ustach. Miał jasne włosy i był bardzo przystojny.

— Pan Moody? — spytał Granby'ego.

— Nie, to ja — odparła May.

— Przecież miał być mężczyzna.

— Na pewno nim nie jestem.

— Jasne, że nie. — Chłopak przyjrzał się aktorce. — No dobra, przyszedłem po konia.

— Pracuje pan w tej stajni?

— W stajni? Nie, nazywam się Billy Bonning. Pracuję dla Berniego Blocha. Mam zabrać konia. Tam stoi moja przyczepa.

W pierwszej chwili May pomyślała, że na szczęście uniknie kłopotliwej sytuacji, ale kiedy usłyszała nazwisko Blocha, zrobiła się czujna. Przecież nie wiedział, że pojechała na aukcję.

— To jakieś nieporozumienie. To mój koń.

Chłopak rzucił papierosa na trawę.

— Pani nazywa się Moody. Właśnie kupiła pani konia. To numer 17A, zgadza się?

— Tak, ale...

— Naprawdę nie mam czasu. — Chwycił uzdę.

— Proszę przestać! To mój koń!

Billy ciągnął dalej. Gnidosz niespokojnie kręcił głową, jakby wyczuwając napięcie.

— Słyszał pan? — wtrącił się bankier.

— Odpieprz się, stary.

— Niech cię wszyscy diabli, Billy Bonning! Jeszcze jeden krok, a pożalujesz! — zagrzmiała kobieta w jeździeckim stroju, która wyszła zza stajni. Kiedy znalazła się w kręgu światła, May rozpoznała Alixe Percy.

— Niech się pani nie wtrąca, pani Percy — powiedział Bonning, zagradzając jej drogę. — Robię tylko to, co do mnie należy.

— Kradnąc tego konia? Co ty sobie myślisz, do diabła? Widziałam, jak panna Moody go kupiła. Nikt inny nie był nim zainteresowany.

Chłopak nieco stracił rezon.

— Bernie Bloch kazał mi go odebrać.

Alix, która była równie potężna w ramionach, jak w biodrach, bez wahania odebrała Billy'emu uzdę.

— Nie wiem, o co chodzi temu przekłętemu Blochowi, mój chłopcze, ale to nie jego koń. Niech szuka szczęścia gdzie indziej. Na miłość boską, twoja siostra nie żyje! Lepiej byś zrobił, zajmując się jej pogrzebem, a nie wtrącał się w cudze sprawy!

— To pani się wtrąca w cudze sprawy, pani Percy.

— Masz minutę, żeby się stąd wynieść. Jeśli tego nie zrobisz, zawołam zastępcę szeryfa i każę cię aresztować za usiłowanie kradzieży konia. Mówię ci, zajmij się lepiej swoją siostrą. I nie waz się więcej naprzykrzać pannie Moody.

— Do diabła z wami wszystkimi! — zawołał Billy i zawrócił do samochodu. — Pieprzone sukinsyny!

May zadrżała. Bonning naprawdę ją przestraszył, chociaż nie

bardzo wiedziała dlaczego. Alixe uspokoiła konia, a potem uśmiechnęła się do May.

— Proszę się nie przejmować — powiedziała. — Musiała zajść jakaś pomyłka. To głupek. Nic nie warty śmieć.

Podeszła bliżej, ciągnąc za sobą zwierzę. Granby stał z boku, wyraźnie zniecierpliwiony.

— David opowiadał mi o pani, panno Moody — dodała Alixe.

— Tak?

— Czy wie pani, że chciał kupić tego konia? To znaczy, gdyby nie oddał nagrody Jimmy'emu Kippowi.

— Tak, słyszałam. Dlatego go kupiłam. Chcę zrobić prezent kapitanowi, ale tak, aby nie wiedział, że to ode mnie. Wiem, że to szalony pomysł. Prawie się nie znamy. Ale chcę mu jakoś wynagrodzić wszystko, co zrobił podczas wyścigu.

— Jak pani sama zauważyła, prawie pani nie zna Davida. Jestem jego najbliższą sąsiadką i przyjaciółką. Gdybym sądziła, że zgodzi się na podobny prezent, sama bym mu kupiła tego konia. Ale on nie przyjmuje jałmużny. Spłacił wszystkie długi ojca, nie pożyczając nawet centa.

— Nie chodzi o jałmużnę. To był odruch. — Aktorka spojrzała na konia, bliska płaczu. — Nie wiem, co teraz robić. Nawet nie mam gdzie go trzymać...

Alixę przyglądała się przez chwilę May, a potem skinęła głową.

— W porządku. Zajmę się tym.

— Koń jest dla kapitana Showersa.

— Oczywiście. Ale musimy uciec się do podstępu. Jeśli najpierw kupię go od pani, potem pójdzie dużo łatwiej.

May zawahała się.

— Nie chcę, żeby pani płaciła.

— Rozumiem. Prezent. Ale darowizna konia, szczególnie konia z takim rodowodem, może okazać się całkiem kłopotliwa. Zapłacę pani, powiedzmy, tysiąc. Trzeba tylko znaleźć notariusza.

— Ja jestem notariuszem — wtrącił się Granby.

May zastanawiała się, czy może im zaufać. W Los Angeles nigdy by nie zrobiła czegoś takiego.

— To za duża suma — zaprotestowała. — Zgodzę się na sto.

Alixę Percy pokręciła głową.

— Za mało. Będzie wyglądać podejrzenie. Już lepiej tysiąc, chociaż

muszę przyznać, nawet dziesięć to niezbyt duża suma jak na takiego konia. Dziwne, że kupiła go pani tak tanio.

— Zgoda — odparła zniecierpliwiona May. — Tysiąc. Proszę mnie tylko powiadomić, kiedy uda się pani coś załatwić.

— Oczywiście. Przyjedzie pani na pierwszy wyścig, w którym będzie startować. — Alixe poklepała konia po szyi, a potem wyciągnęła z kieszeni kurtki jakieś papiery, papierosy, kilka rachunków, wreszcie książeczkę czekową.

— To bardzo miłe z pani strony.

— Każdy, kto chce coś zrobić dla Davida Showersa, jest moim przyjacielem.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Kiedy Moody dotarł do Waszyngtonu, spotkał się z generałem St. Angelo, doradcą prezydenta do spraw bezpieczeństwa narodowego, który naprędce zorganizował sztab kryzysowy, złożony z oficerów dyżurujących tego dnia w Pentagonie oraz kilku urzędników z Departamentu Stanu i kwatery głównej CIA w Langley. Była wśród nich tylko jedna kobieta, hiszpańskojęzyczny ekspert z sekcji do spraw Ameryki Łacińskiej Rady Bezpieczeństwa Państwa. Mężczyźni — bez marynarek, z rozluźnionymi krawatami i podwinionymi rękawami koszul — wyglądali na zmęczonych. Wszystko razem przypominało raczej sztab jakiejś partii tuż przed wyborami niż centrum dowodzenia najpotężniejszej armii świata.

Na stole konferencyjnym leżały mapy, raporty wywiadowcze i dyplomatyczne oraz notatniki, zapisane w pośpiechu. Między papierami, niczym pionki na szachownicy, stały kubki z kawą. Nie używano komputerów: bezpieczeństwo państwa nie może zależeć od maszyn, przynajmniej nie w takim stopniu jak w Pentagonie. Generał St. Angelo wolał myśleć i wyciągać wnioski niż analizować wydruki. Na swoim stanowisku sprawdzał się doskonale.

— Co nowego? — zapytał Moody, siadając obok niego na krześle.

— Meksykanie protestują, gdzie się da. Przesunęli kilka zmechanizowanych jednostek rozpoznawczych nad granicę, niedaleko Ciudad Chetumal. Postawili w stan gotowości miejscową bazę lotnictwa. Brytyjczycy zrobili to samo ze swoimi oddziałami w Belize i wysłali ostro sformułowaną notę do Gwatemali. Poza tym nic się nie zmieniło. Sytuacja jest stabilna, ale potencjalnie niebezpieczna.

St. Angelo ukończył West Point, a potem walczył w Wietnamie,

gdzie został odznaczony za odwagę. Ten fakt łączył wszystkich kombatantów bardziej niż cokolwiek innego.

Moody skinął głową. Wziął do ręki najświeższy raport z Belize.

— Amerykanin, który został zastrzelony, zginął przypadkiem. Trafił prosto na uliczną strzelaninę — poinformował jeden ze współpracowników St. Angelo. — Ciało jest w ambasadzie. Zostało zidentyfikowane. To misjonarz.

— Katolik? — zainteresował się Moody, wciąż czytając raport. W Ameryce Środkowej najczęściej oznaczało to liberała albo wręcz lewicowca. I poważne kłopoty, tak jak w przypadku tamtych zakonnic zamordowanych w Salwadorze...

— Protestant. Zielonoświątkowiec czy coś w tym rodzaju.

— Prezydent wie o wszystkim?

— Owszem — westchnął generał. — Ale nie był zbyt zainteresowany.

— Tak czy inaczej musi przynajmniej przeczytać nasz raport, i to jeszcze przed jutrzejszą konferencją prasową — powiedział Moody, odkładając raport. Nie mógł powstrzymać się od ziewnięcia. Kilku ludzi odruchowo zrobiło to samo. Spojrzał na nich gniewnie.

— Jak wyglądają nasze aktywa?

— Chodzi panu o agentów? — spytał człowiek z Langley.

— Nie. O wojsko.

— Mamy kilka niszczycieli w Zatoce Honduraskiej. Niedługo powinny dopłynąć do Belize City — odezwał się St. Angelo. — Poza tym nic bliżej niż Key West.

Moody zerknął na mapę.

— Wystarczy. — Wyprostował się na krześle i przetarł oczy. — To tylko moje osobiste propozycje, ale uważam, że trzeba poprzeć noty bardziej stanowczymi krokami. Nazwijmy je „niezbędnymi środkami ostrożności”. Na pewno mamy jakiś frachtowiec w Belize City. Wyślijmy chłopców do portu, żeby zapewnili mu bezpieczeństwo. Proponuję też wzmocnić załogę ambasady — kilka dużych śmigłowców z marines na pokładzie powinno zrobić odpowiednie wrażenie. Podobnie jak przelot naszych samolotów nad Chetumal, Belize City, Belmopan i może jeszcze Guatemala City. Niech na dachach nie zabraknie gapiów.

— Masz rację, kilka lotów rozpoznawczych nie zaszkodzi — przytaknął St. Angelo.

Urzędnik z Departamentu Stanu sprawiał wrażenie zakłopotanego.

— Z całym szacunkiem, sir, ale to chyba przesada. Niepotrzebnie ich sprowokujemy. Historycznie rzecz biorąc, Belize to obszar wpływów brytyjskich. Zresztą głową tego państwa jest wciąż królowa brytyjska, tak samo jak Kanady czy Australii.

Moody spojrział na śmiałka z wściekłością. Zarozumiały sukinsyn. Nie był nawet zastępcą sekretarza.

— Gównu mnie obchodzi historia. A Brytyjczycy mają w tej sprawie tyle do powiedzenia co Luksemburg. Wiem jedno: do meksykańskich pól naftowych w Tabasco jest stamtąd trzysta kilometrów. Nawet jeśli sytuacja wymknęła się na razie spod naszej kontroli, nie zamierzam dopuścić do wojny meksykańsko-gwatemalskiej. Albo żeby któreś z ich fanatycznych ugrupowań partyzanckich uznało zamieszki za świetną okazję do strzelania do wszystkiego, co się porusza. Kilka nisko latających F-14 na pewno podziąła niezwykle uspokajająco na wzburzone głowy. Mam rację, generale?

— Bez wątpienia.

Urzędnik z Departamentu Stanu o mało nie wybuchnął.

— Myślę, że sekretarz Hollis powinien się o wszystkim dowiedzieć.

— Jasne, że się dowie. Kiedy tylko znajdzie pan jakiś telefon — odparł Moody. — A na razie proszę zaprotokołować, że nie uzurpuję sobie prawa do decyzji. To nie ja dowodzę armią. Zaproponowałem tylko podjęcie środków ostrożności, niezbędnych dla ochrony życia, mienia oraz interesów amerykańskich obywateli. Ostateczny głos w tej sprawie należy do prezydenta. Zrozumiano?

Urzędnik poczerwieniał.

— Zrozumiał mnie pan?

— Tak.

Moody rozejrzał się dookoła. Wreszcie utkwiał wzrok w przedstawicielu CIA.

— Wywiad chyba trochę zasnął, co? Kiedy będzie aktualny raport?

— Jest już w drodze.

— Proponuję, żebyśmy się wszyscy trochę zdrzemnęli i spotkali tu ponownie, powiedzmy, o siódmej. Z pewnością prezydent zwoła jutro rano posiedzenie Rady Bezpieczeństwa Państwa. Poinformuję go przedtem o rozwoju wydarzeń.

Odsunął krzesło i wstał, zadowolony z siebie. Mówiąc jutro rano, miał na myśli późne przedpołudnie. W poniedziałki prezydent nigdy nie wracał do Waszyngtonu przed dziewiątą.

Czasami, kiedy pracował do późna w nocy, opuszczał Biały Dom przez główne wyjście, chociaż do bocznych drzwi w Zachodnim Skrzydle miał o wiele bliżej. Przechodził wtedy prawie przez cały budynek, mijając purpurowe dywany, marmurowe ściany i kolumny, zabytkowe meble oraz portrety byłych prezydentów, którzy spoglądali na niego z góry — z aprobatą, miał nadzieję. Zaglądał do Czerwonego Pokoju, gdzie prezydent Madison grywał ongiś z przyjaciółmi w wista. Nad kominkiem wisiał ulubiony obraz Moody'ego, okazały portret młodej kuzynki Madisona, Angeliki Singleton, która wyszła za Martina van Burena i została najpiękniejszą Pierwszą Damą, jaka kiedykolwiek mieszkała w Białym Domu.

Kiedy tego wieczoru znalazł się w pobliżu Czerwonego Pokoju, usłyszał rozmowę. W pierwszej chwili wystraszył się nawet, że to prezydent, ale po chwili rozpoznał głos Petera Napiera, waszyngtońskiego karierowicza, który podczas kampanii wyborczej pracował w sztabie demokratów, a potem wszedł do Komitetu Narodowego partii. Był obłudnym dziwakiem, ale czasami się przydawał. Tylko kto go wpuścił do Białego Domu?

Kiedy Moody stanął w drzwiach, Napier urwał w pół zdania, zaskoczony. Towarzyszyło mu troje ludzi: zamożnie wyglądające małżeństwo w średnim wieku i przystojny młodzieniec, zapewne ich syn.

— Dobry wieczór, panie Moody — odezwał się Napier, uśmiechając się sztucznie.

Miał trzydzieści lat, pulchną, świecąca twarz, wydatny nos i przerzedzone, ciemne włosy. Moody nie darzył go zbyt dużą sympatią, ale tacy ludzie też byli potrzebni. Ktoś musi troszczyć się o kawę, dostarczać przesyłki i odwozić pijanych polityków od kochanek do domów.

— Witam — odparł bez entuzjazmu.

— Chciałbym przedstawić państwa Hamlinów. Podczas kampanii pan Hamlin zarządzał naszymi finansami w Ohio. A to ich syn Kenny.

Chłopak uśmiechnął się równie gorliwie jak Napier. Mógł mieć najwyżej dwadzieścia lat.

— Miło mi... Panie Napier, czy mogę zamienić z panem słówko na osobności?

— Jasne, szefie. — Znowu fałszywy uśmiech.

Moody cofnął się do korytarza.

— Co tu robisz, do cholery? — szepnął.

— Oprowadzam wycieczkę VIP-ów. Senator Reidy poprosił o to komitet, a ja zgodziłem się na ochotnika.

— Masz przepustkę?

— Jasne. Sam pan kazał ją dla mnie wystawić.

Trzeba będzie to odwołać, pomyślał.

— Macie się stąd natychmiast wynosić. Mamy poważny kryzys międzynarodowy.

— Wyprowadzę ich za dwie minuty. A teraz przepraszam.

Napier wszedł z powrotem do Czerwonego Pokoju. Moody ruszył dalej, słysząc jeszcze jego słowa:

— Bardzo mi przykro, ale wybuchł poważny kryzys między narodowy i musimy skrócić naszą wycieczkę. Na pocieszenie mogą państwo opowiadać, że byli w Białym Domu w historycznym momencie...

Kiedy dotarł do drzwi, rozkazał strażnikowi:

— Jeśli ci ludzie nie wyjdą w przeciagu pięciu minut, proszę ich odprowadzić do bramy.

— Rozkaz, sir. Życzę dobrej nocy.

Moody miał dwa domy: dużą rezydencję na przedmieściach Baltimore oraz nadmorską willę na północ od Ocean City, ale po małżeństwie z Deeną kupił apartament w centrum Waszyngtonu, żeby mieć blisko do pracy i na przyjęcia. Kierowca odwiózł go w ciągu kilku minut.

Gospodyni już spała, ale na stoliku w przedpokoju zostawiła informację, że telefonowali Deena oraz Bernie Bloch. Postanowił oddzwonić dopiero rano. Na pewno oboje są na niego wściekli, a on musi się spokojnie przespać.

Włączył sekretarkę automatyczną, ale jednocześnie uruchomił specjalne połączenie z Białym Domem, które mieli tylko nieliczni urzędnicy z najwyższych kręgów władzy. Potem przebrał się w piżamę i wyszedł na balkon, spoglądając na Potomac i ciemny zarys wyspy Roosevelta. Ponad wysokimi drzewami migotały światła wieżowców w dzielnicy Rosslyn, w Arlington, a dalej wzdłuż rzeki widać było wzgórza, na których stały budynki uniwersytetu Georgetown. Podwójna, smukła iglica kaplicy uniwersyteckiej odznaczała się na tle jasnego nieba. Mimo niedzieli i późnej pory sznur samochodów mknął

popobliskim Rock Creek Parkway. Całe miasto zdawało się tętnić życiem. W Waszyngtonie przynajmniej czuł, że ma władzę. Wirginia została daleko, daleko z tyłu.

Peter Napier bez pośpiechu wyprowadził swoich podopiecznych na Pennsylvania Avenue. Mieszkali niedaleko, w majestatycznym, eleganckim „Willardzie”. Pani Hamlin sprawiała wrażenie zmęczonej, co skłoniło Napiera do zaproszenia całej trójki na kolejkę do baru — w nadziei, że rodzice odmówią, ale chłopak nie. Niestety, ojciec okazał się zbyt pryncypialny.

Nic nie szkodzi. Chłopak chciał pracować w Senacie jako goniec, więc będzie miał jeszcze niejedną okazję, żeby się spotkać z Napierem. Już on się o to postara...

Na pożegnanie zauważył znacząco, że musi się wcześniej położyć spać, rano będzie potrzebny w Białym Domu. Bądź co bądź, to poważny kryzys, tłumaczył. Na szczęście nie zapytali gdzie, bo przecież nie wiedział.

Deena Moody była wściekła na męża, że zostawił ją w Dandytown na pastwę szeryfa i jego głupich, poniżających pytań. Ale odwdzięczy się za to przy pierwszej okazji po powrocie. Kolejne małżeństwa stanowiły jej sposób na życie, a mierzyła coraz wyżej. Co więcej, czuła, że już czas na awans. Poczekaj jeszcze do najbliższych wyborów, aż prezydent, startujący po raz drugi, ogłosi nazwisko swojego kandydata na wiceprezydenta. Jeśli zostanie nim Bob — kilku poważnych komentatorów politycznych publicznie rozważało taką możliwość — to dobrze, a jeśli nie, to...

Rano Blochowic mieli odwiedzić ją do Waszyngtonu, a tymczasem, pomyślała, spróbuje jakoś wykorzystać sytuację. Kilku mężczyzn w barze próbowało się do niej zalecać, ale nie zwracała na nich uwagi. Sherrie, przygnębiona śmiercią Clayów, upiła się i zaczęła opowiadać ciekawe rzeczy o swoim mężu. Deena współczująco kiwała głową, słuchając uważnie. Według Sherrie Bloch sypiał czasami z Vicky. Ciekawe, kto jeszcze? Zawsze podejrzewała o to Boba. Miał niewiele słabości, ale wierność nie była jego mocną stroną.

Podobno Bloch bardzo się czymś przejął. Na pewno nie Vicky,

która znaczyła dla niego nie więcej niż koń... Może nawet mniej, bo przecież nic nie kosztowała. Czy w ogóle jakaś kobieta jest w stanie wzbudzić szacunek Berniego Blocha? Kim musiałaby być albo co zrobić? I jakim cudem ta głupia dziwka o piskliwym głosiku zdołała zatrzymać go przy sobie przez tyle lat?

Sherrie była tak pijana, że nie mogłaby ustać o własnych siłach, ale wciąż mogła mówić. Przy stoliku siedziała jeszcze równie nietrzeźwa, głupawo wyglądająca para oraz pewien młody człowiek. Deena rozpoznawała ten typ na pierwszy rzut oka: krążyli wokół pieniędzy jak ćmy wokół lampy. Kiedy się zestarzeje, też będzie takich potrzebować, ale na razie omijała ich z daleka.

Wstała.

— Kochanie, muszę się z kimś spotkać. Mogę cię tu zostawić?

Sherrie pomachała jej na pożegnanie. Deena uznała, że to dobry znak.

Bloch zaszył się w sypialni swojego apartamentu, tępo wpatrzony w podłogę. Kilka godzin wcześniej dowiedział się od Billy'ego Bonninga o przebiegu aukcji i teraz bezskutecznie próbował skontaktować się z Moodym: telefony do Białego Domu oraz biura nie przyniosły efektu, a w mieszkaniu najpierw słuchawkę podniosła gospodyni, a potem ciągle włączała się automatyczna sekretarka. Bloch nie rozumiał, jak Bobby mógł zrobić coś podobnego: był o coś zły na starego kumpla czy po prostu zapomniał? Bardzo się zmienił od czasu, kiedy zaczął pracować w Waszyngtonie. Za bardzo.

Na domiar złego jego córka po prostu zapadła się pod ziemię razem z tym cholernym ogierem. Ale kiedyś musi się znaleźć. Gwiazdy filmowe i konie wyścigowe nie znikają tak po prostu. Tymczasem on musiał zadzwonić jeszcze gdzieś indziej, chociaż najchętniej odłożyłby tę rozmowę o co najmniej sto lat.

Powoli wykręcił numer, jak ktoś, kto dzwoni do lekarza, aby dowiedzieć się o wynik ważnego badania. Tyle że on z góry wiedział: wieści są złe.

Kiedy wreszcie się połączył, wziął głęboki oddech. Tylko spokojnie. Grywał tak w pokera. Zawsze szedł na całość.

— Mówi Bernie Bloch. Jest pewien kłopot. Nie mogłem pojechać na aukcję i nie mam konia. Jeszcze nie mam.

Odsunął słuchawkę od ucha. Głos drugiego mężczyzny był nieprzyjemny i hałaśliwy.

— Tylko spokojnie, dobrze? To wszystko wina policji. Moja trenerka i jej mąż nie żyją... Co? Oczywiście, że ich nie zabiłem! Przedawkowali narkotyki czy coś w tym rodzaju, ale mimo to szeryf przesłuchiwał wszystkich do późna.

Pocił się. Dosłownie oblewał potem.

— Tłumaczę, że nie mogłem! Miałem jeszcze zadzierać z policją?... Tak, wysłałem kogoś za mnie. Zaufanego przyjaciela. Tylko że wynikło nieporozumienie. Konia kupiła jego córka.

Głos w słuchawce ryczał z wściekłości.

— Tak, wiem, gdzie jest koń!! — odparł Bloch, równie zdenerwowany. — U niej. Zajmę się wszystkim rano... Proszę zrozumieć, wszędzie jest pełno policji. To miejscowi, znają się na koniach.

Wreszcie burza na drugim końcu linii ucichła, przynajmniej na pewien czas.

— Zadzwonię jutro. Wszystko będzie dobrze, jak zawsze. Proszę mi zaufać.

Odwiesił słuchawkę, wyprostował się i zamknął oczy. Próbował skupić myśli, ale był zbyt zmęczony.

Nagle usłyszał delikatne stukanie. Pewnie Sherrie znowu zgubiła klucz... Zaklął, wstał, przeszedł do salonu i otworzył gwałtownie drzwi. Stała w nich opalona blondynka w różowej sukni. Deena Moody.

— Bernie — odezwała się, nieco zdyszana. — Co robisz sam na górze?

— Załatwiam interesy — odparł, a po chwili dodał: — Twój mąż naprawdę mnie dzisiaj wnerwił.

Weszła do pokoju, zostawiając za sobą smugę drogich, ale zbyt intensywnych perfum. Bloch poczuł, że kręci mu się w głowie.

— Jak to, Bernie?

— Zależało mi na tym koniu. Mógł uprzedzić, że nie pojedzie na aukcję.

— Ja też jestem na niego wściekła, kochanie.

Zamknął starannie drzwi. Obecność Deeny w jego pokoju o tej porze była ostatnią rzeczą, której się spodziewał. Ale ten dzień przynosił same niespodzianki.

— Na szczęście nic się nie stało. Twój mąż to bardzo zajęty człowiek. Wybaczam mu.

— A ja nie. Masz coś do picia?

— Jasne — poczuł się trochę niepewnie. — Szkockiej?

— Tak, proszę. A ty nie chcesz? — Usadowiła się na kanapie. — Twoja czarująca żona wyprzedza nas o dobre kilka litrów. Chyba sama nie zdoła wejść na górę.

— Tak, ostatnio zdarza się jej to coraz częściej — przyznał.

Podał Deenie szklanke, ale nie napiła się. Usiadł w sąsiednim fotelu, nerwowo pocierając palcami brzuch.

— Więc jak ci się podobał dzień? — zagadnął.

— Jak dotąd, bardzo.

— Lubię, kiedy zbieramy się wszyscy razem.

— Ale rzadko ze mną rozmawiasz.

— Tym milej, kiedy już to robimy.

Patrzyli na siebie przez chwilę. Był zdumiony świeżością, którą zachowała mimo późnej pory.

— Lubię cię, Bernie — odezwała się. — Ale chyba nigdy nie miałam okazji ci tego powiedzieć.

— Ja też ciebie lubię, Deeno. Nie masz pojęcia, jak się ucieszyłem, kiedy wyszłaś za Bobby'ego. Nigdy nie przepadałem za jego pierwszą żoną.

Znowu cisza. Patrzyła mu prosto w oczy. Bujne piersi falowały w głębokim dekolcie. Nie mógł oderwać od nich wzroku.

— Życie jest krótkie, skarbie. Nie wolno marnować okazji. Nie należysz do ludzi, którzy przepuszczają okazję, prawda?

— No cóż, chyba nie.

Odstawiła szklanke.

— Lubię cię, Bernie. A Bobby naprawdę mnie dzisiaj rozwścieczył.

— Deeno...

— Oboje jesteśmy dorośli.

Odruchowo zaczął kalkulować — możliwości, prawdopodobieństwa, ewentualne kłopoty.

Wstała. Pocałunek zaskoczył go zupełnie. Potem spojrziała na niego niczym artysta oceniający pierwsze dotknięcie pędzla.

— Co tam sobie myślisz, Bernie?

— Sherrie może tu wrócić w każdej chwili.

— Nie sądzę, kochanie, chociaż nie mamy chyba zbyt wiele czasu. To niezupełnie to, czego bym chciała najbardziej, ale możemy spróbować...

— Deeno, nie jestem pewien...

Sięgnęła ręką do zapięcia sukni.

— Zamierzam ją zdjąć, Bernie. Chcę, żebyś mnie zobaczył.

Materiał cicho zaszeleścił, opadając na dywan. Reszty pozbyła się równie gładko.

Wyglądała o wiele lepiej, niż sobie wyobrażał, a myślał o niej wiele razy. Niewiele kobiet w tym wieku potrafi zachować równie ponętne ciało.

— Poczekaj — powiedziała, podchodząc bliżej. — Nie ruszaj się.

Zadrżał, kiedy dotknęła go językiem. Spojrzał w dół, na wspaniałe, gładkie plecy i okrągłe pośladki, a potem zamknął oczy.

Bob Moody narobił mu poważnych kłopotów. Teraz musi za to zapłacić.

Deena właśnie wkładała sukienkę, kiedy zazgrzytał zamek. Bloch, wciąż oszołomiony, nie zdążył zapisać spodni, zanim otworzyły się drzwi. Przerazająca pewność, że to żona, ustąpiła miejsca zaskoczeniu, kiedy do pokoju wsunęła głowę Lenore Fairbrother.

— O, przepraszam — powiedziała. — Nie wiedziałam, że ten apartament jest zajęty.

Obrócił się i zaklął, walcząc rozpaczliwie z suwakiem.

— Proszę się uspokoić, kochany panie Bloch — dodała Lenore. — Cudzołóstwo to tutaj reguła. Jeśli ma pan zamiar częściej bywać w Dandytown, musi się pan przyzwyczaić.

Deena, już ubrana, gorączkowo poszukiwała drogi ucieczki. Kiedy jej nie znalazła, postanowiła udać oburzenie.

— Jakim prawem śmie pani tu wchodzić? I skąd ma pani ten klucz? — zapytała ostro.

Lenore wyjęła go z zamka. Wisiał na dużym, mosiężnym kółku, razem z wieloma innymi.

— Tak się przypadkiem składa, że właścicielem tego zajazdu — i reszty Dandytown — jest mój drogi mąż. Proszę traktować mnie jak pokojówkę. Wiem, że nikogo państwo nie wzywali, ale pewna pijana młoda dama, pańska czarująca żona, jak sądzę, zaczęła rozrabiać w barze. Dwóch uprzejmych dżentelmenów właśnie wnosi ją po schodach.

Bloch zrezygnował z prób zapięcia spodni i wypuścił koszulę na wierzch. Zastanawiał się, na ile niebezpieczna jest Lenore.

— Czy mogłaby pani stąd wyjść, pani Fairbrother?

— Oczywiście, mój drogi chłopcze. — Rozbawiona, zerknęła na Deene, która poprawiała właśnie ramiączka biustonosza. — Dam wam jeszcze trochę czasu, bo pewnie chcecie się doprowadzić do porządku.

Wróciła do korytarza, zachwiała się, a potem znowu wsunęła głowę do pokoju. Była równie pijana jak Sherrie.

— Pańska małżonka, panie Bloch. Gdyby znowu zechciał się pan jej pozbyć, proszę tylko zadzwonić do recepcji. Albo po prostu wystawić ją na korytarz. Życzę dobrej nocy.

Alixé Percy zasnęła w wiklinowym fotelu na ganku domu Showersa, czekając na jego powrót. Spała tak mocno, że nie usłyszała zbliżającego się dżipa. Kapitan wysłał Becky do łóżka, a sam usiadł obok. Był tak zmęczony, że nie miał siły mówić.

Ale ona wcale nie miała zamiaru się obudzić.

— Alixe... — odezwał się w końcu.

Poza chrapaniem żadnej reakcji.

— Alixe!

Wreszcie otworzyła oczy, rozejrzała się dookoła i uśmiechnęła na jego widok. Spojrzała na zegarek.

— Mój Boże, nie było cię pół nocy. Tarzałeś się na sianie z Becky? Westchnął ciężko.

— Nie, zajmowaliśmy się Moonsugar. Chyba z tego wyjdzie. Wkrótce oddam go Fairbrotherowi.

— Nie weźmie. Tak czy inaczej, Davidzie, zyskałeś dziś konia. Nie wystartuje już w biegu, ale będzie się nadawał do pokazów.

Wyprostował obolałą nogę.

— Tylko tego mi potrzeba, kolejnej gęby do karmienia.

— Prawnuk Królowej Tashamore poszedł dziś bardzo tanio — oznajmiła nagle.

Nic nie odpowiedział.

— Za dziesięć tysięcy.

— Prawdziwa okazja, o ile wszystko z nim w porządku.

— To naprawdę niezły koń.

— Są inne.

— Może zdołam go odkupić nawet taniej. Nabywca rozmyślił się po fakcie.

— Więc to nie Bernie Bloch?
— Nawet nie przyszedł na aukcję. Vicky Clay musiała się mylić.
— Nie tylko w tej kwestii.
— Biedna mała dziwka.
— Mimo wszystko żal mi jej.
— Tobie jest żal wszystkich, Davidzie. Włącznie z tymi, którym kopniak w tyłek od czasu do czasu naprawdę dobrze by zrobił. Choćby Lenore Fairbrother.
— Gdyby nie Lenore, Lynwood kazałby zabić Moonsugar.
— Prawdziwa Matka Teresa, co nie? — Ziewnęła. — Davidzie, jeśli zdobędę tego konia, czy jesteś zainteresowany?
— Nie, Alixe. Mam dość roboty z Moonsugar. Nie mówiąc już o Waszyngtonie.
— No cóż, ja i tak spróbuję. Mam sporo miejsca w stajni. Dziwne... Chyba nie chodziło jej o konia.
— Jej?
— To kobieta. Jeśli zmienisz zdanie, zadzwoń do mnie.
— Mówiłem ci, nie.
Wstała.
— Chcę się czegoś napić. Idziesz ze mną?
— Nie, dziękuję. Muszę rano wstać.
— W porządku, mój drogi. Ale pamiętaj: moja butelka jest zawsze otwarta. — Zachichotała. — Dobranoc, skarbie. Uważaj na nogę.
Patrzył, jak znika w ciemnościach, a potem powłókł się na górę. Nastawił budzik na tak wczesną godzinę, że właściwie nie miał po co kłaść się do łóżka. Czekał go ciężki poniedziałek. Już sama jazda do Waszyngtonu będzie koszmarem. Ale nie miał wyboru. Konie to tylko przyjemność.
Zamknął oczy i raz jeszcze zobaczył wydarzenia minionego dnia. Zakrwawionego Jimmy'ego Kippa, zdychającego konia. Ale zanim zasnął, przypomniał sobie twarz ciemnowłosej aktorki. Pamiętał każdy szczegół. Nigdy przedtem nie spotkał równie pięknej kobiety.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Sekretarz stanu Hollis, jak przystało na głupca, skończył głupio.

Pierwsza próba zdobycia, przez niego niewielkiego, ale trudnego szczytu Madchenberg spełzła na niczym z powodu deszczu, a druga przez nagłą niedyspozycję szwajcarskiego przewodnika. Za dwa dni musiał wracać do Genewy, na konferencję ONZ — oficjalny powód przyjazdu do Szwajcarii. Miał zatem dość czasu, żeby spróbować jeszcze raz, więc nie zastanawiał się zbyt długo. Zdobył już kilka szczytów w różnych miejscach globu, ale jeszcze nigdy w Alpach. Chciał wrócić do Waszyngtonu ze zdjęciem przedstawiającym go na wierzchołku Madchenbergu, nawet jeśli to jedyne trofeum, jakie przywiezie z podróży.

Góra służyła z wyjątkowo trudnego podejścia: sześćdziesięciometrowa, niemal pionowa ściana od północnej strony, z siedmioma nawisami i niebezpiecznym żlebem. Dlatego fotografia na szczycie będzie szczególnie cenna.

Kiedy przez radio dotarła do nich wiadomość o kryzysie w Belize, Hollis i jego przewodnik znajdowali się już wysoko na stoku. Ponieważ sytuacja najwyraźniej została opanowana, sekretarz stanu postanowił kontynuować wspinaczkę. Był tak zdesperowany, że nie zrezygnowałby nawet wtedy, gdyby sam prezydent wezwał go do powrotu.

Miał pięćdziesiąt osiem lat, ale utrzymywał się w doskonałej kondycji. Uważał się za całkiem doświadczonego alpinistę, żeby nie powiedzieć eksperta: w wieku czternastu lat zdobył tysiąc dziewięćsetmetrowy Mount Washington w stanie New Hampshire. Ale tym razem pośpiech przeważał nad umiejętnościami.

Od rana znowu padało. Wchodząc na drugi nawis, Hollis poślizgnął się i spadł głową w dół.

Był dobrze przywiązany, więc właściwie nic nie powinno mu «ić stać, ale próbując odzyskać równowagę, niefortunnie odbił si[^]<'.i ściany, obrócił dookoła własnej osi i z powrotem uderzył w skal*, -tyle że nie nogami, a głową. Przewodnik, który wchodził pierwszy i był już na nawisie, usłyszał najpierw krzyk, a potem głuchy ti pękającej czaszki.

Sekretarz stanu wynajął śmigłowiec, aby jego sukces został uwieczniony na taśmie magnetowidowej. Pilot sfilmował wypadek i kiedy razem z przewodnikiem odtransportowali ciało Hollisa do wioski. sprzedał ujęcie genewskiemu korespondentowi jednej z amerykańskich stacji telewizyjnych. Po kilku godzinach pokazano je w dzienniku CNN.

Zwykle Moody dowiadywał się o[^] takich wydarzeniach jako pierwszy, ale tego ranka zamknął się w swoim gabinecie razem z Reidym i Sorensonem, nakazując, aby pod żadnym pozorem mu nie przeszkadzano. Wyjątek od tej reguły stanowili prezydent i generał St. Angelo.

Zamiast posadzić gości na fotelach wokół kominka — w otoczeniu o wiele bardziej sprzyjającym szczerej i otwartej dyskusji — potraktował ich jak podwładnych, wskazując twarde krzesła po drugiej stronie wielkiego, zabytkowego biurka.

Reidy, przywódca demokratycznej większości., w Senacie, mimo szorstkich rysów twarzy był całkiem przystojnym mężczyzną. Doświadczony polityk i parlamentarzysta, obdarzony niezwykłą inteligencją oraz zdolnościami przywódczymi, cieszył się dużą popularnością i często występował w telewizji. Miał chlubną wojskową przeszłość, doktorat z historii oraz kochającą go rodzinę. Demokraci zawdzięczali mu bardzo wiele. Całe życie cierpliwie czekał na właściwy moment, aż wreszcie wystartował do walki o prezydenturę i niespodziewanie przegrał wewnątrzpartyjną rywalizację z chłodnym, napuszonym, arystokratycznym fantastą z Massachusetts, który zajmował teraz Gabinet Ovalny. Nigdy jednak nie przyjął do wiadomości, iż poniósł porażkę wyłącznie dlatego, że nie zajął zdecydowanego stanowiska w żadnej z zasadniczych kwestii kampanii; szczególnie zaś chodziło o ochronę środowiska. Od tamtej pory znienawidził wszystkich, których uważał za winnych własnej klęski — oprócz, rzecz jasna, siebie samego.

Ale był naprawdę wytrawnym politykiem i zachowanie zimnej krwi przychodziło mu bez trudu. Chociaż w głębi duszy gardził Moodym, zawsze pierwszy wyciągał rękę na powitanie. Pochodził z jednego z górzystych stanów nad Pacyfikiem, więc chętnie ubierał się swobodnie i opowiadał niewybredne dowcipy, mimo że ukończył Stanford, a potem został stypendystą Rhodesa. Swoje sukcesy na Kapitolu zawdzięczał bezwzględności wobec przeciwników. Moody nie ufał Reidy'emu, ale go podziwiał.

Sorenson, liberał ze Środkowego Zachodu, był o wiele młodszy. Nie ukrywał hipokryzji: zgadzał się na wszystko, co nie szkodziło gospodarce jego stanu oraz interesom wyborców. Cięcia w budżecie armii — tak, o ile nie dotyczą ciężarówek i małych okrętów patrolowych dla marynarki. Ochrona środowiska — zdecydowanie tak, ale pod warunkiem, że utrzymamy nieograniczony wyręb drewna do produkcji papieru.

Tego ranka bez przerwy mówił o niekorzystnym wpływie, jaki wywrze Pakt o Ziemi na dochody jego wyborców, zatrudnionych w przemyśle drzewnym i papierniczym. Ich ciężka sytuacja, perorował, wzbudziła w nim wątpliwości: czy propozycje prezydenta nie idą za daleko, za wcześnie?

Moody nie lubił Sorensona, który próbował zrekompensować niski wzrost butami na grubej podeszwie, a brzydotę kosztownymi garniturami i staranną fryzurą. Fanatyczny zwolennik joggingu oraz zdrowej, wegetariańskiej żywności, był częstym gościem na przyjęciach organizowanych przed Deenę. Jako młody chłopak Moody także jadł tylko warzywa, ale z zupełnie innego powodu: po prostu jego matka nie mogła sobie pozwolić na kupowanie mięsa.

Ale Sorensona nie wolno lekceważyć. Ratyfikacja Paktu o Ziemi i uchwalenie niezbędnych ustaw wymagały każdego głosu. Zgoda senackiej komisji spraw zagranicznych to pierwszy ciężki orzech do zgryzienia. Wprawdzie uzyskali poparcie kilku kongresmanów z partii republikańskiej, ale jednomyślne głosowanie wszystkich demokratów miało kluczowe znaczenie. Jak dotąd Sorenson był jedynym niezdecydowanym, ale jego sprzeciw mógł pociągnąć za sobą innych.

Moody zerknął na zegarek. Prezydent wróci za pół godziny. Trzeba przerwać tę tyradę.

— Przepraszam, senatorze, ale chyba już dość się nasłuchaliśmy o głodujących drwalach. — Wyszczrzył zęby, próbując złagodzić

przykry żart, ale Sorenson zachowywał śmiertelną powagę. — Założenia Paktu o Ziemi nie podlegają dyskusji — ciągnął dalej Moody — podobnie jak zmiany w ustawodawstwie, niezbędne do jego realizacji. Przykro mi. Prezydent obiecał to narodowi i nie zamierza się wycofać: ani dla pana, ani dla mnie, ani dla nikogo.

— Ale...

— Proszę posłuchać opinii publicznej. Ponad dwie trzecie społeczeństwa od samego początku popiera ideę paktu. — Wyprostował się w fotelu. — Ale to nie znaczy, że nie powinniśmy rozmawiać. Musi pan zawieźć coś wyborcom w zamian za swój głos. A więc słucham.

— Nie rozumiem.

— Senatorze, obaj doskonale wiemy, o co chodzi.

— No cóż — odparł niepewnie Sorenson — zależy nam na utrzymaniu połączenia kolejowego do Chicago, ale właśnie skreśliłście dotację z budżetu...

— Który nie został jeszcze uchwalony. Pewne poprawki wciąż są możliwe.

— Liczyliśmy też na więcej pieniędzy na renowację wiaduktów na autostradach. I przedłużenie pasa startowego na lotnisku.

— Zastanowimy się także i nad tym.

Reidy chrząknął.

— Potrzeba będzie zgody komisji kredytowej oraz komisji handlu, nauki i transportu...

— Mam nadzieję, że to już możemy zostawić panu, senatorze? — rzucił Moody.

Reidy spojrział gniewnie, ale nic nie odpowiedział.

— Coś jeszcze, senatorze Sorenson? Proszę jednak zauważyć, że trzymam w ręku pióro, a nie czarodziejską różdżkę.

— Czy prezydent weźmie udział w kampaniach poszczególnych kongresmanów? Pomoże zbierać fundusze?

Wszyscy trzej doskonale wiedzieli, że tego właśnie prezydent nie cierpiał.

— Być może. Ale nie wiem, czy zawita w pańskie strony. Coś jeszcze?

— Może jednak wystarczy — wtrącił się Reidy. — Jasne, że Pakt o Ziemi nie spodoba się związkom zawodowym i konfederacjom pracodawców, ale...

— Coś jeszcze? — powtórzył Moody, dając upust swojej niecierpliwości.

— No cóż... — Sorenson zerknął na Reidy'ego. — Moja żona chciałaby wejść do zarządu Centrum Kennedy'ego. Ale lista kandydatur jest bardzo długa.

— Przyrzekam panu najbliższy wakac. — Moody zamasyżycie dopisał jeszcze jeden punkt do listy. Wprawdzie obiecał już miejsce w Centrum Kennedy'ego Deenie, ale uzyskanie odpowiedniego poparcia dla paktu ma pierwszeństwo. Zresztą, może od razu zwolnią się dwa miejsca. Szykuje się kilka nowych nominacji ambasadorskich, są też wakaty w komisjach senackich...

— Aha, skoro już przy tym jesteśmy... — zaczął Sorenson.

Moody odłożył pióro, dając niedwuznacznie do zrozumienia, że na nic więcej się nie zgodzi.

— Jest pan niezwykle rozsądnym człowiekiem, senatorze. Doceniam to. Sądzę, że prezydent przychylił się do pańskich prośb. To wszystko?

— Raczej tak.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Wreszcie Sorenson wstał.

— Chyba powinienem teraz zorganizować konferencję prasową i ogłosić publicznie, jak zamierzam głosować.

Zanim Moody zrozumiał żart, przez chwilę myślał, że dał się podejść jak dziecko. Ktoś, kto rzeczywiście przejmował się głosami drwali i właścicieli tartaków, na pewno nie zaproponowałby konferencji.

Wstał z fotela i wyciągnął rękę.

— Gdybyśmy mogli służyć czymś jeszcze, proszę nas tylko powia domić.

Reidy odprowadził Sorensona do wyjścia, ale sam został. Potem podszedł do okna, z którego rozciągał się widok na pomnik Waszyngtona, rozświetlony porannym słońcem.

— Jeśli dalej tak będziesz kupował głosy, Bobby, w budżecie nie starczy pieniędzy nawet na pensję jednego inspektora ochrony środowiska.

Moody wciąż siedział twarzą do drzwi.

— Bez obaw, moja hojność ma swoje granice. Ale głos Sorensona jest ważny. Chcę, żeby nasze działania nabrały rozpędu. Wszyscy demokraci muszą głosować jednakowo. A co z republikanami?

— Moim zdaniem poprą cię prawie wszyscy, z wyjątkiem kilku oszalałych pravicowców. To naprawdę ważna sprawa. Czasy Reagana,

kiedy sami pierwsi zlekceważyliśmy ONZ-owską rezolucję o ochronie mórz i oceanów, minęły bezpowrotnie. Zresztą, tak naprawdę chodziło wtedy o złoża metali na dnie oceanów. Pakt o Ziemi to ochroni powietrza, wody, drzew. Bez tego zginiemy, na miłość boską. Sorenson może wtrącać swoje trzy grosze w komisji, ale nie sprzeciwi się ratyfikacji.

Moody zastukał palcami w biurko, należące kiedyś do Teddy'ego Roosevelta, jednego z niewielu amerykańskich arystokratów, których darzył szacunkiem.

— Więc, twoim zdaniem, powinniśmy jak najszybciej przeprowadzić głosowanie, a potem pojechać na ryby?

— Nie to miałem na myśli, Bobby.

— Siadaj, Dan. Wystygnie ci kawa.

Reidy zawahał się, a potem z powrotem zajął miejsce na krześle, ale jednocześnie położył nogi na blacie biurka. Spojrzał z uznaniem na oprawioną fotografię Deeny i powiedział:

— Ratyfikacja nic nie kosztuje, bo nikt nie straci przez nią pracy. To tylko obietnica wprowadzenia paktu w życie w bliżej nie określonej przyszłości. Ale jeśli spróbujecie przeforsować wszystko razem, tak jak tego chce prezydent, możecie natknąć się na trudności. Poważne trudności. Kiedy na horyzoncie pojawi się groźba zamykania kopalń i likwidacji fabryk, opinia publiczna może dokonać wolty.

— Miesiąc temu byłeś innego zdania.

— Od tamtego czasu wiele się zmieniło. Znowu grozi nam recesja.

— Izba Reprezentantów przelknęła ustawy bez większego sprzeciwu.

— Raczej trudno tak nazwać zaledwie siedemnaście głosów przewagi. Teraz wszystko trafi do co najmniej trzech komisji senackich. Zaproponowano już pięćdziesiąt osiem poprawek. Ostateczna decyzja zapadnie na wspólnym posiedzeniu Izby i Senatu. Równie łatwo byłoby przepisać całą konstytucję.

— Więc co proponujesz?

— Musisz przekonać prezydenta, żeby zgodził się rozdzielić pakt od ustaw. Doprowadzić do szybkiej ratyfikacji, ale nie śpieszyć się z legislacją. Zróbcie z tego wielkie zwycięstwo, a potem wykorzystajcie je we właściwy sposób. — Zamilkł na chwilę. — Najpierw trzeba zmusić do podpisania paktu Japonię, Tajwan i Koreę, nie wspominając już o Rosji, Anglii czy Meksyku.

— Pracujemy nad tym.

— Poparcie Japonii ma zasadnicze znaczenie. Żaden Amerykanin nie zrezygnuje ze swojej pracy dla zielonych drzewek, podczas gdy Japończycy będą wdychać dym, ale jednocześnie zalewać nas swoimi tanimi samochodami. Zgoda, macie po swojej stronie Bonn, to świetnie, ale musicie mieć jeszcze Tokio.

— Prezydent rozmawiał z nimi ostatnio.

— Jasne, ale czy coś z tego wynika?

— Zajmij się raczej swoimi szanownymi kolegami. Jak długo mielibyśmy czekać?

Reidy wzruszył ramionami.

— Do końca października, może do początku listopada. To nie tak długo. Ale mam pomysł, jak załatwić Japończyków. Trzeba ich tylko nastraszyć w odpowiedni sposób. — Wyciągnął z kieszeni złożoną na czworo kartkę papieru i położył ją na biurku.

— Co to takiego?

— Sam zobacz.

Moody przeczytał, a potem skrzywił się.

— To jakaś kosmiczna bzdura, Dan. Prezydent nigdy nie zrobiłby Japończykom czegoś podobnego. To wypowiedzenie wojny ekonomicznej. Gdyby zdecydowali się na odwet — i wycofali pieniądze z naszych banków — nigdy byśmy się nie pozbierali, a ja nie miałbym już czego szukać w Białym Domu.

Reidy uśmiechnął się.

— Wiem. Ale przecież nie mówię, że masz to zrobić. Albo choćby przygotować taki plan.

— Ależ ta notatka jest dowodem, że on już istnieje!

— Przyjrzyj się uważnie. To tylko poufny list, napisany na firmowym blankiecie Komitetu Narodowego Partii Demokratycznej, a nie oficjalne rządowe pismo. Niższy urzędnik partyjny z Waszyngtonu, zaniepokojony możliwymi konsekwencjami, pyta przewodniczącego komisji finansowej w Kalifornii, jak przyjmą ultimatum japońskie firmy na Wschodnim Wybrzeżu.

— Przewodniczący natychmiast zadzwoniłby do prezydenta.

— Nie, do ciebie. Ale on wcale nie dostanie tego listu. Chodzi tylko o to, żeby dowiedzieli się o nim Japończycy. Trzeba ich trochę nastraszyć: niech myślą, że coś knujemy.

— Ten urzędnik, Peter Napier, to płotka bez żadnego znaczenia.

Zeszłego wieczoru kazałem go wyrzucić z Białego Domu. Oprawdzał jakiegoś gościa z prowincji.

— Przecież żółtki go nie znają. Na papierze jego tytuł wygląda poważnie. Pomyślą, że to przeciek z samej góry.

— Jak dużo wie sam Napier?

— Prawie nic. Powiedziałem mu, że chcę przycisnąć paru senatorów, pokazać im, że prezydent nie zawaha się przed niczym.

Moody zastukał palcami o blat.

— A jak chcesz to podsunąć Japończykom?

— Pomyślałem, że najsprytniejszy człowiek w Waszyngtonie na pewno coś wymyśli.

— Kto to taki?

— Ty. Masz do dyspozycji całą administrację, Bobby. Na pewno znasz kogoś odpowiedniego w Departamencie Handlu albo Stanu. Kogoś zaufanego, kto utrzymuje regularne kontakty z Japończykami. I

a jednocześnie zajmuje na tyle niskie stanowisko, żeby cała sprawa nie wyglądała na szytą zbyt grubymi nićmi.

— Wszystko jest możliwe.

— Zastanów się, Bobby. I pomyśl o tym, co mówiłem wcześniej lepiej najpierw ratyfikować sam pakt.

Cichy warkot śmigłowców przerwał im rozmowę. Odruchowo spojrzeli w okno. Nad pomnikiem Waszyngtona pojawiło się kilka szybko rosnących czarnych kropek.

— Nasz szef wraca z weekendu — rzekł Reidy.

— Dzięki za pomoc — odparł Moody. — Obiecuję, że dowiesz się pierwszy, co zdecyduje prezydent. Ale na razie chyba nie będę zwracał mu głowy.

Schował fałszywy list do kieszeni. Zanim Reidy doszedł do drzwi, podniósł słuchawkę telefonu.

— Proszę mnie połączyć z generałem StAngelo - polecił sekretarce. — Natychmiast! A potem z sekretarzem Stodinauskasem.

Prezydent czekał już w Gabinetie Ovalnym. Moody, który skończył właśnie spotkanie z generałem, wszedł bez zapowiedzi do środka jako jedyna osoba mająca ten przywilej skwapliwie z niego korzystał. Szybko jednak zorientował się, że tym razem popełnił błąd.

Nietrudno było zgadnąć, że prezydent jest głęboko nieszczęśliwy. Nie odezwał się nawet słowem. Siedział w wielkim skórzanym fotelu, tępo wpatrzony w puste biurko.

— Dzień dobry, sir — wykrztusił wreszcie Moody.

— Dzień dobry, Robercie.

Co się stało? Czyżby niezadowolenie prezydenta wynikało z działań podjętych w sprawie Belize?

— Generał St. Angelo złożył mi właśnie raport. Kryzys został zażegnany.

— O czym ty mówisz, Robercie? — To już nie smutek, to prawdziwa żałoba.

— O Belize.

— Belize. Ach tak.

— Meksykańscy i Gwatemalczyki wycofali się, podobnie jak partyzanci. Rząd Belize wszczął śledztwo w sprawie zastrzelenia naszego misjonarza. To jedyna ofiara śmiertelna.

Prezydent zamknął oczy.

— Wszyscy kiedyś umrzemy... — westchnął, spoglądając przez okno na Ogród Różany. — Był szlachetnym, uczciwym człowiekiem. Moim najlepszym szkolnym przyjacielem. Nigdy mnie nie zawiódł.

— Misjonarz?

— Jaki misjonarz? Mówię o Skipie Hollisie, Bob. On nie żyje. Nie wiedziałeś?

Moody usiadł z wrazenia, oszołomiony. I wściekły. Dlaczego nikt go nie poinformował, do jasnej cholery?

— Przykro mi, sir. Nie wiedziałem. Jak to się stało?

— Wypadek. Spadł podczas wspinaczki. Mówiłem mu, żeby nie jechał na tę konferencję do Genewy. Ale on nalegał. Nie znosił tracić czasu. Zawsze do przodu.

— Niezwykły facet. — Moody otrząsnął się z zaskoczenia i pośpiesznie analizował sytuację.

— Najlepszy. Nikt go nie zastąpi. Nigdy.

— Przykro mi. Naprawdę nie wiedziałem. Rozmawiałem z senatorem Reidym na temat paktu.

— Skip zawsze wierzył w pakt. Jego śmierć to dla nas wielka strata.

Śmierć Hollisa wywrze taki sam wpływ na pakt jak przegrana New

York Yankees w kolejnym meczu, pomyślał Moody.

— Reidy sądzi, że pakt ma duże szanse — odezwał się ostroż-

nie. — Jedyne problem stanowił senator Sorenson, ale dziś rano udało mi się go przekonać. Żadnej reakcji.

— Reidy uważa także, że powinniśmy jak najszybciej doprowadzić do ratyfikacji, nawet jeśli miałyby to oznaczać, że na uchwalenie niezbędnych ustaw trzeba będzie trochę poczekać.

Prezydent obrócił się powoli.

— Poczekać? — wycedził. — Na co?! To najważniejsza inicjatywa legislacyjna, jaka kiedykolwiek trafiła na forum Kongresu. Zbawienie dla całej planety!

— Doskonale to rozumiem, sir. Nie jestem pewien, czy można polegać na Reidym. Wyjaśniłem mu, że nie zgodzimy się na żadne niepotrzebne opóźnienie. Ale chyba ma rację co do jak najszybszej ratyfikacji. To podetnie skrzydła opozycji. I pomoże przekonać kraje, które jeszcze nie podpisały paktu. A jest ich niemało. Poza tym — ciągnął dalej Moody — złożylibyśmy w ten sposób wspaniały hołd sekretarzowi Hollisowi.

Prezydent starym zwyczajem zaczął się kołysać na krześle.

— To prawda, Bob. Masz rację.

— Zajmę się tym natychmiast, sir.

— Tak.

— A więc najpierw ratyfikacja?

— Zgadza się.

Moody wstał.

— Sir, zeszłej nocy pozwoliłem sobie doradzić generałowi St. Angelo w sprawie kryzysu w Belize — dodał po chwili wahania.

— Tak, ty też nie lubisz tracić czasu, Bob.

— Wysłałem, to znaczy, wysłaliśmy tam kilka oddziałów. Mała demonstracja siły, żeby ostudzić rozpalone głowy.

— Z doskonałym efektem, jak sądzę.

— Tak, panie prezydencie.

— Doskonale. Nie mam pojęcia, jak ten kraj mógłby funkcjonować bez ciebie.

— Sir — Moody przypomniał sobie jeszcze przy drzwiach — czy podsekretarz Richmond ma na razie zastąpić sekretarza Hollisa? O dziesiątej jest posiedzenie gabinetu. Jak rozumiem, Richmond będzie kierował Departamentem Stanu, dopóki nie wyznaczy pan następcy.

— Nawet o tym nie myślałem.
— Ale chce pan, żeby Richmond wziął udział w posiedzeniu?
— Odwołaj posiedzenie, Bob. Odwołaj wszystko. Muszę napisać list do żony Skipa. Cudowna kobieta. Poznałem ją jeszcze podczas studiów.

Kiedy Moody wrócił do swojego gabinetu, zatrzymał się przy biurku sekretarki i spojrzał groźnie w jej jasne, pełne szacunku oczy.

— Annę — odezwał się cicho — dlaczego mi nie powiedziałaś, że Hollis nie żyje?

— Rozmawiał pan z senatorem Reidym. Przecież...

— Nie przyszło ci do głowy, że chciałbym wiedzieć o czymś takim?

— Tak, sir, ale nie myślałam...

— Nie myślałaś?! To po co tu jesteś, do cholery?

Trzasnęła drzwiami.

Śmierć Hollisa zburzyła spokój panujący dotychczas w Departamencie Stanu. Wszędzie dzwoniły telefony, odwoływano stare i umawiano się na nowe spotkania, urzędnicy nerwowo biegali z gabinetu do gabinetu, rozmawiając szeptem na korytarzach. Widząc to wszystko, ktoś mógłby pomyśleć, że wybuchła wojna albo co najmniej zamordowano prezydenta. Na niższych piętrach dyskutowano bez przerwy o tym samym: kto zostanie następnym sekretarzem? Jeśli dotychczasowy zastępca Hollisa awansuje, czy oznacza to, że wszyscy przesuną się o jeden szczebel drabiny do góry? Czy będą nowe nominacje na ambasadorów?

Showers, który zjawił się w biurze tuż przed porą lunchu, próbował nie zwracać uwagi na chaos. Wprawdzie usłyszał o śmiertelnym wypadku sekretarza już w drodze do Waszyngtonu w porannych wiadomościach radiowych, ale zdawał sobie sprawę z tego, że nie ma najmniejszego wpływu na nadchodzące wydarzenia, nawet jeśli będą one dotyczyć jego samego. Nic się też nie zmieni w sprawie paktu. Hollis był najgorszym szefem, jakiego kiedykolwiek miał Showers. Wszystkie decyzje dotyczące paktu zapadały bezpośrednio w Białym Domu.

Noga wciąż bolała, ale dzięki lasce jakoś sobie radził. Wszystkim,

którzy pytali go, co się stało, odpowiadał po prostu, że miał wypadek na koniu. To, że przegrał ważny wyścig w Wirginii, w Waszyngtonie nie miało żadnego znaczenia. Jeździecka pasja kapitana była tu takim samym hobby jak zajęcia z aerobiku, na które chodziła jego sekretarka. Uśmiechnęła się do niego na powitanie.

— Smutne wieści o panu Hollisie.

— Tak. To okropne.

— Wszystko w porządku?

Zerknął na nogę.

— Tak. Po prostu robię się za stary na skakanie na koniu.

— Oba pańskie popołudniowe spotkania zostały odwołane. Dzwonił sekretarz energetyki. Chce z panem zjeść lunch. O pierwszej u Duke'a Zeiberta.

— Dziś?

— Tak.

Nie chciał nigdzie wychodzić.

— W porządku.

— Zadzwonię do jego sekretarki.

Skinął głową i pokuśtykał do gabinetu, którego okna wychodziły na Mail oraz pomnik Lincolna, widoczny tuż nad wierzchołkami drzew. Na ścianach wisiały scenki rodzajowe z polowań na lisy: żeglarstwo nigdy nie pociągało Showersa, chociaż przez większość kariery zajmował się sprawami morskimi, a rodzina jego matki — marynarze i rybacy z dziada pradziada — mieszkała nad morzem, w Rhode Island. Kuzyn kapitana, Jack Spencer, w młodości wygrywał nawet jakieś regaty. Gdyby nie został dziennikarzem, a do tego tęgim pijakiem, pewnie zdobyłby medal na olimpiadzie.

Dla Showersów puchary, nagrody i zwycięstwa zawsze były świętością. Ale go to jeszcze obchodzi?

Główna ozdoba gabinetu nie miała nic wspólnego ze sportem. Był to duży, stojący na podłodze globus, osadzony w zabytkowej ramie — biegunem południowym do góry. Długoletni zwierzchnik kapitana, a zarazem jego mistrz i nauczyciel, Elliot Richardson, mawiał: „W ten sposób łatwiej zrozumieć, jak ważne są oceany”. Rzeczywiście, zajmowały prawie całą półkulę, zostawiając kontynentom tylko niewielkie skrawki na obrzeżach.

Jednak na globusie, rzecz jasna, nie widać atmosfery, a wraz z nią coraz bardziej niepokojących zniszczeń w ochronnej warstwie

ozonu. Tego roku dziura przekroczyła swoimi rozmiarami wielkość Antarktydy.

Pośpiesznie przejrzał pocztę i wyciągnął dwa opasłe raporty z Komisji Ochrony Środowiska. Doskonale wiedział, co zawierają, ale potrzebował szczegółowych informacji przed kilkoma ważnymi spotkaniami, które miał odbyć w tym tygodniu.

Wnioski z raportów były równie zatrważające jak tempo niszczenia ozonu w atmosferze. Jedno z opracowań zawierało szacunkowe dane na temat rocznej produkcji odpadów w Stanach Zjednoczonych. W 1989 roku oceniano, że na przełomie stuleci ich ilość nieznacznie przekroczy dwieście szesnaście milionów ton, gdy tymczasem osiągnięto ten poziom znacznie wcześniej. Z powodu zanieczyszczeń na początku sezonu turystycznego zamknięto niemal wszystkie plaże od Delaware aż do Long Island.

Drugi raport oceniał zakwaszenie wód w jeziorach stanu Nowy Jork. Showers przypomniał sobie, jak dziesięć lat wcześniej odwiedził w Ottawie swojego kanadyjskiego odpowiednika, który poważnie zachorował i został właśnie wysłany na wcześniejszą emeryturę. Stał przy oknie gabinetu, smutno spoglądając na bezkresne połacie lasów na północy i powiedział:

— Tam wszystko powoli umiera. Na razie nikt mi nie wierzy, ale to samo stanie się pewnego dnia z waszymi jeziorami.

Sądząc z informacji zawartych w raporcie, choroba wchodziła właśnie w fazę terminalną.

Włożył dokumenty do dużego drewnianego pudła, w którym trzymał wszystko, co dotyczyło niszczenia środowiska. On i jego współpracownicy nazywali to „piekielną skrzynką”. Była już prawie pełna.

Nadchodziła pora lunchu. Tego dnia miał się spotkać ze starym przyjacielem.

Rząd Stanów Zjednoczonych nie mógłby funkcjonować bez waszyngtońskich restauracji i barów, tak samo jak kwiaty nie zakwitną bez pomocy pszczół.

Od początków istnienia amerykańskiej republiki to właśnie tam nawiązywano kontakty, zawierano sojusze i zdradzano tajemnice. Biesiadna atmosfera sprzyjała szczerzej wymianie poglądów w stopniu

niemożliwym do osiągnięcia podczas oficjalnych spotkań czy rozmów telefonicznych.

Przytulny stolik gdzieś w kącie lokalu stał się narzędziem prawdziwej demokracji. Sekretarz departamentu i dziennikarz, ambasador i niższy urzędnik partyjny, generał i adiutant z Białego Domu; wszyscy rozmawiali jak równy z równym. Zwykle chodziło o wzajemne przysługi, ale czasem były to tylko bezinteresowne spotkania przyjaciół, takich jak David Showers oraz sekretarz energetyki Waldemar San-dinauskas. Siedzieli u Duke'a Zeiberta, gdzie prawdopodobnie powstało więcej nowych ustaw niż w jakiegokolwiek sali konferencyjnej na Kapitolu.

Kto nie doceniał Sandinauskasa, bardzo szybko źle na tym wychodził. Amerykanin litewskiego pochodzenia, postawny, bezpretensjonalny i rozbijający uprzejmy eks-kongresman, którego pozorna szorstkość oraz niewyszukany gust maskowały intelekt oraz niezwykłą znajomość spraw międzynarodowych, urodził się w zadymionej, górniczej dolinie w środku Pensylwanii i nigdy nie ukończył żadnego uniwersytetu: rozległą wiedzę zawdzięczał żarłocznie pochłanianym książkom. Był członkiem Izby Reprezentantów przez siedem kadencji, dochodząc do stanowiska przewodniczącego Komisji Energetyki i Handlu oraz wiceprzewodniczącego Komisji Spraw Zagranicznych. Obecny prezydent mianował go sekretarzem energetyki.

Sandinauskas i Showers poznali się w 1970 roku podczas słynnej „wojny dorszowej” między Islandią a Wielką Brytanią. Pomimo gwałtowności konfliktu Departament Stanu zlekceważył problem, całkowicie pochłonięty zimną wojną oraz narastającym napięciem na Bliskim Wschodzie. Showers, wówczas młodszy urzędnik w ambasadzie w Reykjaviku, był głęboko przekonany, że Islandia ma całkowitą rację w sporze ze swoim potężnym sąsiadem i nie zawaha się nawet przed wyrzuceniem amerykańskiej marynarki z kluczowej bazy lotniczej w Keflaviku, jeśli Londyn nie ustąpi. Co więcej, trafnie przewidywał, że żądanie dwustumilowego pasa wód terytorialnych stanie się wkrótce międzynarodową normą.

Sandinauskas, który zatrzymał się na wyspie w przerwie podróży do północnej Europy, zainteresował się argumentami młodego dyplomaty i po przyjeździe do Waszyngtonu interweniował w Komisji Spraw Zagranicznych oraz Departamencie Obrony, którym kierował jego dobry znajomy. W imię jedności Paktu Północnoatlantyckiego

Wielka Brytania została zmuszona do negocjacji, a Sandinauskas i Showers zostali z czasem serdecznymi przyjaciółmi.

— Więc co o tym sądzisz, Dave? Czy śmierć Hollisa zmieni cokolwiek? — zapytał sekretarz, zamówiwszy duszone żeberka z ma karonem.

Kapitan uśmiechnął się. Nie znosił, kiedy nazywano go Dave, ale dla Sandinauskasa robił wyjątek. Mimo wszystko lepsze to niż Spencer, jak mawiali niektórzy współpracownicy z Departamentu Stanu.

— Nie stoję tak wysoko na drabinie. Poza tym Hollis wcale nie był zły. Nadawał się świetnie na ambasadora.

— Pod warunkiem wysłania go do kraju, w którym nie ma gór. — Sandinauskas pociągnął łyk martini, sadowiąc się wygodniej na krześle. — Kiedy rozmawialiśmy ostatnim razem, wspomniałeś, że masz widoki na jakieś poważne zajęcie w związku z paktem.

— Dobrze wiesz, jak wyglądała moja tak zwana kariera. Pakt to pierwsza naprawdę godna uwagi sprawa, w której biorę udział.

— Słyszałem, że wszedłeś w skład międzyministerialnej rady, powołanej przez Moody'ego.

Showers skrzywił się.

— Noszę sprawozdania innych ludzi na spotkania w Białym Domu i od czasu do czasu odczytuję je na głos. Parę razy poproszono mnie nawet o komentarz. Poza tym uczestniczę w posiedzeniach różnych komisji, tłumacząc senatorom to, co ich podwładni już dawno wiedzą. Chociaż ostatnio nie jestem już tego taki pewien... W zeszłym tygodniu zostałem zapytany, dlaczego przyływ i odpływ zawsze dzieli od siebie dwanaście godzin.

— Jakie szanse ma pakt?

— Sam wiesz najlepiej.

— Ciekawi mnie twoje zdanie.

— Wszystko nie wygląda zbyt różowo. Chciałbym, żeby było inaczej, ale Kongres chyba się nie zgodzi. Na początek pakt oznaczałby stratę zbyt wielu miejsc pracy, a co za tym idzie, głosów w najbliższych wyborach. Oni po prostu nie są zainteresowani, aby myśleć perspektywicznie.

— A gdyby zrezygnować z ustaw i skupić się tylko na ratyfikacji?

— Bez ustaw pakt nic nie znaczy.

— Będzie znaczył jeszcze mniej, jeśli w ogóle nie zostanie ratyfi-

kowany. W każdym razie takie są plany Białego Domu. Sam słyszałem dziś rano. Teraz pakt, a ustawy na jesieni.

— Myślę, że Moody wie, co robi. Spotkaliśmy się podczas weekendu w Dandytown. Raczej trudno nazwać go przesadnie uprzejmym.

— Za to potrafi być naprawdę przebiegły.

— Ufasz mu? Ma dosyć dziwnych znajomych.

— Zachowuje niezwykłą lojalność wobec prezydenta. Jest jego najlepszym człowiekiem, oczywiście, nie licząc nas dwóch.

Showers poczuł się zażenowany.

— Wykonuję tylko swoje obowiązki.

— Wiem. Właśnie dlatego przyszedłem do ciebie. — Sandinauskas wypił jeszcze trochę martini, a potem wyciągnął z kieszeni kopertę i położył ją na stoliku. — Myślisz, że Japończycy podpiszą pakt?

— Szybciej przestaną sprzedawać nam swoje samochody.

— Ale ich zgoda wiele by pomogła, nie uważasz?

— Z pewnością, zwłaszcza jeśli chodzi o inne azjatyckie tygrysy: Tajwan, Koreę. Nie mówiąc już o wpływie na Kongres. Ale to niemożliwe. Miałem do czynienia z Japończykami wiele razy, w kwestii połowu ryb i polowań na wieloryby. Nie ulegają dyplomatycznej perswazji. To po prostu nie w ich stylu.

Sandinauskas otworzył kopertę.

— Zawsze jest jakieś wyjście, Dave. Zawsze.

W środku znajdowała się fotokopia listu Napiera, informującego o tym, że Stany Zjednoczone rozważają zastosowanie sankcji ekonomicznych wobec Japonii, o ile nie podpisze ona Paktu o Ziemi i nie ograniczy rabunkowych polowań na wieloryby. Proponowano wprowadzić takie same utrudnienia importowe dla japońskich samochodów, jakim podlegał eksport wozów amerykańskich za ocean; a jeśli i to nie wystarczy — parytet na wszystkie towary w handlu między dwoma krajami, zakaz połowu ryb przez Japończyków w promieniu dwustu mil morskich od każdej amerykańskiej wysepki na Pacyfiku, a nawet całkowity bojkot Tokio na arenie międzynarodowej.

— To absolutnie niemożliwe, Waldemarze. Proponujesz kolejne Pearl Harbor.

— Masz rację. Gdyby prezydent ogłosił publicznie treść tego listu, musieliby zareagować. Wciąż pamiętają kapitulację i nie dadzą się ponownie upokorzyć. Ale wcale nie trzeba od razu wywoływać wojny. Można tylko dać im do zrozumienia, że jesteśmy na nią gotowi.

— Pośrednio.

— Tak, pośrednio. Przecież konflikt koreański nie skończył się dlatego, że Eisenhower oddał Chińczykom i Koreańczykom wszystkich jeńców wojennych, niezależnie od tego, czy ci nieszczęśnicy chcieli wracać, czy nie. On zagrał inną kartą. Atomową. Wysłał do Korei działa z głowicami i pozwolił, aby chińscy szpiedzy to odkryli, a Pekin zdał sobie sprawę z możliwych konsekwencji.

— A więc Japończycy mają się dowiedzieć, mimo że nic nie zostanie ogłoszone publicznie?

Sandinauskas skinął głową.

— Czy prezydent naprawdę zamierza podjąć takie kroki?

— Tak. Chyba powinienem trzymać język za zębami, ale zostałem wtajemniczony przez samego Moody'ego.

— Piekielny pomysł.

— Chcemy, żeby wszystko wyglądało na przypadkowy przeciek.

— Dlaczego nie zajmie się tym CIA?

— Nie uwierzą im.

— Więc kto? -

Ty.

— Ja?

— Na pewno współpracowałeś z jakimś Japończykiem, któremu ufasz, a on ufa tobie.

— Oczywiście. Na naszym szczeblu to niezbędne.

— Znajdź kogoś odpowiedniego i wygadaj się przy okazji.

Showers zerknął na list.

— Pod jakim pretekstem?

— Że się przejąłeś. Taka afery znacznie pogorszy stosunki amerykańsko-japońskie. Zrujnuje wszystko, czym zajmujesz się od lat.

— Nie uważasz, że to trochę zbyt dwulicowe?

— Na miłość boską, Dave, przecież jesteś dyplomatą.

Ale kapitan wciąż nie wyglądał na zachwyconego.

— Zrozum, nie wystarczy odwołać się do wyższych rasji. Niemcy i Francuzi popierają nas tylko dlatego, że muszą. Europejczycy mają już dosyć umierających drzew i coraz chętniej głosują na rozmaite partie zielonych. Natomiast resztę świata niewiele to obchodzi. Rozumiem Chińczyków i Rosjan, bo niełatwo wykarmić tylu ludzi. Ale trzeba zmusić Japończyków. Uważają się za lepszych od innych, tak jak ci cholerni Anglicy. Wszelkie ograniczenia są poniżej ich godności.

— To chyba nie najlepszy pomysł.

— Każdy jest dobry, jeśli chodzi o drani, którzy uzależnili nasze dzieci od gier komputerowych.

Kelner przyniósł zamówione dania. Showers wybrał tylko sałatkę, ale i tak jego talerz był pełen jedzenia.

— Weź ten list i przemyśl sobie wszystko. Nie chcę cię do niczego zmuszać. Ale nigdy nie przekonamy Japończyków, grając fair. Poza tym już dawno powinienes zostać ambasadorem. Jeśli przyjmiesz moją propozycję, Biały Dom na pewno ci się odwdzięczy.

— Nie chodzi o moją karierę, tylko o pakt.

— To najlepszy sposób, aby przyspieszyć jego wprowadzenie w życie. Zastanów się i zadzwoń do mnie jutro.

Moody, swoim zwyczajem, zjadł lunch przy małym stoliku koło kominka, nawet nie wychodząc z gabinetu. Wrócił do pracy, zanim kelner zdążył posprzątać talerze.

Na biurku leżała pojedyncza kartka papieru — rozkład dnia prezydenta:

„8.00 Raport wywiadu. Uczestniczą: szef gabinetu i doradca do spraw bezpieczeństwa państwa. Gabinet Ovalny.

8.15 Raport Rady Bezpieczeństwa Państwa. Uczestniczą: wiceprezydent i szef gabinetu. Gabinet Ovalny.

8.45 Spotkanie z szefem gabinetu. Gabinet Ovalny.

10.00 Posiedzenie rządu. Sala Gabinetowa.

11.50 Telefon do ucznia — laureata ogólnokrajowego konkursu ekologicznego.

14.00 Konferencja prasowa. Sala 450.

15.00 Spotkanie z sekretarzem skarbu. Gabinet Ovalny.

15.25 Prezentacja założeń programu reformy szkolnictwa. Gabinet Ovalny.

1530 Wręczenie nagród nauczycielom i uczniom najlepszych szkół podstawowych. Południowy Trawnik.

16.30 Spotkanie z szefem gabinetu. Gabinet Ovalny".

Z wyjątkiem porannego spotkania z Moodym i telefonu do ucznia — chłopca z Illinois, który zdobył pierwszą nagrodę w konkursie ekologicznym za projekt przetwarzania domowych odpadków, prezydent zrezygnował z pozostałych punktów programu. Ale Moody nie mógł już niczego odwołać. Zlecił funkcje reprezentacyjne wiceprezydentowi, a sam poprowadził posiedzenia Rady Bezpieczeństwa Państwa

i rządu. Spotka się też z sekretarzem skarbu, który będzie jak zwykle narzekać, że ograniczenia emisji zanieczyszczeń napotkają sprzeciw Międzynarodowego Funduszu Walutowego. Moody każe mu się zamknąć i robić to, co do niego należy.

Były szef gabinetu, Donald Rumsfeld, kierujący Białym Domem przed aferą Watergate, opublikował kiedyś kilka zasad dla swoich następców.

Jedną z nich było: „Jeśli masz wątpliwości, zostaw decyzję prezydentowi”.

Moody nigdy dotąd nie musiał tego robić.

Inna brzmiała: „Konstytucja przewiduje tylko jednego prezydenta — i to nie ty nim jesteś”. Ale konstytucja nie przewidywała prezydenta, który odwołuje ważne posiedzenie rządu i zaniedbuje bezpieczeństwo kraju, żeby napisać list z kondolencjami do wdowy po szkolnym przyjacielu.

Rumsfeld sformułował jeszcze jedną zasadę: „Nie zawahaj się przed złożeniem dymisji, kiedy przyjdzie odpowiedni moment. To podniesie twoją wartość w oczach prezydenta i sprawi, że staniesz się jeszcze efektywniejszy”. Moody nie uważał, żeby można mu było zarzucić niedostateczną efektywność, a z zajmowanego stanowiska zamierzał zrezygnować tylko w jednym przypadku.

Myślał o tym już od dawna, ale od momentu, w którym dowiedział się o śmierci Hollisa, nie mógł skoncentrować uwagi na niczym innym.

Pomimo całej władzy i odpowiedzialności, nieustannego napięcia oraz ryzyka niepowodzenia posada szefa gabinetu do niczego nie prowadziła. Dla każdego polityka, który mniej lub bardziej skrycie marzył o prezydenturze, najlepsza droga na ten fotel wiodła przez lekceważone i na pierwszy rzut oka pozbawione jakiegokolwiek znaczenia stanowisko wiceprezydenta. Ale zwykły urzędnik państwowy, taki jak Moody, który nie miał szans zdobyć popularności wśród wyborców, musiał najpierw wejść do rządu.

Thomas Jefferson i Martin van Buren zostali prezydentami właśnie w ten sposób. Rumsfeld oraz James Baker, którzy jako szefowie gabinetu de facto rządili krajem, mieli już dosyć anonimowości i niewdzięczności, więc sprytnie wkręcili się do rządu — Rumsfeld został sekretarzem obrony, a Baker sekretarzem stanu. Spisali się doskonale i przynajmniej byli poważnymi kandydatami w wyborach.

Chcąc uzyskać nominację wiceprezydencką, powinien najpierw zostać sekretarzem stanu. Prezydent zawdzięczał wybór zdecydowane-

mu stanowisku w sprawie ochrony środowiska i poświęcił się całkowicie idei Paktu dla Ziemi. Gdybym doprowadził do ratyfikacji, pomyślał, będę mógł prosić o wszystko. Prezydent naprawdę szanował i cenil Skipa. Ale teraz Hollis nie żyje. Blisko szczytu piramidy zostało puste miejsce.

Jack Spencer nie był tak siwy jak młodszy o kilka lat kuzyn, ale mimo to wyglądał na swoje lata. Zanim został waszyngtońskim dziennikarzem, pracował jako reporter policyjny, a potem korespondent zagraniczny. Obracając się wśród zbrodni i wojen, sam miał do czynienia z ludzką krwią. Jeśli wierzyć plotkom, zabił nawet dwóch ludzi: żołnierza armii rządowej w Salwadorze i terrorystę z IRA w Irlandii Północnej, próbującego podłożyć bombę pod hotel, w którym zamieszkał Jack.

Pracując od kilku lat dla niewielkiej agencji w stolicy, postarzał się niewiarygodnie szybko. Pogarda dla żalostnej hipokryzji tak zwanej amerykańskiej demokracji wyryła się na jego twarzy o wiele głębiej niż okrucieństwa, których był świadkiem wcześniej. Miał piękną, bogatą żonę: zdradzała go przez całe małżeństwo, aż wreszcie odeszła. Inna kobieta, którą kochał, została zamordowana; potem dowiedział się, że pracowała dla CIA, a ich znajomość miała czysto zawodowy charakter.

Już nie żeglował. Większość wolnego czasu spędzał przesiadując w knajpach. Showers spotkał się z nim w barze „Round Robin”, w holu hotelu „Willard”. Stylowe wnętrza z początku wieku miało przyciągać dziennikarzy z pobliskiego centrum prasowego, lecz moda na picie minęła i lokal wypełniali głównie goście hotelowi oraz turyści. Spencer nawet się z tego cieszył. Przynajmniej nikt go nie znał.

Był równie wysoki jak kapitan, ale chudszy. Zgarbiony nad barem, spojrzał podejrzliwie na laskę Showersa.

— Jakaś nowa moda w Departamencie Stanu, czy też wreszcie spadłeś z konia?

— To drugie. Miałem fatalny weekend. Zginął koń, jego jeździec złamał nogę i nigdy już nie wystartuje, a pewna trenerka oraz jej mąż śmiertelnie przedawkowali narkotyki.

— Rozumiem, że to dość typowy bilans dnia na wyścigach. Coś wygrałeś?

— Jeden nieważny bieg. Ale przegrałem gonitwę o Puchar Dragonów i przy okazji skrzyłem kostkę.

— Cóż za nieszczęście. Matka zawsze mawiała, że szaleństwo macie we krwi. Może teraz trochę ci przejdzie.

Kapitan nie odpowiedział. Zamówił dietetyczną colę, podczas gdy Spencer kończył właśnie kolejnego manhattana.

— Chciałeś mojej rady?

Showers wyciągnął list, który dostał od Sandinauskasa. Dziennikarz zapalił fajkę i uważnie przeczytał jego treść.

— To prawda?

— Nie wiem.

— Jeśli tak, to nigdy nie sądziłem, że prezydent jest aż takim durniem.

— Chcą, żebym się wygadał przed jakimś japońskim dyplomata. Mają nadzieję, że sankcje zachęcą Tokio do podpisania Paktu o Ziemi.

— Nie bardzo rozumiem, jak miałbym ci pomóc. Nie znam żadnego odpowiedniego japońskiego dyplomaty. W ogóle nie znam żadnego dyplomaty, który by się do czegoś nadawał. Poza tobą, oczywiście.

— Nie o to chodzi. Sam znam odpowiedniego człowieka. Problem w tym, że nie wiem, czy powinienem zrobić coś takiego.

— Pokazać list?

— Tak. Uważam, że to blef. Chcą wykorzystać moją wiarygodność, aby Japończycy uwierzyli.

— Biały Dom ma szczęście. Znaleźli najuczciwszego faceta w Waszyngtonie. Uczciwi ludzie najlepiej kłamią.

— Uczciwy człowiek nie zrobiłby czegoś podobnego.

— Kazali ci?

— Nie. Raczej zwrócili się z nieoficjalną prośbą o przysługę. Barman przyniósł colę. Spencer wskazał swoją pustą szklanekę.

— Myślisz, że to ułatwi ratyfikację paktu?

— Szczerze mówiąc, chyba tak.

— Paskudny wybór, co nie? Trzymać się zasad i może zaszkodzić paktowi, czy zrobić świństwo w słusznej sprawie.

— Tak.

— Coś ci powiem, stary. Jeśli tak to traktujesz, lepiej zrezygnuj i zapisz się do kółka charytatywnego. Tam nie będzie żadnych świństw, tylko same zasady. Nie trzeba decydować, bo nic się nie znaczy.

— Dlaczego miałbym rezygnować? Coś takiego nie należy do moich obowiązków.

— Wiesz, co myślę o wojnach? Nie wygrywali ich bohaterowie i wielu wodzowie, tylko głupcy, którzy popełnili mniej błędów niż głupcy po drugiej stronie. Podobnie jest w dyplomacji. Sukcesy odnoszą dranie, którzy są sprytniejsi niż inni dranie.

— Więc jeśli chcę wygrać, muszę być draniem, tak?

— Jest ładniejsze określenie: pragmatyzm.

— Wcale mi się to nie podoba.

— Cóż, chciałeś mojej rady, więc ją masz. Pokaż jeszcze ten list.

— Po co?

— Zapomniałem, jak się nazywał tamten gość. — Spencer przeczytał głośno: — Peter Napier. Nigdy o nim nie słyszałem.

Moody rozmawiał właśnie w korytarzu Zachodniego Skrzydła z jednym z doradców prezydenta, kiedy zjawiła się sekretarka. Dzwonił Bloch. O ile nie robił tego zbyt często i uważał na słowa, wszystko w porządku. Ale szefa gabinetu nie wzywa się tak po prostu do telefonu. Poza tym miliarder na pewno nie chciał mu prawić komplementów.

Może po prostu nie odbierać, a tylko przekazać wiadomość, pomyślał w pierwszej chwili Moody, ale rozmyślił się. Bernie i tak jest już wystarczająco wściekły.

— Cześć, stary. Mam nadzieję, że nie zawracasz mi głowy jakimś głupstwem.

— Dobrze wiesz, o co chodzi — zadziwiająco spokojnie odparł Bloch.

— Przykro mi, że musiałem tak nagle wyjechać, ale wyniknęło kilka problemów. Są rzeczy ważne i ważniejsze, rozumiesz? Kazałem jednemu z moich ludzi zadzwonić do Deeny. Nie skontaktowała się z tobą?

— Za późno, Bobby. Konia kupił ktoś inny. Twoja córka.

— May? Żartujesz.

— Nie. Zabrała go i gdzieś zniknęła. Naprawdę mnie wkurwiła.

— Bernie, na miłość boską, opanuj się. Dzwonisz do Białego Domu.

— Muszę mieć tego ogiera, Bobby. A ona zrobiła to dlatego, że jesteśmy przyjaciółmi. Chce nas skłócić.

— Nie zamieniliśmy nawet jednego słowa. Skąd miałyby wiedzieć, że chcesz kupić jakiegoś konia?

— Muszę się z nią skontaktować.

Tylko tego brakowało. Moody nie miał zamiaru pogorszać i tak już napiętych stosunków z córką.

— Chyba nie mogę ci pomóc. Nie rozmawiałem z nią od trzech lat. Mieszka gdzieś w Kalifornii.

— Wiem. Ma zastrzeżony numer, sprawdziłem. Pomyślałem, że pewnie będziesz go znał.

— Przykro mi. Wyprowadziła się jakiś czas temu. Zresztą może wciąż siedzi w Waszyngtonie.

— Spróbuję dowiedzieć się czegoś od Genevy. Nie wyprowadziła się przypadkiem z Wirginii Zachodniej?

— Nic ci nie powie. Nie chce rozmawiać nawet ze mną. Przykro mi, ale naprawdę nie mogę ci pomóc, Bernie. A teraz, jeśli nie masz nic przeciwko temu, jestem zajęty. Zadzwoń do ciebie później.

— Bobby, proszę cię jak przyjaciela, jak najlepszego przyjaciela.

Moody doskonale zdawał sobie sprawę z faktu, że kiedy podnosi się słuchawkę rządowego telefonu, nigdy nie wolno zapominać, że ktoś może nagrywać rozmowę.

— To prawda, jesteś moim przyjacielem, ale mam też szefa. Porozmawiamy później, zgoda?

— Ejże, co ja słyszę? Chcesz mnie tak po prostu spławić? Te wyścigi uderzyły Berniemu do głowy.

— Później, stary.

Ku zdumieniu Moody'ego Deena była zaskakująco miła, kiedy wrócił do domu tuż po dziewiątej wieczorem. Nie wspomniała ani słowem o niedzieli i nie protestowała, kiedy odmówił pójścia na przyjęcie w brytyjskiej ambasadzie, na które czekała z niecierpliwością od wielu tygodni.

W łóżku także potraktowała go wyjątkowo czule. Kiedy zasypiał, przyszło mu do głowy, że chciałby znaleźć się w podobnej sytuacji z Lenore Fairbrother. Na pewno nie była zimna, bierna i niedostępna jak inne kobiety z wyższych sfer. Mniej wyrachowana, ale za to bardziej spontaniczna. Zwariowana.

— Bob — zagadnęła go nagle Deena, przysuwając się bliżej. — Myślałam o May...

— No nie, chyba zmówiliście się z Berniem. Dzwonił dziś do mnie do Białego Domu. To jakaś dziwna sprawa. May podkupiła mu konia.

— Słyszałam. Ale nie o tym chciałam rozmawiać.

Zrobił się czujny. Jego córka prawie kiedyś pobiła Deene, jeszcze przed rozводом z Genewą. Wlewała w siebie wtedy całe litry wódki i łykała tony prochów.

— Kiedy ją wczoraj zobaczyłam, poczułam się naprawdę nieswojo.

— No i?

— Jest równie piękna jak kiedyś.

— Może nawet bardziej.

— Pomyślisz, że zwariowałam, ale, moim zdaniem, ona chce pojednania. Chce skończyć wojnę między wami.

— Niemożliwe. Widziałaś, jak uciekła.

— Więc dlaczego przyjechała do Waszyngtonu?

— Będzie grać w teatrze, nie czytasz gazet?

— Ale dlaczego właśnie w Waszyngtonie, a nie na przykład w Nowym Jorku?

— Chce być bliżej matki.

— Bliżej ciebie.

— Marzenia, Deeno. Gdyby chciała pokoju, już dawno by się odezwała. Zagra tu tylko dlatego, że chodziła do szkoły Juilliarda. Wszyscy tamtejsi absolwenci wcześniej czy później trafiają do zespołu Folgera.

— Chciałabym do niej zadzwonić, Bob. Wciąż mam nadzieję, że kiedyś zaakceptuje mnie jako swoją żonę.

Gwiazdy filmowe zawsze fascynowały Deene. Chętnie pokazywała się w ich towarzystwie. Gdyby zaprzyjaźniła się z May...

— To chyba nie najlepszy pomysł.

— Mimo wszystko spróbuję. Cóż to szkodzi?

— Nie, Deeno.

Usiadła.

— Napiszę list. Masz przecież jej nowy adres.

Moody naprawdę chciał już spać.

— Korespondencją zajmuje się agent May. Nick Aaronson czy jakoś tak. Coast Talent Associates, w Santa Monica. Ale ona nie odpisze, zapewniam cię.

— Dziękuję, kochanie.

Obróciła się i przytuliła do niego plecami. Robiła tak tylko wtedy, kiedy była z czegoś bardzo zadowolona.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Minęło kilka dni, zanim Showers podjął decyzję. Ale kiedy wreszcie to zrobił, wszystko wydało się takie proste. Bez ratyfikacji przez Stany pakt nie znaczy nic. Nie podpisany przez Japonię — prawie nic. Zrobi, o co go proszą. W końcu nikogo nie musi zabić. Chodzi tylko o kłamstwo, a może zdoła uniknąć nawet tego.

Umówił się ze swoim japońskim przyjacielem Kurosawa niedaleko Kapitolu, w restauracji „Gangplank” nad Kanałem Waszyngtońskim, jedynym miejscu w Dystrykcie Kolumbia, w którym czuło się bliskość oceanu.

W stolicy urzędnicy państwowi na szczeblu Showersa rzadko zapraszali kogoś na lunch w interesach. Za granicą byłoby inaczej, ale w kraju Departament Stanu skrupulatnie liczył każdego wydanego dolara. Dlatego kapitan płacił z własnej kieszeni.

„Gangplank” był przyjemnym i niedrogim lokalem. W ostrym słońcu niebieskie wody Potomacu kontrastowały z białymi kadłubami jachtów zakotwiczonych w przystani. Nad głowami skrzeczały stada mew.

Kurosawa pełnił funkcję szefa sekcji morskiej ambasady. Rozmawiali przede wszystkim o spornej kwestii rybołówstwa wokół Alaski. Konflikt trwał już wiele miesięcy. Showers zasugerował, że być może Stany Zjednoczone pójdą wreszcie na kompromis, zezwalając na zwiększenie połowów przez Japończyków, jeśli ci z kolei przestaną rościć pretensje do części amerykańskich wód przybrzeżnych. Byłby to niewątpliwy przełom, gdyż do tej pory obie strony nie chciały się zgodzić na żadne ustępstwa. Oficjalnie stanowisko Waszyngtonu nie uległo zmianie, ale Showers dowiedział się od swojego bezpośredniego zwierzchnika, że śmierć Hollisa usunęła istotną przeszkodę: zmarły sekretarz interesował się przede wszystkim Europą, a gardził Japończy-

kami. Natomiast kierujący obecnie Departamentem Stanu podsekretarz Richmond dał się poznać jako zwolennik pojednania i kompromisu. Wszystko razem stanowiło wygodny pretekst do rozmowy.

Dyplomata z zainteresowaniem wysłuchał słów kapitana, ale nie sprawiał wrażenia zdziwionego. Japończycy okazali się mistrzami w tworzeniu dobrze opłacanych lobby, które broniły ich interesów na każdym szczeblu w Kapitolu. Zapewne dowiedzieli się o wszystkim dużo wcześniej niż Showers, którego rewelacje tylko potwierdzały wcześniejsze doniesienia.

— Jak wygląda sprawa Paktu o Ziemi? — zapytał Kurosawa. — Ma szanse przejść?

Także w tej kwestii Japończycy byli o wiele lepiej poinformowani od kapitana. Potężne lobby wystąpiło przeciwko paktowi, gdy tylko jego pierwsze projekty trafiły do Senatu.

— Dopóki nie policzy się głosów, nigdy nie wiadomo.

— Podobno prezydent chce najpierw doprowadzić do ratyfikacji paktu, odkładając uchwalenie niezbędnych ustaw na później. Czy to prawda?

— Od rozpoczęcia kadencji rozmawiałem z prezydentem tylko raz, podczas przyjęcia z okazji Bożego Narodzenia. Życzył mi wesołych świąt.

Kurosawa uśmiechnął się. Showers lubił Japończyka. Czasami jeździli razem konno albo godzinami rozmawiali o wspólnej pasji obu narodów — morzu. Pomyślał, że to najlepszy moment i sięgnął do kieszeni.

— Chcę ci coś pokazać.

Kiedy Kurosawa zaczął czytać, uśmiech szybko zniknął z jego twarzy.

— Kim jest ten Peter Napier?

Kapitan wzruszył ramionami.

— Jakaś plotka w Komitecie Narodowym.

— Jeśli to prawda, Davidzie, konsekwencje mogą okazać się bardzo poważne.

— Słyszałeś o tym wcześniej?

— Nie. — Japońska intonacja sprawiła, że słowo zabrzmiało niemal jak szczerknienie.

— Więc jestem pewien, że to niemożliwe. Ten facet musiał być na tyle głupi, aby przelać na papier jakieś plotki, które zawsze krążą po Waszyngtonie.

— Skąd to masz?

— Od jednego z moich szefów. — Tu właśnie zaczynało się kłamstwo. — Poprosił, żebym to sprawdził. Pomyślałem, że najlepiej zwrócić się do ciebie. Komitet Narodowy nabrał wody w usta, a ludzie z Białego Domu, z którymi rozmawiałem, traktowali mnie jak wariata.

— Niewiarygodne.

— To właśnie powiem mojemu szefowi. — Showers sięgnął po list, ale Kurosawa zapytał:

— Czy mogę go pożyczyć? Spróbuję dowiedzieć się czegoś więcej.

— Raczej nie. Mógłbym mieć poważne kłopoty.

Japończyk szybko przeczytał wszystko jeszcze raz.

— Bardzo interesujące. — Ruchem ręki przywołał kelnera.

— To ja cię zaprosiłem — zaprotestował kapitan.

— Och nie, proszę. Przyniosłeś mi bardzo dobre wieści w sprawie Alaski. Muszę się za to jakoś zrewanżować — odparł Kurosawa.

Pośpiesznie podał kartę kredytową. Showers zaproponował podwiezienie do ambasady, ale Japończyk odmówił. Niemal wybiegł na Maine Avenue i zatrzymał taksówkę.

Kapitan pokuśtykał do swojego dzipa. Zanim wsiadł do środka, podarł list na drobne kawałeczki i wrzucił je do kosza na śmieci na nabrzeżu.

Wcześniej myślał, że po fakcie będzie czuł się wstrętnie, ale niespodziewanie ogarnęła go dziwna radość. Po chwili zrozumiał dlaczego. Jeśli nie liczyć dość przypadkowego epizodu na Islandii, pierwszy raz w życiu zrobił coś naprawdę ważnego i potrzebnego dla kraju.

Wspólnymi siłami Alixe Percy, Becky Bonning, weterynarza i dwóch stajennych udało się przetransportować Moonsugar ze stajni przy torze wyścigów na farmę Showersa. Koń zniósł podróż całkiem dzielnie, a złamanie nie było aż tak poważne, jak się z początku wydawało. Jednak minie wiele tygodni, zanim wyjdzie na dziedziniec, orzekł weterynarz.

— A ten cholerny Lynwood Fairbrother chciał go zabić — odezwała się Alixe, kiedy została sama z Becky. — Nigdy już nie powiem złego słowa o Lenore.

— Szkoda, że David musi tak długo siedzieć w Waszyngtonie — odparła dziewczyna, głaszcząc łeb Moonsugar.

— Osobiście nie miałabym nic przeciwko temu, gdyby Brytyjczycy spalili to miasto jeszcze raz. Bezużyteczna kupa marmuru — złorzeczyła Alixe. Oparła ręce na biodrach i wyjrzała przez otwarte drzwi stajni. — Skoro już mamy przyczepę, przywieźmy ode mnie siwego ogiera, którego kupiła aktorka.

— Jesteś pewna, że dobrze zrobimy?

— Do diabła, tak.

— Co na to powie David?

— Będzie klął jak cholera i gadał, że nie przyjmie jałmużny, ale w końcu go przekonam. A nawet gdyby nie, poproszę, żeby przygotował bestię do wyścigów. Najważniejsze, żeby koń był u niego, Becky. Jeśli kiedykolwiek kapitan wróci tu na dobre, potomek Królowej Tashamore stanie się bardzo ważny. Podtrzymanie jego linii to rodzinny obowiązek Showersów. A David uwielbia obowiązki prawie tak bardzo jak ja bourbona.

— Czasami myślę, że nie zależy mi na niczym poza pracą.

— Jak tam twój rozwód z Billym?

— Wszystko załatwione. Czekam tylko na uprawomocnienie się wyroku.

— Nie robił trudności?

— On też chce się uwolnić. Cóż, mój ojciec mnie wydziedziczył. Napisał list, w którym wyjaśnia, że nie zmieni tego, dopóki będę żoną Billy'ego. Pewnie powiesz teraz, że to ostateczny dowód na to, że ożenił się ze mną dla pieniędzy.

Alixie parsknęła.

— Sukinsyn! Nie przepadałam za jego siostrą — morderczynią koni, ale poczułabym się o wiele lepiej, gdy to on opuścił ten padół.

— Był moim mężem.

— Musisz o nim zapomnieć. Gdyby znowu zaczął sprawiać kłopoty, daj mi znać. Przysięgam, że jeśli go tu kiedykolwiek zobaczę, wydarzy się nieszczęśliwy wypadek.

Każdej nowej wystawie w waszyngtońskiej National Gallery of Art nieodłącznie towarzyszyło uroczyste przyjęcie dla uhonorowania organizatorów, sponsorów i samych twórców. Poza nimi lista gości składała się zwykle z zarządu oraz kierownictwa muzeum, wyższych urzędników federalnych i kongresmanów. Ponieważ wśród ofiarodaw-

ców przeważały bogate wdowy, dla równowagi zapraszano także trochę młodych mężczyzn: krytyków sztuki i kawalerów z tak zwanych lepszych sfer stolicy.

Dlatego właśnie Showers bywał na większości wernisaży, organizowanych zwykle w supernowoczesnym Wschodnim Skrzydle. Kontynuował w ten sposób rodzinne tradycje: galeria została ufundowana przez rodzinę Mellonów z Uppemlle, a ojciec Showersa hojnie wspierał całe przedsięwzięcie, dopóki miał pieniądze; traktował to jako obowiązek, nieodłączną część jeździeckiego noblesse oblige. Kapitan nie mógł wesprzeć artystów żadnym liczącym się datkiem, ale przynajmniej służył towarzystwem swojej osoby podczas przyjęć.

Tego wieczoru otwierano wystawę rysunków i obrazów austriackiego artysty, Egona Schiele, więc menu składało się z najlepszych dań kuchni wiedeńskiej. Wśród zaproszonych osobistości był ambasador Austrii, a także ambasador Kanady, namiętny kolekcjoner dzieł Schielego. Zgodnie z programem goście mieli zwiedzić wystawę, odpocząć przy koktajlach na balkonie wychodzącym na dziedziniec Wschodniego Skrzydła, a następnie zejść na parter, gdzie dookoła fontanny rozstawiono oświetlone świecami stoliki i wielkie donice z krzewami, imitujące letni ogród w stylu wiedeńskim. Kolację urozmaicał koncert kwintetu smyczkowego, który grał krótkie utwory Mozarta. Wernisaże w National Gallery uważano powszechnie za wystawniejsze niż oficjalne przyjęcia w Białym Domu. Od czasu do czasu muzeum odwiedzał nawet prezydent.

Tym razem zjawiał się tylko Moody. Uczestniczył w podobnej uroczystości po raz pierwszy: jako gubernator Marylandu trafił wprawdzie kilka razy do Baltimore Museum of Art, ale nigdy nie zwracał uwagi na obrazy na ścianach. Teraz nie miał wyboru. Kiedy razem z Deeną weszli do Wschodniego Skrzydła, zostali wprowadzeni na wystawę przez młodą kobietę w wieczorowej sukni.

Przez chwilę czuli się wyjątkowo niezręcznie, jakby wszyscy patrzyli na nich, a nie na rysunki. Wreszcie Moody wypatrzył znajomą twarz senatora z New Jersey i podszedł do niego, zostawiając Deenę samą.

— Witaj, Charlie — powiedział. — Co cię tu sprowadza, do diabła?

— Dofinansowaliśmy Narodową Fundację Sztuki. Wszystko razem musi przecież sporo kosztować.

Spojrzeli na obraz, pod którym stali.

— Co to właściwie jest?

— Portret jakiejś kobiety. Chyba go nie skończył. — Kongresman przeczytał tabliczkę pod dziełem. — Nazywała się Schiele. Pewnie to jego żona.

— Siostra — rzucił ktoś z tyłu.

Słyszając dziwnie znajomy głos, Moody obrócił się i zobaczył mężczyznę w czarnym smokingu. Kapitan David Showers. Parę dni temu nawet nie znał nazwiska faceta, a teraz spotyka go co krok.

— Dobry wieczór, sir — powiedział Showers, wyciągając rękę na powitanie. — Dobry wieczór, senatorze.

— Witam — odparł Moody. — Więc mówi pan, że to jego siostra?

— Tak. Portretował ją bardzo często. W ogóle zostawił po sobie spory dorobek, mimo że umarł młodo, podczas epidemii grypy pod koniec pierwszej wojny światowej.

— I dlatego nie skończył tego obrazu? — próbował zgadywać Moody.

— Ależ on jest skończony. Schiele był minimalistą. Nie przywiązywał wagi do tła.

Zapadła krepująca cisza. Wreszcie kapitan odezwał się znowu:

— Jak rozumiem, chcemy najpierw ratyfikować pakt.

Moody zerknął na kongresmana, który raczej nie należał do zwolenników obecnej polityki rządu, a potem gniewnie przeszył wzrokiem Showersa. Liczba mnoga była zdecydowanie nie na miejscu.

— Prezydent nie zajął jeszcze oficjalnego stanowiska w tej sprawie.

— Dostałem dziś kilka nowych raportów — nie ustępował Showers. — W tym jeden szczególnie przerażający, z Australii. Przy obecnym tempie wzrostu liczby przypadków raka skóry, z powodu powiększającej się dziury ozonowej, naukowcy szacują, że wcześniej czy później zachoruje prawie dziewięćdziesiąt procent populacji.

— No tak, tam to dopiero świeci słońce — powiedział kongresman. Niespokojnie rozejrzał się dookoła, wypatrzył kogoś, z kim mógłby porozmawiać i szybko odszedł. Cała ta gadanina o ekologii stawała się coraz bardziej denerwująca. Ludzie zaczęli traktować jego rodzinny stan jak miejsce, w którym człowiek jest skazany na zagładę.

Showers spojrzął na Moody'ego.

— Spotkałem się dziś z dyplomatą z japońskiej ambasady.

— Tak? Cóż, to zapewne należy do pańskich obowiązków.

— Pokazałem mu list z Komitetu Narodowego.

Żadnej reakcji.

— Przeraził się — ciągnął dalej kapitan. — Z pewnością natychmiast poinformował zwierzchników.

— Nie wiem, o czym pan mówi.

— Sir...

— Powtarzam, nie mam pojęcia, o czym pan mówi.

— Ależ sekretarz Sandinauskas...

— Wally to niesamowity facet. — Moody uściśnął dłoń kapitana.

— Miło się z panem rozmawiało, Showers, ale muszę wracać do małżonki.

Znalazł Deenę na balkonie. Plotkowała z żonami wyższych urzędników federalnych, popijając szampana i obserwując spóźnionych gości. Kiedy podszedł, przytuliła się do niego z ostentacyjną czułością. Znał tylko jedną z trzech kobiet, z którymi rozmawiała: Jane Stoltz, żonę sekretarza rolnictwa. Wszystkie miały na sobie dość skromne suknie, kłopotliwie kontrastujące z obcisłą, głęboko wydekoltowaną kreacją Deeny. Narzekały na Pierwszą Damę; pani Stoltz spędziła z nią całe popołudnie w Mount Vernon, świętując Narodowy Dzień Lasu.

— Nie uwierzycie, ale posadzenie jednego drzewka celebrowała ponad godzinę — opowiadała.

— Może po prostu nie chciała pobrudzić sobie rąk — zaśmiała się druga z kobiet.

Deena uważnie rozglądała się dookoła niczym myśliwy na polowaniu. Nagle otworzyła szeroko oczy, zaskoczona. Przez chwilę Moody sądził, że zobaczyła prezydenta. Obrócił się szybko, ale dostrzegł tylko Fairbrothera z żoną. Lenore miała na sobie szmaragdową suknię, a na głowie mały diadem: bez wątpienia prezentowała się najlepiej spośród wszystkich kobiet obecnych na przyjęciu.

Lynwood podszedł do grupki zamożnie wyglądających ludzi, najwidoczniej swoich przyjaciół, ale Lenore natychmiast wypatrzyła Moody'ego.

— Witaj, kochanie! — krzyknęła, całując go w policzek i obejmując ramieniem. — Jakże miło cię znowu zobaczyć! Na pewno polubisz artystów. Są tak samo zdeprawowani jak koniarze, tylko o wiele bardziej dyskretni.

Deena zmroziła ją spojrzeniem.

— Dobry wieczór wszystkim — ciągnęła dalej Lenore. — Dobrze

się bawicie? Egon Schiele to naprawdę niezwykły artysta. Szkoda, że pokazują tylko przyzwoite prace. Większość jest tak nieznośnie obsceniczna... O, widzę, że przyszła Bunny Mellon. Przepraszam, ale muszę się przywitać. Miło było was znowu zobaczyć. Następnym razem przyprowadźcie ze sobą waszego cudownego przyjaciela, pana Blocha. Galerii bardzo by się przydało trochę jego pieniążków...

Pożeglowała dalej, witając kolejnych znajomych. Moody czuł, że purpurowieje.

Natomiast Deena sprawiała wrażenie, jakby za chwilę miała kogoś zabić.

— Co oni tu robią? National Gallery to nie stajnia.

— Fairbrother zasiada w zarządzie. Finansuje sporą część zakupów muzeum.

— Mnie o wiele bardziej interesuje Centrum Kennedy'ego — odparła.

Niestety, pomyślał. Właśnie tego popołudnia oficjalnie zgłosił kandydaturę żony senatora Sorensona. Przeprosił panie, mówiąc, że chce jeszcze raz obejrzeć wystawę.

Showers cierpliwie wysłuchał nie kończących się przemówień, a potem wyszedł z galerii. Wprawdzie podczas kolacji Lenore szepnęła mu do ucha, że mogłaby zostać na noc w Waszyngtonie zamiast wracać z mężem, ale powiedział: nie. Doskonale wiedziała, że tego nie zrobi — dał słowo Lynwoodowi — i dlatego prowokowała go jeszcze bardziej. Wprost uwielbiała takie zabawy. Co gorsza, na ogół wygrywała. Jako fanatyczny anglofil Fairbrother pozwalał żonie mieć kochanków — nawet pod własnym dachem — bo takie zachowanie należało do najlepszych tradycji brytyjskiej arystokracji. Ale nie mógł tolerować czegoś tak poniżającego, jak odnowienie romansu Lenore z Davidem.

Było bardzo ciepło. Showers mieszkał w pobliżu Kanału Waszyngtońskiego, kilka przecznic od National Gallery. Postanowił, że spróbuje przejść pieszo chociaż kawalek: nie potrzebował już laski, bo noga prawie przestała boleć. Schodząc po schodach, zatrzymał się na chwilę i spojrzał w niebo, na księżyc. Nastrojowe, niebieskawe światło padało na wymarłe gmachy.

Pomyślał, że jego życie przypomina miasto nocą: jest tak samo smutne i puste.

Zawsze kiedy próbował nadać mu jakiś sens, przegrywał: kochał Lenore, lecz nie potrafił zatrzymać jej przy sobie; próbował ratować rodzinny dom, ale nigdy nie zdołał przywrócić w nim życia. Poświęcił się pracy — aby wreszcie zrozumieć, że na zawsze zostanie tylko posłańcem. Przekazał wiadomość Kurosawie, a potem został odprawiony jak niepotrzebny służący.

Stojąc w obliczu pustki życia, jego kuzyn Jack zaczął pić. Showers obywał się bez tego, ale chyba naprawdę był już niepotrzebny — nikomu i do niczego.

May spędziła wieczór ze swoim agentem — jedynym człowiekiem w Los Angeles, o którym wiedziała, że nie będzie próbował zaciągnąć jej do łóżka. Poszli na przedpremierowy pokaz nowego filmu z Robertem Redfordem i Jane Fonda. Było to przygnębiające widowisko. Obie gwiazdy okazały się za stare do swoich ról, wymagających zresztą o wiele większego talentu. Gdyby nie aktorskie przesady, May podarłaby ankietę na strzepy. Sama przeżyła podobny koszmar ostatnim razem, mimo że reżyser dostał kiedyś Oscara, a scenariusz oparto na niezłej francuskiej powieści. Dlatego napisała kilka miłych słów i wrzuciła formularz do skrzynki przy wyjściu.

— Chcesz się czegoś napić? — zapytał agent.

— Tak, coli.

— Myślałem o czymś mocniejszym. Pojedziemy nad ocean?

Mieszkał w Topanga Beach, na tyle blisko Malibu, na ile pozwalały mu na to zarobki.

— Nie. Znam niezłą restaurację niedaleko mnie, „II Cielo”. Mają taras, więc możemy popatrzeć na księżyc.

Kiedy wyprowadziła się z ogromnego domu w Malibu Canyon, znalazła małe mieszkanie na Burton Way, tuż przy autostradzie łączącej Beverly Hills z Los Angeles. Sześć miesięcy, na które je wynajęła, mijało w październiku. Do tego czasu wszystko może się zmienić.

Agent jeździł mercedesem — kabrioletem, także wynajętym. Tu, w Kalifornii, nikt nie przywiązywał wagi do własności. Ludzie przychodzili i odchodzili, kupowali i sprzedawali, sukces przepłatał się z porażką. Sama May miała starego, zdezelowanego volkswagena, zaparkowanego teraz przy krawężniku przed domem. Kupiła go,

kiedy odniosła sukces, w nadziei, że pozwoli jej zachować anonimowość. Sprawdzał się doskonale także w chudych latach.

Jadąc do „II Cielo”, minęli go po drodze. W pierwszej chwili odniosła wrażenie, że z samochodem coś jest nie w porządku, ale kiedy się obejrzała, dziwne uczucie minęło. Stał spokojnie na swoim miejscu, dokładnie tam, gdzie go zostawiła.

W restauracji usiedli przy stoliku na tarasie, tuż obok żywo płótu obwieszonego sznurami lampek. Świece na żelaznym świeczniku migotały na wietrze. Wszystko razem przypominało trochę atmosferę świąt.

Ubrany na czarno skrzypek z długimi włosami grał nastrojowe melodie. Zbyt romantyczne dla kogoś tak samotnego jak May.

— Jesteś pewna, że tego chcesz? — zapytał agent.

— Co li? Jasne.

— Nie, mam na myśli powrót do Waszyngtonu. Całą tę cholerną zabawę w Szekspira.

— Kevin Kline i Michelle Pfeiffer też grywają Szekspira.

— Pomiedzy jednym filmem a drugim.

— Gryzie cię, że niewiele na mnie zarobisz, co?

Skrzywił się.

— Universal obsadza nowy film o Indianach, z Kevinem Costnerem w roli głównej. Z tymi czarnymi długimi włosami byłabyś świetna.

— Powiedzmy, że dostałabym trzy sceny. Noszenie chrustu z lasu, seks z głównym bohaterem na niedźwiedziej skórze przy ognisku oraz bieganie dookoła wigwamów podczas finałowej masakry.

— To może być wielki przebój.

— Przez trzy tygodnie w wypożyczalniach wideo. Poza tym i tak by mnie nie wzięli. Sporo niezłych aktorek nie ma pracy. W zeszłym miesiącu widziałam na zdjęciach próbnych nawet Elisabeth McGovern.

— Boję się, że jeśli teraz wyjedziesz, już nigdy nie wrócisz.

— Wrócę. Za wcześniej na emeryturę. Nie na takich warunkach.

— Zobaczysz się z ojcem?

— Mówiłam ci, widziałam go teraz, kiedy pojechałam podpisać kontrakt. Coś strasznego.

— Nie spróbujesz się z nim pogodzić?

— Do diabła, oczywiście, że nie. Ile razy muszę to powtarzać?

— Dzisiaj zadzwoniła twoja macocha. To miała być niespodzianka, więc pewnie nie powinienem nic mówić.

May zamarała.

— Jaka znowu niespodzianka?

— Zamierza do ciebie napisać. Dałem jej adres.

Zamknęła oczy i potrząsnęła głową, a potem spojrzała na księżyc. Był tak bliski, a jednocześnie taki obojętny.

— Przecież ci zabroniłam. Żadnych wyjątków.

— Spokojnie, to tylko twoja rodzina.

— Ta kobieta do niej nie należy.

Wypiła łyk coli i poczuła obrzydliwy, metaliczny posmak w ustach. Nie miała już na nic ochoty.

— Jestem zmęczona. Chcę wracać do domu.

Wysadził ją tuż przed szklanymi drzwiami i odjechał w kierunku Santa Monica Boulevard. Zanim weszła do środka, jeszcze raz zerknęła na samochód i nagle zrozumiała, co zaniepokoiło ją przedtem. W środku paliła się lampka, a drzwi od strony pasażera były nieco uchylone.

Zakłęła i podbiegła do wozu. Już miała go zamknąć, kiedy zauważyła papiery na podłodze — dowód rejestracyjny, ubezpieczenie, kilka starych rachunków za naprawy i paczkę chusteczek. Ktoś szperał w schowku na rękawiczki. Zakłęła raz jeszcze, wrzuciła wszystko z powrotem do środka i trzasnęła drzwiami. Na szczęście nic nie zginęło, a bagażnik wyglądał na nietknięty.

W budynku, małej bryle w stylu Art Deco, z zaokrąglonymi narożnikami oraz ścianami ze szklanych kafli mieściły się tylko cztery mieszkania. Nikt nie pilnował wejścia. Powoli wdrapała się na schody, w każdej chwili gotowa do ucieczki.

Drzwi były zamknięte na klucz. Otworzyła je i aż jęknęła.

Wszystko leżało rozrzucone na podłodze: szuflady biurka zostały opróżnione, tak samo szafki w kuchni. W sypialni wałała się bielizna. Złodzieje znaleźli schowek, w którym trzymała część biżuterii, zabraną z bankowego sejfu: szmaragdowy naszyjnik i kolczyki, a także sznur sztucznych pereł.

Usiadła na łóżku, cała roztrzęsiona, a potem podniosła słuchawkę i wykrciła numer policji — chociaż nie wierzyła, żeby to cokolwiek pomogło. Kolejny zły znak. Po prostu musiała wyjechać z Los Angeles.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

W Dandytown religię dziedziczyło się wraz z krwią przodków. Fairbrotherowie, Alixe Percy oraz większość mieszkańców należeli do kościoła episkopalnego, tak jak ich dziadowie i pradziadowie, a Showerowie od pokoleń tworzyli filar miejscowej wspólnoty prezbiteriańskiej.

Natomiast Bonningowie byli baptystami. Wprawdzie rzadko chodzili do kościoła, ale na pogrzebie krewnej zebrali się wszyscy. Stali teraz dookoła grobu, słuchając modlitwy pastora. Poza matką Vicky nikt nie płakał.

Do grobu składano tylko jedno ciało. Clayowie, którzy pochodzili z Karoliny Północnej, zabrali zwłoki Meade'a w rodzinne strony, chcąc przynajmniej po śmierci rozdzielić go od pechowej żony.

Kościół z czerwonej cegły stał na wzgórzu na północ od Dandytown, niedaleko dwupasmowej szosy do Berryville. Cmentarz rozciągał się z tyłu, pod kilkoma rozłożystymi dębami. Groby — z wyjątkiem paru samotnych pomników — tworzyły małe grupki, tak że całe rodziny leżały w jednym miejscu.

Ze wzgórza rozciągał się widok na wschodnie stoki Pasma Błękitnego, spowite mgłą. Gdzieś dalej na zachodzie błyskała popołudniowa letnia burza, ale w Dandytown świeciło słońce: gdyby nie pogrzeb, byłoby całkiem przyjemnie.

Kilka osób nie należało do rodziny — paru dżokejów, stajennych, barman z hotelu. Bernie Bloch nie pojawił się, rzecz jasna, ani też nikt go nie reprezentował. Przysłał tylko kwiaty.

Showers i Becky stali nieco z boku, jak najdalej od Billy'ego, który rzucał im groźne spojrzenia. Po Dandytown krążyły plotki, że znalazł już sobie inną kobietę: bogatą, brzydką i piętnaście lat starszą. Podobno mieszkała w Charlottesville.

Becky niecierpliwie przestępowała z nogi na nogę, odganiając muchy. Miała nadzieję, że wszystko wkrótce się skończy; przyszła tylko dlatego, że Showers nalegał, a właściwie ją zmusił. Dopiero co przyjechał z Waszyngtonu i wpadł na farmę jak burza, aby zostawić bagaże.

W pewnym momencie podczas kazania kapitan obejrzał się i ku swojemu zaskoczeniu zobaczył Lenore Fairbrother. Ubrana w kwiecistą, letnią sukienkę, stała oparta o nagrobek i paliła papierosa. Kiedy kilka minut później zerknął ponownie, zniknęła. Po chwili jej jaguar pomknął szosą w kierunku Dandytown. Lenore nie znosiła Vicky Clay. Choć obie miały na sumieniu podobne grzechy, uważała trenerkę za beznadziejnie głupią, wulgarną i pozbawioną smaku oraz stylu. Kilka razy doszło między nimi do ostrych kłótni, a kiedyś nawet kazała wyrzucić Vicky z hotelu. Może uważała, że mimo wszystko musi się z nią pożegnać.

Showers obserwował ceremonię ze smutkiem. Zawsze miał nadzieję, że biedna dziewczyna w końcu się ustakuje, oswobodzi od namiętności i żądz, które nią targały. A teraz już za późno.

Kiedyś naprawdę ją lubił. Podobała mu się jako nastolatka. Była ładna, odważna i utalentowana. Wygrywała jedne zawody po drugich. Chciał jej pomóc, wziąć pod swoje skrzydła, tak jak to zrobił z Becky, ale nie wyszło... Vicky po prostu nie dawała się poskromić.

Pomyślał o koniach, które zamęczyła... A teraz sama leżała w trumnie. Przykryta ziemią Wirginii. Sprawiedliwy zabierał swoje nieudane dzieło.

Kiedy pastor zamilkł, zapadła krępująca cisza. Nikt nie wiedział, co robić dalej. Powoli wszyscy zaczęli się rozchodzić. Kapitan złożył kondolencje matce Vicky, ale przyjęła je chłodno.

Szeryf Cooke i Wayne Bensinger także przyszli do kościoła, ale szybko wrócili na parking, dając do zrozumienia, że nie należą do żałobników. Szeryf czekał na Showersa przy jego dziepie.

— Czy mogę zająć panu trochę czasu, kapitanie? — zapytał. Miał na sobie cywilne ubranie: źle leżący brązowy garnitur i krawat w podobnym odcieniu.

Showers skinął twierdząco. Stanęli koło płotu, oddzielającego cmentarz od pastwiska, na którym pały się krowy.

— Przykro mi, że trzeba było tak długo zwlekać z pogrzebem — powiedział Cooke — ale czekaliśmy na ostateczne wnioski z sekcji. Ktoś zgubił pierwsze badania, więc patolog musiał wszystko powtarzać.

— Jestem pewien, że rodzina to zrozumie.

— Zna pan wyniki?

Kapitan kiwnął głową. Becky opowiedziała mu wszystko po drodze na cmentarz. Zapewne w Dandytown nie rozmawiano teraz o niczym innym.

— Straszna śmierć.

— Dlaczego Meade zrobił coś takiego?

— Nie wiem. Może nie miał nic innego pod ręką.

— Musiał bardzo jej nie lubić. Zdaniem patologa po zastrzyku żyła jeszcze ponad godzinę.

— To okropne.

Szeryf rozejrzał się i podrapał w nos. Bensinger stał daleko.

— Oficjalne ustalenie przyczyny zgonu wyznaczono na poniedziałek. Sprawa jest prosta: morderstwo i samobójstwo. Przeżyłem coś podobnego piętnaście, może dwadzieścia lat temu, w Edgarsburgu. Tyle że zabójca użył strzelby.

— Pamiętam.

— Tak jak powiedziałem, kapitanie, to nie potrwa długo. Mamy zeznania wszystkich, którzy byli wtedy w hotelu, z wyjątkiem pana.

— Niestety, musiałem pojechać do Waszyngtonu.

— Oczywiście rozumiem. Pewnie ma pan ostatnio sporo pracy.

— Chce mnie pan przesłuchać w poniedziałek? Powinienem wracać do stolicy, na ważne głosowanie komisji Senatu, ale skoro pan nalega...

— Nie chcę sprawiać kłopotów, ale pańskie zeznanie jest niezbędne. Znał pan ofiary.

— Jeśli tylko mogę w czymś pomóc, proszę bardzo.

Szeryf wyciągnął z kieszeni mały magnetofon i włączył go.

— Kapitanie Showers, gdzie pan był między piątą po południu a dziewiątą wieczorem w dniu wypadku?

Becky stała niedaleko, przyglądając się uważnie.

— Na terenie wyścigów, w namiocie dla dżokejów. Podczas jednej z gonitw spadłem z konia i lekarz zaaplikował mi środek przeciwbólowy. Zrobiłem się senny, więc postanowiłem odpocząć przed powrotem do domu. Nie chciałem prowadzić w takim stanie.

— Ktoś pana widział?

— Tak. Był tam Jimmy Kipp i chyba jeszcze jeden dżokej, przynajmniej kiedy zasypiałem. Jak wychodziłem, w pobliżu kręcili się stajenni.

— Widziano, jak rozmawiał pan z Vicky Clay przed jej powrotem do hotelu. O czym?

— To osobista sprawa, szeryfie.

— Ona nie żyje. Showers zmarszczył brwi.

— Czy to musi zostać nagrane?

— Proszę odpowiedzieć.

— Sądzę, że młoda dama była zainteresowana moją osobą. Złożyła mi propozycję, którą musiałem odrzucić.

Cooke wyszczerzył zęby. Niewielu mężczyzn w Dandytown odrzucało propozycje Vicky.

— Czy zna pan kogoś, kto nienawidził Clayów? Do tego stopnia, że mógłby ich zabić?

Mieli na pieńku z połową mieszkańców hrabstwa, pomyślał Showers.

— Powiedział pan, że to morderstwo i samobójstwo.

— Tak wygląda, ale muszę rozważyć wszystkie możliwości.

— Nie znam nikogo, przynajmniej w Dandytown, kto mógłby zrobić coś takiego.

— Aha. Jeszcze jedno, kapitanie. Meade Clay zajmował się pańskimi końmi. Był leworęczny czy praworęczny?

— O ile pamiętam, leworęczny. Posługiwał się dość sprawnie obiema rękami, ale pisał lewą.

Szeryf wyłączył magnetofon.

— No cóż, to wszystko. Dziękuję.

— Wszystko?

— Tak. Przepraszam, że zwracałem panu głowę w takich okolicznościach.

— Naprawdę mogłem przyjechać do pańskiego biura.

— Spodziewałem się, że pan tu przyjdzie, ale byłem ciekaw, kto jeszcze.

Musiał widzieć Lenore, przyszło do głowy Showersowi.

— Szeryfie, wątpi pan w to, że Meade zabił Vicky, a potem siebie samego?

— Wcale nie, ale powtarzam: muszę przeanalizować wszystkie możliwości. Chyba możemy zamknąć sprawę, ale gdyby policja stanowa miała jakieś zastrzeżenia, chcę mieć wszystko czarno na białym. Do widzenia.

Kiedy Cooke i Bensinger ruszyli do samochodu, Becky podeszła do kapitana. Wyglądała na zmartwioną.

- Co się stało, Davidzie?
- Nic takiego. Zadał mi kilka pytań na temat Vicky.
- Co chciał wiedzieć?
- Gdzie byłem, kiedy zginęła.
- I co powiedziałeś?
- Prawdę. Wzięła go za rękę.
- Wracajmy do domu.

Kiedy znaleźli się na farmie, poszedł prosto do stajni. Wprawdzie Becky i Alixe dzwoniły codziennie do Waszyngtonu, informując o wszystkim, ale po prostu nie mógł uwierzyć, że koń tak szybko dochodzi do zdrowia. Każdego dnia z niepokojem czekał na złe wiadomości.

Moonsugar ucieszył się na jego widok. Showers uważnie obejrzał zranioną nogę.

- Wciąż nie może na niej stawać — odezwała się Becky.
- I tak mieliśmy cholerne szczęście.

Poklepał zwierzę po grzbiecie i obejrzał listę leków, przygotowaną przez weterynarza.

- Sporo.
- Ale działa, Davidzie. Sama robię zastrzyki.
- Dziękuję — uścisnął ją. Nagle odwrócił się, słysząc rzenie konia w drugim końcu stajni.

- Co to? Nowy pensjonariusz?
- Można tak powiedzieć. Chodź, sam zobaczysz.

Potężny gniadosz kręcił się niespokojnie, najwyraźniej nieszczęśliwy z powodu osamotnienia.

- Czyż nie jest piękny?
- Czy to ten potomek Królowej Tashamore? Alixe wspominała, że go kupiła.
- Tak.
- Co on tu robi?
- Jest twój, Davidzie.
- Mój?

- Alixe ci wszystko wyjaśni. Niedługo się tu zjawi.
- Spojrzał gniewnie na Becky.
- Niech lepiej przyjedzie z przyczepą.

Alixę przyszła pieszo przez zagajnik, który oddzielał jej posiadłość od farmy Showersa. Kapitan wyprowadził gniadosza na podwórze.

- Osiedłaj go, Davidzie! — krzyknęła Alixe. — Chyba że się boisz? Przyniosła dużą brązową kopertę: papiery konia.

— Doceniam twoją hojność, ale nie mogę przyjąć takiego prezentu.

— A kto mówi o prezencie? Zamierzam ci go sprzedać.

— Daj spokój. Jest wart co najmniej sto tysięcy dolarów, może nawet więcej.

— W takim razie masz szczęście, bo zapłaciłam za niego ledwie tysiąc i tyle samo chcę od ciebie.

— Tysiąc? To niemożliwe.

Wyciągnęła dokumenty z koperty.

— Sam zobacz. Wszystko zgodnie z prawem.

— Kogo oszukałaś?

— Nikogo. Przecież mówiłam: nabywca zmienił zdanie.

— Powiedziałaś, że cena na aukcji wyniosła dziesięć tysięcy. Kto chciałby stracić dziewięć?

— Ktoś, kto ma dużo pieniędzy i nie zna się na koniach. Ciągłe się tacy trafiają.

Showers podszedł do gniadosza i poklepał go po grzbiecie.

— Kim był kupiec?

— To bez znaczenia.

— Przecież znajdę nazwisko w papierach.

— Nawet jeśli, to co?

— Więc kto?

— Aktorka, którą mi przedstawiłeś. May Moody. Córka gubernatora.

— Chciała kupić tego konia?

— Tak.

— A potem zmieniła zdanie?

— Gwiazdy z Hollywood robią czasami dużo dziwniejsze rzeczy, i co z tego? Najważniejsze, że tu jest.

— Alixe, ja po prostu nie mam tylu pieniędzy.

— Ale masz sto dolarów?

— Tak.

— Więc wezmę tyle, plus twoją klacz. Masz trzy lata, żeby go wytrenować i wystawić w zawodach. Jeśli do tego czasu nie zapłacisz mi pozostałych dziewięciuset, oddasz konia do stadniny, a pierwsze źrebię będzie dla mnie. Ale nie sądzę, żebyś musiał to zrobić. Wygrasz na nim Puchar Krajowy.

Zagryzł wargi.

— Najpierw zapytam o zdanie pannę Moody.

— Szlachetna myśl, ale ona naprawdę wyraziła się jasno: nie chce tego konia.

— Na pewno?

— Oczywiście, kochanie. Przyjmujesz moją propozycję?

— Byłbym głupcem, gdybym odrzucił coś takiego. Przygotuj papiery.

Alixie uśmiechnęła się.

— Już gotowe. Chodź do kuchni, podpiszesz je.

Kiedy Showers dopełnił formalności, zerknął jeszcze raz na kartę rejestracyjną i towarzyszący jej szkic konia. Zmarszczył brwi.

— Coś nie tak, Davidzie? — zapytała Becky.

— Coggins się nie zgadza — wyjaśnił, mając na myśli coroczne zaświadczenie od weterynarza, który sporządzał również rysunek zwierzęcia.

— Trudno oczekiwać arcydzieła — zauważyła Alixe.

— Nie zaznaczono białej skarpetki na tylnej prawej nodze. Gwiazdka na czole też jest inna, bardziej wydłużona.

— Weterynarze to skończeni idioci. Kto to rysował? Znamy go?

Znalazł właściwy podpis.

— Niestety, tak. Meade Clay.

Alixie naląła sobie drinka.

— Jesteś pewien?

— Sama zobacz.

— Pewnie po prostu się pomylił — powiedziała Becky.

— Koń pochodzi z New Jersey. Skąd nazwisko Claya?

— Vicky jeździła tam z Bernie Blochem. Czasami zabierali Meade'a.

Odsunął krzesło.

— Muszę spojrzeć na jego wargę.

Każdy wierzchowiec w Stanach ma wytatuowany numer na wewnętrznej stronie górnej wargi. Okazało się to dużo lepszym sposobem eliminacji kradzieży niż wieszanie koniokradów.

Numer na wardze zgadzał się z dokumentami. Showers uważnie obejrzał okolicę tatuażu. Gładka i różowa: żadnych śladów chirurgicznych przeróbek.

— Widzisz? — triumfowała Becky.

— Meade Clay był pijakiem i narkomanem — dodała Alixe. — Sądzę, że czasami miał kłopoty, żeby napisać nawet własne nazwisko.

Kapitan patrzył na zęby.

— Ten ogier ma podobno pięć lat. Ja nie dałbym mu nawet dwóch.

— Do diabła, czepiasz się szczegółów. Numer i kolor się zgadza, prawda? To piękne zwierzę. Na pewno nie zostałeś oszukany. Nawet jeśli Meade Clay odwalił robotę byle jak albo się po prostu pomylił, co za różnica? On już tego nie sprostuje.

— Coś się nie zgadza.

— Może to wina domu aukcyjnego? — zastanawiała się Becky.

— Domy aukcyjne nie robią takich błędów. Nie w Dandytown.

— Chyba przesadzasz, Davidzie. Nie chcesz, to nie. Zabiorę go do siebie. Mam już dość tych bzdur.

Showers położył rękę na ramieniu Alixe.

— Nie zrozum mnie źle. Naprawdę jestem ci wdzięczny. Wszyscy wiedzą, że bez ciebie dawno bym musiał sprzedać farmę. Ale coś jest nie tak. Może to wcale nie potomek Królowej Tashamore? Nie chcę się mieszać w podejrzane transakcje. Ty też nie powinnaś ani tym bardziej panna Moody.

— Jesteś jego właścicielem, Davidzie. Wszystko odbyło się zgodnie z prawem. Co chcesz zrobić, pojechać do New Jersey i pytać, czy to ten sam koń, którego wystawili na aukcję?

— Vicky mówiła, że chciał go kupić Bernie Bloch — zauważył. — Może on coś będzie wiedział?

— Vicky plotła trzy po trzy. Bloch nawet nie zjawił się na aukcji — odezwała się Becky.

— Bo nie mógł — odparła Alixe. — Ten kretyńszeryf nie wypuścił nikogo z hotelu. Co więcej, Bloch wysłał Billy'ego, który próbował zabrać konia pannie Moody.

Showers kopnął grudkę ziemi. Wyczyszczone rano buty pokryły się kurzem. Chciał się przebrać, zdjąć garnitur i założyć bryczesy.

— Alixe, kto w okolicy zna się najlepiej na koniach?

— Chyba Heather Freeman, z Berryville. Albo Kerry Donahue.

— Czy mogłabyś poprosić, żeby któraś z nich wpadła tu podczas weekendu i zerknęła na niego?

— Jestem pewna, że Heather nie odmówi. To najbardziej uczynna kobieta, jaką znam.

Nie mogli się skontaktować z panną Freeman, ale Kerry Donahue przyjechała jeszcze tego samego popołudnia. Uważnie obejrzała zwierzę, wyprowadziła je na podwórze, a nawet kazała mu przeskoczyć przez niski płot. Wyciągnęła właśnie takie wnioski, jakich Showers się spodziewał — chociaż wcale nie chciał ich usłyszeć: ogier miał około dwóch lat, prawie w ogóle nie był trenowany, a na pewno nigdy nie skakał. Mimo to jego wartość przekraczała sto tysięcy. Natomiast coggins rzeczywiście wyglądał dość podejrzanie.

Kapitan serdecznie podziękował Kerry. Aby odwdziżyć się za przysługę, Becky zaproponowała, że pomoże jej w stajni. Kiedy obie odjechały, Alixe przyjacielsko poklepała Showersa po plecach.

— Wkrótce wszystko wyjaśnimy. Myślę, że masz właściwego konia, tylko schrzanione papiery.

— To nie jest ten koń.

Potem pojechała na zakupy do Winchester, a Showers, zmęczony, powłókł się do sypialni, położył w ubraniu na łóżku i natychmiast zasnął.

Obudził się w ciemnościach. Becky jeszcze nie wróciła: nigdzie nie widział starej toyoty, którą jeździła od czasu rozvodu z Billym.

W oknie domu dla służby, gdzie mieszkała, paliło się światło. Rano pewnie zapomniała je zgasić. Kiedy zostawała sama na farmie, było włączone przez całą noc, aby odstraszać złodziei. Podeszedł powoli do drzwi — zdrętwiała noga znowu zaczęła boleć — i zastukał w futrynę.

— Becky, jesteś tam?

Żadnej odpowiedzi.

Wszedł do środka. Chyba nie powinien tego robić bez dziewczyny,

ale w końcu to jego farma. Chciał sprawdzić, czy nic nie zginęło podczas wyprowadzki Billy'ego.

W niewielkim salonie, zastawionym tanimi meblami i ozdobnymi reprodukcjami, panował nieporządek: porzucane gazety, puszki po coca-coli, opakowanie po krakersach, zabłocone buty.

Koło telewizora znajdował się magnetowid. Becky musiała kupić go niedawno: Billy zabrał przecież swój.

Showers podszedł bliżej. Czerwona lampka wskazywała, że w środku jest kasetka. Na pudełku napisano: VICKY. Taśma Billy'ego, którą Becky miała mu oddać.

Gdzie ona się podziewa, do diabła? Miała wrócić na kolację.

W małej kuchni stał aparat telefoniczny. Showers wykręcił numer informacji, a potem zadzwonił do Kerry Donahue. Okazało się, że Becky wyjechała do Dandytown godzinę temu.

Wrócił do salonu. Może znajdzie na tej taśmie coś, co zainteresuje szeryfa. Po chwili wahania włączył telewizor, a potem magnetowid.

Tak jak się spodziewał, zobaczył Vicky — nagą, kłęzącą na łóżku, tyłem do kamery. Kochała się z jakąś inną kobietą. To także nie zdziwiło kapitana. Już dawno słyszał plotki na temat jej upodobań. Co więcej, w miasteczku mówiono, że czasami do zabawy dołączał się Billy.

Showers patrzył przez chwilę zde gustowany, ale i z ciekawionym, kim jest partnerka Vicky. Wreszcie nacisnął „stop”. W końcu to własność Becky. W ogóle nie powinien wchodzić do domku.

Przez podwórze wrócił do głównego budynku i z kuchni zadzwonił do Alixe. Jeszcze nie wróciła. Zaintrygowany obecnością Lenore na pogrzebie, wykręcił numer Fairbrotherów, mając nadzieję, że odbierze sama, ale służący poinformował go, że państwo gdzieś wyszli.

Wtedy wpadł na inny pomysł. Niestety, w informacji w Los Angeles dowiedział się, że numer May Moody jest zastrzeżony. Niespokojnie przemierzając kuchnię, przypomniał sobie o dokumentach z aukcji. Widniało tam nazwisko i adres aktorki, Burton Way. A także telefon.

Po trzech sygnałach usłyszał jej głos, wyraźny i dźwięczny, nagrany na automatyczną sekretarkę. Już miał zrezygnować, kiedy nagle podniosła słuchawkę, zdenerwowana i niezadowolona. Najwyraźniej zadzwonił w nieodpowiednim momencie.

— Panna Moody? Mówi David Showers.

Cisza. Po chwili odezwała się znowu, już spokojniej.

— Ach tak, pamiętam. Pan jest tym dzokejem z Wirginii.

— Zgadza się.

— Przepraszam, ale skąd miał pan mój numer?

— Nie chciałem przeszkadzać... Był w papierach.

— Papierach?

— Dokumentach konia, którego kupiła pani na aukcji.

Zawahała się.

— Konia... Tak. Co z nim?

— No cóż, zaraz potem odstąpiła go pani pannie Percy.

— Coś mówiła na ten temat?

— Że się pani rozmyśliła czy coś w tym rodzaju.

— Zrobiłam głupstwo. Zauroczył mnie. Nie mam ani stajni, ani czasu na jazdę.

— Pochodzi z linii, która należała kiedyś do mojej rodziny. Kupiłem go dzisiaj za niewielką sumę.

— Naprawdę?

— Tak.

— W takim razie cieszę się, że znalazł właściwe miejsce.

— Lepiej miałyby u niej.

— Nie podoba się panu? Przecież jest piękny.

— Zbyt piękny.

— Nie rozumiem.

Czuł, że nie powinien zwracać jej głowy głupstwami. Jak na gwiazdę, była wyjątkowo miła, w przeciwieństwie do swojego nieobliczalnego ojca.

— Chciałbym się tylko upewnić, że rzeczywiście nie zależy pani na tym koniu. Jest wart sporo pieniędzy. O wiele więcej, niż zapłaciłem pannie Percy, a ona pani.

— Nie chce go pan?

— Oczywiście, że chcę. To wspaniały koń.

— Cóż, tak jak powiedziałam, cieszę się, że trafił w dobre ręce... — Zamilkła na chwilę. — Przepraszam, kapitanie, ale ktoś włamał się do mojego mieszkania i ukraść kilka cennych rzeczy. Mam na głowie ludzi z ubezpieczenia, policję... Sporo papierków do wypełnienia.

— Strasznie mi przykro.

— Wkrótce wracam do Waszyngtonu. Zaczynam próby w teatrze Folgera.

— Zagra pani Szekspira?

— Tak. Wpadnę zobaczyć, jak się sprawuje koń.
— Wspaniale. Zapraszam. Kiedy tylko będzie pani mogła.
— A ten drugi; ten, który został ranny...?
— Czuje się świetnie. Złamanie okazało się o wiele mniej groźne, niż myśleliśmy. Jest teraz w mojej stajni.
— Tak się cieszę... Przykro mi, ale naprawdę muszę już kończyć.
Dzięki za telefon.

— Ja...

— Do widzenia, kapitanie.

— Do widzenia.

Kiedy odkładał słuchawkę, od drzwi dobiegło ujadanie psa. W pierwszej chwili pomyślał, że wróciła Becky, ale przecież Hardtack nigdy na nią nie szczekał. Nie reagował też na żaden samochód: zawsze czekał, kto z niego wysiądzie.

Showers wyszedł na werandę. Pies wyskoczył za nim.

Między drzewami pojawiły się trzy konie. Okrążyły podwórze, a potem zniknęły za stajnią.

Kapitan spojrział w kierunku, z którego przygalopowały. Nad lasem zobaczył pomarańczową łunę, z każdą chwilą coraz jaśniejszą.

Zaczął biec tak szybko, jak mógł. Owczarek wyprzedził go, wciąż ujadając.

Stajnia Alixe składała się z dwóch długich, prostokątnych budynków otaczających podwórze. Jeden z nich ogień strawił już do połowy. Drugi był wciąż nietknięty, ale w każdej chwili mógł się zapalić.

Ktoś uwolnił z płomieni przynajmniej część koni, które biegały jak oszalałe po podwórzu. Stajenni próbowali je wylapać, ale przez otwartą bramę prowadzącą na pastwisko co chwila któryś wierzchowiec znikał w ciemnościach. Jeden ze służących bezskutecznie próbował gasić szalejący żywioł strumieniem wody z ogrodowego węża. Dwoje innych, oszołomionych — kucharz oraz pokojówka — zamarło z przerażenia i bezradnie patrzyło na ogień.

— Zostaw to! — krzyknął Showers do człowieka z węzem. — Lej na drugi budynek! Szybko, zaraz się zajmie od iskier!

Służący wykonał polecenie.

— Zawiadomiliście straż pożarną?

— Tak!

— Znajdźcie jakieś węże i pomóżcie mu! Trzeba zmoczyć dach!

Potykaçąc się, podbiegł do bramy. Zdzierając sobie skórę na palcach o żelazną zasuwę, zamknął ją tuż przed dwoma pędzącymi końmi, które z trudem wyhamowały i skręciły, aby nie wpaść na niespodziewaną przeszkodę. Potem odwrócił się i spojrział na ocalały budynek. Słyszał, jak uwięzione konie szaleją w środku z przerażenia.

Dziedziniec przed stajnią otaczał wysoki płot. Obok stał samochód terenowy z przyczepą do przewozu koni. Showers wsiadł do kabiny, znalazł schowane w środku kluczyki, uruchomił silnik i zatoczył koło, zatrzymując się prostopadle do płotu, tak aby wóz z przyczepą zagroził drogę ucieczki zwierzętom. Kiedy zaś w jednym miejscu strącił środkową i górną belkę, powstała zagroda, do której mógł je zapędzić.

Wszystko trwało o wiele za długo. Dym i żar stawały się nie do zniesienia. Krztusząc się, wbiegł do stajni. Zanim przyjechała straż, zdążył wyprowadzić do zagrody cztery konie. Resztę uratowali strażacy i stajenni. Po chwili zjawiała się Alixe.

— Co się dzieje, do diabła?! — krzyknęła.

W tym momencie z hukiem runęła środkowa część płonącej stajni. W powietrze strzeliły nowe snopy ognia. Showers zobaczył wystraszoną twarz Becky.

— Byłyśmy w hotelu — wyjaśniła. — Co się stało?

— Nie wiem — odparł. — Już się paliło, kiedy przybiegłem. Teraz trzeba łapać rozproszone konie. Część uciekła przez pastwisko za farmą.

— Jasna cholera! — klęła raz po raz Alixe. Becky próbowała schwytać jednego z wierzchowców, który wciąż kręcił się po podwórzu.

Strażacy podciągnęli dwa węże do stawu i zaczęli polewać zavalony budynek.

— Co mam robić? — rozpaczła Alixe. — Co robić, do cholery?

Showers nie wiedział, co odpowiedzieć. Brama jego farmy też była otwarta. Tamte trzy konie pewnie biegały teraz po szosie.

— Musimy złapać konie. Inaczej rozbiegną się po całym hrabstwie.

Drogą nadciągały kolejne pojazdy. Sąsiedzi spieszyli na pomoc.

— To ludzie z baru — domyśliła się Alixe. — Tylko narobią zamieszania. Wszyscy są zalani w trupa. Ja zresztą też. Cholera jasna. — Odwróciła się do stajennego. — Nie stój tak beczynnio! Osiodłaj co spokojniejsze konie! I przynieś latarki!

W tym momencie zobaczyli Becky. Jechała na oklep, kurczowo trzymając się grzywy konia. Płomienie powoli przygasaly.

— Jedziesz ze mną, Davidzie?

— Oczywiście.

— Więc ruszajmy!

Poszukiwania trwały całą noc i poranek. Jeden z koni, próbując przeskoczyć przez płot z drutu kolczastego, wpadł w porośniętą krzakami jamę i poranił się tak bardzo, że trzeba go było zastrzelić. Wszystkie pozostałe, z wyjątkiem dwóch, zostały schwytane i przyprowadzone do prowizorycznej zagrody. Większość nie uciekła zbyt daleko, ale trzy znalazły się dopiero o świcie na łące koło drogi, półtora kilometra od farmy. Alixe i Showers odesłali do domu Becky i pozostałych, którzy pomagali w pościgu, a sami ostatni raz powoli przejechali wzdłuż płotu, otaczającego ich posiadłości. Słońce weszło już wysoko i zaczęło mocno grzać.

Jeden z budynków stajni został doszczętnie zniszczony, a stojąca obok długa szopa poważnie uszkodzona. Poza tym farma nie ucierpiała zbyt wiele. Alixe miała szczęście.

— Tyle lat i nigdy nic się nie zapaliło. Przez tyle lat... — powtarzała. — Zawsze myślałam, że byłoby znacznie gorzej.

— Wystarczy — odparł Showers. — Żałuję tylko, że przybiegłem tak późno.

— Kochanie, gdyby nie ty, straciłabym wszystko.

Wjechali na podwórze. Nad stertami popiołu i nadpalonych desek wciąż unosił się dym. Większość strażaków odjechała, za to pojawił się szeryf i jego zastępcy. Zbierali szczątki czegoś, co mogło być jednym z brakujących koni, przyszło do głowy Alixe.

Ale nie było. Zwęglony szkielet należał do człowieka. Na widok pustych, przepastnych oczodołów i odsłoniętych zębów, zastygłych w makabrycznym grymasie, jeden z zastępców szeryfa odwrócił wzrok i złapał się za usta. Na Showersie, który część służby wojskowej odbył w Ameryce Środkowej, spalone ciało nie zrobiło żadnego wrażenia.

— To chyba Joe Smitts. Tylko jego nie widziałam w nocy.

— Uratował twoje konie — rzekł Showers. — Wyciągnął je wszystkie.

Alixie odwróciła się do pozostałych stajennych:

— A wy? Gdzie byliście, kiedy zaczęło się palić?

Spojrzeni bezradnie po sobie.

— W stodole — odparł jeden. — Graliśmy w karty. Joe usłyszał, że zwierzęta są niespokojne, więc poszedł sprawdzić. Tak, to pewnie on.

Szeryf Cooke trącił czaszkę grabiami.

— Musiał zostać stratowany. Kość z boku jest wgnieciona.

Weszli do kuchni. Alixe wyciągnęła butelkę whiskey. Kiedy usiedli na starych drewnianych krzesłach, rozstawionych dookoła okrągłego dębowego stołu, napełniła dwie szklanki, wypila swoją jednym haustem i, wyczerpana, odchyliła głowę do tyłu.

— Wciąż brakuje dwóch koni — odezwał się Showers.

— To bardzo dziwne, Davidzie. W całym stadzie miałam tylko dwa gniadosze i chociaż nie sprawdzaliśmy dokładnie, wydaje mi się, że właśnie one zniknęły.

— Prawnuk Królowej Tashamore też jest gniady — zauważył.

— Właśnie, Davidzie. Po aukcji Billy Bonning próbował go zabrać pannie Moody. A ponieważ on pracuje dla Berniego Blocha, więc jasne, że to Bloch mu kazał.

Showers potarł ręką podbródek.

— Jestem zbyt zmęczony, żeby myśleć logicznie.

— A ja nie. Zabito mi chłopaka i przynajmniej jednego konia.

— Alixe, ja też nie przepadam za Bernie Blochem, ale on nie podłożyłby ognia, aby ukraść gniadosza. To miliarder. Ma dość pieniędzy na kupno każdego konia w tym kraju.

— Ale Billy Bonning mógłby zrobić coś takiego, gdyby mu odpowiednio zapłacić. Dobrze wiesz, jak szybko pali się taki budynek. Jak jeden stajenny mógł wyprowadzić wszystkie konie, a potem sam upiec się żywcem?

— Był ranny.

— Tak, według szeryfa został stratowany. Przez ostatniego konia? To absurd. Jeśli stajnia płonąła, kiedy tam wchodził, zginęłaby co najmniej połowa zwierząt. Założę się, że najpierw je wypuszczono, a dopiero potem podłożono ogień.

— Na pożegnanie?

— Nie tylko. — Alixe dołała sobie whiskey. — Chcieli zatrzeć ślady. Mieli nadzieję, że konie uciekną, i tak by się stało, gdybyś nie przybiegł.

Przez chwilę siedzieli bez słowa. W końcu Showers podniósł się z krzesła.

— Szeryf pewnie jeszcze tam jest. Porozmawiajmy z nim.

— Nie, nie. Ten tłusty dureń pomyśli, że zwariowaliśmy. Najpierw chcę pokazać wszystko człowiekowi z firmy ubezpieczeniowej.

— Wiem, co zrobię. Pojadę do Dandytown. W sprawie cogginsa.

— Dobrze. A ja dowiem się, co Billy Bonning robił zeszłej nocy. — Wstała. — Chyba musimy zabrać gniasza w jakieś bezpieczniejsze miejsce niż twoja stajnia.

Ned Haney był członkiem rodziny równie starej co Showersowie czy Fairbrotherowie. Około 1880 roku jego przodkowie założyli w Dandytown biuro pośrednictwa w handlu końmi i od tego czasu Haneyowie sprzedawali i kupowali wszelkie rodzaje wierzchowców, dwa razy w roku organizując duże aukcje. Ned dzielił swój czas między Dandytown a Karolinę Południową i Nowy Jork, gdzie znajdowały się filie firmy. Często jeździł też do Europy, ale sezon wyścigów i polowań zawsze spędzał w rodzinnym mieście. Showers znał go od dzieciństwa i ufał mu bez zastrzeżeń.

— Coggins jest niedokładny, to oczywiste — oznajmił Haney. — Meade Clay, świeć Panie nad jego duszą, w ciągu ostatnich kilku lat mylił się nieraz. Zwykle wychwytywaliśmy w porę jego błędy, ale tym razem było naprawdę sporo koni, Davidzie. — Otworzył notatnik. — Dwieście siedem sztuk. Ale poza tym wszystko jest chyba w porządku. Co więcej, oficjalne zażalenie może złożyć tylko owa May Moody, a nie ty lub Alixe. Nawiasem mówiąc, Alixe naruszyła przepisy, kupując tego ogiera i sprzedając go tobie bez stosownego świadectwa weterynarza.

Haney wyprostował się na krześle. Był dystyngowanym mężczyzną o ciemnych, siwiejących włosach. Miał wyjątkowo atrakcyjną żonę, która pochodziła z Karoliny Południowej, ale mimo to po Dandytown krążyły plotki o innych kobietach w jego życiu. Nie wymieniano wśród nich Lenore.

— Nie chodzi mi o oficjalną skargę, Ned, ale o śledztwo. To w ogóle jakiś inny koń. Alixe jest tego samego zdania.

— Przecież mówiłeś, że tatuaż na wardze się zgadza. Nie ma śladu fałszerstwa.

— Są takie kraje — wśród nich Anglia — gdzie nie tatuuje się numerów.

— Sugerujesz, że koń został przemycony z zagranicy, a potem wystawiony na publicznej aukcji? — Haney znowu zajrzał do notatnika. — Sprzedano go za marne dziesięć tysięcy.

— Potomkowie Królowej Tashamore nie są teraz więcej warcii. Ale ten ogier jest znacznie cenniejszy. To naprawdę inny koń, Ned. Alixe i ja uważamy, że ma tylko dwa lata, a nie pięć, jak napisano w katalogu.

— Nawet jeśli to prawda, po co ktoś miałby zadawać sobie tyle zachodu za dziesięć tysięcy dolarów?

— Gdyby podczas licytacji było więcej chętnych, cena skoczyłaby w górę. Z powodu śmierci Clayów szeryf zatrzymał w hotelu wiele osób, między innymi Bernarda Blocha, który chciał kupić tego konia.

— Ostatnim razem zapłacił za jedną sztukę ćwierć miliona. Ale sądząc po papierach, nigdy by się nie zainteresował czymś takim.

Showers próbował przewyciężyć zmęczenie. Bezsenna noc i poranna whiskey z Alixe robiły swoje.

— Co wiesz o sprzedających? Poza tym, że są z New Jersey.

Haney wzruszył ramionami.

— Niewiele. Zjawili się w branży kilka lat temu. Wystawiają konie głównie na torach, w Nowym Jorku. Parę razy wygrywali.

— Dlaczego mieliby sprzedawać aż tutaj, a nie na dużych aukcjach, na przykład w Saratodze?

— Nasza firma nie jest aż taka mała, Davidzie — uśmiechnął się Haney. Jeszcze raz wzruszył ramionami. — Może rzeczywiście coś było nie w porządku, a Meade Clay udał, że tego nie widzi. Może myśleli, że łatwiej wcisną kit gamoniom na prowincji. Takie numery zdarzały się nieraz, na szczęście zawsze wychwytywaliśmy je w porę. Tylko że ty nie masz zastrzeżeń co do jakości konia, prawda?

— To wspaniała sztuka.

— Jeśli mimo wszystko chciałbyś złożyć zażalenie, proszę bardzo. Ale znasz regulamin aukcji. W przypadku zatajenia istotnej wady wystawionego na licytację zwierzęcia nabywca ma prawo odesłać je do domu aukcyjnego i otrzymać zwrot kosztów zakupu, powiększonych o koszty transportu, przechowywania oraz utrzymania od momentu zawarcia transakcji...

— Znam te przepisy na pamięć, Ned.

— ...pod warunkiem, że w ciągu siedmiu dni od zakupu pisemnie powiadomi o tym dom aukcyjny, dołączając odpowiednie zaświadczenie od uprawnionego weterynarza, że ukryta wada istniała w momencie licytacji. A w tym przypadku siedem dni już dawno minęło, a wraz z nimi prawo do reklamacji.

Kapitan podniósł się z krzesła.

— Ned, znamy się od lat. Już nasi dziadkowie robili razem interesy. Nie przychodziłbym do ciebie z błałego powodu. I nie zwariowałem, twierdząc, że to poważne fałszerstwo.

Haney także wstał.

— Jeśli naprawdę tak uważasz, Davidzie, nie zamierzam niczego lekceważyć. W mojej firmie nie toleruje się oszustw. Próbowałem ci tylko wytłumaczyć, jak skomplikowana jest cała procedura. Ale jeśli mogę w czymś pomóc, zrobię to na pewno.

— Więc co mam robić?

— Najprościej iść do sądu, jak zwykle. Ale musiałbyś pozwać Alixe, która z kolei pozwie pannę Moody, a dopiero ona zaskarży tamtych ludzi z New Jersey. Wszystko razem może ciągnąć się latami. I nie wystarczą podejrzenia. Musisz mieć dowody, czarno na białym.

Showers skinął głową.

— Co jeszcze?

— Możesz złożyć skargę do Stowarzyszenia Hodowców Koni, podając w wątpliwość pochodzenie konia. Wystarczy zwykły list, poświadczony przez notariusza. Albo możesz wysłać oficjalne pismo do mnie, a ja przekażę je do New Jersey.

Podał rękę Haneyowi.

— Dzięki, Ned. Serdeczne dzięki.

— Co zamierzasz zrobić?

— Wszystko, co zaproponowałeś.

Wracając do domu, zatrzymał się na farmie Alixe. Nie było jej tam i nikt nie wiedział, kiedy wróci. Strażacy i policja odjechali, a stajenni wciąż uprzęтали pogorzeliśko. Część wyłapanych koni zmieściła się w ocalałym budynku, ale większość wciąż trzymano w prowizorycznej zagrodzie.

— Odprowadźcie je do mnie — zaproponował. — Mam dużo wolnego miejsca w stajni. Tylko weźcie ze sobą paszę.

— Tak jest, kapitanie. Panna Percy będzie panu wdzięczna.

— Przekażcie jej, że służę wszelką pomocą.

Toyota stała przed domkiem. Nie chciał przeszkadzać Becky, więc poszedł prostu do głównego budynku. Czas napisać listy, o których mówił Haney.

Noga i plecy bolały coraz bardziej. Nie zwracając na to uwagi, postawił na biurku maszynę do pisania i wkręcił kartkę papieru z nagłówkiem farmy.

Ale słowa nie przychodziły tak łatwo. W przeciwieństwie do snu.

Obudził go telefon. Dzwoniła Alixe.

— Wszystko w porządku? Pomyślałam, że umarłeś — tak długo nie odbierałeś.

— Zasnąłem na krześle. Powinienem się po prostu położyć do łóżka.

— Chętnie bym tam z tobą wskoczyła, skarbie. Objechałam całe Dandytown. Znaleźliśmy moje konie w sadzie przy drodze do Berryville, co najmniej osiem kilometrów od farmy.

— Miały po drodze sporo płotów.

— Tak, to bardzo interesujące, prawda? Zabawiałam się też w detektywa. Wiem, gdzie spędził noc Billy Bonning, a przynajmniej gdzie go widziano. Pieprzył się ze swoją nową kochanką z Charlottesville w tamtejszym motelu.

— Rozmawiałas z nim?

— Nie, z barmanem. Poszli do pokoju wieczorem, a wyszli dopiero rano. Ale kto wie, może przeleciał ją na dobranoc, a potem wymknął się podpalić moją stajnię. Może ta kobieta go kryje.

— Alixe, widziałem się z Nedom Haneyem. Niewiele z tego wynika, ale mam kilka pomysłów. Musimy to przedyskutować.

— Nie dzisiaj, kochanie. Przy okazji, dzięki za zaopiekowanie się moimi pogorzalcami. Zjadły całą trawę dookoła domu.

— Przynajmniej to mogę dla ciebie zrobić.

— Jesteś niesamowitym człowiekiem. Przeklinam dzień, w którym zobaczyłeś Lenore.

— Dobranoc, Alixe. Do zobaczenia rano.

— Do zobaczenia... Aha, jeszcze jedno. Wiem, gdzie ukryjemy gniadosza. Pomysł pewnie ci się nie spodoba, ale jest naprawdę dobry.

— Gdzie?

— Znam pewną dżokejkę w Charles Town, w Wirginii Zachodniej.

Kiedyś ściagała się dla mnie. Ma małą stajnię. Nikomu nie przyjdzie do głowy szukać tam twojego rumaka.

— Czy to na pewno konieczne?

— Chcesz zobaczyć jeszcze jeden pożar? I Becky leżącą w popiołach, tak jak mój stajenny?

— Dobranoc, Alixe. Śpij spokojnie.

Nalał sobie kawy i zabrał się znowu za pisanie listów. Kiedy skończył, była prawie północ.

Wyszedł na dwór. Stajenni Alixe przeprowadzili konie, a teraz karmili je i czyścili. Głośno rozmawiali między sobą, klnąc raz po raz. Zaproponował swoją pomoc, ale podziękowali, więc ruszył na drugi koniec stajni.

Gniadosz sprawiał wrażenie zadowolonego z licznego towarzystwa. Showers poklepał go po grzbiecie. Szkoda, że nie miał żadnego imienia.

Ojciec pewnie zatrzymałby ogiera albo szybko sprzedał, biorąc tyle, ile naprawdę wynosiła jego wartość. Przecież sprzedał nawet Królową Tashamore. Wyobraził sobie ojca dzwoniącego do Bernie Blocha.

Ale jaka jest prawdziwa wartość tego konia? Może Alixe i Kerry Donahue coś przeoczyły? Może był bezpłodny? Albo narowisty? Skąd pochodził i przez co przeszedł? Zbyt wiele tajemnic.

— Davidzie...

W drzwiach stajni stała Becky. Miała na sobie luźną, odsłaniającą piersi nocną koszulę i tenisówki.

— Przespałaś cały dzień — powiedział — a teraz będziesz się męczyć do rana.

— Davidzie, chyba wczoraj Billy zakradł się na farmę.

— Alixe myśli tak samo. Jej zdaniem właśnie on podpalił stajnię. Ale wszystko wskazuje na to, że spędził noc gdzie indziej. Z kobietą.

— Przeszedł tu. Pamiętasz taśmę, którą zostawił? Z napisem VICKY?

Showers odwrócił wzrok.

— Miałaś mu ją zwrócić.

— Była w magnetowidzie, a teraz jej nie ma. Musiał ją zabrać, bo któż by inny? Przecież nie ty.

— Nie, ja jej nie wziąłem.

— To Billy, na pewno. Pewnie wszedł do domku podczas pożaru.

— Nikt go nie widział.

- Wszyscy łapali konie.
- Becky, tak czy inaczej, to jego taśma. Miałas mu ją oddać.
- Należała do Vicky. Chciałam ją spalić.
- Co na niej było? — Nieuczciwe pytanie. Sam widział kilka sekund, więc mógł się domyślić.
- Przecież znałeś Vicky. Świństwa. Jej rodzina na pewno by nie chciała, żeby ktokolwiek to oglądał.
- Jesteś pewna, że sama gdzieś nie przelożyłaś tej kasety?
- Nie. Była w magnetowidzie, na pewno. A teraz zniknęła.
- Mamy ważniejsze sprawy na głowie. Jeśli zniknęła, to trudno. Nic nie odpowiedziała.
- Becky, dasz sobie radę sama? Jutro muszę wracać do Waszyngtonu.
- Jak zwykle.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Moody nigdy dotąd nie opuścił posiedzenia rządu, ale tego ranka miał ku temu powód. Po trzech nieudanych próbach senacka komisja spraw zagranicznych głosowała wreszcie w sprawie Paktu o Ziemi. Chciał przy tym być. Niech patrzą mu w oczy, mówiąc nie. Komisja zbierała się w budynku Dirksena. Moody przyjechał tam w towarzystwie Wolfensona i dwóch innych współpracowników. Jeszcze z samochodu zadzwonił do Białego Domu, aby się upewnić, że prezydent został powiadomiony o powodach jego nieobecności, a potem wszedł do środka przez tylne wejście.

— Jak wygląda sytuacja? — zapytał Wolfensona, kiedy znaleźli się w windzie.

— Trzech niezdecydowanych, włącznie z Sorensonem. Podczas weekendu odwiedziła go delegacja Japończyków, którzy budują fabrykę samochodów na terenie jego stanu.

— Sam się nim zajmę.

Na piętrze czekał tłum lobbystów i reporterów. Moody mijał ich, ignorując pytania, dopóki nie zobaczył korespondenta sprzyjającej rządowi gazety. Wkrótce otoczył ich zaciekawiony tłumek i rozmowa przerodziła się w improwizowaną konferencję prasową.

Większość pytań dotyczyła ewentualnej porażki w głosowaniu. Czy prezydent zdecyduje się na kolejną próbę? Dlaczego osobiście nie porozmawia z kongresmanami? Czy najnowsze doniesienia na temat efektu szklarniowego mogą mieć jakiś wpływ na wynik?

Ku zdziwieniu dziennikarzy Moody potraktował ich całkiem przyjaźnie. Jego odpowiedzi były wyczerpujące, chociaż niewiele wyjaśniały. W rzeczywistości chodziło mu o coś innego. Chciał zrobić wrażenie, że znalazł się w tym miejscu przypadkowo, ale jednocześnie

widzieć członków komitetu śpieszących na głosowanie. Kiedy dostrzegł Sorensona, szybko podziękował dziennikarzom i znalazł się przy drzwiach sali konferencyjnej równocześnie z senatorem.

— Dzień dobry. — Sprytnie odciął mu drogę. Sorenson nie wyglądał na zbytnio uszczęśliwionego spotkaniem. Moody dodał: — Przynoszę dobre wiadomości, załatwiłem pańskiej żonie miejsce w radzie nadzorczej Centrum Kennedy'ego.

— Naprawdę?

— Tak. — Zerknął na zegarek. — Pewnie wieczorem nie będzie się mogła pana doczekać. Moja sekretarka właśnie do niej dzwoni.

Pocisk trafił do celu. Teraz senator nie miał wyboru.

— Oczywiście muszą to jeszcze zaakceptować pozostali członkowie zarządu, ale nie spodziewam się żadnych problemów, a pan, senatorze? Z pańskiej strony także nie będzie problemów, prawda?

— Tak — wykrztusił Sorenson. Zniecierpliwiony, ruszył do sali.

Szef gabinetu i jego współpracownicy usiedli w pierwszym rzędzie foteli dla publiczności. Wkrótce pomieszczenie wypełnił tłum ludzi, wśród nich także David Showers. Na jego widok Moody przypomniał sobie, że musi zadzwonić do japońskiego ambasadora, który tego ranka telefonował już trzy razy. Ale najpierw wszystko się rozstrzygnie.

Padły ostatnie pytania i wreszcie przewodniczący komisji zapowiedział głosowanie. Większość senatorów wygłaszała starannie wyważone przemówienia na temat konieczności ochrony środowiska, ale też spełniania żądań wyborców. Sorenson po prostu powiedział: tak.

Uchwałę w sprawie paktu przyjęto jednogłośnie.

Posiedzenie rządu jak zwykle zaczęło się z opóźnieniem, więc wciąż jeszcze trwało, kiedy Moody wrócił do Białego Domu. Gdy wszedł do Sali Gabinetowej, kierując się w stronę swojego miejsca, zauważył poruszenie. Czekali. Szef już wiedział, sądząc po jego rozpromienionej minie.

Sekretarz skarbu czytał właśnie sprawozdanie z dochodów budżetu. Widząc reakcję na wejście Moody'ego, szybko skończył. Wszystkie oczy skierowały się na prezydenta.

— Dziękuję. Panie i panowie, jak zapewne wiecie, przeszliśmy dziś pierwszy poważny sprawdzian w kwestii Paktu o Ziemi. Kilka minut temu otrzymałem pomyślne wieści: zwyciężyliśmy. Nie było ani jednego głosu przeciw.

Rozległy się oklaski. Najgłośniej bił brawo wiceprezydent.

Prezydent odwrócił się do Moody'ego:

— Bez problemów, Robercie?

— Żadnych, sir.

— Jestem nie tylko zadowolony — ciągnął dalej — ale także głęboko poruszony. Zawdzięczamy ten sukces bezgranicznym wysiłkom i bezkompromisowości wszystkich z was, ale na szczególnie wspomnienie zasłużył świętej pamięci sekretarz stanu, mój przyjaciel Skip Hollis. Pracował dzień i noc, całym sercem oddany sprawie, aż poświęcił jej życie. Pojechał do Genewy, aby rozmawiać ze zgromadzonymi tam ministrami spraw zagranicznych i, drodzy państwo, osiągnął swój cel, bo kilka godzin temu brytyjska Izba Gmin ratyfikowała pakt.

Zamilkł, spuszczać wzrok, i sięgnął po szklanekę z wodą, aby zebrać myśli. Moody z trudem zachowywał obojętny wyraz twarzy.

— Wiele zawdzięczamy także człowiekowi, który stał się moją prawą ręką. Gubernator Moody do ostatniej chwili walczył jak lew. Bez niego nie dalibyśmy sobie rady.

Rozległy się kolejne oklaski, tym razem zainicjowane przez Waldemara Sandinauskasa. Wiceprezydent niechętnie przyłączył się do ogółu. Zerknął spode łba na szefa gabinetu, który odwzajemnił spojrzenie.

Wiceprezydent, długoletni senator z Ohio, nie należał do głupców. Sam był liczącym się kandydatem podczas ostatniej kampanii prezydenckiej, ale wykazał się sprytem — odpowiednio wcześniej poparł przyszłego zwycięzcę i został za to odpowiednio wynagrodzony. Moody poświęcał sporo czasu i wysiłków na ograniczanie jego pozycji, doskonale zdając sobie sprawę z tego, że wiceprezydent zaatakuje bez wahania, gdy tylko wyczuje dogodną okazję.

Jednak musiał działać ostrożnie. Jeden domyślał się ambicji drugiego. Każde bezpośrednie starcie oznaczało duże ryzyko. Dlatego Moody zbierał na razie amunicję. Zdobył między innymi informacje o aktywach wiceprezydenta — akcjach przedsiębiorstw, których funkcjonowanie nadal w znacznym stopniu zależało od zanieczyszczonego węgla ze Środkowego Zachodu, a także elektrowni jądrowych. Korzystanie z obu tych źródeł energii ulegnie ograniczeniu na mocy ustaw towarzyszących Paktowi o Ziemi. Zakładając, że w ogóle dojdzie do ich uchwalenia.

Wiceprezydent był kiedyś serdecznym przyjacielem Reidy'ego. Wprawdzie poróżnili się podczas kampanii, ale łatwo można odnowić dawne znajomości, szczególnie gdyby Reidy doszedł do wniosku, że może się posłużyć wiceprezydentem jako narzędziem zemsty. Od czasu do czasu w prasie pojawiały się spekulacje, że prezydent zostanie zaatakowany przez własną partię, jeśli tylko nowe przepisy okażą się tak niepopularne, jak przewidują niektórzy. Kraj wciąż nie potrafił się otrząsnąć ze skutków długiej i ciężkiej recesji.

Wreszcie zostawała jeszcze przyjaciółka wiceprezydenta. Słodka blondynka z Cleveland, asystentka jego żony. Prezydent mógłby wybaczyć swojemu zastępcy romans, ale nie kochankę, szczególnie jeśli pobierała państwową pensję.

W przeszłości Moody sam uprawiał skoki w bok, ale zawsze był bardzo ostrożny. Nigdy nie miał kochanki, jeśli nie liczyć kilku miesięcy znajomości z Deeną, zanim rozwiódł się z pierwszą żoną. Nigdy też nie zawierał bliższych znajomości ze współpracowniczkami.

Jego jedyny słaby punkt stanowiła przyjaźń z Bernie Blochem — i dlatego zakończyli wspólne interesy na długo przed pojawieniem się Moody'ego w Białym Domu. Wszystkie pieniądze trzymał teraz w państwowych obligacjach oraz nieruchomościach: domach, hotelach i biurach. Był zapewne najbardziej nieskazitelny człowiekiem w rządzie, jeśli nie liczyć Sandinauskasa oraz eks-zakonnicy, obecnie sekretarza szkolnictwa.

Wywodząc się z plebsu, znał prawo dżungli lepiej niż ktokolwiek inny. Pod koniec jesieni grzechotniki układają się razem do snu zimowego: w ten sposób tracą mniej ciepła i łatwiej mogą przetrwać trudny okres. Ale przewrotna natura znalazła sposób, aby stale redukować populację tych drapieżników, węże, które na wiosnę budzą się jako pierwsze, zjadają pozostałe.

Prezydent będzie kandydował po raz drugi. Albo nie. Zaproponuje kogoś nowego na stanowisko wiceprezydenta. Albo nie. Wyzaczy swojego następcę. Albo nie. Cokolwiek przyniesie los, Moody obudzi się wcześniej niż pozostałe grzechotniki.

— Mam nadzieję — kontynuował prezydent — że ten poranek natchnie was do dalszej pracy. Dziękuję wszystkim, i niech Bóg ma was w swojej opiece.

Kiedy Moody wrócił do biura, natychmiast zadzwonił do japońskiej ambasady, ale mimo wcześniejszych pilnych telefonów Jego Ekscelenca okazał się nieosiągalny. Moody przedstawił się i zostawił lakoniczną wiadomość: przyjmie ambasadora za godzinę, w swoim gabinecie w Białym Domu. W przeciwnym razie, no cóż, przez kilka najbliższych tygodni nie będzie to możliwe.

Odwiesił słuchawkę. Czuł się jak ktoś, kto właśnie zdetonował bombę. Japończycy oddzwonili po trzech minutach: ambasador przyjął propozycję.

Musiał teraz porozmawiać z senatorem Reidym. Nie zdążył na Kapitolu, więc wykręcił prywatny numer polityka. Reidy, dziwnie zadowolony, odebrał od razu, ale pod pierwszym lepszym pretekstem kazał na siebie przeraźliwie długo czekać. Moody podjął grę, chociaż nie miał wątpliwości, że senator zrobił to celowo.

Do gabinetu zajrzała sekretarka.

— Prezydent chce pana widzieć — szepnęła od drzwi.

Moody, wciąż ze słuchawką przy uchu, skinął głową, a potem dał jej znak, żeby wyszła.

Wreszcie Reidy odezwał się znowu:

— Witaj, Bobby, jak leci?

— Chciałem tylko złożyć gratulacje. Wspaniałe zwycięstwo.

— To raczej ja tobie powinienem pogratulować, gubernatorze. Świetnie się spisałeś. Zasłużyłeś na długi urlop.

— Chyba żartujesz? Musimy kuć żelazo, póki gorące. Jak szybko możemy doprowadzić do głosowania?

— Właśnie się nad tym zastanawiałem. — Moody usłyszał szelest przerzucanych kartek. — Co powiesz na pierwszy tydzień września?

— Pierwszy tydzień września? Prezydent chce, żeby wszystko zostało uchwalone do trzydziestego czerwca. Sam zaproponowałeś, żeby najpierw ratyfikować pakt, więc teraz działaj.

— Bobby, mówimy o Senacie Stanów Zjednoczonych, a nie o legislaturze w Marylandzie. Zapowiada się naprawdę ostra walka. Republikanie wymyślą takie poprawki, o których nawet ci się nie śniło. Poza tym mamy na głowie budżet i nowy układ o ograniczeniu zbrojeń jądrowych. Nie ma mowy, żebyśmy zdążyli przed trzydziestym czerwca.

— Zgoda, pójdźmy na kompromis. Najpierw budżet i rakiety, ale potem zajmiecie się paktem.

— Przed wakacjami?

— Tak. W razie potrzeby każesz wyłączyć klimatyzację. To na pewno przyspieszy głosowanie.

— Ho ho ho!

— Do roboty, senatorze. Ja wcale nie żartuję.

— Widzę... Zgoda. Wpisuję termin do kalendarza. Ale chyba nie zyskam w ten sposób popularności.

— Prezydent zrekompensuje ci to zawiązką.

— Mam nadzieję, że zostało jeszcze kilka wolnych miejsc w radzie nadzorczej Centrum Kennedy'ego.

Moody nie powiedział jeszcze Deenie, że musiała ustąpić pierwszeństwa żonie Sorensona. Powiniennem do niej zadzwonić, pomyślał.

— Jeśli tylko okażą się potrzebne.

— W porządku, Bobby. Miło było cię usłyszeć.

— Cała przyjemność po mojej stronie, senatorze.

Delikatnie zamknąwszy za sobą drzwi Gabinetu Ovalnego, Moody podszedł do biurka szefa. Prezydent bawił się modelem dziewiętnastowiecznego żaglowca. Mała kotwica kołysała się tam i z powrotem.

— Przepraszam za spóźnienie, sir, ale rozmawiałem z senatorem Reidym. Trzeba ich trochę przycisnąć.

— Właśnie. Chciałem, żebyś wystąpił razem ze mną na konferencji prasowej. Mogę nie dać sobie rady z niektórymi pytaniami.

— Przemyślałem wszystko, sir, i uważam, że powinniśmy odwołać spotkanie z prasą.

— Odwołać? Ależ właśnie odnieśliśmy wielkie zwycięstwo.

— Wiem o tym, sir. Ale trzy minuty w głównych wiadomościach to za mało. Zna pan dziennikarzy. Te dupki traktują konferencję jako świetną okazję, żeby pana przycisnąć do muru. Będą podawać w wątpliwość nasze szanse w Senacie, pomniejszać znaczenie dzisiejszego głosowania i tak dalej. W gruncie rzeczy pańskie odpowiedzi nie mają dla nich żadnego znaczenia.

— To chyba nie najlepszy moment, aby stronić od prasy.

— Wcale nie miałem tego na myśli, sir. Musimy pójść za ciosem. Uważam, że powinien pan wystąpić wieczorem w telewizji. Wystarczy piętnaście minut. Wszystko zorganizujemy na miejscu: wystąpi pan tutaj, w Gabinetecie Ovalnym. Postawimy na biurku globus i może jeszcze ten statek.

Prezydent trącił miniaturową kotwicę, a potem obrócił model dziobem w kierunku Moody'ego.

— Piętnaście minut? O czym miałbym mówić, poza tym, że bardzo mnie ucieszyło dzisiejsze posiedzenie komisji?

— Potraktuje je pan jako wyraz woli społeczeństwa, tak jakby głosowanie w Senacie stało się czystą formalnością. Wezwie pan światowych przywódców do ratyfikacji paktu. Dorzucimy też trochę przestróg. Pewien facet z Departamentu Stanu mówił mi, że według najnowszych szacunków u dziewięćdziesięciu procent populacji Australii rozwinie się rak skóry z powodu powiększania się dziury ozonowej.

— Naprawdę? Jest aż tak źle?

— Wprawdzie nie byłem pewien, jak przyjmie pan moją propozycję, ale kazałem już przygotować odpowiednie przemówienie.

— Mówisz, że nie byłeś pewien?

— Tak jest, sir. Prezydent uśmiechnął się.

— To doskonały pomysł, Bobby. Pod każdym względem.

— Doskonale, sir. Każę ludziom z biura prasowego poczynić odpowiednie kroki.

Moody ruszył do drzwi, ale zawahał się w połowie drogi, jakby coś jeszcze przyszło mu do głowy. Prezydent podniósł wzrok znad modelu.

— Tak, Bob?

— Zastanawiałem się, sir, czy myślał pan już o kimś odpowiednim na stanowisko sekretarza stanu — zaryzykował Moody. Pogrzeb Hollisa odbył się dopiero co.

— Właściwie to tak. Co sądzisz o podsekretnarzu Richmondzie?

Zaklął w myśli. Za późno, głupcze.

— To doskonały urzędnik, sir. Jestem pewien, że oddał nieocenione usługi świętej pamięci sekretarzowi Hollisowi. Ale brakuje mu inicjatywy. Potrzebuje pan kogoś, kto potrafi wykorzystać każdą sprzyjającą okazję, a nie tylko wykonywać polecenia. I jeszcze jedno, sir. Richmond ma za sobą długą karierę. Służył pięciu prezydentom i Bóg jeden wie ilu sekretarzom stanu. Myślę, że potrzebuje pan kogoś, kto byłby oddany tylko panu, oddany sprawie — tak jak sekretarz Hollis.

Małeńka kotwica zaplątała się w takielunek. Prezydent odsunął model na bok.

— Cóż, rzeczywiście muszę wkrótce podjąć decyzję. Jeśli masz jeszcze jakieś sugestie, słucham.

— Tak jest, sir. Zastanawiałem się, czy nie mógłbym podjąć pewnych kroków osobiście. Teraz, kiedy wygraliśmy głosowanie w komisji, powinniśmy chyba porozmawiać z paroma zagranicznymi dyplomatami... Tak się składa, że dziś po południu mam spotkanie z ambasadorem Japonii. Normalnie byby to obowiązek sekretarza Hollisa, ale w obecnej, hmm, przejściowej sytuacji, ambasador zwrócił się właśnie do mnie. Wszystko wskazuje na to, że są teraz przychylniej nastawieni do negocjacji, więc chciałem zapytać, czy mogę zająć bardziej zdecydowane stanowisko?

— Bardziej zdecydowane? W stosunku do Japończyków? Ależ oczywiście.

— Dziękuję, sir. Po spotkaniu złożę szczegółowy raport.

Znowu ruszył do drzwi, ale tym razem zatrzymał go prezydent.

— Bob, mam nadzieję, że określenie naszych szanownych przedstawicieli prasy jako dupków nie wyjdzie poza ściany tego pokoju — zażartował.

Moody uśmiechnął się porozumiewawczo.

Po powrocie do gabinetu poprosił sekretarkę o kawę i zadzwonił do żony.

— Cześć, kochanie. Jak leci? Oglądałaś poranne wiadomości?

— Tak. Wszędzie trąbią o głosowaniu. Czy w nagrodę zostałeś już nowym sekretarzem stanu?

— Proszę cię. Nie teraz.

— Przepraszam, skarbie. Dzwoniłam do ciebie wcześniej, bo chciałam ci powiedzieć, że zaprosiłam na wieczór Berniego i Sherrie.

— Deeno, wieczorem prezydent występuje w telewizji. Muszę z nim zostać, więc nie wyrwę się przed wpół do dziesiątej. Dlaczego nie zapytałaś mnie o to rano?

— Na miłość boską, wyszedłeś o szóstej trzydzieści. Umówię się z nimi na późną kolację. Bernie chce z tobą porozmawiać. Przecież nie lubisz, kiedy dzwoni do biura.

— Może zadzwonić do domu.

— Bobby, przez cały tydzień wracałeś po jedenastej. Zgódź się, kochanie. Nie widzieliśmy ich od wyścigów. Zobaczysz, nie będziesz żałował.

Westchnął. Rzeczywiście musi trochę odpocząć. Kilka kolejek ze

starym kumplem dobrze mu zrobi. W końcu zasłużyłem sobie na nie, pomyślał.

— Zgoda.

— Dziękuję, kochanie. Jesteś najwspanialszym mężem pod słońcem.

Kiedy odkładał słuchawkę, przyszedł mu do głowy świetny pomysł. Otworzył kalendarz i kazał sekretarce zadzwonić do Toby'ego Kevina, osobistego sekretarza żony prezydenta, odpowiedzialnego za organizację oficjalnych uroczystości. Ostatnio zaniedbywał przyjaźń z Berniem, więc najwyższy czas coś dla niego zrobić. Bloch nigdy nie był w Białym Domu. Moody nie miał zamiaru zapraszać go podczas godzin urzędowania, ale gdyby milioner zjawił się na jakimś przyjęciu, zniknąłby w tłumie. Nic się nie stanie.

— Robercie, drogi chłopcze. Czym mogę ci służyć? — zapytał Kevin. Po Waszyngtonie krążyły plotki o jego homoseksualnych upodobaniach, ale Moody nie zwracał na nie uwagi. Sekretarz Pierwszej Damy, jeszcze jeden szkolny kolega prezydenta, w praktyce był całkiem ważną postacią: ludzie dosłownie zabijali się o zaproszenia do Białego Domu.

— W tym niesiāju przyjeżdża prezydent Meksyku. Czy przewidujesz jakieś uroczyste przyjęcie? — zapytał Moody.

— Oczywiście.

— Właśnie przyszło mi coś do głowy. Ten facet ma bzika na punkcie koni, prawda? Podobno sam hoduje araby.

— Ma jedną z największych stajni w swoim kraju.

— Dlaczego nie zaprosić miejscowych koniarzy, na przykład Bernarda Blocha?

— Blocha?

— Oczywiście. Chociaż interesuje się wyścigami dopiero od niedawna, odnosi już poważne sukcesy. Właśnie wygrał w Dandytown Puchar Dragonów. Fakt, że jest moim przyjacielem, nie ma tu nic do rzeczy.

Kevin milczał. Ale Moody nie poddawał się tak łatwo.

— Zresztą chodzi mi nie tylko o Blocha, ale także o Lynwooda Fairbrothera i jego uroczą żonę. Republikanie będą zadowoleni. Bez ich pomocy nie posuniemy się naprzód w sprawie paktu.

— Tak, to niezły pomysł, Robercie. Wpiszę ich na listę gości.

— Razem z Blochami.

— Jeśli nalegasz...

— To tylko propozycja. Nie zapominaj, jak bardzo wsparł nas finansowo podczas kampanii.

— Tak... Chyba masz rację.

— Dzięki, Toby. Nie zapomnę ci tego.

Odłożył słuchawkę i głośno zaklął. Zirykowała go pogarda Kevina dla milionera. Na ostatnim przyjęciu widział wśród gości jakąś podrzędną gwiazdę rocka i popularną aktorkę z telewizyjnych seriali, która musiała sypiać z każdym hollywoodzkim reżyserem. W czym Bloch był gorszy od nich, do jasnej cholery?

Ambasador Japonii przyjechał punktualnie, ale Moody kazał mu czekać. Nie mógł już dłużej odkładać pewnej rozmowy — i tak już spóźnionej o wiele dni.

Przewodniczący Komitetu Narodowego partii demokratycznej był na jakimś spotkaniu. Grożąc natychmiastową dymisją, Moody kazał go stamtąd wywołać. Po kilku zdawkowych uprzejmościach przeszedł do sedna sprawy:

— Pracuje dla ciebie niejaki Peter Napier. Gdzie on teraz jest?

— Nie mam pojęcia — odparł przewodniczący. — Dziś się jeszcze nie pokazał. Pewnie robi coś na zlecenie Reidy'ego, jak zwykle.

— Teraz musi coś zrobić dla mnie. Wyjechać z miasta. Natychmiast.

— Dokąd?

— Wszystko jedno.

Na chwilę w słuchawce zapadła cisza.

— O co chodzi, Bob?

Moody wiedział, że musi nadać swojej odpowiedzi przynajmniej pozory szczerości. Inaczej nic nie wskóra.

— Ktoś podpisał jego nazwiskiem pewien dokument, którego istnienie sprawia nam pewne kłopoty. Mam zająć się tą sprawą i dlatego potrzebuję twojej pomocy.

— Co to za dokument?

— Nie musisz i nie powinieneś wiedzieć. Napier jest tylko płótką. Chcę, żeby zniknął. Zacząłeś już myśleć o wybraniu miejsca na następny zjazd partii.

— Bobby to dopiero za trzy lata.

— Wiem. Każ Napierowi rozejrzeć się w poszukiwaniu czegoś

odpowiedniego. Wszystko jedno gdzie. Może być San Francisco albo Nowy Orlean. Na pewno tamtejsze władze się ucieszą.

— Spadnie im to jak z nieba.

— Pozwól mu wybrać, ale jeszcze dziś ma wsiąść do samolotu. Niech szuka jakiegoś luksusowego hotelu z dużym wyborem rozrywek w pobliżu. I niech nie żałuje pieniędzy.

— Najpierw muszę go znaleźć. Zupełnie nie wiem, gdzie może być Napier.

— Na pewno coś wymyślisz. Popytaj wśród samotnych młodych kongresmanów, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

— Damy sobie radę. Ale o co właściwie chodzi? Czy może to zagrozić Komitetowi Narodowemu?

— Nie masz o niczym pojęcia. A ta rozmowa nigdy się nie odbyła. Rozumiesz?

— W porządku. Wy, wielcy politycy, chadzacie dziwnymi ścieżkami.

— Pamiętaj, nic nie wiesz. Dzięki i do zobaczenia.

Moody odłożył słuchawkę i połączył się z sekretarką.

— W porządku, Annę. Niech pan Aomori wejdzie. Ambasador był dość wysokim, łysiejącym, szczupłym mężczyzną w średnim wieku. Ukłonił się sztywno. Moody posadził go w wygodnym fotelu przy oknie, z którego rozciągała się wspaniała panorama Waszyngtonu. Zamierzał potraktować gościa uprzejmie, ale stanowczo. Sekretarka wniosła tacę z herbatą. Nienawidził herbaty.

— Przepraszam, że musiał pan tak długo czekać, ale miałem sporo spraw do załatwienia, a moi ludzie ruszają się jak muchy w smole.

— Nie rozumiem?

— Nieważne. Tak czy inaczej, jesteśmy bardzo zajęci. Wiem, że chciał pan się ze mną zobaczyć, więc pomyślałem, że najlepiej będzie zrobić to teraz. Ratyfikacja paktu nie zostawia zbyt wielu wolnych chwil.

— Z pewnością. Bardzo dziękuję za spotkanie. I gratuluję dzisiejszego sukcesu.

Moody wzruszył ramionami.

— Nie spodziewaliśmy się niczego innego. Zresztą tak samo będzie w Senacie. Politycy słuchają głosów opinii publicznej, panie ambasadorze. Nawet najsilniejsze lobby w tym mieście nie liczy się aż tak bardzo jak ona. Naród amerykański chce paktu. Zbyt wiele nam zagraża, jeśli nie zaczniemy działać.

— Uświadamianie tego faktu społeczeństwu to w dużej mierze pańska zasługa.

— Myślę, że raczej prezydenta — odparł stanowczo Moody. Ambasador powoli uniósł filiżankę do ust. Trzymał ją tak delikatnie, jakby była drogocennym dziełem sztuki.

— Panie ministrze...

— Mój oficjalny tytuł brzmi: szef gabinetu prezydenta, ale wszyscy nazywają mnie gubernatorem albo pułkownikiem.

— Służył pan w wojsku? Wolno spytać gdzie?

— W Wietnamie. Na drugą wojnę światową jestem za młody. Ambasador nie zareagował na żart — Amerykanin dodał: — Proszę po prostu mówić do mnie Bob, tak jak prezydent.

— Panie Moody, o ile nam wiadomo, pańskie starania w sprawie tak zwanego Paktu o Ziemi nie ograniczają się do Senatu Stanów Zjednoczonych.

Japończyk pewnie nigdy w życiu nie zwrócił się do nikogo po imieniu, pomyślał Moody.

- Oczywiście, że nie, panie ambasadorze. Pakt stanowi podstawę polityki zagranicznej prezydenta. Chcemy, aby podpisały go wszystkie kraje. Inaczej to tylko bezwartościowy świstek papieru. Szczególna uwaga pańskiego kraju w tej sprawie skupia się na Japonii.

— To prawda, że chcemy, abyście ratyfikowali pakt, jeśli o to chodzi.

— Otrzymaliśmy informacje, że rozważacie pewne, hmm, zachęcające nas kroki, dotyczące handlu, ograniczeń importowych oraz inwestycyjnych i tym podobnych kwestii. Bardzo poważne kroki.

Moody nic nie odpowiedział.

— Jak rozumiemy, w Białym Domu przygotowano wewnętrzne memorandum na ten temat.

— Wewnętrzne dokumenty nie powinny dostawać się w ręce nikogo z zewnątrz, panie ambasadorze. Ale nic mi na ten temat nie wiadomo. I proszę mi wierzyć, że gdyby takie memorandum naprawdę istniało, z pewnością trafiłoby na moje biurko.

— Dokument został podpisany przez pana Napiera. To pański podwładny?

— Nie wiem, skąd ma pan podobne informacje, ale nikt o tym nazwisku nie pracuje w Białym Domu. Chyba rzeczywiście jest ktoś

taki w Komitecie Narodowym, ale to nie agenda rządowa, tylko przedstawicielstwo partii politycznej.

Ambasador spojrział uważnie na Moody'ego, a potem uśmiechnął się:

— Czy sądzi pan, że mógłbym zostać przyjęty przez waszego prezydenta? Pytałem już sekretarza Richmonda, ale poradził mi zwrócić się właśnie do pana.

Moody pokręcił głową. Dlaczego on sam nic o tym nie wiedział, do jasnej cholery?

— Obawiam się, że może pan rozmawiać tylko ze mną, przynajmniej dopóki nie zostanie mianowany nowy sekretarz stanu. Przecież zna pan protokół. — To świetnie, że Richmond jest taki ostrożny, ale mógłby jeszcze od czasu do czasu wtajemniczać innych. Trzeba będzie zmyć mu głowę przy najbliższej okazji. — Z prezydentem mogliby się spotkać pański premier albo minister spraw zagranicznych, gdyby zechcieli złożyć oficjalną wizytę w Stanach Zjednoczonych.

— Panie Moody, w przyszłym tygodniu obie izby naszego parlamentu będą rozważać kwestię paktu. Rozumie pan, co mam na myśli? Mój rząd jest gotów potraktować całą sprawę bardzo przychylnie.

— Doskonale pana rozumiem, panie ambasadorze, i myślę, że to doskonała wiadomość.

— To jeszcze nie wiadomość, panie Moody. Chciałem tylko się upewnić, że dostrzega pan powagę sytuacji. Groźby, o których wspominałem wcześniej — ograniczenia w handlu i tak dalej — mogłyby mieć bardzo poważne następstwa. Doprawdy katastrofalne. Szczególnie gdyby informacje na ten temat zostały publicznie ujawnione.

Moody napił się herbaty. Była słaba i ledwo ciepła. Zwlekał jeszcze przez moment, trzymając Aomoriego w niepewności, aż wreszcie odparł:

— Panie ambasadorze, myślę, że doszliśmy do porozumienia. Poinformuję o tym prezydenta. I zapewniam, że nie ma żadnych powodów do obaw.

Wstał. Ambasador, zaskoczony, zrobił to samo. Moody podał mu rękę.

— Cieszę się, że pan przyszedł. Prezydent będzie zachwycony. Uważa Japonię za prawdziwego przyjaciela Stanów Zjednoczonych.

Jeśli wieści z waszego parlamentu będą dalej tak zachęcające, jak pan mówi, ograniczenia w handlu to ostatnia rzecz, której powinniście się obawiać.

Ambasador uklonił się.

— Dziękuję. Bardzo miło mi to słyszeć.

Moody odprowadził Japończyka aż na korytarz, a potem ruszył prosto do Gabinetu Owalnego i bez pukania wkroczył do środka.

— Panie prezydencie, przynoszę wspaniałe wieści. Japończycy podpiszą pakt.

Poza ABC, która nie chciała zrezygnować z emisji wywiadu z Madonną, pozostałe liczące się stacje telewizyjne — CBS, NBC, CNN i Fox — udostępniły prezydentowi piętnaście minut na antenie. Był jak zwykle sztywny i zasadniczy, ale tym razem przynajmniej pasowało to do powagi oświadczenia. Komentatorzy przyjęli je przychylnie, co wprawiło Moody'ego w doskonały nastrój. Przez całą drogę do domu nucił ulubioną melodię.

Deena zastawiła stół wyszukanymi sałatkami i sosami. Moody lubił takie dania, natomiast Bloch, przywykły do mięsa z ziemniakami, zjadł niewiele. Z kolei Sherrie wypila o wiele za dużo i w pewnym momencie zrzuciła pełny talerz na podłogę.

Kiedy Deena i jej pokojówka zabrały się za likwidowanie skutków katastrofy, Bloch zaproponował, aby wyszli na balkon zapalić cygaro. Moody nigdy nie palił, ale zrozumiał.

Miliarder oparł się o poręcz, osłaniając przed wiatrem płomień zapalniczki. Nad ich głowami przeleciał odrzutowiec podchodzący od strony Potomacu do lądowania na waszyngtońskim lotnisku.

Gdy tylko ucichł hałas samolotu, Bloch powiedział:

— Bobby, mam kłopot z tym koniem.

— Mówiłem ci, zostaw May w spokoju. Chcę się z nią pogodzić, więc przynajmniej spróbuj mi nie przeszkadzać.

— Przecież jesteśmy przyjaciółmi. Nie chcę niczego od May. Kłopot w tym, że zdążyła już sprzedać ogiera. O ile wiem, nawet tego samego wieczoru. Tak jakby po prostu zrobiła mi na złość.

— Bernie, tłumaczyłem ci: nie miała najmniejszego pojęcia, że chcesz go kupić.

Na horyzoncie pojawił się kolejny odrzutowiec, migoczący światłami nawigacyjnymi.

— Może tak, a może nie. Założmy, że masz rację. W każdym razie sprzedała konia kobiecie nazwiskiem Percy. Zgadnij, co stało się potem?

Moody nawet nie próbował.

— W końcu ogier trafił do tego siwego dżokeja z Departamentu Stanu, Davida Showersa.

— Jesteś pewien?

— Sukinsyn złożył skargę do Stowarzyszenia Hodowców, a drugą do domu aukcyjnego. Żąda śledztwa. Świadcstwo pochodzenia konia zawierało jakiś drobny błąd, a facet robi z tego sprawę federalną. Weterynarz, który wystawił certyfikat — Meade Clay, mąż Vicky — pracował czasem dla mnie. Ćpał tak samo jak ona, więc pewnie musiał coś spieprzyć. I teraz mam kłopoty.

Samolot przeleciał z hukiem tuż nad wieżowcem. Moody milczał przez chwilę.

— Nie rozumiem, jakie możesz mieć kłopoty, jeśli nie brałeś udziału w transakcji — powiedział w końcu.

— Muszę mieć tego-konia.

— Słuchaj, Bernie, to naprawdę nie moja sprawa. A skoro, jak mówisz, May go sprzedała, tym bardziej nie mam z tym nic wspólnego. Na litość boską, trzymasz w stajniach dziesiątki koni. Po co ci jeszcze jeden?

— Jestem tylko pośrednikiem, Bobby. Obiecałem go komuś bardzo ważnemu: bezwzględnemu i nie przebierającemu w środkach. Dałem słowo i nie mogę się teraz wycofać. A ponieważ mam trudności właśnie przez ciebie, więc mi pomożesz i...

— Nawet nie chcę o tym słyszeć.

— To naprawdę ważna sprawa. Chyba najważniejsza w moim życiu. Nie mogę nie dotrzymać słowa, więc powtarzam: muszę mieć tego konia.

— Dlaczego po prostu nie pójdziesz do Showersa i nie złożysz mu oferty? Nie sądzę, żeby śmierdział groszem. Daj mu tyle, ile ten koń jest naprawdę wart.

— Właśnie tak chcę zrobić. Tylko że to ty pójdziesz w moim imieniu.

— Ja? Posłuchaj, Bernie. Ten człowiek to zawodowy dyplomata, bardziej papieski niż sam papież. Nie będę na niego naciskać z powodu

twoich interesów. Mógłby zrobić z tego niezłą aferę. Poza tym bardzo nam pomógł w sprawie paktu.

— Bobby, ja też ci pomogłem. Bardziej niż on. Zapomniałeś o forsie, którą dałem na wybory? Na pakt zresztą też. Niezła kupa szmalu, stary.

— O czym ty mówisz?

— Uważasz, że kto finansował waszą kampanię, panie Czyste Ręce? Braliście i braliście, a ja o nic nie prosiłem w zamian. Bardzo wygodne. Potrzebowaliście najlepszego czasu na antenie przed prawyborami w Illinois? Bernie załatwił. Niektórzy woleliby, żeby wygrał Reidy? Bernie zajął się i tym. Co więcej, jeszcze nieraz mogą okazać się hojni. Mam wielu przyjaciół w Senacie, a ty będziesz ich wkrótce bardzo potrzebował.

— Nic mnie to nie obchodzi.

— Może i nie, ale posłuchaj uważnie. Naprawdę potrzebuję twojej pomocy. Nie odmówiłem ci wtedy, więc teraz czas na mały rewanż. Tylko że dla mnie będzie to naprawdę wielka przysługa. I odwdzięczę ci się równie hojnie, Bobby.

— Co mam dla ciebie zrobić?

— Porozmawiaj z Showersem. Powiedz mu, że nie chcesz, żeby twoja córka miała jakieś kłopoty w związku z aferą, którą wywołał. Wyjaśnij, jak było naprawdę: że miałeś kupić tego konia dla mnie, ale nie pojechałeś na aukcję, bo musiałeś nagle wracać do Waszyngtonu, dla Boga i Ojczyzny. Powiedz, że bardzo mi przykro z powodu całego zamieszania i że chcę wynagrodzić wszelkie niedogodności. Zapłacę za konia tyle, ile będzie chciał. Na początek zaproponuj pięćdziesiąt tysięcy, bo większa suma mogłaby wzbudzić podejrzenia, ale jeśli zażąda więcej, zgódź się. Każdy ma swoją cenę. Każdy bez wyjątku. Nawet te arystokratyczne dranie w Wirginii.

— Dlaczego nie zrobisz tego osobiście?

— Przecież nie wypada mi się tak troszczyć o twoją córkę. Poza tym tylko ty możesz wykorzystać coś innego. Mówisz, że jesteś mu coś winien w związku z paktem? Ci wszyscy faceci z Departamentu Stanu marzą tylko o jednym: żeby zostać ambasadorem. Awansuj go albo przynajmniej złóż mu propozycję. Gazety atakują cię za to, że rozdajesz nominacje ignorantom, więc tym razem masz szansę wyróżnić prawdziwego dyplomata. Tylko wyślij go gdzieś daleko, żeby nie miał żadnego pożytku z koni.

Bloch zapalił kolejne cygaro. Na niebie znowu zamigotały światła samolotu.

— Nie proszę cię o nic niezgodnego z prawem. Łapówki dla senatorów za poparcie paktu to o wiele poważniejsze wykroczenie.

— Nie jestem pewien, Bernie.

Miliarder wypuścił kłęb dymu.

— A gdybym ci powiedział, że zależy od tego moje życie, zgodzisz się?

Samolot zaryczał głośniejsz niż poprzednie. Moody spojrział uważnie na przyjaciela, ale ten utkwiał wzrok w drzewach za rzeką.

— Zgoda. Chodźmy do środka.

Na podłodze nie zostało już ani śladu po niezręczności pani Bloch. Obie kobiety siedziały naprzeciwko siebie: Sherrie z kieliszkiem w ręku, rozbawiona i szczebiocząca, Deena patrząca na nią z pogardą. W tle sączyła się jakaś mdła muzyka.

— Zapomniałem wam powiedzieć — oznajmił swoim gościom Moody. — Jesteście zaproszeni na najbliższą oficjalną kolację w Białym Domu.

Wieczorem, w łóżku, Deena znowu przeszła samą siebie. Potem długo leżała z głową na ramieniu męża.

— Pomożesz Berniemu? — zapytała nagle.

— Wiesz, czego chciał?

— Nie. Tylko tyle, że prosił cię o ważną przysługę.

Moody patrzył w sufit.

— Zrobię, co będę mógł. — Wreszcie się zdecydował. — Posłuchaj, Deeno. Jeśli chodzi o radę nadzorczą centrum Kennedy'ego... Musiałem obiecać najbliższe wolne miejsce żonie Sorensona. Inaczej głosowałby przeciw.

Na chwilę napięła mięśnie, ale potem obróciła się i pocałowała go w policzek.

— W porządku, kochanie. To dużo ważniejsza sprawa. Mogę poczekać.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Strój, w którym Showers przyszedł do pracy, według kryteriów obowiązujących w dyplomacji nadawał się tylko na wakacyjny piknik: sportowa kurtka, powycierana biała koszula, stary krawat w paski, spodnie khaki i zakurzone buty. W nagrodę za swój wkład w ratyfikację paktu kapitan dostał kilka dni urlopu i zamierzał pojechać do Wirginii Zachodniej, aby spotkać się tam z Alixe, ale najpierw wpadł na chwilę do biura: przejrzeć pocztę i załatwić kilka pilnych spraw. Jednak zanim wyszedł, musiał odebrać dwa telefony.

Najpierw zadzwonił Jack Spencer. Miał nieco przepity głos, ale był absolutnie trzeźwy.

— No i proszę, nasi górą — powiedział na powitanie. — Jak się czujesz po podjęciu pierwszej w życiu trafnej decyzji?

— Nie rozumiem, o czym mówisz, Jack.

— Opatrzność zwyciężyła, a wszystko dzięki tobie.

— Przygotowałem tylko kilka raportów i parę razy zeznawałem przed komisją podobnie jak setki innych ludzi.

— Nie chodzi mi o Kongres, stary, ale o żółtków. Myślałem, że już do ciebie dotarło. Agencje zasypują nas wiadomościami. Japoński parlament przyjął wstępną uchwałę w sprawie ratyfikacji. Nasz korespondent określił to jako „zaskakujący zwrot w polityce Tokio”. Nie muszę chyba dodawać, że wcale nie byłem zaskoczony. Chociaż mógłbym, bo po raz pierwszy ktoś z twojej gałęzi rodziny zrobił coś bez oglądania się na przodków. Oczywiście, jeśli nie brać pod uwagę naszej rozmowy w „Willardzie”.

— Ratyfikują? Na pewno?

— Czasami puszczamy kaczki, ale tym razem to prawda. Rozpiera mnie dumą, że urodziłem się w Ameryce. A jeszcze bardziej, że należę do rodu Showersów.

— Nie powinieneś tu dzwonić.

— Będę milczał jak grób.

— Wątpię, żebym się do tego przyczynił w jakikolwiek sposób. Japoński ambasador odwiedził niedawno Biały Dom. Nikt nie wie, o czym rozmawiano, ale na pewno właśnie dlatego Japończycy zmienili zdanie. To nie ma nic wspólnego ze mną.

— Jak zwykle jesteś za skromny, drogi kuzynie. Obaj doskonale wiemy, że było inaczej. Ten maleńki liścik, który mi pokazałeś...

— Już go nie ma. Nie istnieje.

— Mądre posunięcie. Jednak myślałem, że wy, biurokraci, zawsze robicie tysiące kopii każdego świstka papieru.

— Jack, zmieńmy temat.

— Jasne. Więc nie masz już z tym nic wspólnego?

— Wyjeżdżam na kilka dni za miasto. Powinieneś odwiedzić mnie w weekend. Dać trochę odpocząć wątrobie.

— Dandytown to ostatnie miejsce, gdzie nie miałbym pokusy. Nie mówiąc już o zaspokajaniu innych popędów.

— Cóż, zawsze jesteś mile widziany.

— Może kiedyś. W każdym razie, drogi kuzynie, dobra robota. Zaskakująco dobra.

— Do widzenia, Jack. Uważaj na siebie.

— Ty też.

Następny telefon był z Białego Domu. Natychmiast zameldować się w holu Zachodniego Skrzydła. Kobieta, która dzwoniła, nie wyjaśniła, kogo kapitan ma spotkać, ale mimo to domyślał się, biorąc pod uwagę stanowczość i tajemniczość wezwania.

Włożył do teczki kilka najnowszych raportów na temat zmniejszania się zasobów ryb w oceanach.

Na dworze padało, więc samochody poruszały się wyjątkowo wolno. Zajęty myślami, o mały włos nie wjechał swoim dżipem w tył innego wozu. Wreszcie zdołał zaparkować na jedynym wolnym miejscu — kopercie oznaczonej napisem „tylko dla pojazdów rządowych”. Jako pracownik Departamentu Stanu miał do tego prawo.

Podał legitymację strażnikowi przy drzwiach, który wpuścił go do środka; sprawdzono jedynie zawartość teczki. W pobliżu kręciła się ekipa reporterów telewizyjnych, czekających na jakąś grubą rybę, ale nie wzbudził ich zainteresowania. Stojący przy kolejnych drzwiach żołnierz piechoty morskiej na widok gościa wyprężył się na baczność.

Recepcjonistka sprawdziła nazwisko Showersa na liście odwiedzających, a potem poprosiła, żeby zaczekał.

Niemal natychmiast zjawiła się młoda, ładna kobieta w kostiumie, która zaprowadziła go na spotkanie z samym Robertem Moodym. Nie był wcale zaskoczony; zdziwił się tylko, że biuro szefa gabinetu jest takie duże, chyba nawet większe niż prezydenckie. Moody, ubrany w ciemny garnitur w prążki, przywitał się uprzejmie z Showersem i wskazał mu jeden z wygodnych foteli.

— Pewnie masz już dość ciągłych spotkań ze mną — odezwał się, kiedy sekretarka nałapała kawę do filiżanek i wyszła.

— Wcale nie.

Spojrzał badawczo na kapitana.

— Poprosiłem cię tu z dwóch powodów: oficjalnego i nieoficjalnego. Po pierwsze dlatego, że jesteśmy bardzo zadowoleni z pomocy w sprawie paktu.

— Słyszałem poranne wiadomości. — Może powinienem dodać: sir, zastanawiał się Showers.

Moody nieco zeszczywniał.

— Taak, nie mówmy już o tym. Nie sądzę, żebyś w najbliższej przyszłości miał zbyt często do czynienia z Japończykami. Rzecz jasna, o ile przyjmiesz moją propozycję.

— Rozumiem.

— To dobrze. Jesteś bystry, Showers. W tym kraju nie brakuje zarozumiałych mądrali, ale naprawdę inteligentni zdarzają się rzadko.

Kapitan nie odpowiedział.

— Uważam, że marnujesz się w Waszyngtonie. Poza tym mianujemy zbyt mało ambasadorów spośród zawodowych dyplomatów. Prezydent chce to zmienić i polecił mi wybrać najlepszego... Umieściłem twoje nazwisko na szczycie listy kandydatów na stanowisko, które właśnie się zwolniło.

— Mam zostać ambasadorem? — Nie mógł opanować dreszczu emocji. Jego ojciec zawsze twierdził, że coś takiego nigdy się nie stanie, że do końca życia będzie przekładał papiery na nędznej urzędniczej posadzce.

— Ambasadorem Stanów Zjednoczonych w republice Islandii. O ile wiem, znasz ten kraj i masz tam kilku przyjaciół. Ale żaden z nich nie jest Japończykiem — zażartował Moody, uśmiechając się sztucznie.

— To prawda.

— A wiec? Zgadzasz się?

— Czy się zgadzam? — Zdawał sobie sprawę z tego, że za propozycją nagłego awansu musi się coś kryć, ale nie potrafił odmówić! — Oczywiście, sir.

Moody wyraźnie się rozluźnił, potwierdzając obawy Showersa: właśnie się sprzedał, tylko jeszcze nie wiedział za co.

— A teraz powód nieoficjalny. Poznałeś moją córkę, May?

— Tak, sir. Na wyścigach w Dandytown, podczas tamtego weekendu, kiedy i pan przyjechał.

— Kupiłeś od niej konia.

Kapitan zaniepokoił się.

— Nie bezpośrednio. To dosyć niecodzienna sytuacja.

— Ale rozpełtała się z tego powodu cała afera. Zażądałeś oficjalnego śledztwa, prawda?

— Panie Moody, papiery konia były nie w porządku. Pańska córka nie ma z tym nic wspólnego.

— Ależ ma. Właściwie oskarżyłeś ją o oszustwo.

— Wcale nie, sir. To jej nie dotyczy.

— Posłuchaj, Showers. Obaj ciężko pracujemy, więc nie mamy zbyt wiele czasu na głupstwa. Ale trochę się... zdenerwowałem. Bardzo ją kocham, ale ostatnio się pokłóciliśmy. To moje jedyne dziecko. Miała pewne kłopoty i nie chcę, żeby to się powtórzyło.

— Panie Moody...

Stanowczy ruch ręki uciął wszelką dyskusję.

— Wszystko to moja wina i mam z tego powodu wyrzuty sumienia. May nauczyła się jeździć konno, kiedy była mała; podarowałem jej nawet kilka kucyków. Ale nie potrafiłaby nawet w przybliżeniu oszacować wartości owego nieszczęsnego ogiera. Dlatego nie rozumiem, dlaczego w ogóle poszła na licytację. To ja miałem kupić tego koma dla przyjaciela.

— To znaczy, pana Blocha?

Ciemne oczy przeszły Showersa na wylot. Moody ściszył głos.

— Tylko ja mogłem opuścić hotel, bo szeryf przesłuchiwał pozostających w związku ze śmiercią tamtego małżeństwa. Nie zatrzymuje się z takiego powodu szefa gabinetu prezydenta, więc obiecałem kupić po drodze konia dla Berniego. Ale — tak samo jak dla ciebie — obowiązki są dla mnie najważniejsze. Wtedy w Belize o mały włos nie wybuchła wojna, więc zrezygnowałem z tej cholernej aukcji, żeby jak najszybciej

dotrzeć do Waszyngtonu. Mam nadzieję, że rozumiesz, dlaczego nie mogłem dotrzymać słowa? Ojczyzna przede wszystkim.

— Tak jest, sir.

— W przeciwnym razie w ogóle by nie doszło do całego zamieszania. Nie chcę, żeby May musiała składać jakieś zeznania, podczas gdy powinna skoncentrować się na próbach. To w końcu Szekspir, na miłość boską, a nie jakiś tam hollywoodzki film.

— Rozmawiał pan z nią?

— Showers, musimy rozwiązać ten problem raz na zawsze między nami. — Moody wypił łyk kawy. — Od lat nie prowadzę żadnych interesów z Berniem Blochem, ale wciąż jesteśmy przyjaciółmi. Chcę ci coś zaproponować w jego imieniu. To bogaty człowiek, do tego potrafi być naprawdę hojny. Jest gotów zapłacić za konia pięćdziesiąt, nie, nawet sto tysięcy dolarów.

— Sto tysięcy?

— Tak, jak za wyścigowego ogiera to chyba nic nadzwyczajnego, prawda? O ile wiem, czasami więcej kosztują nawet kucyki dla dziesięcioletnich dzieci. Sam zapłaciłem ponad czterdzieści tysięcy za ostatniego konia, którego miała May.

— Nie chodzi o pieniądze...

— Posłuchaj. Bloch zapłaci ci obiecaną sumę. W zamian za to zrezygnujesz z dochodzenia, a May nie będzie musiała zaprzętać tym sobie głowy. A kiedy zostaniesz ambasadorem i wyjedziesz za granicę, sto tysięcy wystarczy, aby utrzymać farmę.

Showers wziął głęboki wdech, zbierając myśli. Czuł się osaczony. Miało tylko jedno wyjście: powiedzieć prawdę.

— Panie Moody, problem leży w czymś innym. Według dokumentów ogier pochodzi od klaczy zwanej Królową Tashamore, która była kiedyś własnością mojej rodziny. Kupiłem go, żeby odtworzyć linię. Ale najprawdopodobniej dokumenty zostały sfalszowane, a to oznacza...

— Cóż to za różnica, jeśli pozbędziesz się konia?

— Różnica. Moje nazwisko zostało z nim nieodwołalnie związane. Nie mogę tego cofnąć, więc muszę zrobić wszystko, żeby wyjaśnić wątpliwości.

— Ta Królowa Tashamore musiała mieć więcej potomków. Znajdziemy ci innego.

— Jest jeszcze coś, sir. Stajnia kobiety, która sprzedała mi konia,

splonąła w nie wyjaśnionych okolicznościach. Zginął stajenny i jeden wierzchowiec. Mam wszelkie powody, aby podejrzewać, że pożar wiąże się z zainteresowaniem pana Blocha moim ogierem.

— To jakaś horrendalna bzdura, Showers! Bernie Bloch to czołowa postać w świecie finansów i szanowany obywatel tego kraju. Wspiera wiele instytucji dobroczynnych, a także moją partię. Jak śmiesz go oskarżać?

— Zatrudnia mojego byłego pracownika, niejakiego Billy'ego Bonninga. To awanturnik. Sądzę, że tamtej nocy zjawił się w miejscu, gdzie podłożono ogień.

— Słyszałem o nim. Masz rację, to typ spod ciemnej gwiazdy, tak samo jak i jego siostra. Kiedy Bloch dowie się o wszystkim, zwolni go natychmiast. Ale nie możesz obwiniać Berniego o coś, co być może zrobił ten szczeniak. Drażąc tę sprawę, podważasz reputację mojego przyjaciela i mojej córki. Czy na tym, waszym zdaniem, polega honor?

Showers milczał. Przez chwilę obaj mężczyźni patrzyli sobie w oczy.

— To wszystko, co miałem do powiedzenia, oficjalnie i nieoficjalnie — odezwał się w końcu Moody, spoglądając na zegarek. — Za kilka minut muszę się spotkać z prezydentem. Przemysł sobie wszystko bardzo starannie. Weź urlop. Załatwię ci to w departamencie.

— Dostałem już kilka dni wolnego.

— Wyjeżdż gdzieś na tydzień, ale nie dłużej. Nie wiem, kiedy przyjeżdża May, ale chcę, żeby wszystko było przedtem odpowiednio załatwione. Podejmij decyzję odnośnie wszystkich spraw, o których dzisiaj mówiliśmy. Rozumiesz?

— Tak jest, sir.

Kapitan zawahał się, a potem wstał, ale Moody nie ruszył się z miejsca.

— To wcale nie musi być Islandia, Showers. Możesz pojechać tam, gdzie zechcesz.

— Dziękuję, sir — odparł David i wyszedł z gabinetu.

Kiedy dojechał Siedemnastą Aleją do Connecticut Avenue, wiedziony nagłym impulsem, zaparkował na przystanku autobusowym, tuż obok budki telefonicznej.

Chciał skontaktować się z Jackiem, ale nie wiedział, gdzie go szukać. Miał tylko jedną ćwierćdolarówkę, zadzwonił więc do biura. Po chwili rozmawiał ze swoim przyjacielem, pracującym w dziale północnoeuropejskim.

— Mam jedno pytanie, Bill. Czy nasz ambasador w Islandii złożył dymisję albo został odwołany?

— Przenoszą go. Nikt jeszcze nie wie, dokąd ani dlaczego, ale kazano mu spakować walizki. Gdzie się dowiedziałeś? Ja dostałem wiadomość zaledwie godzinę temu. Nawet Islandczycy jeszcze nie wiedzą.

— Usłyszałem w Białym Domu.

— Czy ma to coś wspólnego z Paktem o Ziemi?

— Mam nadzieję, że nie. Dzięki, Bill.

Policjantka z drogówki, młoda czarna kobieta w nieco za dużym mundurze, wypisywała właśnie mandat. Na całej ulicy nieprawidłowo parkowały ciężarówki, ale policjantka złapała właśnie jego, za dwuminutowy postój na przystanku... Nie kłócił się. Zawsze traktował czarnych bardzo uprzejmie.

— Przykro mi, proszę pana — uśmiechnęła się — ale takie są przepisy. — Wsunęła pięćdziesięciodolarowy mandat za wycieraczkę.

— Rozumiem — odparł.

Nie ryzykując kolejnego spotkania z policją, tym razem za przekroczenie prędkości, powoli wyjechał z centrum Waszyngtonu. Kiedy znalazł się na miejskiej obwodnicy, a potem na autostradzie zmierzającej w kierunku zachodniego Marylandu, przyśpieszył do stu kilometrów na godzinę, a i tak większość samochodów wyprzedzała go bez trudu. Wytracony z równowagi przez Moody'ego, wciąż nie mógł się skoncentrować. Biały Dom nie potrafił nawet zrealizować założeń własnej polityki, ale bez trudu wpływał na losy pojedynczych ludzi, kiedy i gdzie tylko chciał. Tak, telefon z Waszyngtonu to potężna broń. Ambasador w Islandii nie miał najmniejszego pojęcia, dlaczego mała aukcja koni w Wirginii na zawsze zmieniła jego życie.

Showers zjechał z autostrady w Hagerstown, skręcił na południe, przejechał na drugą stronę Potomacu i znalazł się w Wirginii Zachodniej. Do Charles Town dotarł bardzo późno, ale Alixe nie robiła mu wymówek. Czekala na niego w obskurnym barze koło miejscowego toru wyścigowego, żartując z innymi klientami.

— Napijesz się strzemiennego, skarbie? — zawołała na powitanie.

Potrząsnął głową.

— Przepraszam, że musiałaś tak długo czekać. Moody wezwał mnie do Białego Domu.

Uniosła pytająco brwi. Opróżniła szklanekę i podała barmanowi dwudziestodolarowy banknot, a potem starannie przeliczyła resztę. Jej majątek przekraczał kilka milionów, a mimo to nie wyrzucała w błoto nawet centa.

— Pojedziemy moim samochodem — oznajmiła, kiedy wyszli na parking. — Dżip z identyfikatorem Departamentu Stanu trochę za bardzo rzuca się tu w oczy.

Po drodze opowiedział jej o stu tysiącach od Blocha, ale przemilczał propozycję nominacji ambasadorskiej. Sam nie wiedział, co o tym myśleć.

— Sto tysięcy — powtórzyła zamyślona. — Wreszcie mamy dowód, że z koniem jest coś nie tak.

— Jak on się sprawuje?

— Selma twierdzi, że świetnie.

— Selma?

— Tak ma na imię nasza dżokejka. Jej zdaniem to najwspanialszy ogier, jakiego dosiadała w życiu.

— Jeździła na nim?

— Tylko trochę. Nie martw się. Nikt nie będzie niczego podejrzewał. Już nieraz trenowała moje konie. Selma to wspaniała dziewczyna. Dosyć prosta, ale mimo to niezwykła.

— Dokąd jedziemy?

— Do stajni, w której je ujeżdża.

Ukrywając gnadosza w bezpiecznym miejscu, mieli czas na złożenie skargi do Stowarzyszenia Hodowców Koni i przygotowanie pozwu, o ile May Moody zgodzi się wystąpić po ich stronie. Tego właśnie Showers obawiał się najbardziej: nie wiedział, jak przedstawiają się stosunki aktorki z ojcem ani co jej właściwie powiedzieć. Zostawił wiadomość w teatrze, ale dotychczas nie zareagowała.

Kiedy podzielił się swoimi wątpliwościami z Alixe, odparła:

— Myślę, że się zgodzi. Wprawdzie zamieniłyśmy tylko kilka zdań, ale polubiłam tę dziewczynę. Ona ci sprzyja.

— Dlaczego tak uważasz?

— Kupiła tego ogiera dla ciebie. Celowo i świadomie.

— Mam rozumieć, że to prezent od niej?

— Coś w tym rodzaju. Za to, co zrobiłeś dla Jimmy'ego Kippa.

— Na miłość boską, Alixe, dlaczego mi nic nie powiedziałaś?

- Bo mnie o to prosiła.
- Nie powinniśmy go przyjąć.
- Oczywiście, że tak. Koń jest dla ciebie, a nie dla Bernieego Blocha.

Wjechali na teren stajni i zaparkowali koło długiego budynku. Na dziedzińcu kręciło się kilka koni. Na jednym z nich, niezgrabnym krótkonogim kasztanie, siedziała niska, muskularna dziewczyna o azjatyckich rysach twarzy, zadartym nosie, ciemnej cerze i czarnych włosach, upiętych pod dżokejską czapkę. Miała na sobie obcisły podkoszulek, wyblakłe dzinsy i buty, których kolor dawno zniknął pod warstwą kurzu i błota. Na jej widok Showers pomyślał o średniowiecznych Mongołach, którzy rodzili się, żyli i umierali na koniach, przemierzając bezkresne stepy.

Spojrzała na kapitana, a potem zauważyła Alixe, witając ją skinieniem głowy. Kasztan ruszył dalej, prowadzony najsprawniejszą ręką, jaką kiedykolwiek widział Showers; zupełnie jakby nauczyła się jeździć konno wcześniej, niż chodzić. Pomyślał, że jest lepsza od każdego dżokeja w Dandytown, ale niewyobrazalna ironia losu sprawiła, że marnowała swój talent w tej zapadłej dziurze.

— To Selma? — zapytał.

— Tak.

— Ufasz jej?

— Oczywiście. To najbardziej skryta osoba, jaką znam. I najlepsza trenerka na świecie. Nie martw się. Płacę jej tak dobrze, że pewnie się zastanawia, czy powinna iść z tobą do łóżka.

— Nie zgadzam się, żebyś to ty jej płaciła, a nie ja.

— Nie ma obaw, kapitanie. W swoim czasie wystawię ci rachunek.

Selma zgrabnie zeskoczyła z konia, oddała uzdę stajennemu, rozejrzała się dookoła i ruszyła w stronę samochodu. Showers otworzył drzwi i wpuścił ją do środka. Kiedy wsiadała, musnęła go umięśnionym ramieniem. Było twarde jak kamień.

— Gorący dziś dzień, panno Percy — odezwała się.

— Czy możemy jechać do ciebie? — spytała Alixe, wyjeżdżając z dziedzińca.

— Oczywiście. Nikt tam nie zagłąda, poza moim byłym chłopakiem, który próbuje wyciągnąć ode mnie pieniądze na whisky. Ale ostatnio nie przychodzi, bo parę tygodni temu strzeliłam do niego z dwururki.

— Widział konia?

— Nie. Słyszałam, że pracuje teraz u Laurela. To także dżokej, tak jak ja, tyle że o wiele gorszy.

Alixé знаła drogę. Po kilku kilometrach wjechali na zachwaszczone podwórko zaniedbanej farmy. Mała, drewniana, dawno nie odnawiana chałupa wyglądała niewiele lepiej niż chyba nigdy nie malowana stajnia.

— Tu pani mieszka? — zdziwił się kapitan.

— Tak, czasami. To dom mojej babci. Umarła kilka lat temu.

Wewnątrz ciemnej stajni było prawie tak gorąco jak na zewnątrz. Gniadosz stał w rogu, z dala od drzwi.

— Nie za blisko drogi?

— Przestań się martwić, Davidzie. Przetrzęsna każde miejsce od Karoliny do Filadelfii, zanim przyjdzie im do głowy szukać go tutaj. Zauważ, że jesteśmy uważani za arystokratów, a Bloch zapewne myśli, że pozjadał wszystkie rozumy.

Gniadosz ucieszył się na widok swojego pana. Był równie zadomowiony w nowym miejscu co na farmie kapitana. Najwyraźniej podróżował już wcześniej.

Showers jeszcze raz obejrzał numer na wardze i białe skarpetki na nogach. Niestety, nic się nie zmieniło.

— Alixé, nie pomyśleliśmy o jednym. Powinniśmy skontaktować się z jego poprzednimi właścicielami. Ich nazwiska są wymienione w katalogu.

— W porządku. Zrobimy to w domu.

Wrócili do Wirginii długą, okrężną drogą przez Shenandoah i wschodnie stoki Pasma Błękitnego, więc do Dandytown dotarli od drugiej strony. Alixé prowadziła bardzo szybko i Showers nie mógł za nią nadążyć.

Zwykle lubił tędy jeździć, ale tym razem widok zielonych wzgórz i pastwisk działał przygnębiająco. Przez całe życie walczył, aby jakaś część tego piękna należała do niego, ale przyjaciele już dawno ostrzegali, że nie da się pogodzić życia wśród koni z karierą w Waszyngtonie, że w pewnym momencie musi z czegoś zrezygnować.

Ten wybór jest prosty. Nie przyjmie nominacji ambasadorskiej, nie wiedząc do końca, dlaczego właściwie mu ją zaproponowano, nawet jeśli w przeciwnym razie już zawsze będzie tylko podrzędnym urzęd-

nikiem. Do końca życia miałyby wyrzuty sumienia, że to nieuczciwy awans.

Ale co się stanie, jeśli sprzeda konia Blochowi? Nie zależało mu na pieniądzach, chociaż wyobrażał sobie, co powiedziałyby na ten temat Jack Spencer: „Każdy, kto wyciągnie sto tysięcy od Berniego Blocha, zasługuje na wdzięczność narodu”.

Mógłby zresztą zażądać tylko dziesięciu tysięcy: ceny, którą zapłaciła May Moody. Zwróciłby jej całą sumę, a ona oddałaby Alixe tyle, ile od niej wzięła. Tysiąc, może trochę więcej. Wszystkie rachunki zostałyby wyrównane, tak jakby nic się nie stało. Jediną osobą, która zyskała, byłby on, bo miał Moonsugar.

Gdyby nie nieudolne śledztwo szeryfa Bloch kupiłby ogiera na aukcji i, nawet jeśli coggins rzeczywiście został sfalszowany przez Meade'a Claya, Showersa nic by to nie obchodziło. Nie miał żadnego powodu, aby zatrzymać gnadosza. Nie wierzył, żeby płynęła w nim choć jedna kropla krwi Królowej Tashamore. Co więcej, jeśli przyjmie jego papiery za dobrą monetę i zrezygnuje ze śledztwa, sam będzie winny oszustwa, szczególnie gdyby oddał go do stadniny, żeby mieć źrebaki.

Sprzedając ogiera Blochowi za uczciwą cenę, zyska wdzięczność Moody'ego. Nic od niego nie chciał, poza jednym: żeby dał mu spokój.

Miał okazję przekonać się osobiście, jak szybko szef gabinetu potrafił zorganizować nominację ambasadorską. A co robi z niższym urzędnikiem, który ośmieli się odrzucić zaszczytną propozycję? Wyśle go gdzieś na koniec świata, czy po prostu odsunie od spraw paktu? Wystarczy jeden telefon, jedno skinienie głowy. Coś takiego oznaczałoby dla Showersa wyrok śmierci w zawodzie dyplomaty, niczym ekskomunika dla księdza.

Niebo na południowym zachodzie zachmurzyło się. Nadciągała burza. Samochód Alixe oddalał się coraz bardziej.

Nacisnął pedał gazu. Nagle zdał sobie sprawę z tego, że próbuje się oszukać, znaleźć usprawiedliwienie dla kapitulacji. Pomyślał o May Moody, zabitym stajennym. Nie podda się tak łatwo.

Jego tytuł kapitana dla wielu ludzi był tylko pustym słowem, ale dla Showersa oznaczał bardzo dużo, chociaż nigdy nie zdołał dorównać rodzinnym tradycjom militarnym: ojciec zgłosił się na ochotnika podczas drugiej wojny światowej i został odznaczony za męstwo na polu bitwy, a przodkowie walczyli i ginęli po obu stronach frontu w wojnie domowej.

Mając takie „obciążenie genetyczne”, młody David po prostu nie mógł nigdy w życiu nie założyć munduru. Jednak kiedy podczas studiów zgłosił się na kurs oficerów rezerwy, prawdziwa przyczyna, dla której zdecydował się na ten krok, była zupełnie inna: czynna służba po ukończeniu collegu pozwoliła mu uciec na dwa lata od ojca i rodzinnych problemów.

Niestety, armia nie spełniła do końca jego oczekiwań. Dwukrotnie prosił o przydział do liniowego oddziału piechoty, ale za każdym razem mu odmawiano. Najpierw komputer przydzielił go jako oficera zaopatrzeniowego do jednostki wywiadu, stacjonującej w Niemczech, a następny rok spędził w Forcie Bragg, nadzorując wojskowe stajnie. W ramach rekompensaty przedłużył sobie służbę, a następnie wstąpił do miejscowego oddziału Gwardii Narodowej, uczestnicząc w ćwiczeniach tak często, jak tylko pozwalała mu na to praca dyplomaty.

Jednostka została postawiona w stan gotowości jedynie raz, podczas wojny w Zatoce Perskiej, ale kapitan znowu nie miał okazji się wykazać: jako urzędnik Departamentu Stanu był bardziej potrzebny w Waszyngtonie, więc wbrew swojej woli został przymusowo zwolniony z czynnej służby. Bardzo tego wtedy żałował i postanowił, że już nigdy w życiu nie uchyli się przed wyzwaniem losu.

Zanim dojechali na farmę, zapadł zmierzch i zaczął padać rześysty deszcz. Na dziedzińcu stała Becky, przemoczona, ze zwisającymi bezwładnie ramionami. Łkała. Alixe podbiegła do niej pierwsza. Showers wyskoczył z dżipa, zostawiając włączony silnik.

Miała spuchniętą twarz i podbite oko. Na podbródku zakrzepła krew.

— Na miłość boską, dziecko, co się stało? — zapytała Alixe.

— Billy... Szeryf goni Billy'ego.

— Przyszedł tu?

— Szeryf wsadzi go do więzienia.

Kapitan objął Becky ramieniem. Nie chciała ruszyć się z miejsca.

— Przynies jakieś suche ubranie! — krzyknął do Alixe. — Szybko!

Wziął dziewczynę na ręce. Była tak ciężka, że z trudem wniósł ją po śliskich schodach na ganek i położył na kanapie w salonie. Na twarzy miała trzy siniaki — największy z nich pod okiem — i rozciętą wargę w kąciku ust.

- To sprawka Bonninga?
- Tak — odparła, patrząc bezradnie. — Ale to moja wina...
- Zawiadomiłaś szeryfa?
- Zadzwoiłam do niego... Ściga teraz Billy'ego.

Schowała twarz w dłoniach i zaczęła szlochać. Do salonu weszła Alixe, niosąc naręcze ubrań i ręczników.

— Daj mi apteczkę — powiedziała — a potem zostaw nas same na kilka minut. Muszę ją wysuszyć!

Kiedy wrócił z kuchni, Becky nie miała na sobie bluzy.

— Nie gap się, człowieku! — krzyknęła Alixe. — Zrób lepiej kawę. I przynieś bourbona.

Wykonał polecenie. Tym razem Becky siedziała na kanapie zawinięta w szlafrok. Alixe wytarła jej włosy ręcznikiem, a potem zwilżyła rozciętą wargę środkiem antyseptycznym. Becky krzywiła się z bólu, ale przestała płakać.

— Na pewno nie jest ci niedobrze? — pytała Alixe. — Widzisz mnie wyraźnie?

— Tak. Nic mi nie będzie.

— Dlaczego szeryf nie zawiózł cię do lekarza?

— Nie pozwoliłabym mu. Zresztą od razu ruszył za Billym. Powiedział, że wsadzi go do więzienia.

Showers postawił tacę z gorącą kawą i butelką bourbona. Becky wstrząsały dreszcze.

— Wylej połowę z jednej filizanki, a potem dopełnij ją whiskey — rzuciła przez ramię Alixe.

Dziewczyna piła łapczywie, krztusząc się. Powoli przestała drżeć.

— Dla mnie to samo, Davidzie. — Alixe dotknęła policzka Becky. — Kość nie jest złamana. Mam nadzieję, że nie ma też wstrząśnienia mózgu.

— Wszystko w porządku. Myślałam, że czeka mnie coś gorszego, więc uciekłam i zadzwoniłam na policję. Chyba nie wierzył, że zrobię coś takiego, bo po prostu odjechał — tłumaczyła Becky, popijając kawę z whiskey. — Po chwili zjawił się szeryf i zaraz ruszył w pościg.

— Dlaczego stałaś na deszczu?

— Bałam się. Nie chciałam wracać do domu.

— Mogłaś pójść do mnie. Właśnie, a gdzie się podziali moi stajenni? Mieli pilnować koni.

— Poszli po coś na farmę. Pewnie czekają, aż przestanie padać.

— Dopilnuję, żeby odtąd przynajmniej jeden był tu przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Showers usiadł w fotelu.

— Czego chciał Billy? Przyszedł po gniadosza?

— Nie.

— Więc dlaczego? Z twojego powodu?

— Nieważne... Po prostu trzymajcie go z daleka ode mnie, błagam was!

— Becky — nie ustępował — powinnaś wrócić na pewien czas do rodziców. Tylko dopóki nie wyjaśnimy sprawy konia.

— Nie.

— Becky, proszę...

— Nie!

— Będziesz tam bezpieczna. W tych okolicznościach...

— Nie pojedę! Chcę zostać tutaj, z wami! Dlaczego zabraliście konia? Co się dzieje? Chyba jestem jakaś przekłeta... Niech to wszyscy diabli!

— Po prostu wyszłaś za niewłaściwego człowieka — odezwała się Alixe. — Nie ty pierwsza i nie ostatnia.

— Zajmę się Billym — powiedział kapitan wstając. — Jeśli nie dopadł go szeryf, zrobię to ja.

— Uważaj na siebie, Davidzie. W Dandytown jest o wiele więcej Bonningów niż Showersów.

— Inni Bonningowie mnie nie martwią.

— Ostatnio ma pan sporo kłopotów, kapitanie — powiedział szeryf Cooke. Zostawiwszy na posterunku zaspanego zastępcę, wprowadził Showersa do swojego gabinetu. Noc wydawała się spokojna: żadnych telefonów ani wiadomości przez radio.

— Złapał pan Billy'ego Bonninga?

— Proszę siadać, kapitanie. Kawy?

Showers podziękował.

— Tak, mam tu Billy'ego. To mój jedyny klient.

— Raczej stały bywalec.

Szeryf wyszczerzył zęby.

— Prawda, czasami zaszczyca nas swoją obecnością. Pierwszy raz trafił tu, kiedy miał szesnaście lat, za wywołanie ulicznej burdy. Potem

zaczął przesiadywać w hotelowym barze. Tam nawet największe pijaństwo uchodzi na sucho.

— Gdzie go pan znalazł?

— W motelu Raiders. Jego kochanka wynajmuje tam pokój. Wiedziałem, gdzie szukać.

— Pewnie twierdziła, że spał u jej boku przez całą noc?

— Nie, tym razem nie, do diabła — zaśmiał się szeryf. — Dosłownie ociekał wodą.

— Napadł na Becky i ciężko ją pobił.

— Wiem. Nienawidzę tych małżeńskich kłótni. Ostatnio mamy ich coraz więcej.

— To nie była małżeńska sprzeczka, szeryfie. Ten człowiek wkroczył na teren mojej posiadłości, włamał się do domu i pobił kobietę.

— Może i tak, a może nie. Nie sądzę, żeby wniosła skargę. Zapytałem, czy to robi, ale zaczęła tylko płakać i krzyczeć. Kilka minut temu zadzwoniłem do pańskiego domu, ale panna Percy nawet nie pozwoliła mi z nią porozmawiać.

— I co z tego, do jasnej cholery?

— Wie pan, ile mamy takich spraw? Musiałbym wybudować nowe więzienie, gdybym chciał skazywać każdego męża, który pobił żonę i *vice versa*.

— Nie są już małżeństwem.

— Zgodnie z prawem są. Wyrok sądu uprawomocni się ostatecznie dopiero za rok. Takie rzeczy zdarzają się bez przerwy, szczególnie kiedy dochodzi do rozwodu.

— Powiedział pan: „gdybym chciał skazywać każdego męża”. To znaczy, że nie zaskarzy pan Bonninga?

— Cały czas to panu tłumaczę, kapitanie. Becky nie wniosła zażalenia. Nie ma świadków. Nie znamy prawdy. Zamknąłem go na noc i to wszystko, co na razie mogę zrobić. Jeśli nie wpłynie formalne oskarżenie, rano Billy zostanie wypuszczony.

— Szeryfie, ten człowiek jest naprawdę niebezpieczny — dla Becky, moich koni i całego miasta. Podczas ostatniej aukcji próbował ukraść ogiera. Zakradł się na moją farmę tej nocy, kiedy wybuchł pożar. Więcej niż prawdopodobne, że to właśnie on był podpalaczem.

— Pan i panna Percy ciągle to powtarzacie. Ale towarzystwo ubezpieczeniowe nie wykryło niczego podejrzanego, ja zresztą też nie.

Przy takiej pogodzie siano potrafi zapalić się samo z siebie. A jeśli o chodzi u domniemane usiłowanie kradzieży, znowu nikt nie złożył oficjalnej skargi. O ile wiem, panna Percy przyprowadziła konia do domu, a potem sprzedała go panu.

— To niczego nie zmienia.

— Jeśli dostanę oskarżenie do ręki, będzie miał proces, a pan czas, aby zebrać świadków. Ale na razie to niemożliwe. Zresztą nawet trudno mu się dziwić. W ciągu ostatnich kilku tygodni stracił pracę, żonę i siostrę. Ciekawe, co pan by zrobił na jego miejscu?

Showers rzucił szeryfowi gniewne spojrzenie. Gdyby w podobnej sytuacji znalazł się ojciec, pomyślał, pewnie zagroziłby Cooke'owi utratą stanowiska, a jego przyjaciele wprowadziliby tę groźbę w życie przy najbliższych wyborach.

— Chcę z nim porozmawiać, szeryfie.

— To chyba nie najlepszy pomysł.

— Albo mi pan pozwoli, albo pójdę po nakaz do sędziego Merricka.

Sędzia był serdecznym przyjacielem ojca kapitana. Co więcej, nie lubił szeryfa Cooke'a i zrobiłby wszystko dla Lynwoda Fairbrothera albo Showersa, ale kapitan nigdy dotąd nie skorzystał z tego przywileju. Uważał, że popełniłby wtedy niewybaczalne nadużycie.

— Sędzia Menick nie może mnie zmusić do łamania procedury — odparł szeryf — ale zgadzam się. Daję panu pięć minut, ale proszę go nie drażnić. I trzymać się z dala od kraty.

Bonning siedział na podłodze w głębi celi i palił papierosa.

— Odwal się, Showers — powiedział na powitanie.

Kapitan nie odpowiedział, dopóki szeryf nie wyszedł z korytarza.

— Dlaczego przyjechałeś dziś na moją farmę? — niemal szeptał.
— Żeby zabrać gniadosza?

— Gówno mnie obchodzą te nędzne zdechlaki.

— Dlaczego przyjechałeś na farmę?

— Chciałem porozmawiać z Becky.

— Byłeś tam tej nocy, kiedy wybuchł pożar?

— Odwal się.

— Czygo chciałeś od Becky? Pieniądzy? Informacji, gdzie ukryłem konia?

Bonning rzucił papierosem w Showersa, ale chybił. Zapalił następnego.

— Przyszedłem po swoją własność. Coś, co tam zostawiłem.

— Zabrałeś już wszystko, włącznie z kilkoma rzeczami, które należały do mnie.

— To nie było pańskie. Zostawiłem w domku kasetę. Mam do niej prawo.

— Przecież wziąłeś ją wtedy, kiedy paliła się stajnja panny Percy.

— Nie.

— Dlaczego kłamiesz? Becky powiedziała mi o tym następnego dnia.

Bonning wpatrywał się w Showersa z nienawiścią. Pamiętam, jak był jeszcze małym chłopcem, mieszkał nawet u mnie, a przecież wcale go nie znam, pomyślał kapitan.

— Tak, poszedłem tam tamtej nocy — podobnie jak połowa mieszkańców Dandytown. Zrobiło się niezłe zamieszanie, więc... zjrziałem do domku, żeby poszukać taśmy.

— Zabrałeś ją!

— Nie. Nigdzie nie mogłem jej znaleźć. Ale to moja własność, do diabła.

— Co jest na tej kasecie?

— Vicky. Nigdy nie była święta, ale to nie znaczy, że po śmierci trzeba mieszać ją z błotem. Ale Becky nie chciała mi oddać taśmy.

Showers podszedł do krat.

— Billy, jeśli jeszcze raz zbliżysz się do Becky albo postawisz nogę na mojej farmie, zabiję cię jak psa.

Bonning poderwał się z ziemi.

— Szeryfie! Ten człowiek grozi, że mnie zabije! On chce mnie zabić! Proszę go stąd zabrać!

W korytarzu pojawił się Cooke.

— Przykro mi, kapitanie, ale wszystko słyszałem. Myślę, że już starczy tej rozmowy.

Showers zacisnął pięści, wbił wzrok w podłogę, odwrócił się i odszedł.

— Pieprzę cię! — krzyknął za nim Billy. — I tak dostanę, co moje, ty dupku!

Kiedy znaleźli się w gabinecie, szeryf położył Showersowi rękę na ramieniu.

— Kapitanie, obiecuję, że zajmę się wszystkim. Ale proszę nie robić żadnych głupstw.

Deszcz przestał padać. Alixe siedziała w fotelu na ganku i czekała. Na jej kolanach leżał jakiś połyskujący metalowy przedmiot, a na stoliku stała butelka whiskey.

— Śpi — oznajmiła. — Zasnęła po jednym kieliszku. Chcesz się napić?

— Tak.

Podła mu butelkę. Pociągnął spory łyk.

— Trzymasz w domu mnóstwo zabytkowej broni, Davidzie. Masz na nią pozwolenie?

— Owszem.

Położyła metalowy przedmiot na stole. Kapitan ujrzał okazałych rozmiarów pistolet.

— Weź go — zaproponowała. — Po moim staruszku odziedziczyłam cały arsenał. Rozdałam chłopcom kilka strzelb, a jedną włożyłam do samochodu.

— Nie trzeba — odparł. — Pomyślałem o tym od razu po pożarze. W dziapie mam własny.

— Twój ojciec byłby z ciebie dumny, Davidzie.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Następnego ranka przy śniadaniu Becky prawie się nie odzywała. Kiedy potem zmywali naczynia, Showers bezskutecznie próbował podjąć rozmowę na temat Billy'ego i wydarzeń poprzedniego wieczoru, ale dziewczyna — nie tyle wystraszona, co zażenowana, odparła, że nie chce już więcej słyszeć o swoim eks-mężu. Siniaki na twarzy nie wyglądały najlepiej, ale odmówiła pójścia do lekarza, twierdząc, że nic ją nie boli. Kapitan postanowił na razie nie pytać o taśmę.

Potem poszła do stajni. Showers sam chciał zobaczyć, jak się czuje Moonsugar, ale uznał, że lepiej nie przeszkadzać Becky, która najwyraźniej potrzebowała samotności.

Wyciągnął maszynę do pisania i wystukał na niej odpowiedź dla Moody'ego: uprzejmą, ale ofkjalną. Jej sens sprowadzał się do jednego zdania: „Po rozważeniu pańskiej propozycji muszę ją, niestety, odrzucić”.

Potem włożył list do koperty i pojechał na pocztę do Dandytown, a w drodze powrotnej wstąpił do domu aukcyjnego, aby sprawdzić nazwiska posiadaczy rodziców gniadosza. Okazało się, że ogier należał do pewnego hodowcy koni znad Potomacu, którego Showers poznał kiedyś w miejscowym klubie polo, natomiast klacz pochodziła z Pensylwanii. Ned Haney wyjaśnił, że wysłał stosowny list do New Jersey, ale nie dostał żadnej odpowiedzi. Niezupełnie, pomyślał kapitan. Pożar stajni to wystarczająca odpowiedź.

Dzień był słoneczny i niezbyt wilgotny, chociaż dosyć chłodny. Jeśli pastwiska trochę przeschły, można by pojechać na konną przejażdżkę — razem z Becky czy Alixe. Albo z Lenore.

Podczas wyścigów nieustannie kręciła się wokół niego, znajdując

rozrywkę w prowokowaniu i drażnieniu, ale kiedy wrócił do codziennych, nudnych waszyngtońskich obowiązków, dała mu spokój. Tak było zawsze, odkąd się znali. Ich nieudane, krótkotrwałe małżeństwo składało się z naprzemiennych wzlotów i upadków, romansów, zdrad i powrotów. Nie tolerował jej niewierności, nieodpowiedzialności, egoizmu i okrucieństwa; w rezultacie on czuł się winny, a ona znudzona. Niestety, za późno zrozumiał prosty fakt: pociągał Lenore tylko wtedy, kiedy nie mogła go mieć.

Kiedy zatrzymał się na zwirowanym podjeździe przed okazałym dworem Fairbrotherów, właśnie zbiegała po schodach do swojego jaguara.

— David, kochanie! — krzyknęła, nawet się nie zatrzymując. — Przepraszam, ale nie mam teraz czasu. Jestem straszliwie spóźniona.

— Dokąd?

— Na przyjęcie, skarbie. Księżna jakaś tam urządza garden party u Muffiego Brandauera w Middleburgu. — Otwierając drzwiczki, spojrzała na niego wreszcie. — A może zabrać cię ze sobą?

— Myślałem, że pojeździmy dzisiaj konno...

— Konno? To niemożliwe. Mam miesiączkę, kochanie. W siodle zaczyna mnie boleć brzuch.

Wsiadła do samochodu i wystawiła głowę przez okno.

— Poproś Lynwooda. Biedak jest już tak znudzony, że od samego rana przestawia trofea z miejsca na miejsce.

Fairbrother nie wsiadał na konia co najmniej od roku.

Silnik jaguara zaryczał i Lenore odjechała z piskiem opon, zostawiając głębokie koleiny w żwirze.

Showers dla formalności zastukał do drzwi, a potem wszedł do środka. Lynwood zaszył się w bibliotece wypełnionej kosztownie oprawionymi książkami o koniach i polerował wielki srebrny puchar. Miał na sobie brązową luźną koszulę, flanelowe spodnie oraz sportową kurtkę. Na biurku leżały amerykańskie i angielskie czasopisma.

— A, to ty, Davidzie — powitał go, nieco zakłopotany. — Właśnie minąłeś się z Lenore.

— Niezupełnie. Rozmawiałem z nią przez kilka sekund.

— Proszę, siadaj. Napijesz się whiskey?

Dochodziła dopiero jedenasta.

— Nie, dziękuję.

— Podobno Moonsugar czuje się coraz lepiej. Szkoda tylko, że nie będzie już z niego żadnego pożytku w wyścigach.

Kapitan nie podjął tematu.

— Mam jeszcze jednego nowego konia.

Fairbrother zerknął na zakurzone buty Showersa.

— Tak, słyszałem, że to wspinała sztuka.

— Ale papiery nie są w porządku. Poprosiłem o wyjaśnienie tej sprawy.

— Wiem. Jak rozumiem, to jakieś ciemne sprawy Blocha. Gdyby robił ci trudności, powiadom mnie natychmiast. Kto to widział, żeby w hrabstwie Banastre działo się coś podobnego. Cóż za parweniusz!

Showers przyszedł do Lynwooda po radę, ale w tym momencie wpadł na inny pomysł.

— Masz sporo znajomych hodowców koni za granicą, prawda?

— Tak. Przede wszystkim w Anglii: lorda Molgrana, Dickie Chatterswortha... Znam też kilku Irlandczyków i Francuzów, ale nie przepadam za tymi ostatnimi. A już zupełnie nie znoszę Niemców. Nie umiem robić z nimi interesów.

— Znasz dobrze angielski rynek?

— Mój drogi, sprzedawałem konie na królewski dwór — rzekł z dumą Fairbrother. Showers słyszał już tę historię co najmniej sto razy.

— Czy słyszałeś ostatnio o kradzieży jakiegoś wartościowego konia?

— Nic nie przychodzi mi teraz do głowy, ale takie rzeczy się zdarzają. IRA ukradła kiedyś najwspanialszego rumaka w Irlandii. Zaginął bez śladu. Powinni wprowadzić nasz system tatuaży na wardze.

— Chodzi mi o konkretnego konia. Gniadego ogiera z trzema białymi skarpetkami.

Uśmiech zniknął z twarzy Fairbrothera.

— A, rozumiem.

— Czy mógłbyś popytać wśród swoich przyjaciół w Anglii, gdziekolwiek?

— Oczywiście, chociaż nie wiem, czy to coś da. W każdym razie wysłałem kilka listów jeszcze dzisiaj. Nie mam nic do roboty po południu.

Showers wołał wprawdzie, żeby Lynwood posłużył się telefonem, ale nie chciał niczego narzucać przyjacielowi.

— Będę wdzięczny.

— Nie ma za co.

Zaczął zbierać się do wyjścia.

— Davidzie, chciałem cię o coś zapytać... — odezwał się nagle Fairbrother. — Chodzi o Pakt o Ziemi. Z tego, co piszą w *Washington Post*, wynika, że wejść w życie znaczne ograniczenia wydobywania węgla.

— Zgadza się.

— To trochę niepokojące. Dla wielu ludzi w Wirginii Zachodniej i Pensylwanii górnictwo jest jedynym źródłem utrzymania.

I jednocześnie głównym źródłem dochodów Lynwooda, pomyślał kapitan.

— Ginące lasy i jeziora w górach Adirondack także są niepokojące — odparł.

— Absolutna racja. Czy nie masz przypadkiem kopii paktu? Chciałbym na nią zerknąć. Ciekawią mnie szczegóły.

— Mogę zdobyć coś takiego, ale to dopiero wstępna wersja. Kongres na pewno wprowadzi mnóstwo poprawek.

— Rozumiem. Mimo to, gdybyś zdołał... Oczywiście, jeśli nie zabraniają tego jakieś przepisy.

— Zobaczę, co się da zrobić. Prasa dostała już dość obszerne fragmenty, szczególnie ci z *Washington Post*. Chyba nic się nie stanie, jeśli ty także zerkniesz, jak mówisz, dla lepszego zrozumienia problemu...

— Właśnie. Byłbym zobowiązany — skrzywił się dziwnie Fairbrother.

Becky także nie miała ochoty na przejażdżkę — w przeciwieństwie do Alixe, która niemal natychmiast przytkusowała na farmę Showersa na swoim ulubionym rumaku.

Ruszyli wzdłuż płotu otaczającego pastwisko za domem, a potem po stoku pod górę. Trawa na łąkach zdążyła nieco przeschnąć, więc rozpędzili się do galopu, szerokim łukiem okrążając wzgórze i zwalniając dopiero na szczycie, tuż przed stromym urwiskiem z drugiej strony. Koń Alixe zatrzymał się od razu, ale kapitan musiał z całej siły ściągnąć cugle. Obolała noga wciąż mu dokuczwała.

— Cholernie piękny dzień — odezwała się, patrząc na dolinę przed nimi.

— Nie najgorszy.

— Śmieszne. Z tej odległości nasze domy wyglądają, jakby stały na jednej farmie. Są tak blisko siebie.

— Zdałem sobie z tego sprawę tej nocy, kiedy wybuchł pożar.

— Wiesz, że twój ojciec próbował mnie kiedyś przelecieć na tym wzgórzu?

Kiedyś mu już o tym mówiła, ale nie uwierzył, za dużo wtedy piła.

— To do niego całkiem podobne.

— Byłam wtedy strasznie młoda... i głupia. Tak mnie przestraszył, że niemal spadłam ze skały. Potem żalowałam. Marzyłam, że zostawi twoją matkę i ożeni się ze mną. Taki przystojny facet. Musiał być zadrosny, kiedy pobraliście się z Lenore.

— Nie miał szans. — Showers popuścił cugle.

— Bo nigdy mu ich nie dała. Ale ciągle prowokowała dwuznaczne sytuacje. Po prostu lubiła go drażnić.

— Podobnie jak wszystkich innych mężczyzn. Czasami myślę, że to jej ulubione zajęcie w życiu. W każdym razie ona też tak uważa.

— Davidzie, powiedz szczerze, czy wciąż wierzysz, że kiedyś do ciebie wróci?

— Chyba nie.

— A chciałbyś tego? Po tylu latach?

— Nie wiem. I nie chcę wiedzieć.

— Moim zdaniem ona zostanie z Lynwoodem do końca. Jest już stary i za dużo pije. Może się skończyć szybciej, niż myślimy, jak twój ojciec. Chociaż wcale bym się nie zdziwiła, gdyby obaj ze starym sędzią Merrickiem przeżyli nas wszystkich, dranie... Tak czy inaczej, Lenore go nie zostawi. Robi się za stara na flirtowanie.

— Ona nawet na łożu śmierci będzie podrywać facetów.

Alixę oparła się na łęku i otrzepała bryczesy.

— Davidzie, mamy wystarczająco dużo kłopotów z gniaszkiem. Przystań myśleć o Lenore. Po prostu wybij ją sobie z głowy. I jeszcze jedno. Zrób coś z tą nieszczęśliwą dziewczyną.

— Becky przeżywa teraz trudny okres, ale to minie.

— Będzie jeszcze gorzej. Poza tobą i twoją farmą nic już nie ma. Powiem więcej: to wszystko, czego ona pragnie.

— Przejdzie jej.

— Bzdura. Lubisz ją?

— Oczywiście.

— Nie jest taka brzydka, gdyby tylko trochę schudła. Jasne, daleko jej do Lenore, ale mimo wszystko to całkiem dorodna samiczka...

— Alixe, przestań. Poza tym jestem od niej starszy o całe pokolenie.

— Ale nie tyle, ile Lynwood od Lenore. Albo ja od niektórych młodych przystojniaków, których przywożę czasami z Winchester.

— Alixe...

— W tych stronach mężczyźni zwykli załatwiać te sprawy po męsku, Davidzie. Możesz mieć i Becky, i Lenore, tak samo jak każdą inną kobietę, której zapragniesz.

— Nie mógłbym chyba zrobić nic gorszego.

— Ujmę to inaczej, kapitanie. Jeśli zamierzasz zostawić Becky, nie zwlekaj. Im dłużej będziesz czekał, tym gorzej dla niej. A jeśli chcesz zrobić coś szlachetnego, coś naprawdę godnego siebie, ożeń się z nią. I zrób to jak najszybciej, do diabła.

Ściągnęła cugle i zawróciła.

Nie odpowiedział. Kiedy znaleźli się w pobliżu domów, pomachała mu ręką na pożegnanie i pogalopowała do siebie, a *on ruszył* dalej, zamyślony. Zsiadając z konia na dziedzińcu, zobaczył żółtego volkwagena „garbusa” z otwieranym dachem. Nad wgniecionym tylnym zderzakiem widniał numer rejestracyjny z Kalifornii.

Siedziała w wiklinowym fotelu na ganku i podziwiała krajobraz. Wydała mu się niższa niż za pierwszym razem, ale też o wiele ładniejsza — może z powodu prostego stroju, jaki miała na sobie: cienkiej, białej bluzki, spódniczki khaki i sandałów na bosych stopach. Gęste, czarne włosy opadały luźno na ramiona. Wcale nie wyglądała na gwiazdę z Hollywood, pomyślał.

— Dzień dobry, panno Moody.

Zerwała się z fotela i uśmiechnęła, wyciągając rękę na powitanie.

— Witam, kapitanie Showers. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam, ale właśnie wróciłam do Waszyngtonu i postanowiłam wyrwać się z miasta. Im dłużej jechałam, tym bardziej mi się podobało, aż wreszcie dotarłam tutaj.

— Nikt nie wpuścił pani do środka?

— Kobieta, która otworzyła drzwi, kazała zaczekać na ganku. Skąd miała wiedzieć, kim jestem, to znaczy...

Zaklął w duchu. Becky może sobie być nieszcześliwa, ale to żadne wytłumaczenie dla nieuprzejmości.

— Bardzo panią przepraszam.

— Nic nie szkodzi. Mogłabym tu siedzieć i odpoczywać godzinami.

— Muszę zaprowadzić konia do stajni. Za chwilę wrócę.

— Czy mogę pójść z panem?

— Oczywiście.

Kiedy pomagała mu rozsiodłać zmęczone zwierzę, ich ramiona zetknęły się na chwilę. Poczul dziwny dreszcz. Miała taką delikatną, ciepłą skórę...

— Piękna sztuka — powiedziała. — Miałam kiedyś ogiera tej samej maści.

— To już staruszek. Jeżdżę na nim od jedenastu lat.

Weszli do stajni wypełnionej końmi Alixe.

— Kocham ten zapach. Przypomina mi dzieciństwo.

— Mieszkała pani w Marylandzie?

— W zachodniej części stanu, w górach. Niedaleko Cumberland.

— A wiec urodziła się pani na wsi, tak jak ja.

— Dawne dzieje.

Uważnie przyglądała się rumakom, aż wreszcie zapytała:

— Gdzie on jest?

Showers, zaskoczony, stanął jak wryty.

— Chodzi pani o gniadosza?

— Tak. Mam nadzieję, że go pan nie sprzedał.

Wstawił konia do boksu i zamknął drzwi.

— Nie, ale przyznaję, że tu go nie ma. — Miał wrażenie, że nie powinien podejmować tego tematu. Chciał, żeby mu ufała, ale jednocześnie jej ojciec stał się teraz jego wrogiem... — Trzymam go w innej stajni, na zachód stąd.

— Dlaczego?

— Tak jest bezpieczniej.

— Nie rozumiem.

— Chodźmy do domu. Wszystko pani wyjaśnię.

Próbował skierować rozmowę na neutralne tory. W końcu to podstawowa umiejętność dżentelmenów, nie mówiąc już o dyplomatach. Chociaż dorastał wśród ludzi, którzy przez całe życie

mówili wyłącznie o pogodzie, sam niestety nie opanował tej sztuki. Pewnie dlatego May patrzyła na niego tak podejrzliwie. W końcu powiedział to, co powinien na samym początku:

— Jestem bardzo wdzięczny za tego konia. Sam zamierzałem spróbować szczęścia podczas licytacji, ale okazało się, że nie starczy mi pieniędzy.

— Przecież wcale go panu nie podarowałam, tylko sprzedałam pannie Percy.

— Tak, ale przecież w ogóle nie musiała pani kupować, a na sprzedaży też pani straciła. Przy okazji, chciałbym zwrócić różnicę.

— Panie Showers, naprawdę nie trzeba.

— Jest pani... bardzo hojna.

Nie odpowiedziała. Otworzył drzwi. Niepewnie weszła do środka.

— Chciałaby się pani czegoś napić?

— Tak, bardzo proszę. Może być cola.

Kątem oka dostrzegł Becky wbiegającą po schodach. Zawołał ją, ale nie zareagowała.

— Jest mi tak bliska jak córka — wyjaśnił — ale ostatnio miała ciężkie przeżycia. Rozwód.

— Nie musisz rozmawiać o moich osobistych sprawach z nieznanymi! — krzyknęła z góry dziewczyna.

— Przepraszam za nią. Zwykle jest o wiele miłsza.

Zabrał May do kuchni i posadził na najwygodniejszym z krzeseł. Zapaliła papierosa.

— Nikt w Los Angeles nie ma takiej uroczej kuchni — powiedziała, rozglądając się dookoła — chociaż niektórzy bardzo się starają. Za dziesiątki tysięcy dolarów.

Podziękował za komplement uśmiechem, podał talerzyk, który miał służyć za popielniczkę, a potem wyciągnął ze starej lodówki butelkę coca-coli.

— Wszystko urządziła moja matka. Po jej śmierci niczego nie zmieniłam.

— Współczuję.

— Umarła wiele lat temu.

Usiadł po drugiej stronie stołu. Wyraźnie zaczynała się niecierpliwić.

— Kapitanie Showers, czy ma pan jakieś kłopoty z powodu tego konia?

— Niestety, tak.

Postanowił wyjaśnić przynajmniej tyle, ile już wiedział jej ojciec. Opowiedział o sfałszowanym świadectwie weterynarza, o tym, że ogier był w rzeczywistości o wiele młodszy, niż wynikało z dokumentów, a także o pożarze stajni i podejrzeniach w stosunku do Blocha.

— Nienawidzę tego człowieka — odparła cicho. — To jeden z najlepszych przyjaciół mojego ojca i jednocześnie najbardziej fałszywy sukinsyn, jakiego znam. To on poznał ojca z... kobietą, która jest teraz jego żoną. — Spojrzała na papierosa, którego trzymała w ręku. — Chyba nie powinnam mówić tego wszystkiego. Prawie się nie znamy.

— Zajmuję się Paktem o Ziemi z ramienia Departamentu Stanu, więc w pewnym sensie pracuję dla pani ojca — wyjaśnił. — Pewnie dlatego ostatnio złożył mi propozycję w imieniu Blocha. Zostałem postawiony w naprawdę trudnej sytuacji.

— To znaczy, że próbuje pana do czegoś zmusić?

— Krótko mówiąc, tak.

— A w tym pożarze zginął człowiek?

— Ledwo uratowaliśmy resztę stajni i konie.

— Mój Boże — wypuściła kłęb dymu. Pokręciła głową i potarła kącik oka, odrobinę rozmazując makijaż. Na piętrze rozległy się kroki. Po chwili ucichły.

— Człowiek Blocha, który próbował zabrać pani konia po aukcji — ciągnął dalej kapitan — nazywa się Billy Bonning. Pracował dla mnie. Jest... a raczej był mężem Becky. Pobił ją zeszłej nocy i został aresztowany przez szeryfa, ale rano wyszedł, bo Becky nie chciała dożyć skargi. Wprawdzie ostrzegłem go, aby trzymał się z dala od tego domu i sądzę, że potraktuje moje groźby poważnie, ale najwyraźniej Bloch nie cofnie się przed niczym, żeby tylko zdobyć tego konia.

Była wstrząśnięta. Zasłoniła twarz rękami, spuściła głowę i siedziała tak przez dłuższą chwilę. Wreszcie odgarnęła włosy z czoła i wyprostowała się.

— Do cholery, dlaczego wszystko, czego się dotknę... — zaczęła, ale szybko urwała, jakby przestraszona własnymi słowami. Odwróciła wzrok i spojrzała przez okno.

— Przepraszam, że opowiadam pani to wszystko, ale chciałem tylko wyjaśnić, dlaczego wywozłem konia. Właściwie, ukrywam go. Przykro mi. Mam nadzieję, że pani stosunki z ojcem nie ulegną przez to pogorszeniu.

— I tak nie może już być gorzej. — Zgasiła papierosa i zapaliła następnego. Po chwili odłożyła go na bok.

— Wolałbym, żeby nie mówiła mu pani o naszym spotkaniu.

— Nie rozmawiamy ze sobą.

— Odrzuciłem jego propozycję. Na piśmie.

— Może coś panu za to zrobić? Mam na myśli pańską pracę. Potrafi być mściwy.

— Nie, oczywiście, że nie — skłamał Showers. — Chronią mnie przepisy o urzędnikach państwowych. Proszę się nie martwić. Ale przez pewien czas ogier pozostanie w ukryciu. Zacząłem śledztwo w sprawie tych sfalszowanych dokumentów. Kiedy będę miał więcej informacji, zamierzam założyć sprawę w sądzie, bo tylko w ten sposób można wyjaśnić pochodzenie konia. Panna Percy i ja chcielibyśmy, żeby przyłączyła się pani do nas jako pierwsza poszkodowana. W pewnym sensie to pani została najbardziej oszukana.

— A jeśli się nie zgodzę?

— Formalnie rzecz biorąc, wtedy musimy pozwać panią. To bardzo skomplikowane. Ale jeśli podpisze pani stosowne pełnomocnictwo, zajmiemy się wszystkim. Nikt nie będzie ciągał pani po sądach.

Westchnęła, a potem obróciła się z powrotem.

— Nie, kapitanie Showers. Nie chcę tego dłużej ciągnąć. Wolę zabrać konia z powrotem. — Sięgnęła do torebki i wyciągnęła książeczkę czekową. — Proszę tylko powiedzieć, ile pan chce.

— Ja? Absolutnie nic. Wręcz przeciwnie, to ja zamierzam zwrócić pani pieniądze.

— To wszystko moja wina — zaczęła wypisywać czek. — Załatwmy od razu wszystkie formalności i powie mi pan, dokąd mam przysłać kogoś po konia.

— Ależ, panno Moody... Gdzie go będzie pani trzymać? W Waszyngtonie?

— Teatr wynajmuje dla aktorów kilka małych mieszkań na Kapitolu. Wczoraj się wprowadziłam. Miałam nadzieję na krótkie wakacje, zanim zaczną się próby, ale widzę, że nic z tego... — Wyrwała czek z bloczku. — Pięć tysięcy dolarów. Chyba rekompensuje to pańskie straty?

— Panno Moody, proszę!

Wstała, bliska płaczu. Co za dziwny człowiek! Narobiła mu kłopotów, a on nie chce pozbyć się ich źródła, nie chce pieniędzy...

Pieniądze. Zawsze pieniądze. Lekarstwo na wszystko. Prześladowały ją jak choroba. Próbowwała uciec od pieniędzy ojca, zarabiając własne, ale niczego to nie rozwiązało. Wręcz przeciwnie, jest jeszcze gorzej. Tylko matka nigdy nie troszczyła się o pieniądze, nigdy o nie nie zabiegała. Walczyła z przeciwnościami losu w tej zapadłej dziurze w Wirginii Zachodniej, ale jakoś dawała sobie radę i była szczęśliwa. W przeciwieństwie do May.

— Bardzo dobrze — powiedziała, zabierając czek i wkładając swoje rzeczy do torebki. — Przykro mi, ale muszę już wracać.

— Ależ proszę jeszcze zostać. Na pewno Alixe chciałaby się z panią spotkać. Jeśli pani chce, możemy też pojechać zobaczyć ogiera.

— Nie ma sensu. Jakoś wpłynę na ojca, żeby dał panu spokój. Mam przyjaciela w Waszyngtonie, wpływowego bankiera. Porozmawiam z nim. — Ruszyła do drzwi.

— Zobaczmy się jeszcze?

— Żegnam, kapitanie Showers.

Zawahał się, a potem wyszedł za nią. Wsiadła do samochodu i uruchomiła silnik. Zanim ruszyła, zdążył złapać za klamkę.

— Panno Moody...

— Jest pan bardzo miłym człowiekiem — powiedziała. — Szkoda tylko, że miał pan pecha i natknął się na mnie.

Puścił klamkę. May wrzuciła bieg i odjechała. Uciekała, ale przecież nie było takiego miejsca, w którym mogłaby się schować.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Poczta Stanów Zjednoczonych traktowała waszyngtońską administrację tak samo jak każdą inną instytucję, więc nawet ściśle tajne przesyłki ekspresowe błędziły czasem przez kilka dni, zanim trafiały do właściwego adresata. List Showersa dotarł do Białego Domu przed dziesiątą rano, ale Moody otrzymał go dopiero późnym popołudniem, wyłącznie dzięki czujności jednej z sekretarek, która zapamiętała nazwisko kapitana ze sprawozdań z rządowych posiedzeń. W przeciwnym razie zwykła, biała koperta zostałaby wrzucona do kosza zawierającego zwykłą korespondencję: tysiące kartek pocztowych przysyłanych codziennie do prezydenta i nigdy przez niego nie czytanych.

Kiedy Moody wrócił z posiedzenia Rady Bezpieczeństwa Państwa, przeczytał jednozdaniową odpowiedź i zaklął. Dobrze, że przynajmniej sukinsyn nie kręcił, nie owijał niczego w bawełnę, tak jak zrobiłaby to większość jego kolegów z departamentu.

Mimo wszystko nie mógł sobie pozwolić na takie lekceważenie. Nie ze strony drugiego zastępcy sekretarza stanu.

Sięgnął po słuchawkę, gotów wywołać piekielną awanturę, żeby tylko dorwać gdzieś Showersa, ale przypomniał sobie, że kapitan pojechał na urlop do Wirginii. Poza tym wcale nie chciał z nim gadać. Spełnił prośbę Berniego, zrobił nawet więcej, a że się nie udało, to trudno. Miał na głowie naprawdę ważniejsze problemy.

Zadzwoił do biura Blocha. Sekretarka wyjaśniła, że jej szef jedzie właśnie samochodem do Baltimore i podała numer zainstalowanego w limuzynie telefonu. Zaklął jeszcze raz: nawet dziecko może wtedy podsłuchać rozmowę.

— Miło cię usłyszeć, Bobby — odezwał się miliarder. — Czy to,

że dzwonił wcześniej, niż myślałem, oznacza, że nie masz mi jeszcze nic do powiedzenia w pewnej sprawie?

— W każdym razie nic dobrego. Kapitan powiedział: nie.

— Czy...?

— Użyłem wszystkich możliwych zachęt. Nie zgadza się i już.

Moody wyobraził sobie Berniego z wściekłością gryzącego cygaro.

— Nie możesz z nim porozmawiać jeszcze raz, tylko trochę ostrzej?

Nie mógł. Co innego wyrzucić ambasadora w Islandii, mianowanego w nagrodę za jakieś drugorzędne zasługi dla prezydenta, a co innego otwarcie zaatakować długoletniego urzędnika z licznymi koneksjami, nawet jeśli ów nie stał na zbyt wysokim szczeblu służbowej drabiny. Bez trudu znajdzie jakiś sposób, aby „odwdzięczyć” się Showersowi — tak jak już wiele razy niszczył swoich politycznych przeciwników — ale każde posunięcie wymaga odpowiedniego przygotowania i cholernej ostrożności. Ale przede wszystkim czasu.

— Nie teraz.

— Bobby, on rozmawiał z twoją córką.

— Przyjechała do Waszyngtonu? Skąd wiesz?

— Mam przyjaciół w Dandytown. Stary, żółty volkswagen, zgadza się?

Kupiła go przed pięciu laty. Hollywoodzkie gwiazdy rodem z Marylandu nie jeżdżą lamborghini. A może stare graty stały się modne w Kalifornii?

— Zostaw May w spokoju. Nie zamierzam ci tego więcej powtarzać. — Zaczął się zastanawiać, ile z tej rozmowy rozumie jego sekretarka. Powinien ją gdzieś wysłać na kilka minut, zanim zadzwonił.

— Rozumiem. Ale byłbym niezmiernie wdzięczny, gdyby nam trochę pomogła.

— Nam? Wykluczone, Bernie. Prędzej dałaby sobie uciąć rękę.

Bloch nie odpowiedział. Moody niecierpliwie zastukał palcami w aparat. Ta rozmowa trwała już zbyt długo.

— Mam propozycję — odezwał się w końcu miliarder. — Przyjedźcie z Deeną na weekend do mnie nad morze.

— Przykro mi. Wybieram się z prezydentem do Camp David. Spotkamy się na obiedzie w Białym Domu, pamiętasz? To już niedługo.

— Taak. Mój wielki wieczór w Waszyngtonie... — Bloch nie robił wrażenia zbyt szczęśliwego z tego powodu.

— Może kupisz jakiegoś konia od Meksykanów.

- Skoro nie możesz nic dla mnie zrobić, zajmę się tym sam.
- Wszystko jedno. Trochę się spieszę, więc...
- W porządku, stary.
- Tylko pamiętaj: trzymaj się z daleka od May.
- Nawet włos jej z głowy nie spadnie. Do zobaczenia, Bobby.

Moody odłożył słuchawkę i zamyślił się na chwilę. Cała ta sprawa z koniem to jakaś bzdura. Miał wystarczająco dużo innych kłopotów. Na domiar złego w Belize znowu robiło się gorąco. Za zgodą prezydenta razem z generałem St. Angelo zwrócą się do szefa Połączonych Sztabów, żeby wysłał tam więcej żołnierzy piechoty morskiej. Nacisnął guzik interkomu.

— Gdzie się podziewa generał, do jasnej cholery? Niech tu natychmiast przyjdzie!

Showers wrócił do Waszyngtonu o wiele wcześniej, niż zamierzał. Becky stała się tak nieprzyjemna, że nie mógł z nią dłużej wytrzymać. Przypominała narowistego konia, którego w żaden sposób nie da się ujeździć, aż trzeba go zabić — chyba że sam się zabije.

Chciał pomóc, ale nie wiedział jak. Postanowił porozmawiać z jej rodzicami po powrocie do miasta. Musi znaleźć jakieś wyjście z tego impasu. Zadzwoi też do May Moody.

W mieszkaniu czekała na niego mała niespodzianka. Wśród stosów korespondencji znalazł pismo z macierzystego oddziału Gwardii Narodowej. Z powodu nawału pracy opuścił dwa ostatnie spotkania, więc w pierwszej chwili pomyślał, że to jakieś oficjalne upomnienie, ale okazało się, że informują go tylko o terminie dwutygodniowych letnich ćwiczeń, zaczynających się pod koniec miesiąca. Spędzi lipcowe Święto Niepodległości w forcie A.P.Hill, na północ od Richmondu, gdzie miała zebrać się kompania zaopatrzeniowa, którą dowodził.

Pomyślał, że to dobry znak. Odpocznie od codziennych trosk. Ale najpierw musi zająć się sprawą gniadosza.

Dotarł do właścicieli jego rodziców: farmerka z Pensylwanii z początku w ogóle nie chciała z nim rozmawiać, ale w końcu powiedziała to, co spodziewał się usłyszeć. Prawdziwy żrebak z linii Królowej Tashamore miał teraz pięć lat i dwie białe skarpetki, a nie trzy. Sprzedała go na aukcji przed czterema laty i nie знаła nabywcy. Nigdy nie słyszała o firmie z New Jersey.

Moody nie zareagował na list. Showers bywał na Kapitolu i jak zwykle uczestniczył w posiedzeniach komisji. Podczas jednego z nich natknął się na szefa gabinetu, który wszedł do sali na kilka minut i spostrzegł kapitana, ale ani nie wezwał go potem do siebie, ani nie zostawił żadnej wiadomości.

Szeryf Cooke obiecał pilnować farmy Alixe i najwyraźniej wywiązywał się z obietnicy. Nikt w Dandytown nie widział Billy'ego Bonninga, który podobno przeprowadził się do kochanki w Charlottesville. Lenore wyjechała z przyjaciółmi — przynajmniej jeden z nich był mężczyzną — na kilka dni do Saratogi. Lynwood dopytywał się o egzemplarz paktu, którego Showers ciągle nie mógł dla niego zdobyć, ale z Anglii nie nadeszła jeszcze żadna odpowiedź na temat kradzieży konia. Kapitan zaczął się zastanawiać, czy nie zwrócić się do ambasady w Londynie z prośbą o przejrzenie ostatnich roczników miejscowych gazet, ale po namyśle uznał, że nie powinien tak wykorzystywać zajmowanego stanowiska.

Z czasem, pogrążając się coraz bardziej w natłoku nowych obowiązków, niemal zapomniał o całej sprawie.

Nagle, pewnego niedzielnego poranka, nastrój pozornego spokoju prysł. Rano jak zwykle kupił w kiosku *Washington Post* oraz *New York Timesa*, a potem usiadł na balkonie i zabrał się za lekturę, popijając kawę. Na pierwszych stronach nie znalazł niczego ciekawego, ale kiedy dotarł do działu publicystycznego, spostrzegł nagłówek: WOJNA HANDLOWA Z JAPONIĄ?

Zamarł. Artykuł zamieszczono w kolumnie przeznaczonej na opinie niezależnych dziennikarzy. Jego autorem był Jack Spencer.

W tekście nie wymieniano żadnych nazwisk, ale niedwuznacznie dawano do zrozumienia, że Stany Zjednoczone potajemnie zagroziły Japonii embargiem handlowym i ograniczeniami importowymi, gdyby Tokio nie zgodziło się na ratyfikację paktu. Jako dowód przytaczano sporządzone w Białym Domu wewnętrzne memorandum, szczegółowo określające możliwe sankcje.

W Waszyngtonie coś podobnego oznaczało wybuch bomby. Bez wątplenia przeczytał to zarówno Moody, jak i Japończycy. Showers czuł się, jakby znowu spadał z Moonsugar na ostatniej przeszkodzie. Tylko że tym razem nie podniesie się tak łatwo.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

— Rozumiesz, o co w tym wszystkim chodzi? — zapytał prezydent.

Siedzieli na werandzie rezydencji w Camp David, jedząc razem śniadanie i naradzając się przed konferencją prasową, która miała zwykle miejsce po porannym meczu tenisowym.

Moody wziął do ręki stronę z artykułem i wzruszył ramionami. Od samego początku obawiał się jakiegoś przecieku do prasy, ale nie przypuszczał, że będzie to właśnie Jack Spencer. Jeden z wielu waszyngtońskich dziennikarzy, którzy pisali tylko po to, aby mieć za co pić. Nawet nie przychodził na codzienne spotkania dla prasy w Białym Domu.

— Muszę przyznać, że jestem zaskoczony, sir. Najwyraźniej ktoś ma za długi język.

— Jak w ogóle mogli wydrukować coś podobnego, na miłość boską?

— To kolumna dla niezależnych dziennikarzy. Ci wariaci mogą napisać wszystko.

— Spencer... Nigdy o nim nie słyszałem. Jest znany?

Pytanie było na tyle niedorzeczne, że Moody niemal parsknął śmiechem.

— Drobną płotka, sir. Pracuje dla jednej z mniejszych agencji, obsługującej głównie Środkowy Zachód.

Dla prezydenta wszystko, co znajdowało się ponad sto kilometrów od Waszyngtonu, było równie dalekie jak afrykańska dżungla. I równie mało ważne.

— Myślisz, że rozmawiał z kimś z administracji, czy po prostu snuje domysły?

— Nie wiem, sir. Ale zamierzam się dowiedzieć.

— Dobrze, zajmij się tym. — Prezydent zerknął na strój Moody'ego: ciemnoszary, oficjalny garnitur. — Dasz się dziś wyciągnąć na kort? Słyszałem, że bierzesz lekcje.

W kręgach waszyngtońskiej arystokracji osoba, która nie grała w tenisa i nie żeglowała, niełatwo zyskiwała zaufanie. Jeśli chodzi o ten drugi sport, Moody nie miał kompleksów, wszystko sprowadzało się do siedzenia na burcie jachtu i pociągania w odpowiednim momencie za długi sznur, który prezydent z uporem maniaka nazywał szotem. Natomiast nieumiejętność gry w tenisa już nieraz wprawiała Moody'ego w ogromne zakłopotanie. Wynajął nawet instruktora, ale okazało się, że nauka pochłaniała zbyt dużo czasu, więc musiał zrezygnować.

— Cały czas nad tym pracuję, sir, ale teraz zajmę się lepiej sprawą artykułu. Nie sędzę, żeby stanowił zagrożenie dla paktu, ale ostrożności nigdy dosyć. Za pańskim pozwoleniem, trzeba porozmawiać z Japończykami, więc...

Prezydent uśmiechnął się.

— Zrób, co uważasz za stosowne.

Moody wszedł na asfaltową ścieżkę, która prowadziła do jego domku. Pochłonięty myślami, nie zwracał uwagi na ściekające pod koszulą krople potu. Artykuł Spencera to na pewno sprawka Showersa — granat wrzucony podstępem do okopów wroga. Musiał przyznać, że facet miał jaja. Już za kadencji Busha przeciek tego rodzaju informacji do prasy uważany był za poważne wykroczenie, ale teraz praktycznie oznaczał zawodowe samobójstwo dla każdego, kto zostałby złapany na gorącym uczynku. Jak mawiał prezydent, dżentelmeni nie robią takich rzeczy. Może Showers nie był dżentelmenem. Ale dlaczego posłużył się taką szmatą jak Spencer?

Niewykluczone, że przeciek pochodził od Japończyków. Mogli nagle zmienić zdanie i uznali, że w ten sposób łatwiej wykręcą się od ratyfikacji.

Nieważne. I tak zamierzał jak najszybciej ukreć łeb całej sprawie.

Kiedy znalazł się w pokoju, podszedł prosto do telefonu. Najpierw zadzwonił do przewodniczącego partii, który zdążył już przeczytać niedzielne wydanie *Postu*.

— Jak rozumiem, chodzi o memorandum, rzekomo napisane przez Napiera, zgadza się?

— W Białym Domu nikt o niczym nie słyszał — odparł Moody. — A szczególnie prezydent, który o wszystkim dowiedział się z gazety. Tak właśnie powiemy na jutrzejszej konferencji prasowej. Tymczasem ściągnij tu Napiera — i to najbliższym samolotem, nawet jeśli trzeba będzie przetrząsnąć każdy bar w San Francisco. Jeszcze dziś wieczorem musi się stawić w Waszyngtonie. Każę wynająć dla niego pokój w hotelu Four Seasons w Georgetown. Ma tam pojechać prosto z lotniska i nie ruszać się z miejsca, dopóki mu nie pozwolę.

— Chyba strasznie tęsknisz za Napierem, Bob.

— Baaardzo śmieszne. Zajmij się tym natychmiast.

Następnie zatelefonował do Wolfensona, a właściwie wyciągnął go z łóżka pewnej sekretarki z Białego Domu. Kazał mu dowiedzieć się wszystkiego o Spencerze. Szczególnie czy przypadkiem nie znał Davida Showersa.

W *Washington Post* rozmowa z redaktorem odpowiedzialnym za dział niezależnej publicystyki nie miała sensu. W końcu wolność słowa to wolność słowa, pierwsza poprawka do konstytucji wciąż obowiązywała. Ale musiał kontratakować, na wypadek gdyby ktoś zechciał potraktować poważnie rewelacje Spencera. Dlatego połączył się z wysoko postawionym w hierarchii *Postu* znajomym redaktorem działu krajowego i powiedział mu, że artykuł Spencera zrobił bardzo złe wrażenie na prezydencie: zawierał nieprawdę, a, co gorsza, został opublikowany w renomowanym dzienniku, z nieobliczalnymi konsekwencjami dla stosunków japońsko-amerykańskich. Wyjaśnił też — mając nadzieję, że wiadomość zostanie odpowiednio wykorzystana w następnym wydaniu — iż cała sprawa zostanie oficjalnie zdementowana na poniedziałkowej konferencji prasowej.

Nie spodziewał się nadzwyczajnego efektu tej rozmowy. Wystarczy, jeśli redaktor nabierze dystansu do artykułu: sceptycyzm, który rodził się w jego głowie, stopniowo rozszerzał się na całe miasto.

W końcu zadzwonił do macierzystej agencji Spencera. Tym razem był o wiele mniej pojednawczy. Oskarżył jej szefa o oszustwo i rozpowszechnianie kłamstw, a potem nazwał dziennikarza najbardziej nieodpowiedzialnym pismakiem, jaki kiedykolwiek został wpuszczony do Białego Domu. Zapowiedział, że jeśli agencja nie wystosuje oficjalnych przeprosin, do końca kadencji obecnej administracji nie

będzie miała dostępu do żadnych istotnych informacji. Facet zaczął głośno protestować, ale Moody nie miał zamiaru go słuchać. Rano zmieniają zdanie, to jasne.

Nie skontaktował się z Japończykami. Poczeka, aż sami do niego przyjdą. Niezależnie od tego, czy mieli coś wspólnego z przeciekami, czy też nie, nie powinni wiedzieć, że Biały Dom wpadł w panikę.

Może i dobrze, że Spencer napisał ten artykuł, pomyślał Moody. Znalazł wreszcie pretekst, aby zemścić się na Showersie. Zdecydował już wcześniej, jak uderzyć najboleśniej.

Showers długo się zastanawiał, zanim zadzwonił do kuzyna: nie miał pojęcia, co mógłby mu powiedzieć. Osłupienie i wściekłość na widok artykułu w *Washington Post* równoważyły ciekawość, co stanie się teraz.

Rozmawiając z Kurosawa, pierwszy raz w życiu naruszył swój wewnętrzny kodeks etyki i honoru. Nie spodziewał się jednak, że kara spadnie na niego tak szybko.

Jeszcze raz przeczytał artykuł. Jack nie wymieniał żadnych nazwisk, posługując się ogólnikami, ale Moody i tak się domyśli. Nie potrzeba żadnego dochodzenia.

Kiedy wreszcie wykręcił numer, niemal poczuł ulgę, słysząc głos automatycznej sekretarki zamiast Spencera. Zostawił na taśmie wiadomość, że prosi o pilny telefon, ale nie wiedział, co robić dalej. Próbował połączyć się z Sandinauskasem, ale ku swojemu zdumieniu odkrył, że domowy numer sekretarza energii został zmieniony na inny, zastrzeżony.

Czuł, że musi z kimś porozmawiać. Niestety, Alixe wyjechała do Wirginii Zachodniej, Lenore wciąż bawiła się w Saratodze, a z Becky nie było żadnego pożytku.

Czekał przeszło godzinę, mając coraz mniejszą nadzieję, że Jack oddzwoni, a potem wyszedł na spacer, aby trochę ochłonać. Ale mimo słonecznego, pięknego dnia monumentalne budowle stolicy wydały mu się złowrogie i tajemnicze.

Idąc wzdłuż wybrzeża, dotarł aż do cuchnącego targu rybnego. Po powrocie do domu zadzwonił jeszcze raz do Spencera. Bez rezultatu. Potem siedział beczynnie, aż zasnął. Kiedy się obudził, znowu zajrzał do gazety. Wciąż nie mógł skupić myśli.

Zjadł obiad, nalał sobie ulubionego drinka i wyszedł na balkon. Powoli zapadał wieczór — chłodny i przyjemny. Postanowił wybrać się na przejażdżkę. Wsiadł do dzipa, wyłączył klimatyzację, opuścił boczne szyby i ruszył wzdłuż rzeki. O tej porze roku Waszyngton odwiedzało mnóstwo turystów, więc ruch na ulicach nie malał aż do późna w nocy. Kiedy kapitan skręcił w Independence Avenue, zorientował się, że od dłuższego czasu jedzie za nim jakiś samochód. Zdenerwowany, stanął przy chodniku. Biały sedan z rejestracją Dystryktu Kolumbia wyprzedził go powoli, a potem nagle przyśpieszył i skręcił w następną przecznicę. Showers pojechał prosto, w stronę Kapitolu. Już wiedział, co zrobić.

Strażnik przy drzwiach Shakespeare Theatre wyjaśnił uprzejmie, że nie wie, czy próby do nowego przedstawienia już się zaczęły, ale szybko prowadzono je w wynajętej sali kilka ulic dalej.

Budynek był stary i zniszczony. Showers wszedł do długiego korytarza, otworzył pierwsze z brzegu drzwi i zajrzał do środka. W pomieszczeniu panowały ciemności, jedynie na drugim końcu kilka osób siedziało na krzesłach w kręgu reflektorów, na zmianę recytując swoje kwestie. Wśród nich zauważył May Moody, ubraną w szorty i bluzę.

Nagle tuż za plecami usłyszał głos:

— Przepraszam pana, ale nie wolno tu wchodzić.

Odwrócił się i ujrzał młodego człowieka w dzinsach oraz podkoszulku z firmowym nadrukiem teatru, niosącego tacę pełną kartonowych kubków z kawą.

— Chciałbym zamienić kilka słów z panną Moody.

— To niemożliwe. Trwa próba. Wciąż nie obsadzono niektórych ról.

Showers odsunął się z drogi, ale nie miał zamiaru tak łatwo ustąpić. Wyciągnął wizytówkę z portfela i napisał na odwrocie: „Muszę z panią porozmawiać. To bardzo ważne”.

— Proszę jej to podać.

Kiedy May wzięła wizytówkę do ręki, zerknęła w stronę drzwi, pokręciła głową i zaczęła coś szeptać. Po chwili chłopak wrócił do Showersa.

— Przykro mi, proszę pana, ale ona wcale nie chce z panem rozmawiać. — Zamknął drzwi.

Kiedy Peter Napier dotarł do pokoju hotelowego, zmęczony po niespodziewanej podróży, zdjął krawat, rozpiął koszulę i z braku lepszego zajęcia zaczął oglądać telewizję. Czuł, że potrzebuje snu, ale Moody wciąż nie dzwonił.

Kilka minut po północy usłyszał pukanie do drzwi. Spodziewał się najpierw telefonu, więc nagła wizyta nieco go zaskoczyła i wystraszyła.

— Nie mam zbyt wiele czasu — oznajmił szef gabinetu, wchodząc do środka. — Powiniennem wrócić do domu godzinę temu, a moja żona nie znosi, kiedy się spóźniam.

— Oczywiście, sir. Przyjechałem tak szybko, jak mogłem, ale nic z tego nie rozumiem.

Moody wyłączył telewizor, a potem usiadł na krześle, ruchem ręki zachęcając Napiera, żeby zrobił to samo. Śmieszne, jak często losy świata spoczywają w rękach kretyńców, pomyślał, rozdrażniony jego niechlujnym wyglądem.

— Jest dla ciebie zajęcie. To bardzo ważne.

— Zawsze do usług, sir.

— Mamy kłopoty z paktem. Szczegóły są nieistotne, ale w prasie pojawiły się fałszywe pogłoski, że grozimy Japonii wojną handlową, jeśli nie zgodzą się na ratyfikację.

— Wiem. W wieczornych wiadomościach...

— Zamknij się i słuchaj. Cała historia to wierutne kłamstwo, ale w Tokio mają powody, żeby się zdenerwować, więc musimy działać szybko. Potrzeba nam kogoś takiego jak ty: jesteś dyskretny, zrobisz, co chcemy i znasz się na polityce, prawda?

— Dziękuję panu, sir.

— A więc chcemy, żebyś skłamał. Nie bój się, nie ma w tym nic sprzecznego z prawem. Za to bardzo pomożesz partii, prezydentowi i krajowi.

Napier zamarł ze zdumienia z otwartymi ustami. Moody wyciągnął z kieszeni złożony na czworo kawałek papieru.

— Przeczytaj.

Było to oficjalne memorandum, datowane sprzed miesiąca, napisane na firmowym papierze Komitetu Narodowego i zaadresowane do przewodniczącego partii. Informowało go, że w najbliższych wyborach demokratyczni kandydaci mogą stracić część głosów, ponieważ społeczeństwo obawia się wzrostu bezrobocia z powodu wprowadzenia w życie ustaleń paktu. Szczególnie niekorzystna sytuacja powstałaby

wówczas, gdyby proekologiczne ograniczenia nie objęły Japonii, głównego konkurenta Stanów Zjednoczonych na światowych rynkach. W związku z tym w memorandum proponowano, aby Komitet Narodowy zwrócił się do rządu o rozważenie, czy i jakie sankcje ekonomiczne można by nałożyć na Tokio w razie odmowy ratyfikacji paktu.

Napier skończył czytać i odezwał się:

— Doskonale, panie Moody, ale nie rozumiem, dlaczego na dole widnieje moje nazwisko. Nigdy nie napisałem czegoś podobnego. Wprawdzie Komitet wystosował w moim imieniu wezwanie do wyborców o poparcie paktu, ale to było zupełnie inne pismo.

— Wiem. I dlatego chcę, żebyś skłamał. Memorandum brzmi całkiem rozsądnie. Jeśli przyznasz, że jesteś jego autorem, ukręcimy łeb całej sprawie.

— Komu mam to powiedzieć?

— Całemu światu. Jutro zorganizujemy konferencję prasową. Rozdamy wszystkim kopie, a ty oświadczysz, że to właśnie przyczyna całego zamieszania. Nie będziesz zeznawał pod przysięgą, więc nic ci nie grozi. Wielka polityka wymaga czasem drobnych poświęceń. Napier wyobraził sobie tłum reporterów, prezydenckie godło na mównicy. Może pokażą go w ogólnokrajowym dzienniku... —• To wszystko? — zapytał.

— Być może. Ale jeśli pismaki zaczną naciskać, w jaki sposób nastąpił przeciek, będziesz musiał popełnić jeszcze jedno kłamstwo. Przyznasz, że pokazałeś memorandum facetowi z Departamentu Stanu, nazwiskiem David Showers.

— Kto to taki?

— Sukinsyn, który sprzedał całą historię swojemu kuzynowi, dziennikarzowi. Właśnie się o tym dowiedziałem. Powiesz, że pokazałeś mu memorandum w barze Wilde Thing, koło DuPont Circle.

Napier otworzył szeroko oczy. Wszyscy w Waszyngtonie wiedzieli, że to ulubione miejsce spotkań homoseksualistów.

— Ale ja go nawet nie znam.

— Znasz. Przecież spotkaliście się w Wilde Thing.

— Co sobie pomyślą o mnie ludzie?

— Byłeś kiedykolwiek w tym barze?

— Tak, parę razy.

— Więc nic się nie stanie, jeśli powiesz to publicznie.

Napier jeszcze raz spojrzął na memorandum.

— Skoro pan twierdzi, że to takie ważne...

Moody nie zamierzał niczego powtarzać.

— Jeśli się zgodzisz, nie pożałujesz. Prosiłeś mnie kiedyś o pracę w rządzie. Dopóki nie doprowadzimy sprawy paktu do końca, to niewykonalne, ale możesz zostać członkiem jednej z komisji doradczych przy prezydencie. Dostaniesz gabinet niedaleko Blair House, przepustkę do Białego Domu, a po pewnym czasie, być może, także prawo do korzystania z naszych przywilejów.

Napier, coraz bardziej zadowolony, wziął głęboki wdech.

— Ale jeśli odmówisz, będziesz skończony. Każę cię wyrzucić z Komitetu Narodowego, z partii. Zostaniesz kelnerem albo śmieciarzem. Rozumiemy się?

— Tak jest, sir.

— Zrobisz, co mówiłem? — zapytał Moody.

— Oczywiście.

— W porządku. Podpisz się. — Wręczył Napierowi pióro, a potem dodał: — Zostaniesz tu na noc. Nigdzie nie dzwoń i nie odbieraj żadnych telefonów. Rano ktoś zabierze cię do Białego Domu. — Schował memorandum do kieszeni.

Napier wstał.

— Zrobię wszystko dla prezydenta — powiedział.

— To świetnie. Dobranoc.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Moody, senator Reidy i Waldemar Sandinauskas spotkali się wcześniej rano na śniadaniu w hotelu Hay-Adams, niedaleko Białego Domu. Oficjalnie chodziło o „uzgodnienie dalszej strategii postępowania w sprawie paktu”, ale w rzeczywistości zebrali się po to, aby uniknąć kompromitacji, która groziła im po opublikowaniu artykułu Spencera. Niedzielne rewelacje *Washington Post* nie pozostały bez echa: w poniedziałek o tajemniczym memorandum pisała już większość gazet, wśród nich najbardziej wpływowy *Wall Street Journal*.

— Bobby, jesteś pewien, że się uda? — odezwał się Reidy, jedząc jajecznicę. — Dosyć trudno w tym mieście o większego durnia niż Napier.

— Więc po co go trzymasz? — odparł Moody. — Przypominam ci, senatorze, że cała cholerna afera zaczęła się właśnie od ciebie.

Sandinauskas wyglądał na zakłopotanego.

— Jeśli w ogóle można kogokolwiek obwiniać, to już raczej mnie, bo to ja zaproponowałem Davida Showersa.

Moody lubił sekretarza energii. Uważał go za swojego zwolennika.

— Nie przejmuj się, Wally. Miałeś dobry pomysł. Żeby zrealizować szaleńczy plan senatora Reidy'ego, potrzebowaliśmy kogoś naprawdę wiarygodnego. Showers był idealny. Nie mogliśmy przewidzieć, że zacznie mówić.

— Czy jego nazwisko wyjdzie na jaw?

— Mam nadzieję, że nie, ale chyba nie da się tego uniknąć. Szczególnie jeśli prezydent zacznie dociekać prawdy.

— Co się z nim stanie, to znaczy z Showersem?

— Przecież wiesz, co prezydent sądzi o nadmiernie gadatliwych urzędnikach.

— Chyba go nie wyrzucisz? — spytał Sandinauskas.

— Nie możesz tego zrobić — wtrącił się Reidy. — To zawodowy dyplomata, a nie jakiś tam chłopiec do bicia w partyjnym Komitecie. Jeśli się odwoła, zgodnie z procedurą trzeba by przeprowadzić dochodzenie. Chyba nie chcesz, żeby nasz przyjaciel Napier wystąpił na przesłuchaniu przed komisją dyscyplinarną.

— Nie mam zamiaru zwalniać Showersa — odparł Moody. — Do diabła, to rzeczywiście świetny dyplomata. Ale jeśli zostaniemy przyparci do muru — a coraz poważniej biorę pod uwagę taką możliwość — złożę mu propozycję, którą będzie musiał odrzucić. I odejść.

Sandinauskas rozejrzał się po sali. Dookoła siedzieli sami prawnicy i lobbyści, pochłonięci swoimi sprawami.

— Wolałbym, Bob, żebyś zostawił kapitana w spokoju.

— Spokojnie. Ktoś musi ponieść konsekwencje. Pozwólcie sobie przypomnieć, chłopcy, że nie jesteśmy bandą oszustów. Niczego nie ukradliśmy, nie próbujemy obalić rządu ani podłożyć świni opozycji. Próbujemy nakłonić naszego japońskiego sojusznika do podpisania najbardziej wzniosłego aktu, jaki uchwalił Kongres od czasów Deklaracji Niepodległości. Czym jest kariera kogoś takiego jak Showers w porównaniu z losem Ziemi?

Sandinauskas zamilkł i wypił łyk kawy.

— A jeśli sprawy przybiorą zły obrót? — zapytał Reidy.

— Chodzi ci o to, że Showers mógł zatrzymać kopię oryginalnego memorandum albo dać ją Japończykom i nasze oszustwo wyjdzie na jaw?

— Przecież nie da się wykluczyć takiej możliwości.

— Nie ma obaw. To najuczciwszy człowiek pod słońcem. Nigdy nie kłamie. Skoro powiedział, że zniszczył memorandum, wierz mu. Ty go znasz najlepiej, Wally. Myślisz, że zniszczyłyby pakt, żeby ratować własny tyłek?

— Na tle waszyngtońskich cwaniaków to naprawdę wyjątkowy facet.

— A jeśli się mylicie? — nie ustępował Reidy.

— W najgorszym razie, senatorze, ktoś będzie musiał wziąć winę na siebie, tak jak Ollie North i admirał Poindexter w aferze Iran--Contras.

— Myślisz o kimś konkretnym?

— No cóż, ty wszystko wymyśliłeś, ja zaakceptowałem, Wally przeprowadził. Są jacyś ochotnicy?

Sandinauskas westchnął.

— Chyba najlepiej, żebym zrobił to ja. Z naszej trójki jestem najmniej potrzebny sprawie paktu.

— Zawsze uważałem, że Ameryka i Litwa mogą być z ciebie dumne, Wally, ale nie martw się. Napier i Showers to pionki. Zrzucimy ich z szachownicy jednym ruchem ręki. A z tym pismakiem Spencerem też sobie jakoś poradzimy.

Reidy zerknął na zegarek.

— Mamy coś jeszcze w programie?

— Tak. Czy zgodnie z naszymi wcześniejszymi ustaleniami Senat zajmie się paktem po czwartym lipca?

— Po całej tej aferze z memorandum? Chyba nie mówisz poważnie? — skrzywił się Reidy.

— Powtarzam, cała ta afera skończy się jeszcze dzisiaj.

— Nawet jeśli tak będzie, Bobby, musimy jakoś przekonać niezdecydowanych, a artykuł Spencera wcale nam w tym nie pomógł. Uważam, że powinniśmy trochę poczekać.

— Jak długo?

— Wróćmy do sprawy na jesieni. Proponuję pierwszą sesję we wrześniu. Poza tym uchwalenie nowego układu o redukcji zbrojeń i tak zajmie cały czerwiec.

— Wrzesień?! Nie ma mowy! Prezydent urwie mi głowę. Mówiłeś, że nie puścisz Senatu na wakacje, dopóki nie ratyfikują paktu.

— Naprawdę potrzebujemy więcej czasu. Gdyby głosowanie odbyło się teraz, może nawet byś i wygrał, ale nie myśl, że pójdziesz tak łatwo jak w komisji. Bobby, kiedy chodzi o naprawdę duże pieniądze, lobbyści nie poddadzą się bez walki. Powiedz prezydentowi, że jeśli trochę poczekamy, zdobędę więcej zwolenników i ostateczne zwycięstwo będzie o wiele bardziej spektakularne. Daj mi lato. Kto wie, może wydarzy się coś, co ułatwi nam robotę, może znowu jakiś tankowiec rozbije się u wybrzeży Alaski albo Rosjanie wysadzą w powietrze kolejny Czernobyl.

— Słyszałem, że nie jest to zupełnie niemożliwe — wtrącił się Sandinauskas.

— Ale ja obiecałem prezydentowi, że przyniosę mu żółtków na talerzu — zaoponował Moody. — Jeśli nawet nasz Senat nie podpisze ratyfikacji, Japończycy tym bardziej nie ruszą się z miejsca.

— Więc trzeba rozlać ropę w Zatoce Tokijskiej.

Szef gabinetu bawił się przez chwilę szklanką z sokiem pomarańczowym.

— Są prostsze sposoby — powiedział w końcu.

— Zawsze można coś wymyślić — odparł Reidy.

— W porządku, panowie, czas ruszać do roboty — podsumował Moody — więc kończmy to uroczne śniadanko.

Spóźnili się pięć minut. Konferencja przebiegała sprawnie. Prowadził ją sekretarz prasowy Białego Domu, który sam wiedział o memorandum tylko tyle, ile prezydent. Na początku, jak zwykle, padło kilka pytań na temat budżetu i sytuacji w Belize, ale ogólnikowe odpowiedzi niczym się nie różniły od tych sprzed tygodnia. Tymczasem asystent Moody'ego rozdał dziennikarzom kopie pisma, które Napier podpisał zeszłego wieczoru.

Kiedy wreszcie poruszono sprawę artykułu Spencera, sekretarz prasowy oddał mikrofon szefowi gabinetu.

— Całe zamieszanie wynika z tego — zaczął Moody — że bardzo poważnie traktujemy wszystko, co może zaszkodzić proekologicznym planom prezydenta. Ale nie istnieje żadne tajne memorandum Białego Domu. Nie planujemy wojny handlowej z Japonią. Jest tu z nami pan Napier, autor listu, którego kopie właśnie dostaliście. Możecie pytać go o wszystko.

Ale nikt nie był zainteresowany osobą Napiera, powszechnie znanego w Waszyngtonie karierowicza i drobnego intryganta, marzącego tylko o tym, aby dostać się na pierwsze strony gazet.

— Jak zareagował na memorandum prezydent? — zapytał jeden z reporterów.

— Wcale go nie czytał — odparł Moody. — Tak samo jak pański szef nie czyta memorandumów, które pisze pan w sprawie zwiększenia ilości papieru toaletowego w męskiej ubikacji w redakcji.

— Czy prezydent rozważa możliwość wprowadzenia sankcji przeciwko krajom, które nie ratyfikują paktu?

— Nic mi na ten temat nie wiadomo. Pakt to wspólne dzieło wielu narodów, efekt światowej współpracy. A jeśli chodzi o jakiegokolwiek sankcje, o wiele właściwszym forum do dyskusji na ten temat jest Zgromadzenie Ogólne Narodów Zjednoczonych. Poza tym przypominam, że Stany Zjednoczone także jeszcze nie ratyfikowały paktu.

Korespondentka jednej z sieci telewizyjnych wstała z miejsca, bezskutecznie próbując zwrócić na siebie uwagę Moody'ego.

— Słucham, kochanie? — odezwał się wreszcie, wywołując chichoty i nieprzychylnie komentarze.

— Czy określiliby pan Japończyków jako produkujących najwięcej zanieczyszczeń na świecie?

— Oczywiście, że nie. — Do diabła, czy ona nigdy nie słyszała, co się dzieje w Europie Wschodniej? — Chciałbym podkreślić, że obie izby japońskiego parlamentu przystąpiły już do prac nad ratyfikacją. Japonia jest naszym sojusznikiem i jednym z największych partnerów ekonomicznych. Nie wątpimy, że poprze nas także w tej kwestii. A teraz, jeśli państwo pozwoli, chciałbym wrócić do swoich obowiązków. Jeśli macie jeszcze jakieś pytania, nie będę odbierał chleba mojemu współpracownikowi. — Moody wciągnął na mównicę sekretarza prasowego, zbierając się do wyjścia.

— Dlaczego do Belize wysłano kolejne oddziały? — zdążył jeszcze zapytać któryś z dziennikarzy.

— Musimy bronić naszych interesów — rzucił przez ramię Moody, wypychając Napiera z sali konferencyjnej.

— Wszystko w porządku? — zapytał niedoszły bohater wieczornych wiadomości, spocony i zaczerwieniony, kiedy już znaleźli się z dala od wścibskich oczu przedstawicieli prasy.

— Nie mogłeś wypaść lepiej. Dzięki.

— Przecież nie powiedziałem ani słowa.

— Zaraz nagadasz się do woli. Idziemy do prezydenta.

— Do prezydenta?

— Chcę, żebyś mu dokładnie wszystko opowiedział, począwszy od tego, dlaczego napisałeś memorandum, a skończywszy na spotkaniu z Showersem. A potem przepros za kłopoty, których stałeś się przyczyną.

— Mam przeprosić prezydenta? Za jakie znowu kłopoty?

— Żadne, głupcze. Ale on lubi takie scenki. Przypominają mu jego szkolne czasy. Grunt, żeby myślał, że wszystko kontroluje. Jeśli powiesz, że byłeś nadgorliwy, bo boisz się o pakt, pewnie pogłaszcze cię po czole.

Napier odprężył się.

— A potem znikniesz — ciągnął Moody — na długo i daleko stąd. Dostaniesz pieniądze z Komitetu Narodowego, tylko zostaw wiadomość, gdzie jesteś.

— Tak jest, sir.

— Nie wolno ci wrócić, dopóki osobiście nie wyrażę na to zgody. Nie żartuję: jeśli zrobisz inaczej, pojedziesz do Belize z kolejną turą żołnierzy.

Późnym popołudniem Showers został wezwany do biura Richmonda. Biorąc pod uwagę fakt, że nie znali się zbyt dobrze, podsekretarz stanu był wyjątkowo uprzejmy, ale jednocześnie poważny.

— Widziałem się z prezydentem — zaczął, kiedy usiedli. — Chodzi o ciebie, Davidzie.

Kapitan próbował zachować spokój. Czekał na tę rozmowę od chwili, w której przeczytał artykuł Jacka.

— Zaniepokoiły go niektóre wczorajsze i dzisiejsze doniesienia prasowe, dotyczące Paktu o Ziemi. Znasz je?

— Tak.

— Wynika z nich, że przekazałeś swojemu kuzynowi dziennikarzowi pewne nie potwierdzone informacje, uzyskane od pracownika Komitetu Narodowego, niejakiego Napiera.

— Tylko pierwsza część tego twierdzenia jest prawdziwa.

— Więc przyznajesz się?

— Oczywiście. Ale nie mam nic wspólnego z owym Napierem.

— Nie spotkałeś się z nim ostatnio w barze Wilde Thing?

— Nie. Nigdy nawet nie słyszałem o tym lokalu. Czy tak brzmi oficjalna wersja?

— Wiem tyle, ile powiedział mi prezydent.

— To jakaś bzdura. Wprawdzie pokazałem mojemu kuzynowi memorandum, podpisane nazwiskiem Napiera, ale nie znam go osobiście. Nigdy się nie spotkaliśmy.

— Skąd zatem miałaś memorandum?

Showers postanowił, że nie powie niczego, co obciążałoby Sandinauskasa, przynajmniej dopóki się z nim nie spotka. Nie chciał też zaszkodzić sprawie paktu.

— Wolałbym nie mówić, sir.

— Rozumiem, że chcesz wziąć całą winę na siebie, ale...

— Nie. Po prostu teraz to już bez znaczenia. Rozmawiałem z moim kuzynem, chociaż nie powinienem. Popełniłem poważny błąd.

Richmond przygryzł wargi, kołysząc się na krześle. Był uczciwym

człowiekiem. Mam nadzieję, że to właśnie on zostanie sekretarzem stanu, pomyślał Showers.

— Davidzie, czy są jakieś okoliczności, które usprawiedliwiłyby twój czyn?

Kapitan zawahał się.

— Szczerze mówiąc, tak, ale tę kwestię także wolałbym na razie przemilczeć. Przynajmniej dopóki... — odwrócił wzrok. — Dopóki pakt nie wejdzie w życie.

— Jesteś pewien? Pozbawiasz się możliwości obrony, a, co gorsza, na bardzo długo.

Showers spojrział prosto w oczy zwierznika.

— Mogę tylko powiedzieć, że w związku z memorandum spotkałem się z pewnym wysokim urzędnikiem w administracji — zresztą, nie doszliśmy do porozumienia — ale to w dużej mierze prywatna sprawa, nie mająca nic wspólnego z paktem. Zapewniam pana, sir, że cały czas działałem zgodnie z intencjami prezydenta oraz interesami departamentu.

— Rzecz jasna, z wyjątkiem rozmowy z kuzynem.

— Tak.

Richmond otworzył teczkę, która leżała na biurku.

— Davidzie, twoje akta są pełne pochwał. Powinieneś zajmować o wiele wyższe stanowisko. Ale widzę też, że ostatnio odrzuciłeś dwie niezłe propozycje wyjazdu na zagraniczną placówkę, żeby dalej pracować nad paktem.

— Szczerze mówiąc, przeważyło coś innego. Gdybym się zgodził, nie mógłbym doglądać moich koni. Odziedziczyłem po ojcu farmę w Wirginii.

— Wiem. Widziałem cię na zawodach. — Podsekretarz przerzucił jeszcze kilka kartek, po czym odłożył dokumenty na bok i spojrział uważnie na kapitana. Najwyraźniej rozmowa zmierzała ku końcowi.

— Przyznaję, że podzielam niepokój prezydenta — odezwał się oficjalnie — i w tej sytuacji nie mam wyboru. Oczywiście żadne zwolnienie dyscyplinarne ani oficjalne dochodzenie nie wchodzi w grę; otrzymasz jedynie upomnienie z wpisem do akt. Jesteś doskonałym dyplomatą i nie widzę powodu, dla którego mielibyśmy rezygnować z twoich usług. Ale pewne kroki stały się konieczne. Nie będziesz już pracować w komisji ani w żaden inny sposób zajmować się sprawą paktu. Zostaniesz przeniesiony.

Showers spodziewał się takiego rozwoju wydarzeń.

— Dokąd?

— Za granicę. Dział konsularny ambasady w Chartumie. Nasze interesy w Sudanie zaczynają odgrywać coraz większą rolę.

A więc Sudan. Cóż za trafny wybór. Równie dobrze mogliby go wysłać na biegun północny. Tyle że to zbyt blisko Waszyngtonu.

— Z całym szacunkiem, sir, ale, niestety, muszę odmówić.

Richmond spojrział z niedowierzaniem.

— To wykluczone, Davidzie. Odrzuciłeś już dwie propozycje, Znasz przepisy, więc wiesz, co oznacza trzecia odmowa.

— Oczywiście, sir. Jeszcze dziś złożę podanie o dymisję.

— Bardzo mi przykro.

Showers wstał i podał rękę sekretarzowi.

— Doskonale pana rozumiem, sir. Mam tylko jedną prośbę. Jak rozumiem, nasz ambasador w Islandii został właśnie odwołany. Jeśli skonsultuje się pan z szefem gabinetu Białego Domu, być może dojdzie pan do wniosku, iż pośpiech w tej sprawie był zbędny.

Kiedy wrócił do biura, sekretarka od razu zauważyła, że coś się stało i posłała mu pytające spojrzenie. Uśmiechnął się bez słowa. Po dwóch latach wspólnej pracy zasłużyła na wyjaśnienia. Później dostanie długi list, a tymczasem niech idzie wcześniej do domu.

Usiadł w fotelu i spojrział na globus w kącie. Pakty, prezydenci, rządy, wielkie wydarzenia — cały świat będzie kręcił się dalej bez niego. Nic nie trwa wiecznie. Historia jest bezwzględna.

Piórem, które dostał od Lenore w prezencie urodzinowym, napisał rezygnację: dwa proste zdania, bez żadnych ozdobników ani komentarzy. Kiedy atrament wysechł, włożył list do koperty.

Na biurku stało kilka fotografii. Włożył je do walizki razem z osobistymi drobiazgami, wyciągniętymi z szuflad. Sterty oficjalnych dokumentów i globus zostawały. Nie miał już z nimi nic wspólnego.

Spośród wiadomości, które sekretarka zapisała w notatniku, zainteresował się tylko jedną: „Kiedy rozmawiał pan z Richmondem, dzwonił sekretarz energetyki”.

Sandinauskas sam odebrał telefon.

— Właśnie się dowiedziałem.

— Pewnie nawet wcześniej niż ja.

- Być może.
- Złożyłem rezygnację, Waldemarze. Zaproponowali mi Chartum.
- Posłuchaj, kiedy zostaję w biurze tak długo po południu, lubię zaczerpnąć świeżego powietrza. Przejdiesz się ze mną?

Czekał na rogu i jadł hot-doga.

- Już napisałeś? Mam na myśli twoją rezygnację.
- Nawet zdążyłem ją wystać.
- Nie musiałeś tego robić.
- Owszem, tak. Znasz mnie na tyle długo, żeby wiedzieć dlaczego.
- Dave, spędziłem w Waszyngtonie trzy czwarte życia i przez te wszystkie lata nauczyłem się jednego: ludzie przychodzą i odchodzą. Zachowują się jak barbarzyńcy, bez opamiętania niszcząc wszystko i wszystkich dokoła, jakby nie rozumieli, że sami też kiedyś odejdą. Czy dzisiaj ktokolwiek w ogóle pamięta, jak się nazywał szef gabinetu Cartera, Busha albo Reagana?

— Nie boję się Moody'ego.

— Wiem. Ale uważam, że powinieneś przeczekać jego rządu. Skąd wiesz, kto wygra następne wybory? Departament Stanu nie zapomina tak szybko o swoich najlepszych ludziach. Za parę lat mógłbyś wrócić.

— Żeby dostać emeryturę? Nie, Waldemarze, dziękuję. Mam lepsze pomysły na życie. Poza tym nie chcę teraz wyjeżdżać z Wirginii.

Mimo późnej pory ruch na ulicach nie małał: wracający do domów urzędnicy mieszały się z turystami.

— Jeśli chcesz, załatwię ci pracę — wprowadzisz nie w rządzie i nie u demokratów, ale na pewno coś znajdziesz. Nie zarobisz aż tyle, ile dotychczas, ale wciąż mógłbyś zajmować się paktem, na przykład w jakiejś komisji. Rozmaite lobby raczej odpadają, bo ci wszyscy dranie są przeciw...

— W końcu trafilibyśmy gdzieś razem. Dziękuję, ale na razie nie skorzystam.

Sandinauskas skończył jeść i wytarł usta serwetką.

— Pewnie myślisz, że wystawiłem cię do wiatru — powiedział.

— Nie obwiniaj się. Przypuszczam, że w przeciwieństwie do mnie nie miałeś wyboru.

— Mimo wszystko zaproponowałem twoją osobę.

— Ale ja mogłem odmówić. Zresztą prawie tak zrobiłem. Poza tym nikt mi przecież nie kazał rozmawiać z Jackiem Spencerem.

— W każdym razie czuję się podle. Jeśli chcesz, zrezygnujemy razem. Mówię poważnie: Moody próbuje cię wrobić, mówiąc ogólnie, w intymną znajomość z Napierem. Zamierzam oszczędzić mu trudu i przyznać, że dostałeś memorandum ode mnie. Jestem gotów oświadczyć, że sam wszystko wymyśliłem, co więcej, wręcz wydałem ci polecenie.

— Zrzuńujesz sobie karierę. Nawet nie będą się trudzić z szukaniem jakiegoś Chartumu.

— Mogę przejść na emeryturę. Zresztą, wcale nie wiem, czy to nie najlepsze wyjście. — Sandinauskas położył rękę na ramieniu kapitana. — Nie zawaham się, Dave. Wystarczy, że powiesz choć słowo.

— Doceniam twoje poświęcenie, ale naprawdę nie trzeba. Niczego nie zmienisz, a tylko zaszkodziś sprawie paktu.

— Do diabła, chyba masz rację. Nigdy nie lubiłem Reidy'ego ani Moody'ego, ale muszę przyznać, że zrobią wszystko dla paktu. Trudno o kogoś bardziej oddanego prezydentowi niż Bob.

Kiedy doszli do dżipa, zaparkowanego przy krawężniku, Showers zatrzymał się.

— Dziękuję, Waldemarze. Jesteś moim najlepszym przyjacielem.

— Jeśli tylko będziesz czegoś potrzebował, zadzwoń — odparł Sandinauskas. Nagle włożył rękę do kieszeni, zakłopotany. — O mały włos bym zapomniał. Moody dał mi list do ciebie. Nie mam pojęcia, co jest w środku.

Showers rozerwał kopertę. Wewnątrz znajdowała się kartka, a na niej jedno słowo: „Przegrałeś”.

— No i? — spytał Sandinauskas.

— Cóż, chyba miałem rację, rezygnując.

Na niskim murku przed budynkiem, w którym mieszkał Showers, siedział Jack Spencer.

— Witaj, kuzynie — odezwał się. — Postawić ci drinka?

Kapitan spojrzał na poszarzałą twarz dziennikarza.

— Jesteś pewien, że chcesz się jeszcze napić?

— A ty nie?

— Zgoda. Ale nie musisz wydawać pieniędzy. Mam w domu trochę dżinu.

Kiedy wjechali na górę, Spencer wyjrzał przez okno.

— Niezły widok.

— Niestety, od dzisiaj nie stać mnie już na czynsz. Albo Wirginia, albo Waszyngton. Nie wiem nawet, czy starczy mi pieniędzy na utrzymanie farmy.

— Wylali cię?

— Niezupełnie. Zaproponowali placówkę w Sudanie, więc sam zrezygnowałem.

— Nie przejmuj się. Ja też mam nową pracę. Koniec z wielką polityką. W nagrodę za moje rewelacje zostałem korespondentem działu kulturalnego. Wystawy, muzea, wernisaże i tak dalej. Do Białego Domu mogę się zbliżyć tylko po to, żeby napisać, kto był na przyjęciu u prezydenta.

Showers wrzucił łód do dzinu.

— Napisałeś prawdę.

— O tym, co jest prawdą, decyduje telewizja. A ściślej rzecz biorąc, redaktor wieczornego wydania wiadomości.

Usiedli na balkonie, patrząc w milczeniu na płynący kanałem zagłowiec.

— Dlaczego mi to zrobiłeś, Jack?

— Dlaczego? Otóż dlatego, że jestem cholernym sukinsynem. A do tego cholernym głupcem. Łudziłem się, że mogę ci dorównać. Zrobiłem to, bo moi szefowie zaczęli na mnie naciskać. Ich zdaniem, nie miałem nic do powiedzenia. Musiałem udowodnić, że jest inaczej i dlatego wykorzystałem temat, który mi podsunąłeś. Sądziłem, że jak zwykle skończy się na oficjalnym dementi Białego Domu, że wszyscy potraktują to jako przeciek od Japończyków. Ale Moody okazał się sprytniejszy, niż myślałem... Davidzie, jeśli choć trochę ci to ulży, daj mi w mordę.

— Co powiedziałaś wydawcy?

— Że nie mogę ujawnić źródła moich informacji. Zapewniałem, że są prawdziwe, ale nie uwierzyli. A dzisiaj rano opublikowali laurkę na cześć Moody'ego i jego wspaniałej konferencji prasowej. Co za cyrk!

— Ale spełnił swoje zadanie. Tokio nie złożyło protestu. Pakt został uratowany.

— Być może. Tylko że ty wyleciałeś.

Spencer opróżnił kieliszek i wstał, żeby nalać sobie drugi.

— Chcę ci pomóc! — krzyknął z kuchni. — Dlatego przyszedłem.

Nie mam pojęcia, jak zrekompensować twoje straty, ale zrobię wszystko, co w mojej mocy. Mam w mieście sporo znajomych, trochę przyjaciół, niektórych całkiem wpływowych, a co najważniejsze, dużo wolnego czasu. Wystarczy, że skleczę kilka zdań o National Gallery, a nikogo nie będzie obchodzić, czy robię jeszcze coś innego. Nawet się ucieszą, że nie zaglądam do redakcji. — Wrócił na balkon i stanął w drzwiach. — Davidzie, mówię najzupełniej poważnie. Jeśli chcesz wrócić do Białego Domu, znajdę jakiś sposób.

— Nie chcę. Przynajmniej nie teraz.

— Więc może pomóc ci jakoś inaczej? Oko za oko, ząb za ząb, co ty na to?

Słońce zachodziło właśnie za drzewami po drugiej stronie Potomacu. Może rzeczywiście mógłbym zrobić coś takiego, pomyślał Showers. Spojrzał Jackowi prosto w oczy.

— Nie chcę, żebyś czuł się w jakikolwiek sposób zobowiązany — zaczął — bo kiedy rozmawialiśmy, wcale nie prosiłem o zachowanie tajemnicy. To prawda, możesz mi pomóc, ale nie traktuj tego jako pokuty za grzechy. Po prostu zrób coś dla rodziny.

— Niech ci będzie. A zatem, dla naszej wspaniałej rodziny! — Spencer uniósł kieliszek. — O co chodzi, mój drogi kuzynie?

— Znasz człowieka nazwiskiem Bernard Bloch?

— Coś kiedyś słyszałem, a reszty mogę się domyślić.

— Opowiem ci o koniu, którego niedawno kupiłem...

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Przez cały tydzień Moody uważnie studiował poranne raporty biura prasowego Białego Domu. Poniedziałkowa konferencja zrobiła swoje: już następnego dnia w gazetach nie było nawet słowa na temat memorandum. Napier wyjechał, Showers gdzieś zniknął, a Spencer pokazał się tylko raz, na premierze nowej sztuki w Centrum Kennedy'ego. Nawet Bernie Bloch przestał wydzwaniać w sprawie konia.

Ale pozostał jeszcze jeden najtrudniejszy element całego planu. Japończycy.

Nie zrobili nic. Nie podjęli żadnych oficjalnych kroków w Białym Domu ani nieoficjalnych na Kapitolu, ale jednocześnie parlament w Tokio nie włączył debaty ratyfikacyjnej do programu nadchodzącej sesji. Wszystko razem sprawiło, że prezydent zaczął się niepokoić.

Moody, który spędził kilka lat na Dalekim Wschodzie w czasie służby wojskowej, doskonale wiedział, co oznacza milczenie Tokio: to on musiał zrobić pierwszy krok.

Na spotkanie wybrał teren neutralny: niewielką chińską restaurację na Wisconsin Avenue, niedaleko ambasady brytyjskiej. Przychodzili tam głównie dyplomaci średniego szczebla, toteż lokal nie wywarł szczególnego wrażenia na Aomorim. Moody postanowił się nie przejmować. Na szczęście jedzenie było całkiem przyzwoite.

— Przejdźmy do rzeczy, panie ambasadorze. Mam nadzieję, że uważa pan rozwiązanie kwestii memorandum za satysfakcjonujące.

Aomori uśmiechnął się uprzejmie.

— Zainteresowanie prasy tym tematem znacznie spadło.

— Zniknęło.

— Można to i tak określić.

— A zatem?

— Podobnie jak zainteresowanie paktem w Kongresie.

— Przedstawiłem już panu stanowisko Białego Domu. Ambasador wziął do ust kawałek smażonej wieprzowiny. Jadł widelcem, a nie pałeczkami.

— Być może potrzeba jakichś dalszych kroków — odparł, wycierając usta serwetką.

— Przede wszystkim potrzeba ratyfikacji paktu przez Japonię. Ale wasz parlament wcale się nie śpieszy.

— Demokracja ma swoje wymagania, panie Moody. Akt tej rangi wymaga odpowiednio dużo czasu do namysłu.

— Postanowienia paktu są znane od przeszło roku. Podpisały go sześćdziesiąt dwa kraje członkowskie ONZ. Wasi lobbyści na Kapitolu orientują się w szczegółach o wiele lepiej niż większość kongresmanów.

Aomori wzruszył ramionami. Kolejny kęs, kolejne wytarcie ust serwetką. Japończycy uwielbiali takie ceremonie.

— Nasz minister spraw zagranicznych chciałby się spotkać z prezydentem. Premier również. Proponuję oficjalną wizytę pod koniec lata.

— Szkoda czasu i pieniędzy. Nie mam najmniejszych wątpliwości, co usłyszą. Znam prezydenta lepiej niż własnego ojca. — Była to najszczęsza prawda. Ojciec Moody'ego zostawił żonę zaraz po narodzinach małego Boba. Gdyby nie została kochanką dyrektora miejscowej kopalni, obecny szef gabinetu skończyłby w rynsztoku. — Pakt nie podlega dyskusji. Żadnych warunków wstępnych. Podczas głosowania na forum Zgromadzenia Ogólnego jako jedni z nielicznych wstrzymaliście się od głosu. Teraz musicie się zdecydować. Tak albo nie. Nie ukrywam, że prezydent zdecydowanie wolałby usłyszeć: tak.

Kolejny kęs i znowu serwetka powędrowała do ust.

— Ujmę to inaczej, panie ambasadorze. Prezydent właściwie nie jest politykiem. To urzędnik numer jeden w służbie narodu. Nie ma sensu prowadzić z nim negocjacji, bo nie ustąpi.

— Powtórzę pańskie słowa moim zwierzchnikom.

— Jeśli minister spraw zagranicznych, premier czy nawet sam cesarz zechce tu przyjechać, proszę bardzo. Ale rozmawiać możemy wyłącznie o szczegółach, a nie o założeniach. A szczegóły uzgadniają zaufani doradcy, a nie głowy państw.

— To rozumiem.

— W związku z tym, jako jeden z najbardziej zaufanych doradców

prezydenta zapewniam, że w sprawie samego paktu nie pójdziemy na żadne ustępstwa. Ale pozostaje do rozważenia wiele pobocznych kwestii.

— A mianowicie?

— Myślę, że sam pan może niejedno zaproponować.

— Podczas naszego poprzedniego spotkania rozmawialiśmy o możliwości zwiększenia wymiany handlowej między naszymi krajami...

— To prawda. Potrzebujemy też waszych inwestycji, nowych miejsc pracy. Szczególnie po wejściu w życie paktu. Proszę pomyśleć, ile fabryk samochodów można jeszcze zbudować, jeśli tylko zostałyby spełnione odpowiednie warunki dla ochrony środowiska.

— Kongres musiałby wyrazić zgodę.

— O ile wiem, macie tam sporo przyjaciół. Na przykład senatora Reidy'ego.

— Uważamy go za bardzo rozsądnego polityka.

— Proszę posłuchać, panie ambasadorze. Niewiele spraw jest dla mnie ważniejszych od ratyfikacji paktu. Służę wszelką pomocą w negocjacjach.

— Pakt narusza naszą suwerenność.

— To tylko zapis na papierze albo, jak pan woli, obietnica wprowadzenia w życie pewnych założeń, co może potrwać wiele lat. Nie da się przewidzieć przyszłości. Przez ćwierć wieku walczyliśmy o ochronę środowiska naturalnego na dnie oceanów — a kiedy Reagan wygrał wybory, gotowe projekty ustaw powędrowały do archiwum.

— Tak, to wielce pouczająca historia.

— Ratyfikacja nie oznacza automatycznego wprowadzenia paktu w życie, tak samo jak rozmowa z prezydentem nie rozwiąże żadnego z problemów.

— Więc co pan proponuje, panie Moody?

— Proponuję, żeby minister spraw zagranicznych spotkał się z jednym z doradców prezydenta, na przykład ze mną. Pod warunkiem, że parlament powie: tak.

— Minister spraw zagranicznych nie może złożyć oficjalnej wizyty w Stanach tylko po to, żeby spotkać się z doradcą prezydenta.

— Oczywiście. Ale kto mówi, że nie można zrobić tego w Tokio? W jakimś eleganckim, dyskretnym hotelu? Wkrótce zaczną się wakacje, prezydent wyjedzie na upragniony urlop... Z przyjemnością odwiedzę

Daleki Wschód. Ale gdyby moja wizyta nic nie dała, kto wie? Może Jack Spencer nie jest aż takim złym dziennikarzem? Może naprawdę coś wywęszył? Może miał rację, pisząc o sankcjach? Czy wyraziłem się wystarczająco jasno, panie ambasadorze?

Aomori skończył jeść i starannie złożył serwetkę.

— Jest pan bardzo interesującym człowiekiem, panie Moody.

Prezydent pozował do zdjęć z kolejnymi laureatami konkursu ekologicznego — emerytowanym małżeństwem z Przylądka Hatteras, inicjatorami zakazu wjeżdżania samochodami terenowymi na osiemdziesięciokilometrowy pas wydm na wybrzeżu ich rodzinnego stanu. Moody, który zjawił się po sesji w Gabinetce Ovalnym, od razu podjął temat podróży.

— Mam cię tam wysłać, Bob? Samego?

— Spędziłem sporo czasu na Dalekim Wschodzie, sir.

— Pamiętam. Ale Wietnam to nie Japonia.

— Uczestniczyłem w większości pańskich spotkań z żółtkami, a niektóre sprawy załatwiłem osobiście. Oczywiście sekretarz Richmond pojechałby również jako przewodniczący delegacji. Odwiedzimy wszystkie kraje, które nie ratyfikowały jeszcze paktu: Tajwan, Koreę, Japonię, może nawet Chiny. W niszczeniu środowiska Chińczycy nie mają sobie równych.

— Czy nie powinienem pojechać sam?

— Nie sądzę, sir. Byłby to przejaw pańskiej słabości. Z kolei Japończycy mogliby uznać, że próbujemy wyrzucić na nich nacisk. Od czasów kapitulacji są bardzo wrażliwi na punkcie własnej niezależności. Poza tym powinien pan odpocząć. Urlop na łodzi dobrze panu zrobi.

— Nie mogę zrzucić na ciebie całej odpowiedzialności.

— Dam sobie radę, sir. Głównym celem podróży jest, rzecz jasna, Japonia, ale wolę zacząć od Seulu. Jeśli nakłonię Koreańczyków do ratyfikacji, moja pozycja przed rozmowami w Tokio będzie o wiele silniejsza. Ale aby tego dokonać, muszę mieć pańskie pozwolenie na poruszenie pewnej kwestii bezpieczeństwa narodowego.

— To znaczy?

— Możliwość wycofania naszych wojsk z półwyspu.

— Sam mnie przecież przekonałeś, że nie powinniśmy tego robić.

Podczas kampanii wyborczej prezydent zagroził opuszczeniem

Korei przez oddziały armii amerykańskiej, jeśli rząd w Seulu nie złagodzi swojego stanowiska wobec opozycji. Moody dowodził wówczas, że taki krok tylko nasili represje.

— I wcale nie zmieniłem zdania. Ale skoro co roku dostają od nas tyle pieniędzy, oprócz marchewki musimy też mieć w zanadru jakiś kij.

Prezydent spojrział na zegarek. Był umówiony na mecz tenisa.

— To bardzo rozsądna propozycja, Bob. Martwi mnie tylko, że wyjedziesz na tak długo. Nie dam sobie rady z Kongresem. Nie rozumiem, dlaczego odłożyli głosowanie w sprawie paktu na wrzesień.

— Senator Reidy wydaje się kontrolować sytuację. Większość kongresmanów wraca na wakacje do rodzinnych okręgów albo podróżuje. A ratyfikowanie paktu przez kolejne kraje — szczególnie jeśli jednym z nich okaże się Japonia — pomoże przekonać niedowiarków. Sekretarz Hollis na pewno byłby tego samego zdania.

— Biedny Skip. Nie ma dnia, żebym o nim nie myślał.

— Ja także, sir.

— Mimo wszystko, Bob, nie jestem do końca przekonany... Muszę się jeszcze zastanowić. Zdecyduję po wyjeździe Meksykanów.

— Oczywiście, sir.

— Aha, jeszcze jedno. Po namyśle stwierdziłem, że Richmond chyba nie jest najlepszym kandydatem na miejsce Skipa. Nie znam go wystarczająco dobrze.

— Czy ma pan kogoś innego na myśli, sir?

Prezydent spojrział na Moody'ego.

— Być może — odparł ostrożnie. — Ale jedno jest pewne. Jeśli pozwolę ci pojechać na Daleki Wschód, wstrzymam się z nominacją, dopóki nie wrócisz. Zobaczymy, jak sobie dasz radę...

— Jeśli mogę coś jeszcze zrobić w tej sprawie, to znaczy, przyspieszyć decyzję o moim ewentualnym wyjeździe...

— Cierpliwości, Bob, cierpliwości.

Zakładając mundur, Showers doświadczał dziwnego uczucia. Niby nic się nie zmieniło. Za biurkiem, w siodle czy za kierownicą dżipa na poligonie siedział wciąż ten sam człowiek, ale przez dwa tygodnie będzie tylko anonimowym oficerem, dowodzącym jedną z wielu kompanii podczas kolejnych letnich ćwiczeń. Nazwisko zastępował bezosobowy numer, siedem cyfr zakodowanych w pamięci komputera

w Pentagonie. W obecnej sytuacji to nawet całkiem wygodne, pomyślał. Z punktu widzenia Waszyngtonu problemy pojedynczego żołnierza nie nie znaczą, więc na razie musiał o nich zapomnieć.

Zapiął lśniącą kłamię pasa i założył wypastowane do połysku oficerki. Zwykle ubierał się dosyć swobodnie, ale na ćwiczeniach pedantycznie dbał o swój wygląd.

Nie zabierał ze sobą cywilnych ubrań, a jedynie zapasowy mundur. Pierwszy raz w życiu mógł być pewien, że Departament Stanu nie zleci mu żadnego nagłego zadania.

Założył torbę na ramię i szedł na parter. Na ganku stała Alixe. Właśnie wróciła z Middleburga.

— Będę za tobą tęsknić.

— Ja też.

— Wszystko spakowałeś?

— Tak. Zresztą nie mam zbyt wielu rzeczy.

— Wstąpisz na strzebiennego?

Uśmiechnął się.

— Złamałbym przepisy. Jestem na służbie od momentu, w którym wsiadę do samochodu.

— Trudno.

— Trochę się boję zostawiać cię samą.

— Przecież ciągle wyjeżdżasz. Ale nie martw się. Koń jest bezpieczny, moi chłopcy i szeryf Cooke pilnują farmy, a Billy nie rusza się z Charlottesville... Zresztą w razie kłopotów zawsze możesz wpaść tu ze swoimi żołnierzami.

— W kuchni zostawiłem numery telefonów, pod którymi znajdziesz mnie nawet w terenie.

— Wracaj szybko.

— Dzwoniłaś do Selmy?

— Codziennie. Mówi, że wszystko w porządku. Angielscy przyjaciele Lynwooda niczego nie znaleźli?

— Ostatnio ukradziono tam kilka cennych koni, ale żaden z nich nie był gniadym ogierem.

— A jak tam poszukiwania w New Jersey?

— Rozmawiałem z Nede Haneyem. Odpisali, że zajmą się sprawą, ale dopiero po sezonie. Nie mają czasu.

— Sukinsyny. Czy nie powinniśmy złożyć pozwu? Mamy konia i sfalszowanego cogginsa. Na początek powinno wystarczyć.

— Bez May Moody nie damy rady.
— Ją też możemy zaskarżyć.
— Porozmawiamy po moim powrocie. — Wziął torbę. — Muszę już jechać.

Alixę odprowadziła go do dżipa.

— Zastanawiałeś się, co będziesz robił dalej? Nie masz pracy.

— Mam farmę.

— Chcesz tu zostać?

— Nie wiem. Jeszcze o tym nie myślałem.

Oparła się o maskę.

— Ty już do nas nie pasujesz, Davidzie, czy tego chcesz, czy nie. Nie potrafiłbyś grzebać się przez cały dzień w łajnie, tak jak ja. Nawet Lynwood Fairbrother spędza większość czasu w stajni. Życie na wsi nie polega na podziwianiu pięknych widoków podczas konnych przejażdżek, tylko na naprawdę ciężkiej pracy. A ty, chociaż przyjeżdżałeś tu na weekendy czy urlopy, sercem i duszą wciąż byłeś w Waszyngtonie. I tak się dziwię, że mimo wszystko zdołałeś utrzymać farmę.

Wskazała ręką budynki.

— Ale co ci właściwie zostało? Dom i trzy konie w stajni? Chyba nie sądzisz, że dziadek albo ojciec byliby zachwyceni. A przecież obiecywałeś im coś innego. Gdybyś nie wkładał tyle pracy w ten cholerny pakt, miałbyś najwspanialszą posiadłość w hrabstwie.

— Jak sama zauważyłaś, najważniejsze, że wciąż ją mam.

— I co z tego? Urządzisz muzeum dawnej świetności Showersów? Na jak długo starczy ci oszczędności? W końcu będziesz musiał wystawić farmę na licytację, a wtedy kupi ją Bernie Bloch.

— Nigdy nie dopuszczę do czegoś podobnego.

— Jest zdolny do wszystkiego. Przecież to przez niego straciłeś pracę. Naprawdę nie rozumiem, dlaczego Bóg pozwala się bogacić takim sukinsynom.

— Już niedługo, Alixe, zobaczysz. Robię to wszystko nie dlatego, że ty czy ja zostaliśmy oszukani albo że ktoś ukradł jakiegoś konia. Ale nie pozwolę szargać dobrego imienia moich przodków i Królowej Tashamore. Przysięgam.

— Myślisz, że Vicky coś wiedziała?

— Na pewno.

— I dlatego zginęła?

— Mam nadzieję, że nie, ale wkrótce się dowiemy.

— My?

— Wkrótce przyjedzie do Dandytown mój kuzyn, Jack Spencer. Może poprosić cię o pomoc. Nie odmawiaj.

— To dziennikarz, Davidzie. Odnoszę wrażenie, że nie wszystko, co tu się dzieje, powinno trafić do gazet.

— Ufam mu. Jest członkiem rodziny, więc traktuj go odpowiednio.

— Showers wrzucił torbę na tylne siedzenie dżipa. — A jeśli chodzi o farmę, myślę o niej przez cały czas. — Rozejrzał się. — Powiniennem pożegnać się z Becky. Nie wiesz, gdzie poszła?

— Siedzi w domku. Nie chce z tobą rozmawiać. Nie chce, żebyś wyjeżdżał.

— Doskonale wie, że muszę.

— Bardzo się zmieniła. Może to nie najlepszy moment, aby poruszać tę sprawę, ale moim zdaniem picie już jej nie wystarcza.

— Co masz na myśli?

— Sądzę, że urozmaica sobie życie w inny sposób, tak jak kiedyś Vicky.

— To niemożliwe.

— Zobaczymy. Zamierzam wysłać ją do miasta, a sama rozejrzę się na farmie.

— Chcę wiedzieć, jeśli coś znajdziesz.

— Zadzwoń za dwa dni.

— Dobrze. A teraz naprawdę muszę już jechać.

Pocałowała go w policzek i poklepała po ramieniu.

— Daj swoim ludziom niezły wycisk, kapitanie.

Po wstępnych przesłuchaniach w teatrze rozdzielono już wszystkie role, więc May miała kilka wolnych tygodni, dopóki nie zaczną się próby — tylko że nie wiedziała, co z sobą zrobić. Uciekając w popłochu z Kalifornii przyleciała na wschód dużo wcześniej, niż musiała, ale stolica okazała się za małym miastem dla córki skłóconej z ojcem. Wkrótce rozpaczliwie zapragnęła gdzieś wyjechać: może do Nowego Jorku odwiedzić dawnych przyjaciół albo nad ocean do pewnego miasteczka w Delaware, gdzie spędzała wakacje jako dziecko. Lubiła też okolice Waszyngtonu, więc spisała długą listę miejsc, które chciała odwiedzić na nowo, a także tych, w których nigdy nie była. Niestety,

z wyjątkiem niezbyt udanego wypadu do Dandytown nie zdołała zrealizować żadnego z tych planów. Chodziła tylko na próby i do pobliskiej restauracji.

Granby obiecał, że odkupi konia od Showersa, ale jak dotąd zrobił niewiele; zadzwonił poprzedniego wieczoru i powiedział, że kapitan wyjechał gdzieś na dwa tygodnie. Upór siwowłosego dżokeja zaczynał być denerwujący. Że też mężczyźni nigdy nie mogą dojść do porozumienia! Z drugiej strony, to właśnie ona — mimo najlepszych intencji — spowodowała zamieszanie, więc czuła, że powinna jakoś załagodzić spór. Do diabła, gdyby nie ta cholerna chciwość Blocha...

Tego ranka po raz pierwszy wybierała się nieco dalej — do biblioteki Folgera, mieszczącej się w dawnej siedzibie teatru. Chciała zobaczyć oryginalne manuskrypty Szekspira, a także słynną Biblię z prywatnej kaplicy Elżbiety I. Legenda głosiła, że angielska królowa modliła się z niej, kiedy skazywała na ścięcie swoją znenawidzoną krewną, Marię Stuart.

Biblioteka była wyposażona w klimatyzację, w przeciwieństwie do mieszkania May: dwóch pokoi z małą kuchnią i łazienką, w których z trudem dało się wytrzymać w upalne dni. Ale nie narzekała. W takich samych warunkach mieszkali o wiele sławniejsi aktorzy.

Ubrała się, a potem zjadła śniadanie, przeglądając poranną gazetę. Nie pisali nic ciekawego. Tylko jej ojciec mógł studiować długie artykuły o kryzysie gdzieś w Ameryce Środkowej, komentarze na temat budżetu czy projekt nowego układu o ograniczeniu broni nuklearnych. Ona sama zdecydowanie bardziej wolała kolorowe pisma dla kobiet.

Wreszcie wyszła na ulicę, ale zdążyła zrobić tylko kilka kroków, kiedy z tyłu usłyszała natarczywy klakson samochodu. Rozejrzała się niepewnie dookoła i zobaczyła wielkiego mercedesa. Za jego kierownicą siedziała Deena Moody.

Blondynka wyskoczyła z samochodu i podbiegła do May.

— Cześć, kochanie — zaszczębiotała radośnie.

— Witam, pani Atkinson. — Zwracając się do Deeny, May zawsze używała nazwiska jej pierwszego męża. — Dlaczego nachodzi mnie pani na ulicy?

— Miałam zamiar zadzwonić do drzwi, ale nie wiedziałam, czy jesteś w domu i czy wpuściłabyś mnie do środka.

— Oczywiście, że nie. Długo pani tu sterczy?

- Chcę z tobą porozmawiać, May. To ważne.
- Nie mam ochoty.
- Chodzi o twójego przyjaciela, kapitana Showersa.
- Nie jest moim przyjacielem. Prawie wcale go nie znam.

Deena uśmiechnęła się.

- Ale byłaś ostatnio na jego farmie, prawda?

— Skąd pani wie?

- Możemy usiąść w samochodzie?

— W żadnym wypadku!

— Posłuchaj, May, to naprawdę ważne. Chyba słyszałaś, co się stało.

— Nie.

— Stracił pracę.

— Co takiego?! Mój ojciec go wyrzucił?

— Oczywiście, że nie. Kapitan popełnił błąd. Na tyle poważny, że musiał podać się do dymisji.

May otworzyła szeroko oczy ze zdumienia.

— Ale obawiam się — ciągnęła dalej Deena — że spróbuje odegrać się na twoim ojcu. Co gorsza, najwyraźniej chce mieć na pieńku także z panem Blochem, domagając się dochodzenia w sprawie tego przekłętego konia, którego kupiłaś. May, twój ojciec jest zbyt poważnym człowiekiem, żeby zajmować się bzdurami. Ale jeśli kapitan Showers nie przestanie szukać guza, może go wreszcie znaleźć...

— Do diabła, co ma wspólnego jakiś ogier z ojcem albo Berniem Blochem? Kupiłam go na publicznej aukcji, a potem sprzedałam, bo zmieniłam zdanie, i już. Co to w ogóle obchodzi mojego ojca, szczególnie jeśli jest aż tak zajęty rządzeniem światem?

Deena podeszła bliżej. Na jej dekolcie zalśniły krople potu.

— Ty także popełniłaś błąd, May. Na razie niezbyt duży, ale uważaj, żebyś później nie żałowała. Chyba nie chcesz być ciągnana po wszystkich sądach Wirginii, co? Przyjechałaś tu grać w teatrze, więc lepiej skup się tylko na tym. A jeśli chodzi o twójego przyjaciela Showersa... Chce mieć konia? W porządku, za gniadosza pan Bloch zapłaci mu tyle, że starczy na tuzin innych. A jeśli przestanie być tak głupio dociekliwy, ojciec przywróci go na dawne stanowisko. -

— Czy to on panią przysłał?

— Och, nie. Szanuje twoją niezależność. Przyjechałam z własnej inicjatywy, bo chcę pomóc i jemu, i tobie.

— Gdyby miał dla mnie choć trochę szacunku, że nie wspomnę już o miłości, nigdy by się nie związał z kimś takim jak pani.

Deena spurpurowiała.

— Miałam kiedyś nadzieję, że zostaniemy przyjaciółkami. Ale ty jesteś tak cholernie uparta... Zobaczysz, wreszcie się doigrasz.

— Grozi mi pani?

— Tylko ci radzę: porozmawiaj z Showersem. Dla twojego własnego dobra, dla dobra nas wszystkich. Postaraj się i przemów mu do rozsądku. Jesteś piękną, czarującą kobietą. Myślę, że jeśli zechcesz, jakoś dasz sobie radę.

Aktorka zacisnęła pięści z wściekłości.

— Masz też inne wyjście, skarbie. Wystarczy, że powiesz mi, gdzie twój drogi kapitan ukrył gniaszosa.

W tym momencie nie wytrzymała i z całej siły uderzyła macochę w twarz.

— Ty głupia dziwko! — syknęła Deena, rozcierając piekący policzek.

May odwróciła się na pięcie i przebiegła na drugą stronę ulicy. Uspokoiała się dopiero w chłodnym wnętrzu biblioteki Folgera.

Kiedy pół godziny później wzięła do ręki Biblię Elżbiety, zrozumiała, dlaczego czasem można chcieć zabić kogoś nawet bardzo bliskiego.

Bernie Bloch siedział w skórzanym fotelu w swoim biurze w Baltimore i patrzył przez okno na masowiec płynący w kierunku zatoki Chesapeake. Gdyby tak można było uciec od tego wszystkiego, pomyślał.

Biuro, połączone z prywatnym apartamentem, znajdowało się niedaleko portu, w nowoczesnym wieżowcu, który był zresztą własnością miliardera. Ostatnio spędzał tu większość czasu, z dala od Waszyngtonu i Wirginii, czekając, aż jego prawnicy znajdą jakieś wyjście z kłopotliwej sytuacji. Ale na razie z ich działań nic nie wynikało.

Co gorsza, znowu musiał stawić czoło źródłu swoich największych zmartwień.

— Panie Bloch — odezwał się przez interkom jego osobisty sekretarz. — To jeszcze raz on. Czeka na linii.

— Dziękuję. — Wziął głęboki wdech i podniósł słuchawkę. — Tu Bloch.

Z drugiej strony panowała cisza. Wreszcie usłyszał męski głos:

— Miałeś zadzwonić.

— Tak, wiem. Przepraszam. Dużo się ostatnio wydarzyło. Wszystko trwa trochę dłużej, niż sądziłem. Ale proszę się nie martwić. Całkowicie kontroluję sytuację.

— Gówno prawda. — Znowu cisza w słuchawce. — Nie rozumiemy, dlaczego w ogóle masz jakiegokolwiek problemy.

— Nie ma żadnego problemu. Muszę tylko działać ostrożnie.

— Na razie jakoś ci się nie udaje. Informacje, które do nas docierają, nie są zbyt optymistyczne.

— Bardzo mi przykro. Moi prawnicy pracują bez wytchnienia. Wkrótce wszystko ucichnie na wiele miesięcy.

— To za mało. Masz załatwić sprawę raz na zawsze. Chcemy nasz towar.

— Rozumiem. Ja...

— Jeśli go nie dostarczysz, zażądamy zwrotu pieniędzy plus rekompensaty za poniesione koszty. Dwa, może trzy razy więcej, niż ustaliliśmy. Narobiłeś nam sporo kłopotów.

— Nie ma sprawy. Jeśli chodzi o pieniądze...

— Nie chodzi tylko o pieniądze. Przedyskutowaliśmy wszystko i zdecydowaliśmy, że jeśli nie otrzymamy towaru, nie może go dostać nikt inny. Chcemy, żeby zniknął z rynku. Raz na zawsze. Nie potrzebujemy nam złych wiadomości ani plotek w komisji wyścigów. Jesteśmy sportowcami, lubimy świeże powietrze. Bardzo byśmy się dusili na jakiejś sali sądowej w Wirginii.

— Więc co mam zrobić?

— Co masz zrobić? No cóż, czasem zabija się konie, prawda? Psy też muszą coś jeść. Sytuacja wymknęła się spod kontroli i jeśli nie potrafisz odzyskać towaru...

— To nie takie proste. To znaczy, potrzebuję więcej czasu.

— Masz kupę forsy, Bloch, ale nie masz już czasu. Ani żadnego innego wyjścia. A jeśli nie dasz rady, sami się tym zajmiemy. Nie chcemy, ale jeśli będziemy musieli, zrobimy to bez wahania. Zapewniam cię, że potrafimy zabezpieczyć się przed stratami.

— W porządku...

— Wcale nie porządku. Koniec z naszą współpracą. Trudno, ale

najwyraźniej nie nadajesz się do takich interesów. Przynajmniej nie w tym sporcie. Chyba musisz zrezygnować z koni.

Bloch poczuł, jak coś dławi go w gardle. Nagle zrobiło mu się przeraźliwie zimno.

— Tak czy inaczej — ciągnął dalej głos w słuchawce — najlepiej będzie, jeśli rozstaniemy się jak przyjaciele. Zgadzasz się?

— Oczywiście — wykrztusił miliarder.

— To świetnie. Dopilnuj wszystkiego, dobrze?

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Szef działu kulturalnego agencji był na tyle zadowolony z jakiegokolwiek inicjatywy nowego pracownika — w hierarchii dziennikarskiego prestiżu zdegradowanego przecież do najgorszego z możliwych zajęć — że bez wahania zgodził się na jego propozycję wyjazdu do Wirginii. Zasugerował tylko, aby Spencer, oprócz przygotowania reportażu o koniach, odwiedził miejscowe hotele i napisał o nich kilka słów dla działu turystycznego, a także znalazł coś na temat romansu Elisabeth Taylor z jej późniejszym mężem, senatorem Johnem Warnerem, posiadaczem wielkiej farmy w okolicach Middleburga.

W związku z tym Jack spędził cały dzień w Middleburgu i Upper-ville, zbierając anegdoty o sławnej Liz, a jednocześnie tworząc własny wizerunek nieszkodliwego, żądnego sensacji reportera kroniki towarzyskiej. Dopiero potem pojechał do Dandytown. Zgodnie z obietnicą Showersa, Alixe Percy okazała się bardzo pomocna, szczególnie kiedy razem wypili niemal całą butelkę dobrej whiskey. Wystarczyło, że przedstawiła go kilku swoim znajomym — przeprowadzając wywiady z bojownikami IRA czy oficerami armii w Salwadorze nauczył się, jak zdobywać ważne informacje podczas pozornie błażej konwersacji.

Wszyscy chętnie wspominali Vicky Clay. Dziewczyna była powszechnie uważana za kochankę Blocha, ale sypiała z wieloma innymi mężczyznami, najlepiej bogatymi i sławnymi. Mówiła, że rozwiedzie się Meade'em, wyjedzie z Dandytown i znajdzie nowego męża, chociaż nikt z rozmówców Spencera nie wierzył, żeby ktokolwiek mógł z nią długo wytrzymać.

Dowiedział się także, że Vicky najbardziej przyjaźniła się ze swoją bratową. Niestety, Showers zabronił wypytywać Becky.

Podczas lunchu kelnerka powtórzyła mu ze wszystkimi szczegółami

relację hotelowej pokojówki i recepcjonisty, którzy pierwsi widzieli miejsce wypadku. Potem pojechał do redakcji miejscowego dziennika, rzekomo po to, aby przejrzeć stare numery i znaleźć informacje o samych wyścigach, ale w rzeczywistości interesowały go głównie artykuły opisujące okoliczności śmierci Vicky oraz śledztwo, które nastąpiło później.

Wracając z redakcji, zajrzał do biura szeryfa. Cały czas trzymał się wersji, że pisze artykuł o koniach i w związku z tym musi przynajmniej wspomnieć o sprawie, która tak bardzo poruszyła miejscową społeczność, ale ku swojemu rozczarowaniu nie wskórał zbyt wiele.

— Sprawa jest zamknięta — powiedział szeryf. — Wszystkiego można się dowiedzieć z gazet.

— Czy mógłbym zajrzeć do akt? Zajmę panu tylko parę minut.

— Do diabła, nie. Nie mam pojęcia, jak załatwicie te sprawy w Waszyngtonie, ale w Dandytown żaden pismak nie będzie grzebał w moim archiwum. Nawet pana nie znam.

Spencer wyciągnął legitymację: przepustkę na Kapitol.

— To nie Kongres, drogi panie.

— Wszystko jedno. Jestem akredytowanym dziennikarzem, a te akta są dokumentami państwowymi.

— Ale zeznania świadków chroni tajemnica. Proszę bardzo, może pan zwrócić się z oficjalną prośbą o ich udostępnienie, ale nie sądzę, żeby dostał pan zgodę. Poza tym, o ile pamiętam, pisze pan artykuł o koniach, a nie o narkotykach, samobójstwie i morderstwie.

— Interesuje mnie wszystko, co tu się dzieje.

— Życzę miłego dnia, panie Spencer. Muszę wracać do swoich obowiązków — rzekł szeryf, podchodząc do drzwi i otwierając je szeroko.

Tego samego wieczora Jack miał relacjonować uroczyste przyjęcie w Białym Domu na cześć prezydenta Meksyku, więc nie zamierzał tracić czasu. Ruszając z powrotem do Waszyngtonu, odwiedził jeszcze tylko zastępcę prokuratora okręgowego. Zdaniem Showersa, Wayne Bensinger był wprawdzie młody i niedoświadczony, ale uczciwy. Kiedy pewnego razu Lenore została złapana na jeździe po pijanemu, nakłoniła szeryfa, aby wycofał oskarżenie, ale Bensinger nie ustąpił i skierował sprawę do sądu, mimo że zadzierając z Lynwoodem ryzykował utratę pracy. Ostatecznie przegrał, bo szeryf zeznał pod przysięgą, że pomylił próbki krwi przy oznaczaniu alkoholu, ale

nieuściepliwość świeżo upieczonego prokuratora zrobiła duże wrażenie na kapitanie, który wstawił się za nim u Fairbrotriera.

Jack postanowił zagrać z Bensingerem w otwarte karty i przyznać, że interesuje go przede wszystkim morderstwo Vicky. Nie zamierzał także ukrywać, że jest kuzynem Showersa. Wcześniej czy później i tak wszyscy się o tym dowiedzą.

— Szeryf się myli — powiedział prokurator, kiedy usiedli w jego gabinecie. — Sprawa nie jest oficjalnie zamknięta, a tylko zawieszona. Koroner stwierdził, że przyczyną śmierci był zastrzyk etorfiny. Z braku innych dowodów przyjęto najbardziej prawdopodobną wersję morderstwa i samobójstwa. Ale Meade Clay nie został osądzony i skazany. W takich sytuacjach prawo opiera się na domniemaniu winy. Gdyby jednak szeryf odkrył jakieś nowe okoliczności, moglibyśmy wznowić dochodzenie.

— Nie sądzę, żeby miał na to szczególną ochotę.

Bensinger wzruszył ramionami.

— Wcale się mu nie dziwię. W tych stronach nieczęsto zdarza się morderstwo. Zrobił, co mógł. Przesłuchał połowę mieszkańców hrabstwa.

Siedział za biurkiem w samej koszuli i krawacie. Na widok straszliwie pogniecionej marynarki, wiszącej na oparciu krzesła, Spencer zaczął się zastanawiać, czy jej oplakany stan oznacza, że prokurator ma w ogóle tylko jeden garnitur.

— Czy policja stanowa została zawiadomiona?

— Oczywiście. Przyjechali na miejsce podczas śledztwa, dostali też kopie wszystkich raportów. Ale sprawa podlega naszej jurysdykcji.

— Skąd pewność, że to Meade popełnił morderstwo, a potem sam się zabił?

— Brakuje świadków, którzy podważyliby tę wersję. Pokój w hotelu był zamknięty, bez śladów włamania przez drzwi lub okno. Na strzykawkach znaleziono wyłącznie odciski palców ofiar. Meade Clay miał motyw, a co więcej, sposobność; jako weterynarz posługiwał się tym lekiem na co dzień, znał śmiertelną dawkę i tak dalej.

— Ale przecież w tym wypadku dawka wcale nie okazała się śmiertelna. Vicky żyła jeszcze przez kilka godzin, prawda?

— Tak. Coś strasznego. Leżała koło trupa, sama sparaliżowana...

— Nie do końca. Podrapała go po plecach. Czytałem o tym w gazecie.

— Zdaniem koronera te ślady powstały, kiedy Meade jeszcze żył. Vicky bywała, jak by to powiedzieć, bardzo namiętna... Sekcja wykazała, że tuż przed śmiercią miała z nim stosunek. To znaczy, zanim podał jej etorfinę — uśmiechnął się sympatycznie Bensinger. Najwyraźniej zainteresowanie dziennikarza bardzo mu schlebiało.

— Mój kuzyn wspominał, że pan i szeryf pytaliście go, którą ręką posługiwał się Meade Clay. Zdaniem Davida, lewą. Mogę wiedzieć, gdzie sobie wstrzyknął truciznę?

— W lewe ramię. Prawą ręką. Ale to niekoniecznie musi cokolwiek oznaczać. Narkomani wybierają do tego celu bardzo różne miejsca. Oboje byli uzależnieni od kokainy.

— Ale kokainę zażywa się w zupełnie inny sposób.

— To prawda.

Spencer czuł zmęczenie. Chciało mu się pić. Jeśli ma zdążyć na przyjęcie, powinien już wracać do Waszyngtonu. Zresztą i tak przyjedzie do Dandytown jeszcze raz za kilka dni.

Ale przez ten czas wiele może się zmienić, łącznie z dobrym humorem zastępcy prokuratora okręgowego.

— Mówił pan, że nie ma żadnych nowych dowodów... A jak dobrze zna pan stare?

— Dwa razy czytałem protokoły ze śledztwa. Nie znalazłem nic ciekawego.

— Czy mógłbym na nie zerknąć?

Bensinger zmarszczył brwi.

— To wbrew przepisom. Musi pan uzyskać oficjalną zgodę.

— Od sędziego?

— Tak.

— Sędzia Merrick jest przyjacielem rodziny, więc...

— Więc proszę do niego pojechać.

Spencer spojrział na zegarek.

— Nie mam tyle czasu. Wieczorem muszę być w Białym Do mu. — Zamilkł na chwilę, aby jego słowa zrobiły odpowiednie wrażenie. — Czy nie można ominąć formalności, skoro chcę tylko rzucić na nie okiem, nic więcej?

Bensinger zagryzł wargi.

— Zamierza pan napisać o tym artykuł?

— Nawet jeśli to zrobię, nie wspomnę o naszej rozmowie, dając słowo. Swoje i kapitana Showersa.

Zadziałało.

— Zgoda, skoro się pan spieszy, a sędzia Merrick pewnie i tak by się zgodził... Mam te akta u siebie.

Podszedł do szafki koło biurka i wysunął skrzypiącą szufladę.

— Szczerze mówiąc, panie Spencer, sam mam pewne wątpliwości w tej sprawie, tylko nie potrafię ich sprecyzować. Może pan coś znajdzie.

Kiedy Jack położył teczkę na kolanach, wypadło z niej kilka zdjęć: nagie ciała Clayów, leżące w pokoju hotelowym i na stole w prosektorium. Jako młody reporter widział wiele ofiar, ale żadna nie miała tak umęczonego wyrazu twarzy jak Vicky.

Jedna z fotografii przedstawiała zbliżenie pleców Meade'a.

— Myślałem, że chce pan przeczytać protokoły z przesłuchań.

— Oczywiście. Ale nigdy nie widziałem czegoś podobnego.

— Tak, coś strasznego. Ciągle mam przed oczami tamten pokój... To moja pierwsza sprawa o morderstwo.

— Gdzie pan studiował prawo?

— Na uniwersytecie w Arlington.

Spencer znał tę szacowną uczelnię. Pobierało tam nauki kilku jego znajomych z college'u.

— Dlaczego nie zarabia pan pieniędzy w jakiejś dużej firmie prawniczej w Waszyngtonie? Żeby zostać prokuratorem okręgowym w Dandytown, nie trzeba kończyć renomowanego uniwersytetu.

— Chcę otworzyć w tych stronach prywatną praktykę adwokacką — bronił się Bensinger. — Myślałem o Winchester albo Leesburgu. Ja sam pochodzę z Dandytown, a moja żona z Warrenton.

Dziennikarz wziął do ręki zdjęcie Meade'a.

— Nie wiem, w jakim klasztorze spędził pan młodość, ale coś panu powiem: żaden w miarę normalny facet nie dałby sobie zrobić czegoś podobnego, nawet gdyby przy okazji przeżył najwspanialszy orgazm w życiu.

— Tak, ja też miałem wątpliwości...

— Zauważył pan, że zadrapania układają się w charakterystyczny wzór? Zupełnie jakby chciała coś napisać.

— Możliwe.

— Chciałbym to pokazać jakiemuś ekspertowi.

Bensinger znowu zagryzł wargi, przyjrzał się fotografii, a potem spojrział na Spencera. Przypominał Showersa: tak samo jak on nie mógł się zdecydować, co powinien zrobić.

— Jest pan krewnym kapitana?
— Nasze matki były siostrami.
— W porządku. Zrobię dla niego wyjątek. Ale tylko na kilka dni.
— Chciałbym też przejrzeć protokół, ale teraz naprawdę nie mam już czasu...
— O nie, tego panu nie dam.
— No cóż, i tak muszę tu wrócić. Proszę się nie martwić. Nikomu nie powiem o naszej rozmowie. Z wyjątkiem kapitana Showersa.
Bensinger wstał, oddając zdjęcie Spencerowi.
— Aha, jeszcze jedno — przypomniał sobie Jack. — Czy zajmujecie się także oszustwami w handlu końmi?
— To zależy. Gdyby chodziło o coś naprawdę poważnego...
Zwykle takie spory załatwia się z powództwa cywilnego.
— A jeśli popełniono przestępstwo kryminalne?
— Wtedy tak, oczywiście.
— Może wkrótce znajdę dla pana pewną sprawę.
Ale kiedy wyszedł na ulicę, na razie za wycieraczką samochodu znalazł coś zupełnie innego: mandat za niewłaściwe parkowanie.

Uroczyste przyjęcia w Waszyngtonie oznaczały wielką pompę — egzotyczne dania, orkiestrę piechoty morskiej, kosztowne stroje zaproszonych osobistości — niezależnie od tego, kto był głównym gościem: plemienny kacyk z Togo czy premier Wielkiej Brytanii. W związku z tym zaproszenie na kolację do Białego Domu zawsze stanowiło ceniony zaszczyt.

Wszystkim tradycyjnie zarządzała żona prezydenta i jej osobisty sekretarz, Toby Kevin, uroczy dżentelmen, który miał tylko jedną ambicję w życiu: możliwie jak najwięcej razy znaleźć się na pierwszych stronach gazet i w kolumnach towarzyskich ekskluzywnych czasopism; w im bardziej wyszukanyemu stroju, tym lepiej.

Tego wieczoru gonił w piętę, wydając sprzeczne i bezsensowne polecenia zarówno Amerykanom, jak i Meksykanom. A akurat to przyjęcie wymagało szczególnie starannego przygotowania: z powodu kryzysu w Belize sytuacja w Ameryce Środkowej stała się dosyć napięta, a w ubiegłych latach kontakty dyplomatyczne z południowym sąsiadem nieraz kończyły się niewybaczalnymi gafami.

Wreszcie Pierwsza Dama sama przejęła inicjatywę i osobiście

kazała Kevinowi zająć miejsce w szeregu waszyngtońskich dostojników,, oczekujących na szacownego gościa przy Północnym Portyku.

Powietrze było gorące i duszne. Nad miasto nadciągały burzowe chmury. Ale prezydent Marantes spóźnił się i wszystko wskazywało na to, że za chwilę zgromadzony na trawniku tłum zmoczy ulewny deszcz. Kiedy kawalkada motocykli pojawiła się w zasięgu wzroku, drzewa wokół Białego Domu zaszumiały od pierwszych podmuchów porywistego wiatru.

Spencer, który przyjechał dosłownie w ostatniej chwili, dołączył do innych dziennikarzy, zgromadzonych na parterze we wschodnim holu, tuż przy schodach prowadzących do głównej jadalni na pierwszym piętrze. Rzecz jasna, członkowie oficjalnych delegacji obu rządów wchodzili innym wejściem, nie niepokojeni przez prasę, lecz większość gości musiała przejść przez szpaler reporterów. Menedżerowie wielkich koncernów nie budzili niczyjego zainteresowania, ale gwiazdy filmowe, kongresmanów oraz wyższych oficerów dosłownie oślepiano błyskami fleszy i zasypywano gradem banalnych pytań:

- Czy to pierwsza pani wizyta w Białym Domu, panno Shields?
- Generale, czy nie niepokoja pana sytuacja w Belize?
- Czy zgłosi pan jakieś poprawki do projektu budżetu, senatorze?
- Ile tysięcy dolarów kosztowała ta suknia, pani Moody?

Deena, pozbawiona towarzystwa męża, pozowała do zdjęć i żartowała z reporterami, opóźniając wejście innych gości. Bloch i Sherrie, którzy przyjechali razem z nią, czuli się onieśmieleni. W świecie sławnych ludzi nikt nie zwracał uwagi na zwyczajnych miliarderów.

Z wyjątkiem Spencera. Kiedy zauważył Berniego, nie mógł oprzeć się pokusie zadania kilku podchwytliwych pytań.

— Panie Bloch! — zawołał, wychylając się nad sznurem — czy nie martwią pana ograniczenia, jakie Pakt o Ziemi nałoży na pańskie kopalnie węgla i fabryki chemiczne?

Miliarder odwrócił się, zaskoczony. W smokingu, pasującym raczej na pogrzeb albo ślub jakiegoś mafiosa w Las Vegas, wyglądał na jeszcze grubszego niż w rzeczywistości. Kilka dziennikarek pośpiesznie wyciągnęło notatniki w nadziei, że usłyszą coś godnego opublikowania.

— Jestem zwolennikiem prezydenta — odparł Bloch — i popieram jego działania w całej rozciągłości.

— Namawiając przyjaciół z branży, aby nie protestowali przeciwko paktowi? — zapytał niewinnie Jack.

- Nie zajmuję się polityką, tylko biznesem.
- I zapewne dlatego ma pan sporo czasu na swoje najnowsze hobby. Czy to prawda, że na ostatniej aukcji w Dandytown kupił pan pewnego niezwykłego konia?
- Piorunujące spojrzenie nie zrobiło żadnego wrażenia na Spencerze.
- Kim pan jest?
- Oczami i uszami amerykańskiego społeczeństwa.
- Bloch ruszył dalej, ciągnąc za sobą Sherrie, która potknęła się o suknię Deeny i o mały włos nie wylądowała na ziemi.
- Kto to był? — zapytała jedna z dziennikarek.
- Bernard Bloch, miliarder z Baltimore — odparła inna.
- Co on ma wspólnego z Meksykiem?
- Nic — wtrącił się Jack. — To tylko tak zwany „wielki zwolennik prezydenta”.

Przy każdym z jedenastu okrągłych stołów w jadalni stało dziesięć krzeseł. Goście nie zostali rozmieszczeni w żadnym szczególnym porządku — z wyjątkiem szefów obu państw, którzy siedzieli na samym środku sali, koło wielkiego kominka.

Zwykle Moody zajmował miejsce tuż obok prezydenta, ale tego wieczoru musiał towarzyszyć, a właściwie pilnować żony miliardera, która zgodnie z jego wcześniejszymi obawami przyszła na przyjęcie na wpół pijana. Niestety, opieka na wiele się nie zdała. Sherrie mówiła podniesionym głosem i nie panowała nad sztućcami, wzbudzając powszechną wesołość. Na szczęście wkrótce nadciągnęła burza, a ciężkie strugi deszczu uderzyły w szyby, co choć trochę odwróciło uwagę innych gości.

Pomimo całego splendoru przyjęcia Bloch był jedynym gościem z krainy koni, który przyjął zaproszenie: dwóch innych odmówiło natychmiast, a Lynwood Fairbrother zadzwonił późnym popołudniem, informując, że nie może przybyć osobiście. Lenore zjawiała się sama i usiadła niedaleko Moody'ego, jednak przez cały czas ignorowała jego obecność.

Po posiłku goście rozeszli się do innych pokoi, gdzie kelnerzy serwowali słodczyce oraz alkohol. Następnym punktem programu był uroczysty koncert w Sali Wschodniej, na który składały się arie z opery Carmen. Jednak jeszcze wcześniej obaj prezydenci wraz

z małżonkami spotkali się w Niebieskiej Sali Owalnej, pozując do oficjalnych zdjęć.

Moody zwykle uczestniczył w takich ceremoniach, ale tym razem wyruszył na poszukiwania Lenore Fairbrother. Znalazł ją wreszcie w Pokoju Czerwonym rozmawiającą z generałem St. Angelo. Miała na sobie długą granatową suknię z odsłoniętymi ramionami; równie drogą, ale o wiele bardziej elegancką niż kreacja Deeny. Nosiła też znacznie mniej biżuterii, a wysoko upięte włosy odsłaniały wysmukłą szyję. Ku zdumieniu Moody'ego przywitała go wylewnie, całując w oba policzki.

— Witaj, kochany szefie — powiedziała. — Właśnie się dowiedziałam, jakie masz ważne stanowisko.

St. Angelo, nieco zakłopotany, uśmiechnął się i odszedł pod byle pretekstem, korzystając z okazji.

— To moja pierwsza wizyta w Białym Domu — ciągnęła Lenore. — Zdumiewające, co? Oczywiście, w pałacu byłam już setki, co ja mówię, tysiące razy.

— W pałacu?

— Buckingham, drogi chłopcze. Spędziłam też parę weekendów na zamku Balmoral. Mój poprzedni mąż dostał szlachectwo, chociaż w ogóle na to nie zasłużył. Po prostu tak długo sypiał z żonami ważnych członków gabinetu, aż nadarzyła się odpowiednia okazja, aby podsunąć własną kandydaturę. — Rozejrzała się po pokoju. — Ładne wnętrze. Bardzo amerykańskie.

— Przecież pani też jest Amerykanką.

— Niezupełnie, kochanie. Ja pochodzę z Wirginii.

— Dlaczego pani mąż nie przyszedł? Nie lubi prezydenta?

— O nie, szefuńciu. Nie lubi ciebie. Po tym, co zrobiłeś biednemu kapitanowi Showersowi, nie mógłby się tu pokazać nawet na chwilę.

— O czym pani mówi?

— Wszyscy wiemy, co się stało. W odrażająco podły sposób ukarałeś naszego przyjaciela za to, że nie chciał sprzedać konia temu podejznanemu typowi z Baltimore. Wstyd. Cywilizowani ludzie po prostu nie robią takich rzeczy. Gdybyśmy żyli w dawnych czasach, kapitan Showers pewnie by cię wyzwiał, a Lynwood z przyjemnością mu sekundował.

— Wyzwał?

— Na pojedynk, drogi chłopcze. To by dopiero była zabawa!

O wiele lepsza niż ta nudna kolacja. Całe szczęście, że potem idę do moich znajomych. Chcesz pójść ze mną, szefuńciu? Zapowiada się wesoło. Założę się, że nikt z moich przyjaciół nigdy nie spotkał kogoś takiego jak ty.

— Pani Fairbrother, David Showers złożył rezygnację. Otrzymał propozycję przeniesienia, odrzucił ją, więc musiał podać się do dymisji. To jego decyzja, nie moja. Z koniem też nie mam nic wspólnego. To wyłącznie sprawa Showersa i Berniego Blocha.

— Nieprawda, szefuńciu.

— Przepraszam, ale co pani właściwie może o tym wiedzieć, do diabła?

— O wiele więcej, niż ci się wydaje. Fakt, że mieszkamy na wsi, nie czyni z nas prymitywów. Mój ojciec był ambasadorem. To dzięki memu David podjął pracę w Departamencie Stanu. Mój mąż jest właścicielem dużego banku na tej samej ulicy co Biały Dom, a nasza farma sąsiaduje z letnią rezydencją jednego z senatorów. Znasz tamtą dziewczynę? Tę, która pracuje w twoim biurze prasowym. Debiutowałam razem z jej ciotką.

— Debiutowała pani?

— Na balu, głuptasie. Czy tam, skąd pochodzisz, ludzie wciąż mieszkają w jaskiniach?

Spurpurowiał.

— Wybaczy mi pani, ale nie mam zamiaru tego dłużej słuchać.

Chwyciła go za ramię i przyciągnęła do siebie.

— Zdenerwowałam cię, szefuńciu? Przepraszam, nie chciałam. Ja tylko drażnię. Naprawdę. Jestem pewna, że kiedy przestajesz być taki ważny, potrafisz stać się bardzo miły. Tak samo jak David, kiedy zejdzie z obłoków na ziemię.

Patrzyła na Moody'ego z nagłą fascynacją, ale jednocześnie uśmiechała się figlarnie.

— Powinniśmy zostać przyjaciółmi, nie uważasz? — powiedziała, a potem pocałowała go w policzek i odeszła. Zdążył jeszcze usłyszeć, jak woła „kochanie!” do wysokiego mężczyzny w okularach, który pracował w Departamencie Handlu.

Służba zaczęła zapraszać gości na koncert do Sali Wschodniej. Kiedy Moody znalazł się w korytarzu, zobaczył Deenę — jak zwykle wściekłą.

— Musisz coś zrobić z Sherrie — oznajmiła. — Ona ledwo trzyma się na nogach.

Bloch stał przy marmurowym filarze i rozmawiał z jakimś kongresmanem.

— Powiem Berniemu.

— Lepiej mu nie przeszkadzaj.

— Jak to: nie przeszkadzaj? W końcu jest jego żoną, do diabła!

— Zaczną na siebie krzyczeć, będzie straszna awantura. Po co ci coś takiego? Kiedy tu jechaliśmy, kłócili się przez całą drogę.

— W ogóle nie powinienem ich zapraszać.

— Nie, to Bernie powinien się z nią rozwieść. Boże, co za okropna kobieta.

— Słuchaj, muszę teraz porozmawiać z prezydentem. Sama zajmij się tą kretynką.

Koncert przebiegł bez większych incydentów, jeśli nie liczyć spóźnienia Deeny i Sherrie, która beknęła głośno tuż przed rozpoczęciem pierwszej arii. Natomiast tuż po występie, podczas krótkiego przemówienia prezydenta, ktoś w tylnym rzędzie z wielkim hukiem zrzucił świecznik ze stołu na podłogę. Na szczęście prawie nikt nie zwrócił uwagi na hałas. Sam prezydent był niezwykle zadowolony z rozmów z Marantesem: wykształconym dżentelmenem o nienagannych manierach. Podczas popołudniowego spotkania, w którym uczestniczyli również szef gabinetu i podsekretarz stanu, Meksykanin bez zastrzeżeń poparł stanowisko Stanów w sprawie Belize.

Moody nie był aż tak zachwycony, a do reszty popsuł mu humor widok Spencera, stojącego wśród grupki dziennikarzy, wpuszczonych do Białego Domu po kolacji, a przed koncertem. Zanotował sobie w pamięci, że musi porozmawiać z sekretarzem prasowym Pierwszej Damy. Ktoś, kto szkaluje administrację, nie może przecież relacjonować oficjalnych uroczystości.

Ostatni punkt programu stanowiły tańce w Wielkim Foyer. Pierwszy z nich tradycyjnie należał do pary prezydenckiej, ale nieświadoma tego oczywistego faktu Sherrie Bloch próbowała zakłócić rytuał, ciągnąc na środek sali swojego męża. Na szczęście powstrzymał ją jeden ze służących.

Po kilku figurach prezydent skinął na wiceprezydenta, a potem na parkiet weszli pozostali goście, wśród nich Moody i Deena.

— Musisz ją stąd zabrać, Robercie — powiedziała, wpatrując się z wściekłością w Sherrie.

— Sama to zrób — odparł. — Zabierz ich oboje, dokądkolwiek chcesz.

Meksykanie zaczęli powoli wychodzić. Pośpieszył w stronę prezydenta, który odprowadził gości aż do czekających przed głównymi schodami limuzyn. Burza minęła i kałuże na chodnikach zaczęły już wysychać.

Kiedy ostatnie motocykle eskorty zniknęły za bramą, prezydent położył rękę na ramieniu Moody'ego.

— Bob, poszło naprawdę wspaniale — odezwał się. — Doceniam twoje poświęcenie.

— Robiłem, co w mojej mocy.

— Spisałeś się o wiele lepiej niż Richmond. Postanowiłem, że sam pojedziesz na Daleki Wschód. O ile cię znam, na pewno wszystko już przygotowałeś, więc ruszaj jak najszybciej.

— Tak jest, sir!

Wrócili do środka. Prezydent wziął żonę pod rękę, pożegnał się z zebranymi i ruszył na górę do swoich prywatnych apartamentów. Nigdy nie zostawał dłużej niż do pierwszego tańca.

Moody chciał powiedzieć Deenie o decyzji prezydenta, ale nigdzie nie mógł jej znaleźć. Całe szczęście, pomyślał. Kiedy przed kilkoma dniami wspomniał o możliwości wyjazdu do Azji, zareagowała bardzo nieprzychylnie.

— Nie chcę spędzać wakacji, jedząc ryż i kłaniając się bez sensu setkom kobiet w kimonach — zaprotestowała.

— Do diabła, to naprawdę ważne. Potrzebuję twojej pomocy. Wszystko zależy od tego, jak sobie poradzę — jeśli w ogóle mnie puści.

— Nie jestem gejszą.

— Ale chcesz zostać żoną sekretarza stanu, prawda?

— Na razie nikt nawet nie zaproponował twojej kandydatury. A sądząc po tym, jak schrzaniłeś sprawę konia dla Blocha, wątpię, czy w ogóle się nadajesz.

— Jeśli prezydent powie tak, pojedziemy. Oboje.

Więcej już nie wracali do tego tematu.

Przypuszczał, że Deena wyszła z Blochami. Poprzednim razem przy podobnej okazji pojechali we trójkę do Baltimore. Nagle poczuł na ramieniu czyjąś rękę.

— Idziemy, szefuńciu? — zapytała Lenore Fairbrother.

— Nie rozumiem.

— Na przyjęcie, o którym wspominałam.

— Pani żartuje.

— Nie. Zatańczysz ze mną?
— Myślałem, że jest pani na mnie wściekła.
— I owszem, kochanie. Ale to nie powinno nam przeszkadzać w dobrej zabawie.

Zawahał się, a potem wziął ją za rękę. Tańczył kiepsko, ale dzięki talentowi Lenore jakoś dawali sobie radę. Spojrzała na niego uwodzicielsko.

— Służyłeś w wojsku, szefie?
— Tak. W Wietnamie.
— Jako oficer?
— Oczywiście. Jestem podpułkownikiem rezerwy.
— To wprost cudownie, szefuńciu. A zatem przedstawię cię jako pułkownika.

— Komu, na miłość boską?
— Gościom na przyjęciu. Na pewno ich polubisz. Jest wśród nich francuska księżniczka. Nie wiem tylko, czy wywodzi się z linii orleańskiej, czy z Burbonów. Dalej lady Sansome, magnat prasowy Harold Cooper, malarz Jeffrey Esterhazy... Najcudowniejsi dekadenci, jakich znam.

— Tutaj, w Waszyngtonie?
— Tak, mój drogi pułkowniku, w tym śmiertelnie nudnym Waszyngtonie.

Moody dostrzegł generała St. Angelo. I Jacka Spencera, opartego o kolumnę, z notesem w rękę. Na widok tańczących dziennikarz wyszczerzył zęby.

— Pani żartuje.
— Jeśli chodzi o przyjęcia, nigdy. Poza tym ktoś musi mnie tam zawieźć. Wszystko odbywa się w domu pewnego ambasadora, więc proszę potraktować tę wizytę jako część przyszłych obowiązków. Podobno ma pan apetyt na pewne wysokie stanowisko w dyplomacji...

— To czyste szaleństwo.
— Nie zaszkodzi zaszaleć od czasu do czasu.
— Moja żona...
— Odjechała z panem Blochem i jego przemiłą partnerką.
— Mimo wszystko nie mogę.
— Prezydent poszedł już spać, kochanie. — Poczynając sobie coraz śmielej, napierając na niego piersiami. — Wolisz być zniedołężniałym biurokratą czy też prawdziwym mężczyzną, który robi w życiu to, na co ma ochotę?

— Mogę panią podwieźć — powiedział — ale potem jadę do domu.

Odprawił szofera, włożył neseser do bagażnika służbowej limuzyny i sam usiadł za kierownicą. Lenore, zafascynowana mnogością światełek rozmaitych urządzeń na desce rozdzielczej, zaczęła po kolei naciskać guziki. Kiedy wreszcie nie wytrzymał i kazał jej przestać, zadrwiła:

— Drogi chłopcze, czyżbyś się bał, że spowoduję jakąś wojnę?

W północno-zachodniej części miasta burza wyrządziła sporo szkód. Na Massachusetts Avenue nie działała sygnalizacja, a na chodnikach leżały sterty pozrywanych gałęzi. Kiedy minęli Rock Creek Park, wjechali w dzielnicę okazałych rezydencji, ale kręte, ciemne alejki okazały się trudną przeszkodą. Powalone przez wiatr stuletnie drzewa w kilku miejscach całkowicie zagrodziły jezdnię, zmuszając ich do zawracania i szukania innej drogi, coraz bardziej na zachód. Co gorsza, tu i ówdzie na ziemi leżała płatanina przewodów wysokiego napięcia, potęgując niebezpieczeństwo.

Moody z trudem zwalczał pokusę odwiezienia Lenore do Georgetown, gdzie mieszkała u przyjaciół, i powrotu do domu. Ale coraz bardziej fascynowała go jej niezwykła uroda, zapach perfum, niecodziennosc całej sytuacji. Był podniecony. Jak dotąd wszystkie jego romanse przedstawiały się dość prozaicznie: parę sekretarek w Annapolis, które chciały przespać się z gubernatorem, kilka sfrustrowanych żon przyjaciół — wliczając w to niejaką panią Atkinson, czyli później po prostu Deenę — i od czasu do czasu jakaś dziwka w rodzaju Vicky Clay. Ale ta kobieta jest inna niż wszystkie. Wyjątkowa. Do diabła, to prawdziwa arystokratka z klasą. A teraz uwodziła Bobby'ego Moody'ego, urodzonego w Wirginii Zachodniej w nędznej, zabitej deskami dziurze, zwanej Shivers Springs.

Wreszcie oznajmiła, że dojechali na miejsce. Za kamiennymi słupami bramy zobaczył długi, asfaltowy podjazd, sto metrów dalej zablokowany przez przewrócone drzewo. Wszędzie dookoła stały samochody gości. Kilku kierowców w liberiach rozmawiało ze sobą, paląc papierosy.

Nie bez trudności zaparkował koło ogromnego cadillaca, starannie zamykając wszystkie drzwi i bagażnik. Niski, ciemnoskóry mężczyzna, najwyraźniej służący, wskazał im początek ścieżki, która kluczyła

w ciemnościach wśród drzew i krzewów, z rzadka tylko oświetlona świecami w lichtarzach. Lenore ruszyła pierwsza.

— Cudownie, zupełnie jak w bajce braci Grimm! Prawda, pułkowniku? — zapytała. — Uwielbiam je. Są tak wspaniale okrutne.

Jedna ze świec zgasła, więc długi odcinek drogi musieli pokonać po omacku. Lenore potknęła się o jakąś kłodę i straciła równowagę, wpadając prosto w ramiona Moody'ego, który przypadkowo dotknął jej piersi.

— Oj, nieładnie, pułkowniku -r- roześmiała się. — Świntuszek z pana. — Przez chwilę obejmowała go kusząco, a potem oswobodziła się i pobiegła dalej. Został w tyle.

Dom był ogromny. Ambasador, zapewne najbogatszy człowiek w swoim kraju, reprezentował maleńkie państwo na Karaibach. Stał przed drzwiami z latarką w ręku. Lenore dokonała prezentacji:

— Sebastianie, oto pułkownik Moody. Rządzi Białym Domem, więc zapewne także i resztą świata.

— O tak — uśmiechnął się ambasador. Miał całkiem jasną cerę i mówił po angielsku z francuskim akcentem. — Chyba już się kiedyś spotkaliśmy.

Moody wcale nie pamiętał karaibskiego dyplomaty. Przez Waszyngton przewalały się tłumy takich jak on.

Lenore weszła do środka, zostawiając obu mężczyzn. Kelner podał Moody'emu kieliszek szampana, a ambasador zapewnił, że wizyta szefa gabinetu Białego Domu to dla niego wielki zaszczyt. Potem oprowadził gościa po rezydencji. W ciemnych korytarzach i pokojach paliły się tylko pojedyncze świece. Ściany obwieszono obrazami przedstawiającymi głównie góry i dżunglę. Gospodarz po kolei oświetlał je latarką.

— Wszystko pochodzi z mojego kraju — wyjaśniał.

Wreszcie Moody zdołał się uwolnić od gadatliwego przewodnika, ale Lenore zniknęła gdzieś na dobre. Wszedł do dużego salonu zastawionego zabytkowymi meblami i wypełnionego tłumem nieznanym ludzi. Przez chwilę stał bezradnie na środku, a potem oparł się o ścianę. Nienawidził takich sytuacji, ale jako polityk był na nie nieustannie narażony. Między innymi dlatego związał się z Deeną: w przeciwieństwie do Genevy doskonale dawała sobie radę na oficjalnych przyjęciach.

W pewnym momencie wpadła na niego jakaś blondynka z obfitym biustem i niemieckim akcentem. Przyniosła mu kolejny kieliszek szampana, a potem bezceremonialnie zaciągnęła na taras.

— Musisz kogoś poznać — oznajmiła.

Szczupły, znerwicowany młody człowiek miał ciemne, kręcone włosy, niebieskie oczy i niemal kobiecą urodę.

— Albert-Philippe jest kierowcą wyścigowym — powiedziała Niemka.

— Już nie — zaprotestował. — Teraz nawet nie mogę wrócić do Europy. Nie wiem, co robić, dokąd jechać... Myślałem o Ameryce Południowej, ale to takie poniżające. Sami chłopci i Indianie. Coś okropnego.

Moody widział już twarz tego człowieka w jakimś czasopiśmie. Artykuł wyjaśniał, że Albert-Philippe był nie tyle rajdowcem, co playboyem z Riwery, który najpierw kręcił się wokół księżniczki Stefanii, a potem został utrzymaniem pewnej Amerykanki, żony hiszpańskiego hrabiego, niemal przykutej do łóżka przez narkotyki. Kiedy hrabina umarła, okazało się, że jej majątek został w tajemniczych okolicznościach uszczuplony o ponad milion dolarów. Niedoszły książę Monako został oskarżony o kradzież i musiał uciekać z Francji.

Chyba nie powinienem pokazywać się publicznie z kimś takim, pomyślał Moody. Wymienił nazwisko zmarłej.

— A więc pracował pan dla niej? — zapytał.

— Pracowałem? Byłem jej niewolnikiem. Każdego dnia myłem ją, ubierałem, karmiłem, kładłem do łóżka. A teraz proszę! W nagrodę wypędzili mnie z ojczyzny!

— Przynajmniej dobrze zrobiłeś, że coś sobie wzięłeś, Albercie — zażartowała blondynka. — Na pewno na to zasłużyłeś.

Młody człowiek odszedł w drugą stronę, ale Niemka nie ustępowała.

— Moje piersi oneśmielają niektórych mężczyzn — powiedziała, ciągnąc Moody'ego w kierunku pobliskich krzaków. — Widzę, że ciębie też.

Przedzierając się przez gałęzie, uciekł do budynku. Znalazł Lenore w salonie. Stała pod wielkim obscenicznym obrazem.

— Dobrze się bawisz, pułkowniku?

— Wprost nie mogę uwierzyć, że jestem w Waszyngtonie — wykrztusił.

— A oto i ona! Poznaj księżniczkę.

Niska kobieta z zadartym nosem spojrzała na niego pogardliwie.

— Wasza Wysokość, przedstawiam pułkownika Moody'ego. Pułkownik, oto Marie-Claire, księżniczka Francji.

Pomyślał, że pewnie powinien pocałować Francuzkę w rękę, ale nigdy dotąd tego nie robił. Kiedy uściśnął jej dłoń po męsku, Marie-Claire najwyraźniej się obraziła i zaczęła rozmawiać po francusku z Lenore.

Po bokach stały przekąski, ale nie znalazł wśród nich żadnej znanej sobie potrawy. Nałożył na talerz coś, co wyglądało najmniej groźnie i usiadł na kanapie obok dystygowanej starszej damy, która przedstawiła się jako lady Sansome. Zaczęli rozmawiać o waszyngtońskiej dyplomacji. Blondynka z wielkim biustem zajęła miejsce po drugiej stronie salonu. Obserwowała Moody'ego niczym lwica skradająca się do upatrzonej ofiary.

— Kim jest tamta kobieta? — zapytał Angielkę.

— Nazywa się lisa. Masz na nią ochotę?

— Słucham?

— Możesz zabrać ją na górę, zanim podadzą kawę. W domach angielskiej arystokracji to zupełnie normalne. Wprawdzie zostało niewiele czasu, ale jeśli się pośpieszysz, powinniście zdążyć.

— Aha. Nie, nie mam na nią ochoty.

— Wspaniale. — Lady Sansome ziewnęła. — W takim razie może masz ochotę na mnie?

Jeśli dotychczas w głowie Moody'ego co chwila rozlegały się ostrzegawcze dzwonki, to teraz zawyła potężna syrena alarmowa. Wymamrotał jakieś przeprosiny i wstał, rozglądając się za Lenore. Może zdołają namówić, aby wyszli razem.

Siedziała na krześle przy kominku.

— Muszę już iść — powiedział. — Podwieźć panią do domu?

— Do domu? Chyba żartujesz, drogi chłopcze. — Wstała, ale zamiast się z nim pożegnać, popchnęła go na wolne miejsce, po czym sama usiadła mu na kolanach.

Skrzywił się. Miała kościstą pupę, a twarde siedzenie krzesła było cholernie niewygodne.

— Wszystko w porządku, pułkowniku?

— Nie.

— Ale nie przygniotłam ci chłopczyka, prawda?

— Muszę już iść. — Niemal zrzucił ją na podłogę. — Dobranoc. Pozdrowienia dla szanownego małżonka.

Wybiegł z rezydencji. Dogoniła go dopiero przy samochodzie.

— Otwieraj drzwi, skarbie. Mam ochotę na małą przejażdżkę.

Ale po kilkuset metrach poprosiła, żeby stanął na poboczu.

Z wrażenia o mało nie wjechał w drzewo. Wciąż nie mógł się uspokoić.

— Co za zwierzęta!

W odpowiedzi przytuliła się do niego i pocałowała, rozpuszczając włosy. Smakowała szampanem. Odwinął granatowy materiał i dotknął jej ud, a potem wsunął rękę głębiej. Tym razem nie miał zastrzeżeń co do pośladków.

— Mmm — zamruczała cicho.

— Jest pani niezwykłą kobietą, pani Fairbrother.

— Wiem.

Nagle odsunęła się. Pomyślał, że pewnie chce zdjąć suknię, ale po chwili pochyliła się i rozpięła rozporek jego spodni.

— Co za imponujący widok!

Zaczęła go pieścić. Zamknął oczy, czekając na dalszy ciąg.

— Chcesz, żebym cię tam pocałowała? — szepnęła.

— Tak.

— Naprawdę?

— Tak!

Odskoczyła.

— Więc obiecaj, że David Showers wróci do pracy.

— Co?!

— Jeśli pozwolisz mu dalej pracować w Departamencie Stanu, pocałuję cię wszędzie, gdziekolwiek zechcesz. — Uśmiechnęła się przekornie i znowu zaczęła go pieścić. — No dalej, pułkowniczku. Zgódź się.

— To dlatego mnie tu przywiozłaś?

— Prawdziwych przyjaciół poznaje się w biedzie. Nie mów, skarbie, że nigdy nie słyszałeś tego przysłowia.

— Idźcie wszyscy do diabła! Ty i ten twój przeklęty Showers!

Z całej siły nacisnął na klamkę, ale po chwili się zreflektował. Przecież to jego samochód. Wściekły, zapiął rozporek. Lenore wysiadła, zostawiając drzwi szeroko otwarte.

— Lepiej wracaj do Deeny! — krzyknęła. — Ona wie najlepiej, jak całować, co? Ale ja też coś wiem. Kiedyś widziałam ją w akcji,

w zajezdzie w Dandytown. Całowała, a jakże. Dokładnie tam, gdzie byś najbardziej chciał. Tylko, że nie ciebie, mój nieudany kochaneczku pułkowniczku.

— O czym ty mówisz, do cholery?

— Odwiedź mnie kiedyś. Powiem ci, kto to był — o ile David wróci do pracy.

Odjeżdżając, spojrział w lusterko. Lenore biegła w stronę domu ambasadora.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Śledztwo w sprawie konia pochłaniało Spencera tak bardzo, że przestał nawet pić. Najważniejszą cechą rasowego dziennikarza jest nie jego inteligencja czy umiejętność pisania, ale ciekawość. Kiedy może ją zaspokoić, nie potrzebuje do szczęścia niczego innego.

Zbierając materiały do reportażu, nie zapominał o przyjęciach i wernisażach. Krótkie teksty podrzucane do agencji co pewien czas w zupełności zaspokajały oczekiwania szefa. Wrócił też do Dandytown, spędzając sporo czasu z Wayne'em Bensingerem. Zastępca prokuratora okręgowego wypożyczył mu nawet kopie protokołów ze śledztwa.

Niestety, niewiele dało się z nich wywnioskować. Z zeznań zebranych przez szeryfa następnego dnia po morderstwie wynikało, że feralnego wieczoru w okolicach zajazdu znalazła się większość dorosłych mieszkańców Dandytown. Co gorsza, co najmniej kilkanaście osób nie miało alibi przez wystarczająco długi czas, aby zdążyć zabić Clayów — wśród nich Blochowię, Fairbrotherowie, Bob i Deena Moody, Billy, Becky, Alixe, a nawet sam David Showers.

Aby sprawnie działać, dziennikarz musi umieć jeszcze jedno: nawiązywać i utrzymywać znajomości. Pisząc o rozmaitych sprawach, spotyka różnych ludzi: polityków, policjantów, mafiosów, gwiazdy filmowe. Na szczęście rozległość kontaktów Spencera plasowała go znacznie powyżej średniej w tym zawodzie. Po powrocie z Dandytown zadzwonił do starego przyjaciela z Nowego Jorku, byłego sprawozdawcy sportowego, najlepszego eksperta w dziedzinie koni, jakiego znał.

Po krótkich poszukiwaniach w swoim prywatnym archiwum nowojorczyk trafił na niedawną kradzież cennego gnidosza z dwoma białymi skarpetkami.

— Koń pochodził z Irlandii. Jego wartość wynosiła kilka milionów dolarów.

— Ogier?

— Dwuletni. Z doskonałym rodowodem.

— Pewien facet sprawdzał dla mnie całą Anglię i Irlandię. Jak to możliwe, że przeoczył coś takiego? — dopytywał się Spencer.

— Bo kradzieży nie dokonano w żadnym z tych krajów. Ogier został sprzedany na aukcji w zachodniej Irlandii wiosną tego roku. Nabywcą był Kanadyjczyk z Kolumbii Brytyjskiej, niejaki Ted Ryan. Ledwo wrócił do domu, ktoś włamał się do jego stajni. Początkowo wszystko wskazywało na to, że jak zwykle chodzi o okup, ale złodzieje nie odezwali się ani razu. Jestem przekonany, że gniadosz już dawno nie żyje. Z taką sztuką trzeba umieć się obchodzić.

— Gdzie mógłbym znaleźć jego zdjęcie?

— Spróbuj w *Irish Times* albo w *Vancouver Sun*. Ich fotoreporterzy wolą pstrykać konie zamiast gołych babek.

Zanotował tytuły gazet, a potem zapytał o firmę aukcyjną z New Jersey.

— Czy o nich słyszałem? Jack, to najbardziej śmierdzące miejsce w całym Stanach.

— Myślisz, że mogli wejść kiedykolwiek z konflikt z prawem? Albo z komisją wyścigów?

— O ile wiem, nie. Ale nie martw się. Kiedyś wreszcie ktoś ich zapuszkuje. Ale po co ci te wszystkie informacje?

— Mam napisać artykuł o koniach i jak zwykle nie wiem, od czego zacząć.

— I interesują cię irlandzkie ogiery za dwa miliony, które giną w Kanadzie?

— Ktoś widział ostatnio takiego konia, być może z fałszywymi papierami.

— Widział? Gdzie?

— Eee... zapomniałem.

— Taak. Znam cię, Jack. Coś knujesz.

— Jak tylko będę coś wiedział na pewno, od razu do ciebie zadzwonię — odparł Spencer, odkładając słuchawkę.

Zresztą to nawet nie taki zły pomysł, pomyślał. Cała sprawa zainteresowałaby nowojorczyka o wiele bardziej niż szeryfa Cooke'a.

Potem skoncentrował się na zdobywaniu informacji na temat

Bernarda H. Blocha — finansisty, przemysłowca, handlarza nieruchomościami na wielką skalę, a ostatnio także zapalonego sportowca. Wprawdzie pisano o nim głównie bezwartościowe panegiryki, ale mimo to znalazł kilka interesujących szczegółów z przeszłości. Dowiedział się między innymi, że w przeciwieństwie do wielu innych bajecznie bogatych, a niezbyt uczciwych dżentelmenów, biznesmen kilkakrotnie nie zdołał uniknąć konfliktu z prawem. Jedną z jego fabryk chemicznych w Delaware została zamknięta przez Federalną Agencję Ochrony Środowiska za naruszanie norm emisji zanieczyszczeń, a w latach osiemdziesiątych niewiele brakowało, a trafiłby do więzienia w związku z fikcyjnym bankructwem pewnego banku. Najciekawsze jednak okazało się to, że jeszcze wcześniej wytoczono mu proces za próbę przekupienia urzędnika agencji zajmującej się planowaniem rozwoju miast w stanie Maryland. Został wówczas uniewinniony.

Obrońcą, a później także współnikiem Blocha był niejaki Robert M. Moody. Kiedy kandydował na stanowisko gubernatora Marylandu, miliarder sfinansował jego kampanię wyborczą.

Spencer miał także znajomości w Pentagonie oraz kilku cywilnych przedsiębiorstwach, które pracowały na potrzeby wojska. Wstrzymując kiedyś publikację artykułu o błędach w programie służącym do odpalania rakiet z myśliwców, zyskał dozgonną wdzięczność pewnego człowieka w Arlington. A ponieważ komputery zainstalowane w jego firmie należały do najbardziej wymyślnych na świecie, nadeszła pora na rewanż.

Nie tracąc czasu, znajomy Jacka wziął się do roboty. Za pomocą przenośnego skanera wprowadził zdjęcie do pamięci komputera, a potem wyświetlił obraz na monitorze. Oprogramowanie pozwalało przetwarzać go na wszelkie możliwe sposoby: powiększać, obracać, skracać, wydłużać, nakładać na siebie.

— Ale gmatwanina — odezwał się. — Co to właściwie jest, do diabła?

— Zadrapania na plecach martwego człowieka.

— No tak. Żałuję, że zapytałem.

— Widzisz coś?

— Aż za dużo. Zupełnie jakby jakieś dziecko rysowało jeden przedmiot wiele razy na tej samej kartce papieru.

— Nie dziecko, tylko kobieta. Najprawdopodobniej sparaliżowana. Wstrzyknięto jej śmiertelną dawkę narkotyku. Podejrzewam, że

próbowała w ten sposób zostawić wiadomość, używając pleców faceta jako czegoś w rodzaju tablicy.

— Fascynujące. — Znajomy Jacka nacisnął kilka guzików, ale bez widocznego rezultatu. — Ale nie poddamy się tak łatwo. Spróbuję inaczej.

Nagle większość kresek zniknęła.

— Zostawiłem tylko najmocniejsze, a więc najgłębsze rysy. Teraz mogę je przedłużyć.

Ekran zapełnił się kreskami.

— Wspaniale. — Dziennikarz był bliski rezygnacji.

— Cierpliwości, Jack. — Środkowa część obrazu powiększyła się kilkakrotnie. — Popatrz teraz. Wyeliminuję te fragmenty linii, które wykraczają poza granice pierwotnego rysunku.

Operacja zabrała komputerowi ułamek sekundy.

— Dobry Boże... — odezwał się Spencer.

— Czysta nauka, Jack.

— Wszystko jedno. Jeśli się nie mylę, mamy tu duże B.

— Owszem. Teraz popracuję nad resztą.

Ale reszta okazała się zbyt skomplikowana. Po dziesiątkach prób programista otarł pot z czoła.

— Niestety, stary, to wszystko. Duże B, potem e, a albo o; a dalej coś, co moim zdaniem najbardziej przypomina małe r.

— I tak dowiedziałem się o wiele więcej, niż przypuszczałem.

— Nie wiem, do czego zmierzasz, ale żaden sąd nie uzna tego za dowód. Czysta elektroniczna spekulacja.

— Mimo wszystko mam pewną koncepcję... Czy możesz zrobić mi wydruk?

— Tak. Mogę też nagrać na wideo cały proces przetwarzania. Tylko nie mów nikomu, skąd to masz. Mój szef jest przekonany, że pracuję nad trajektoriami nowych rakiet.

Wszelkie próby wyciągnięcia Becky z domku i farmy spełzły na niczym. Dziewczyna oświadczyła, że nie ma zamiaru nigdzie się ruszać, dopóki kapitan nie wróci z ćwiczeń.

Po kilku spięciach przestała w ogóle otwierać drzwi i podnosić słuchawkę, chociaż sama gdzieś dzwoniła. Alixe podслуchała ją pewnego ranka, podczołgawszy się pod okno domku.

Być może zachowanie dziewczyny wynikało po prostu z rozczarowania; zrozumiała, że Showers nie jest zainteresowany życiem, które sobie wymarzyła dla nich obojga. Sama Alixe musiała przyznać, że się pomyliła. Becky nie nadawała się na jego żonę, podobnie jak kiedyś Lenore, która nie wytrzymałaby z nikim, kogo nie mogła zdominować.

W miarę upływu dni sytuacja stawała się coraz gorsza. Z początku Alixe chciała zadzwonić do Showersa, ale po namyśle zrezygnowała. I tak nie przyjedzie. Zresztą nawet gdyby zdołała go namówić, cóż z tego? Becky potrzebowała po prostu solidnego lania, a szarmancki Showers nigdy w życiu nie podniósł ręki na kobietę.

W końcu zadzwoniła do jej ojca, ale skądinąd świetny psychiatra tym razem zawiódł na całej linii: Rebecca jest pełnoletnia, opuściła dom na własne życzenie. Wraz z żoną przyjmą ją z otwartymi rękami, pomogą w każdy możliwy sposób, ale to ona musi ich poprosić, i tak dalej... W końcu zaproponował, żeby dać dziewczynie coś na uspokojenie.

Tylko jedna rzecz mogła zmusić Becky do opuszczenia kryjówki: brak jedzenia. Stopniowo zapasy w spiżarni Showersa zmniejszały się, aż pewnego dnia, kiedy mleko, chleb, makaron oraz masło orzechowe wreszcie zniknęły, wsiadła do toyoty i pojechała do miasteczka.

Alixie miała przynajmniej godzinę. Najpierw spenetrowała wszystkie szafki i szuflady w domku, ale kiedy nic nie znalazła, usiadła na łóżku i zaczęła się zastanawiać. Przed kim Becky mogła coś ukrywać? Przed Showersem oraz Billym. A więc musiała wybrać takie miejsce, do którego nie zajrzy żaden mężczyzna.

Kiedy wróciła do łazienki, jeszcze raz wzięła do ręki zakurzoną, prawie pełną paczkę podpasek. W środku nie było żadnych narkotyków. Znalazła natomiast dziennik, którego nie otworzyła, i kilka zdjęć z polaroidu. Nie mogła się powstrzymać, żeby ich nie obejrzeć. Wszystkie przedstawiały rozebraną Becky, niektóre w całkiem obscenicznym pozach. To zapewne pomysł Billy'ego, stwierdziła w duchu. Wszyscy doskonale wiedzieli, że uwielbiał wszelkiego rodzaju pornografię.

Na dnie leżała kasetka wideo z nalepką VICKY. Wzięła ją do ręki, zastanawiając się, co zrobić. Podobnie jak Showers oraz większość miejscowej arystokracji, uważała telewizję za wulgarną rozrywkę dla klas średnich. Widziała wprawdzie odbiornik w służbówce stajennych, ale to nie wystarczy, żeby obejrzeć kasetę.

Z osób, które znała, jedynie Becky miała magnetowid.

Dość szybko nauczyła się go obsługiwać. Wkrótce na ekranie pojawiły się nagie ciała Vicky i jakiejś innej kobiety. Niecodzienny widok zafascynował Alixe. A więc to, o czym w Dandytown plotkowano od lat, było prawdą.

Wprost nie mogła się doczekać, aby zobaczyć twarz kochanki Vicky. Zdumiewające. Ale jeszcze bardziej zdziwił ją widok Becky, która pojawiła się w pewnym momencie w zasięgu kamery, również naga. Trzy kobiety zachowywały się tak, jakby nie wiedziały, że są filmowane; być może robił to Billy gdzieś z ukrycia. Któż inny mógłby wymyślić coś podobnego?

Nagle Vicky zaczęła coś mówić do Becky. Alixe dobiegło imię Showersa, więc podeszła do magnetowidu, aby lepiej słyszeć.

Wtedy zmieniła zdanie. Jeśli się nie pośpieszy, nie zdąży wrócić do siebie przed powrotem Becky z miasteczka. Po tym, co zobaczyła i usłyszała, nie miała wątpliwości, że powinna pokazać taśmę Davidowi, ale nie mogła jej tak po prostu wziąć: dziewczyna zauważyła zniknięcie kasety. Co robić?

Wreszcie znalazła rozwiązanie. Becky na pewno oglądała tę taśmę nieraz, więc na razie raczej nie będzie do niej wracać... Na półce koło magnetowidu leżało kilka innych kaset. Jedna z nich, teraz z naklejką z napisem VICKY, powędrowała na dno paczki z podpaskami.

Odłożywszy wszystko na swoje miejsce, Alixe odjechała z farmy Showersa dosłownie w ostatniej chwili. Kiedy tylko skręciła w główną drogę, na horyzoncie zobaczyła toyotę.

Kiedy zatrzymała się przed własnym domem, przyszło jej do głowy, że najlepiej zrobi, jeśli ukryje taśmę w jakimś sejfie. Po pożarze stajni i włamaniu Billy'ego do domku Becky żadne inne miejsce nie wydawało się wystarczająco bezpieczne. Spojrzała na zegarek. Bank w Dandytown zamykano za godzinę.

Nie zwlekając, ruszyła w stronę miasteczka. Ciekawe, pomyślała, ile jedzenia kupiła Becky?

Showers wracał z ćwiczeń zadowolony. Wprawdzie batalion przegrał w starciu z regularną jednostką piechoty z Fortu Bragg, ale dowodzona przez niego kompania dwukrotnie odparła atak i wyszła cało z zasadzki.

Po pierwszym tygodniu zadzwonił do Jacka. To, że Vicky Clay próbowała wydrapac na plecach Meade'a imię Blocha, wcale go nie zdziwiło. Ale odnalezienie właściciela konia mogło oznaczać zasadniczy przełom w sprawie.

Próbował także skontaktować się z Alixe, ale nie odbierała telefonu.

Kiedy dotarli do bazy, wydał rozkazy podwładnym. Przed oficjalnym rozwiązaniem zgrupowania musieli zwrócić wypożyczony sprzęt, resztę amunicyj i oraz paliwo. Sam pojechał do kwatery głównej, chcąc zameldować się pułkownikowi, i zaniemówił z zaskoczenia.

Na pobliskim parkingu dla cywilnych samochodów stał żółty volkswagen z kalifornijską rejestracją, a obok niego May Moody, w dżinsach i białej bluzce.

Uśmiechnęła się przyjacielsko, zupełnie jakby zapomniała o kłótni na farmie.

— Więc naprawdę nosi pan mundur, kapitanie.

— Nigdy pani nie dzwoni — odparł — tylko po prostu się zjawia.

— Nieprawda, dzwoniłam. Usłyszałam kilka mocnych słów od dziewczyny na farmie. Kazała mi się od pana odczepić. Podobno jestem ostatnią osobą, którą chciałby pan zobaczyć.

— To nieprawda. Przepraszam za zachowanie Becky.

— Słyszałam już gorsze rzeczy od reżyserów, nie wspominając o innych aktorach... Potem zadzwoniłam do pańskiego, jak się okazało, byłego biura. Tam usłyszałam, że pojechał pan na ćwiczenia. Boże, uzyskanie od pańskich przełożonych informacji, gdzie pan jest i kiedy wraca, trwało całą wieczność... W każdym razie jakoś zdążyłam. Jak było?

— Przegraliśmy.

— No cóż, witaj w domu, żołnierzu.

Spojrzał prosto w oczy aktorki.

— Cieszę się, że panią widzę — powiedział. — Bardzo się cieszę. Jutro miałem do pani dzwonić.

Spoważniała.

— Chcę panu pomóc, panie Showers.

— Mów mi David.

— Zgoda. A więc, Davidzie, postanowiłam dołączyć się do twojego pozwu. Nie pozwolę, aby Berniemu Blochowi i mojemu ojcu uszło to wszystkim na sucho.

Zostawił swojego dżipa w kwaterze Gwardii Narodowej w Dandytown, więc zamierzał wrócić do miasteczka wojskową ciężarówką, która wiozła innych uczestników ćwiczeń, ale May zaproponowała mu podwiezienie. Im dłużej oponował, tym bardziej nalegała.

Po drodze zatrzymali się w Waszyngtonie. Ponieważ chciała zobaczyć konia, postanowiła spędzić noc w Dandytown.

Usiadł na kanapie w salonie, czekając, aż aktorka spakuje małą walizkę. Zostawiła drzwi do sypialni uchylone, więc na ścianie widział jej cień. W pewnym momencie zaczęła się czesać. Odwrócił wzrok, zażenowany. Nie chciał być intruzem.

Kiedy zniknęła w łazience, zainteresował się książkami na stoliku. Leżała tam autobiografia Katherine Hepburn, tom sztuk Szekspira, jakiś hollywoodzki pitawał i — zdumiewający w tym zestawieniu — „Nocny lot” Antoine’a de Saint-Exupery’ego, w oryginale. Nie miała żadnych książek o koniach, jeśli nie liczyć kilku powieści Dicka Francisa stojących na półce.

Wreszcie wróciła do salonu, otoczona smugą perfum.

— Jestem prawie gotowa — oznajmiła. — Dziękuję za ciepłość.

— Nie ma za co.

Znowu weszła do sypialni. Zerknął na swoją torbę, stojącą przy drzwiach. Przed wyjazdem z Fortu Hill wymienił puste naboje w magazynku pistoletu na prawdziwe. Cieszył się, że spędzi z May prawie dwa dni, ale wolałby zabrać ją gdzieś indziej niż do Dandytown.

Stała przy drzwiach, gotowa do drogi.

— Idziemy? — uśmiechnęła się. — Tym razem mam nadzieję naprawdę odpocząć.

Podczas jazdy w kabriolectic panował taki hałas, że prawie nie mogli rozmawiać. Dopiero kiedy zatrzymali się na lunch, zaczął jej wszystko wyjaśniać.

— Sądzę — a właściwie wiem to prawie na pewno — że prawowitym właścicielem ogiera, którego kupiłaś, jest niejaki Ted Ryan, Kanadyjczyk. Wartość konia oceniono na ponad dwa miliony dolarów. Po kradzieży zaopatrzone go w fałszywe dokumenty i wytatuowano mu na wardze numer innego, podobnego zwierzęcia, które przypadkiem pochodziło od klaczy będącej kiedyś własnością mojego ojca. Wszystko razem sprawiało bardzo przekonujące wrażenie.

— Kto to zrobił?

— Najprawdopodobniej wspólnicy Blocha. Mają firmę w New Jersey.

— Ale skoro koń jest tak cenny, po co wystawiali go na aukcję?

— Chcieli w ten sposób uwiarygodnić oszustwo. Bloch zapłaciłby tak niewiele, że nie wzbudziłoby to niczyich podejrzeń. Potem mógłby legalnie wystawiać go w wyścigach, oddać do stadniny, wszystko jedno. Zarobiliby kupę pieniędzy.

— Ale ta świnia już jest niewiarygodnie bogata. Po co mu więcej?

— Ludzie tacy jak on nigdy nie mają dosyć, dopóki nie umrą. Poza tym Bernie lubi wygrywać. Prawdziwy ogier z rodu Królowej Tashamore nie był niczym wyjątkowym, więc fałszywy mógłby narobić sporo zamieszania na torach. Ale mimo wszystko uważam, że to robota tych cwaniaków z New Jersey. Bloch nie zna się aż tak dobrze na koniach.

— A ja popsulałam im szyki.

— Nie ty jedna. Nigdy byś go nie kupiła, gdyby nie szeryf, który po morderstwie zatrzymał Blocha w hotelu. Bernie poprosił o przysługę twojego ojca, ale ten zamiast na aukcję pojechał prosto do Waszyngtonu, bo sytuacja w Ameryce Środkowej groziła wybuchem wojny.

— Pewnie uważasz mego ojca za podłego sukinsyna. Też tak myślałam, kiedy zostawił matkę. To prawda, potrafi kłamać, być bezwzględny, ale w rzeczywistości jest pełen kompleksów. I o ile wiem, nigdy nikogo nie oszukał, nawet kiedy zarabiał te swoje cholerne pieniądze. Pewnie nawet nie przypuszcza, że koń został skradziony. Trzyma stronę Blocha, ponieważ są przyjaciółmi. Zawsze dbał o przyjaciół, bo nigdy nie miał ich zbyt wielu. Gazety nazywają go oportunistą, ale on naprawdę zrobi wszystko dla tego pompatycznego głupca, który na nieszczęście został naszym prezydentem. — Zamilkła. — Mimo wszystko zniszczył twoją karierę, prawda?

— Nie. Sam jestem sobie winien. Próbował mnie przekupić nominacją ambasadorską, żebym tylko odsprzedał konia Blochowi. Ale odmówiłem i wcale mnie nie wyrzucił. Sam podałem się do dymisji. Musiałem. Złamałem wewnętrzne przepisy departamentu.

— W jaki sposób?

— Nieważne. Zaufałem komuś, komu nie należało ufać: swojemu kuzynowi. Jest dziennikarzem. Niestety, napisał o jeden artykuł za dużo. Teraz próbuje mi wynagrodzić stratę pracy i zbiera informacje o ogierze. Muszę przyznać, że całkiem sporo się dowiedział.

— Mój ojciec dorastał w innym środowisku niż ty, Davidzie. Ale przynajmniej ma jakieś zasady, w przeciwieństwie do Blocha. — Zapaliła papierosa. — Na razie nie musisz się nim martwić. Wyjechał na Daleki Wschód. Na szczęście zabrał ze sobą Deenę. Boże, jak ja jej nienawidzę... Przyszła przed kilkoma dniami i zaczęła mi grozić z powodu tego konia.

— Groziła ci? Czym?

— Nie powiedziała nic konkretnego. Najgorsze, że najwyraźniej zrobiła to bez wiedzy ojca. Założę się, że przysłał ją Bloch.

— Dlaczego miałaby mu pomagać?

— Bo majątek ojca jest niczym w porównaniu z majątkiem Blocha. — Wypuściła kłęb dymu, a potem strzepnęła popiół do popielniczki. Miała długie, szczupłe palce i nie malowała paznokci, tak samo jak Lenore. Showers próbował przypomnieć sobie jej dłonie... Chyba niedawno zwróciły czymś jego uwagę, ale kiedy? I dlaczego...

— Lepiej ruszajmy — odezwała się May. — Czy koń jest w Dandytown? Obiecałeś, że będę mogła go zobaczyć.

Spuścił głowę i nie odpowiedział.

— Nie ufasz mi, prawda?

— Ależ skąd. Tylko nie chcę cię narażać na niebezpieczeństwo.

— Nie boję się. Dam sobie radę.

— May, mój kuzyn Jack uważa, że Vicky Clay próbowała wydrapać jakąś wiadomość na plecach męża. Ścisłe rzecz biorąc, imię. Ze zdjęć zrobionych podczas śledztwa dało się odczytać trzy pierwsze litery: B, e i r.

— Bernie. O Boże.

— Zdaniem Jacka to nie Meade zabił Vicky. Oboje zostali zamordowani przez kogoś trzeciego. Jest jeszcze coś. Ktoś podpalił stajnię Alixe i wypuścił z niej konie. Z pewnością chodziło o gniadosza. Zginął wtedy człowiek, stajenny Alixe.

— Byliście na policji?

— Policja to szeryf Cooke. Nie ma dowodów. Firma ubezpieczeniowa także uznała pożar za nieszczęśliwy wypadek. Cała nadzieja w tym, że dowiedziemy fałszerstwa dokumentów konia. Dlatego chcemy wnieść sprawę do sądu. Ludzie z New Jersey będą wtedy musieli zeznawać. Jack dzwonił do faceta w Kanadzie. Gość chce zobaczyć jakieś zdjęcia. Jeśli uzna, że to ten sam koń, przyjedzie natychmiast. Wtedy wygramy.

— Chcę ci pomóc.

— Wystarczy, że podpiszesz pełnomocnictwo. Potem powinnaś wracać do Waszyngtonu. Tam będziesz bezpieczna.

— Nie chcę zostać sama. — Wzięła go za rękę. — Nie zamierzam cię do niczego zmuszać, ale naprawdę bezpieczna czuję się tylko przy tobie.

Po drodze na farmę zabrał swojego dżipa. Toyota stała na podwórzu. Nie miał teraz czasu na rozmowę z Becky. Najpierw musi wysłać May z powrotem do Waszyngtonu.

Zaczęli od podpisania dokumentów.

— W porządku — odezwała się. — Teraz możemy pojechać zobaczyć ogiera. Zostajesz w mundurze?

— Nie.

— Zaczekam w samochodzie.

Wszedł na górę i przebrał się w spodnie khaki, białą koszulę oraz stary granatowy blezer. Potem wsunął pistolet za pas, a dwa zapasowe magazynki do kieszeni. Kiedy wyciągał z szuflady aparat fotograficzny, zadzwonił telefon.

W słuchawce usłyszał głos Alixe. Była w hotelu w Dandytown.

— Mój stajenny powiedział mi, że właśnie widział pędzącego gdzieś zielonego dżipa, więc pomyślałam, że pewnie wróciłeś z wojny.

— I zaraz wyjeżdżam. Do Charles Town.

— Muszę z tobą porozmawiać, Davidzie. Przeszukałam domek Becky. Znalazłam pewną kasetę wideo.

— Wiem o niej.

— Wiesz, co na niej jest?

— Widziałem kawałek.

— A ja znacznie więcej. Naprawdę musimy porozmawiać. Zaraz do ciebie przyjadę.

— Teraz nie mogę, Alixe. Nie jestem sam.

— Lenore?

— Nie. May Moody. Zgodziła się poprzeć nas w sądzie. Muszę zrobić zdjęcia konia. To teraz najważniejsze.

— Wrócisz wieczorem?

Zawahał się.

— Tak. Chyba tak.

— Jak dojedziesz na miejsce, zadzwoń. Będę czekała w domu.

— Dobrze. Gdyby zatelefonował mój kuzyn, powtórz mu, że muszę się z nim skontaktować.

Za oknem rozległy się krzyki. Trudno było nie rozpoznać głosu rozwścieczonej Becky.

— Muszę już kończyć, Alixe. Na moim podwórku wybuchł mały konflikt nuklearny.

— Zaraz przyjadę. Uprzedzę tylko Selmę, że zamierzacie ją odwiedzić. Nie bierz ze sobą naszej awanturnicy.

— Nie ma obaw. Do zobaczenia.

Wybiegł z domu pełen obaw, że May odjechała. Ale wciąż siedziała w samochodzie. Becky z pejczem w rękę stała przy drzwiach domku.

— Zostaw ją w spokoju i wracaj do siebie!

Dziewczyna sprawiała wrażenie, że za chwilę naprawdę wybuchnie.

— Davidzie, ta kobieta mówi, że gdzieś z tobą wyjeżdża!

— Zgadza się. Wrócę wieczorem.

— Ale przecież dopiero co wróciłeś! May uruchomiła silnik.

— Wrócę wieczorem — powtórzył.

Becky przywarła do niego z całej siły. Jej włosy cuchnęły, jakby nie myła ich co najmniej od tygodnia.

— Proszę, Davidzie. Zostań! Proszę!!

Wyswobodził się z krępujących objęć.

— Na litość boską, uspokój się. Wszystko będzie w porządku. Jedziemy tylko zobaczyć konia i zaraz wracamy.

W odpowiedzi Becky rozryczała się histerycznie. Powoli zaczął wątpić, czy na pewno Alixe przeszukała domek wystarczająco dokładnie.

May wrzuciła wsteczny bieg i podjechała do kapitana, naciskając klamkę po jego stronie.

— Niedługo wrócimy — zapewniał. — Alixe zaraz tu będzie. Proszę cię, uspokój się.

Kiedy tylko wsiadł, ruszyła, nie czekając, aż zamknie drzwi. Becky zakłęła i pejczem uderzyła aktorkę w głowę.

— Jasna cholera! — krzyknęła May. Wrzuciła dwójkę i dodała gazu. Showers obejrzał się. Becky została z tyłu, z rozstawionymi szeroko nogami i zaciśniętymi pięściami.

Kiedy znaleźli się wystarczająco daleko, ostrożnie obejrzał zranione miejsce. Gęste, czarne loki były naprawdę piękne.

— Nabiła ci tylko guza — oznajmił. — Boli?

- Oczywiście. Czy ona zawsze tak się wścieka?
 - Nie. Dopiero od niedawna. Zupełnie nie wiem dlaczego.
 - Cóż, ja się domyślam.
- Wkrótce skręcili w kierunku Berryville.

Selma już czekała. Showers wyczuł, że ucieszyła się z ich przyjazdu. Nie tracił czasu. Zbliżenie łba, widok z przodu, z boku. Kiedy dżokejka odwinęła górną wargę zwierzęcia, sfotografował tatuaż.

— Proszę dać mi aparat, kapitanie — zaproponowała. — Zrobię zdjęcie wam obojgu.

Showers i May stanęli obok konia. Objęli się.

Aktorka poklepała ogiera po szyi.

— Już prawie zapomniałam, jaki on piękny. Zaczynam żałować, że nie można go zatrzymać.

— Ja już przez to przeszedłem.

Selma wzięła uzdę, chcąc odprowadzić zwierzę z powrotem do stajni.

— Uważaj na siebie. Na niego zresztą też.

— Nawet włos mu z głowy nie spadnie — rzuciła przez ramię. — Proszę się nie martwić, kapitanie. Wirginia Zachodnia nauczyła mnie paru rzeczy.

May nie chciała wracać na noc ani do Dandytown, ani do Waszyngtonu. Po namyśle Showers znalazł rozwiązanie.

— Jest takie miejsce w Shepherdstown, tuż nad Potomakiem...

— Chodzi ci o Zajazd Bawarski?

— Skąd wiesz?

— Znam wszystkie miasteczka nad rzeką. Kiedy byłam małą dziewczynką, mieszkaliśmy w Cumberland, ale często jeździliśmy do Annapolis, bo ojciec został wybrany do senatu stanowego. W drodze powrotnej zawsze zatrzymywaliśmy się tam na obiad. Najbardziej lubiłam placki ziemniaczane.

— Kupię ci ich tyle, ile tylko zechcesz.

Poklepała się po brzuchu i wyszczerzyła zęby.

— Wystarczą dwa.

Myliła się. Zjadła cały talerz, a potem zamówiła deser.

— Teraz będę się odchudzać przez cały rok — oznajmiła, kiedy kelner przyniósł kawę. — Muszę uważać. Łatwo się uzależniam i wcale nie chodzi mi teraz o dobre jedzenie... Parę lat temu wpadłam w poważne kłopoty.

Zapaliła papierosa.

— Jestem alkoholiczką, Davidzie — wyznała, wypuszczając kłąb dymu. — Nie przeszkadza ci to?

— Podobnie jak połowa moich znajomych, kiedyś także ojciec, a teraz kuzyn. Jack próbuje walczyć z nałogiem, ale... to chyba nie takie proste.

— Mnie się udało. Trafiłam do specjalnego ośrodka. Cały dzień szorowałam podłogi i tak dalej. Boże, coś strasznego. Zupełnie jak niewolnica. Postanowiłam wtedy, że nigdy więcej nie popełnię podobnego błędu.

Zamilkła na chwilę. Wyraz jej twarzy zmieniał się powoli.

— Brałam też narkotyki. Kokainę, haszysz, cokolwiek moi kumple mieli pod ręką...

Patrzyła mu prosto w oczy, czekając na dezaprobatę. Nie zareagował.

— Z tym także sobie poradziłam, ale trochę za późno. Zdążył mnie znienawidzić każdy reżyser i producent w Hollywood. A kiedy wyleciałam z kilku filmów, zaczęły się prawdziwe kłopoty. Nigdzie nie mogłam znaleźć pracy. O ostatnią rolę musiałam błagać na kolanach, a i tak zagrałam w szmacie, która pewnie nie trafiła nawet do dziesięciu kin.

— Muszę kiedyś zobaczyć wszystkie twoje filmy.

— Nie warto. Właśnie dlatego tak bardzo mi zależy na teatrze Szekspira. Dlatego zaryzykowałam powrót do Waszyngtonu — fortecy ojca. Michael Kahn, który kieruje zespołem, to jeden z najlepszych reżyserów w całym kraju. Jeśli mi się uda... Wrócę tam, skąd z takim hukiem wyleciałam. Zupełnie inna, ale przynajmniej w to samo miejsce.

— Masz na myśli Los Angeles?

— Los Angeles, Nowy Jork. — Wzruszyła ramionami. — Wszystko jedno.

— Kiedy zaczynasz grać?

— W październiku. Musisz przyjść na premierę.

— Oczywiście.

Zgasiła papierosa i sięgnęła po torebkę. Szybko wyciągnął kartę kredytową.

— Davidzie, przypominam ci, że właśnie straciłeś pracę.
— Będę się o to martwił później. Najpierw musimy znaleźć ci miejsce na nocleg.
— Wracasz do domu?
— Rano przyjadę z powrotem.
— Zostań ze mną. — Zacerwieniła się odrobinę. — To znaczy, w oddzielnym pokoju.

Stchórzy, jeśli nie stawi czoła Becky, pomyślał. Ale wcale nie miał na to ochoty. Nie dziś. Alixe chciała z nim porozmawiać... W końcu może zadzwonić z hotelu.

— Zgoda.

Kiedy podpisał rachunek, odezwała się:

— Mam prośbę. Czy mogłabym jutro przejechać się na koniu? Zmarszczył brwi.

— Wolałbym nie wyprowadzać go poza farmę Selmy.

— Tylko raz, dookoła stajni. Proszę.

Kiedy ją odprowadził, włożyła klucz w zamek i otworzyła drzwi na oścież.

— Muszę zejść na chwilę do holu — powiedział.

Przysunęła się bliżej. Może chciała powiedzieć dobranoc, a może zaprosić go do środka? Skąd miał wiedzieć, czego od niego oczekiwała? Co gorsza, sam właściwie nie wiedział, czego chce.

Pocałował ją. Przynajmniej na tyle mógł sobie pozwolić, to pewne. Nagle objęła go z całych sił. Przez cienki materiał bluzki poczuł gorące piersi. Wciąż się wahał. Dopiero co się poznali. Może ona tego wcale nie chce. Może w ten sposób wszystko zniszczy. A może wystarczy ją dotknąć... Przed oczami wciąż miał twarz Lenore.

Nagle May odsunęła się, zaciekawiona, a nawet trochę rozbawiona.

— Dokąd to?

Objął ją, a potem pocałował jeszcze raz.

— Byłem kiedyś żonaty — powiedział — i czasami mam wrażenie, że nigdy się nie rozwiódłem.

Spojrzała mu głęboko w oczy.

— Ja też miałam kiedyś męża. Prawie go już nie pamiętam... Wciąż kochasz tamtą kobietę?

— Czasami próbuję udawać, że tak, ale nic z tego nie wychodzi.

— Małżeństwo to nie to samo co miłość, kapitanie. Miłość powinna przyjść pierwsza.

Wziął ją za rękę i wprowadził do środka.

Do Alixe zadzwoni rano.

Nagle usłyszał telefon. Która to godzina? Spali tak głęboko...

Odebrał, chociaż byli w pokoju May. Nieważne, kto się dowie.

— Kapitanie Showers, tu Selma. Mamy kłopoty. Billy Bonning zabrał konia. Jestem razem z nim. W Pensylwanii, niedaleko Chambersburga. — Mówiła monotonnym, ściszym głosem.

— Co?! Billy?

— Przyjechał z przyjacielem. Byli uzbrojeni. Musieli was śledzić. Nie miałam szans. Uznałam, że lepiej zrobię, jeśli zaproponuję pomoc za pieniądze. Dał mi sto pieprzonych dolców, głupi sukinyń.

— Skąd dzwonicz?

— Ze stacji benzynowej przy autostradzie numer 81. Oni zostali w motelu. Musiałam ich... no wie pan, zaspokoić. Teraz śpią. Trochę im w tym pomogłam. Kilka razy kolbą pistoletu w głowę. Zabrałam broń, wóz Billy'ego i konia.

— Nic mu się nie stało?

— Nie. Jest tylko wystraszony. Ale poza tym wszystko w porządku. Proszę tu przyjechać, kapitanie. Nie wiem, co robić dalej.

— Zaraz tam będę. Która to stacja?

— Przy zjeździe Marion. Zaparkowałam trochę z boku, ale wciąż widać mnie z drogi. Chevrolet blazer, z zieloną przyczepą.

Showers nie miał pojęcia, ile Alixe dawała Selmie, ale na pewno nie przepłacała jej usług.

— Kapitanie, jest pan tam?

Zastanawiał się, czy nie zadzwonić na policję, ale po namyśle uznał, że lepiej nie. Nie wiadomo, co dla Selmy znaczy „kilka razy kolbą w głowę”. Mogła ich pozabijać.

— Zaraz przyjeżdżam. Jeśli zobaczysz cokolwiek podejrzanego, po prostu uciekaj.

— Proszę się pośpieszyć, kapitanie.

Nie chciał budzić May, ale już siedziała na łóżku. Kiedy odłożył słuchawkę, zapaliła lampę.

— Trochę słyszałam. Co się stało?

— Opowiadałem ci o Billym Bonningu?
— Tak. No i?
— Zabrał konia, ale Selma go przechytrzyła. Muszę tam jechać i jej pomóc.
— Dokąd?
— Niedaleko. Do Pensylwanii, tuż za granicą stanu. Ty zostaniesz tutaj.

Wyskoczyła z łóżka i zaczęła się pakować.

— May, powiedziałem, że zostajesz tutaj.
— Nie ma mowy. To mój samochód.
— May!
— To ja cię w to wplątałam, Davidzie. Jadę z tobą.

O tej porze autostrady przemierzały wyłącznie ogromne ciężarówki. Mknęły przez noc we wszystkich kierunkach, oświetlone bateriami czerwonych i żółtych światełek. Showers wjechał na stację benzynową tuż za jedną z nich.

Selma stała przy automacie z coca-colą. Zatrzymał się niedaleko i wysiadł z samochodu.

— Wszystko w porządku?
— Jestem zmęczona i wystraszona. Ale poza tym, tak.
Uściskał ją. Nawet nie drgnęła.
— Dzielna z ciebie dziewczyna.
— Niech pan sobie daruje, kapitanie. Lepiej się stąd zmywajmy.
Zajrzał do przyczepy z koniem, a potem wrócił do volkswagena.
— Trzeba zjechać z autostrady — odezwała się Selma. — Nie znam tych okolic.

May rozglądała się niezdecydowanie. Główną drogą przejechało jeszcze kilka ciężarówek. Dwóch młodych ludzi rozmawiało głośno przy okienku kasy, spoglądając z zainteresowaniem na obie kobiety.

— Coś wymyślę — odparł Showers. — A wy wróćcie do Shepherdstown. Zawiadomcie Alixe. Niech przyjedzie z przyczepą.

— Chce pan zawieźć tam konia? Przetrząsną całą autostradę. Nie walnęłam Billy'ego zbyt mocno. Teraz żałuję.

— Ukryję się w górach na zachodzie, a rano do was zadzwonię i powiem, gdzie możemy się spotkać. Jeśli będzie trzeba, jestem gotów schować ogiera w koszarach Gwardii Narodowej.

Na autostradzie pojawił się samochód osobowy. Przejżdżając koło stacji benzynowej zwolnił, a potem znowu przyspieszył.

— Ruszajcie już.

— Mam pan pistolet?

— Tak. Dlaczego pytasz?

— W takim razie zostawię sobie ten. — Selma rozpięła kurtkę, pokazując broń za pasem. — Drugi jest w wozie.

— Jedźcie prosto do Shepherdstown. Nie wychodźcie z pokoju, dopóki do was nie zadzwonię albo nie pojawi się Alixe.

— Proszę na siebie uważać, kapitanie.

Showers wszedł do chevroleta, ale zamiast uruchomić silnik, otworzył schowek na rękawiczki. Oprócz butelki taniej whisky, napoczętej paczki papierosów oraz czegoś, co wyglądało na narkotyki, znalazł kilka poplamionych map. Jedna z nich pokazywała Wirginię i Wirginię Zachodnią, ale także zachodni skrawek Marylandu oraz kawałek Pensylwanii.

Kiedy rozkładał płachtę, usłyszał odgłos silnika odjeżdżającego yolkswagena. Za niecałą godzinę znajdą schronienie w hotelu. Pochylił się nad mapą. Zupełnie nie znał tych okolic. Inny kraj, inni ludzie.

Miał przyjaciół w miasteczku New Market, w dolinie Shenandoah, ale jedyna droga w tamtą stronę prowadziła właśnie autostradą numer 81.

Po chwili zauważył inną możliwość. Jeśli przejedzie przez Przełęcz Dickeya do Hancock, a potem Berkeley Springs, dotrze do drogi numer 522, która także zahaczała o New Market. Wprawdzie nie zdąży przed świtem, ale za to przez cały czas będzie się poruszał bocznymi drogami.

Szkoda, że nie wiedział, w jakim stanie jest teraz Billy i ilu ma ze sobą ludzi...

Zdrowy rozsądek nakazywał mu jechać prosto na policję, ale przecież nie zdoła wytłumaczyć całej historii jakiemuś zaspanemu sierżantowi na prowincjonalnym posterunku. Zresztą Bonning mógł zrobić to pierwszy — zgłosić napad i kradzież samochodu.

Nagle od strony pasażera otworzyły się drzwi. Podniósł głowę znad mapy, przerażony.

— Ruszajmy, Davidzie — powiedziała May.

— Miałś pojechać z Selmą!

— Stwierdziłam, że lepiej zostanę z tobą. Pamiętasz, spędziłam

dzieciństwo w Cumberland. Znam tę okolicę jak własną kieszeń. Niedaleko na północ jest duża stajnia, gdzie jeździłam kiedyś konno. Jeśli właściciel jeszcze żyje, będzie mnie pamiętał. Pokaże ci drogę.

— May, jeśli coś ci się stanie...

— Jeśli natychmiast stąd nie odjedziesz, coś się stanie nam obojgu.

Przekręcił kluczyk w stacyjce.

Telefon w apartamencie Blocha w Baltimore zadzwonił dziewięć razy. Miliarder odebrał za dziesiątym. Tego wieczoru otrzymał już wiadomość, której się spodziewał, więc kolejna nie wróżyła nic dobrego.

Miał rację.

— Chciałem zadzwonić z samego rana — powiedział. — Odzyskałem konia.

— Wiem.

— Skąd, do diabła? Znaleźliśmy go dopiero kilka godzin temu. Ten dureń Showers doprowadził nas po nitce do kłębka.

Sherrie chrapała głośno. Bloch odwrócił ją na drugi bok.

— Wiem — powtórzył głos w słuchawce — bo twój człowiek pracuje także dla nas. A teraz zadzwonił jeszcze raz, tylko że nie ma już konia. Jakaś pieprzona dziwka walnęła go w łeb, kiedy zasnął w motelu.

— Jasna cholera! — zaklął Bloch.

— Słuchaj, Bernie: przejmujemy sprawę. Od tej pory nie ruszaj się z Baltimore. Możesz poświęcić więcej czasu żonie, zabawkom w piaskownicy, i tak dalej... Ale zostaw w spokoju ten pieprzony interes.

— Jasne. Jak sobie życycie.

— A jeśli chodzi o Showersa, ta dziwka pewno wiezie konia do niego. Sprawdziliśmy, że wyjechał z Wirginii. Nie wiesz przypadkiem dokąd?

— Nie. Wcale nie znam faceta.

— Podobno był z tą aktorką. Tą, od której wszystko się zaczęło.

— May Moody.

— Właśnie, May Moody. Może to ona uwiła dla niego jakieś miłosne gniazdko...

— Nie sędzę, ale lepiej zostawcie ją w spokoju.

— Co ty gadasz, Bernie?

— Przecież wiecie, kim jest jej ojciec. Jeśli stanie się jej jakaś krzywda... To mój przyjaciel.

— My jesteśmy twoimi przyjaciółmi, Bernie.

— Proszę posłuchać...

— Słuchaliśmy. Wystarczy. Teraz będziemy mówić. Jeśli ta cizia gdzieś się pokaże, masz nas powiadomić. I to szybko.

— Chwileczkę... Moody mieszkał kiedyś w Cumberland. Tam go poznałem. Mogli się ukryć w jej rodzinnych stronach...

— Sprawdzimy. A ty siedź cicho.

— Nie ma obaw.

— Wręcz przeciwnie, bardzo nas zmartwiłeś, Bernie. Kosztujesz nas za dużo pieniędzy.

— Tak jak mówiłem, wszystko zwrócę.

— Jesteś pieprzonym frajerem. Jakim cudem w ogóle trafiasz do łóżka swojej żony?

Po drugiej stronie przerwano połączenie.

Bloch zapalił światło. Sherrie usiadła na łóżku, mrużąc przepite oczy. Wyglądała fatalnie. Jak zwykle.

— Co się stało, Bernie?

Zacisnął zęby. Był śmiertelnie poważny.

— Nazwał mnie frajerem — odparł, spuszczać wzrok na podłogę. — Nigdy dotąd nikt nie nazwał mnie frajerem, do cholery!

— Kto? O co chodzi?

— O nic. To tylko interesy.

Zerknęła na zegarek.

— O piątej nad ranem?

— Nieważne, Sherrie. Śpij dalej.

— Masz jakieś kłopoty? Znowu te podatki?

Wstał i poszedł do łazienki. Postanowił tam zaczekać, dopóki ona nie zaśnie.

Deena nie rozumiała, dlaczego „kochany Bernie” nie może się rozwieść. Kretynka. Gdyby Sherrie się wściekła — a na sali sądowej to się czasem ludziom zdarza — wsadziłyby go za kratki w okamgnieniu.

— Nie jestem pewna, czy powinnaś ze mną jechać, młoda damo — odezwała się Alixe.

— David wpadł w tarapaty — odparła Becky. — Muszę mu pomóc.

Selma zadzwoniła z publicznego telefonu gdzieś w Pensylwanii. Powiedziała, że mają się spotkać w Zajeździe Bawarskim w Shepherdstown tak szybko, jak to możliwe. Kazała przywieźć przyczepę do przewozu koni. Ale kiedy Alixe zaczęła się dopytywać o szczegóły, Selma nagle wymamrotała coś o Billym Bonningu i jakichś pistoletach, a potem odłożyła słuchawkę.

Alixie nie zamierzała tracić czasu. Wpadła tylko do kuchni Showersa i zaparzyła sobie filiżankę kawy. Na szkarłatnym niebie pojawiły się pierwsze promienie słońca. Zapowiadał się gorący dzień.

— Tak, ma kłopoty, ale jest z nim ta aktorka. Niewiele mu pomożesz, robiąc kolejną awanturę.

— Mówiłam ci: było, minęło.

— A cóż spowodowało tę cudowną odmianę?

— Myślałam o tym przez całą noc. Postanowiłam zrezygnować.

— Zrezygnować?

— Lenore to co innego, ale nie mogę konkurować z gwiazdą filmową.

— Becky, David nie jest w niej zakochany.

— Przecież poszedł z nią do łóżka, co nie?

— Sama widzisz. Nie powinnaś jechać.

— Muszę. To mój przyjaciel. Wpłatał się we wszystko przeze mnie. Chcę mu pomóc. Naprawdę.

— Zostawisz tę kobietę w spokoju?

Becky wpatrywała się w filiżankę.

— Tak.

— Mimo wszystko nie wiem... — Alixe dołała whiskey do kawy. Miała straszliwego kaca.

— Nie tylko powinnam pojechać — odezwała się Becky — ale także poprowadzić. W takim stanie nie dasz sobie rady z przyczepą.

— Niech to wszyscy diabli, masz rację. Zgoda. Ty poprowadzisz.

— Weźmiemy dzipa Davida. Tak będzie najszybciej.

Alkohol ostudził kawę. Alixe wypijała miksturę jednym haustem, a potem wzięła ze stołu ogromny rewolwer.

— Jesteś pewna, że to konieczne?

— Mam nadzieję, że nie, ale przecież wiesz, do czego może być zdolny Billy.

Przeszły przez dziedziniec i wsiadły do samochodu. Przyczepa stała za stajnią.

Becky przekręciła kluczyk w stacyjce.

Ładunek wybuchowy znajdował się tuż pod podłogą, na lewo od dźwigni zmiany biegów, więc niemal cała siła eksplozji trafiła w fotel kierowcy. Becky, przypięta pasami, zginęła natychmiast. Głowa dziewczyny opadła bezwładnie do tyłu, a ramiona wygięły się groteskowo. Alixe wyleciała ze swojego miejsca, ale większa część jej lewej stopy ugrzęzła wśród rozerwanych blach.

Przez chwilę w powietrzu unosił się tylko dym i kawałki metalu, ale po kilku sekundach płomienie ogarnęły całą karoserię. Wreszcie dotarły do zbiornika z paliwem. Chwilę później z dżipa został tylko zwęglony szkielet ramy.

Stajenny, który wybiegł z budynku, zatrzymał się, bezradnie kręcąc głową. Nagle usłyszał głos Alixe.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

— Sypialnie są dość małe — powiedziała agentka z biura handlu nieruchomościami — ale za to aż cztery. Chce pan wynająć ten dom tylko dla siebie? — Miała około czterdziestu lat, ufarbowane na rudo włosy i zdecydowanie za dużo makijażu. Wygląda niemal jak transwestyta, pomyślał Napier.

— Tak, ale spodziewam się wielu gości. Wspominała pani o dwóch łazienkach?

— Zgadza się. A na parterze jest jeszcze toaleta. W sumie prawdziwa okazja: dwa tysiące za sześć tygodni. Ale trzeba się wyprowadzić przed pierwszym wrześniem, pan rozumie...

— Oczywiście. Mieszkam teraz w hotelu. Tu będzie mi o wiele lepiej. Doskonale.

Wprawdzie gazety nie pisały, kiedy Moody wraca z Bliskiego Wschodu, ale przecież i tak nie zostanie na sierpień w Waszyngtonie. Na pewno pojedzie gdzieś nad ocean. Napier sam chciał spędzić wakacje na plaży w Delaware, ale uroczy domek w Georgetown, niedaleko Wisconsin Avenue, też nie jest najgorszy: kilka minut do najbliższego baru, niezbyt daleko do centrum... Najważniejsze, że Moody nigdy nie zaglądał w te okolice.

— Możemy dopełnić formalności w biurze. Kiedy chce się pan wprowadzić?

— Jeszcze dziś.

Agentka rozejrzała się dookoła. Meble były bardzo zakurzone.

— Właściwie, czemu nie? Właściciele próbują to wynająć od początku wakacji.

— Muszę jeszcze coś zobaczyć...

— Ma pan jakieś wątpliwości?

— Ależ nie. Wprost przeciwnie.

Miał za to pewne plany. Wieczorem zaprosi paru przyjaciół, a za kilka dni urządzi przyjęcie. Duże przyjęcie... Jedno po drugim. Nikt w Komitecie Narodowym nie kwestionował jego czeków. Do diabła, w końcu zasłużył na te pieniądze. Nikt nie ryzykuje za darmo. Miałby duże kłopoty, gdyby z memorandum coś nie wyszło...

Nawet jeśli w końcu przestaną płacić jego rachunki, da sobie radę. Mając taki wielki dom, można sporo zarobić...

Zeszli na dół. Napier udawał zachwyty obrazami na ścianach. Salon był niezbyt duży, podobnie jak jadalnia zatłoczona meblami. Wyrzuci się to wszystko w cholere... A z kredensu zrobi się świetny barek.

— Wspaniale — powiedział. — Wprost nie mogę się doczekać. Czy poza czekiem i podpisem na umowie potrzeba czegoś jeszcze?

— Nie. Pańskie referencje są absolutnie wystarczające. Tylko czy na pewno mogę zadzwonić w niedzielę do sekretarza żony prezydenta?

— Oczywiście. Proszę się nie krępować.

Po całym tygodniu ciężkiej pracy Jack Spencer postanowił trochę odpocząć. Zaczął od klubu w hotelu Ritz Carlton, a skończył w modnym barze na Kapitolu. Pamiętał niewiele. Jakaś dziewczyna, wysoka, opalona asystentka kongresmana pomyliła go chyba z kimś innym... Nieważne. I tak okazała się przeraźliwie nudna, więc wrócił do domu sam. Tylko jak?

Tak czy inaczej, niedzielny poranek musiał poświęcić na sen, a popołudnie na leczenie kaca. Tuż po drugiej zatelefonował programista z Arlington:

— Jack, dzwonię z biura. Siedzę tu od paru godzin, ale chyba już wiem, co mnie gryzło.

— Nie rozumiem — odezwał się dziennikarz, popijając najlepsze lekarstwo na niedzielny brak formy, wódkę z colą.

— Poprawilem rysunek. Trzecia litera to nie r, ale c. B—E—C. Znalazłem też drugi wzór.

— O czym mówisz, do diabła?

— Na fotografii są dwa rodzaje zadrapań, nałożone na siebie: jedno głębokie, drugie płytkie. Przyjedź i sam zobacz.

— Stary, nie mam siły, żeby wstać z łóżka, a ty mi każesz jechać taki kawał drogi — powiedział Spencer, ale po chwili zmienił zdanie.

Ostatecznie, facet poświęcał swój wolny czas. — W porządku. Muszę się tylko ogolić, a to potrwa trochę dłużej niż zwykle.

Na farmie w Cumberland stał buldożer, a pastwisko koło stajni zostało zaorane. Dom był zamknięty i pusty. Wielka tablica informacyjna przedsiębiorstwa rozbiórkowego wyjaśniała wszystko.

May wróciła do chevroleta i wzruszyła ramionami. Po drugiej stronie drogi rozpoczęto już budowę nowego osiedla.

— Nawet tu opłaca się inwestować — powiedział Showers.

— Myślałam, że jest kryzys.

— Wszystko jedno.

Wsiadła do samochodu i zapaliła papierosa.

— Co teraz?

— Zadzwonimy do Selmy. Alixe powinna już dotrzeć do motelu.

— A jeśli nie?

— Mam przyjaciela w dolinie Shenandoah.

Centrum małego miasteczka było zastawione samochodami. Zatrzymali się na parkingu koło starego dworca kolejowego, zamienionego w muzeum. W pobliżu stała budka telefoniczna.

Rozmowa z Zajazdem Bawarskim pochłonięła większość drobnych, jakie mieli. Urzędnik z recepcji oznajmił, że nie widział Selmy, a przed motelem nie stoi żółty volkswagen.

Potem zadzwonili do Wirginii, ale ani Becky, ani Alixe nie podnosiły słuchawki. Przyjaciela kapitana nie było wprawdzie w domu, ale jego żona kazała im natychmiast przyjeżdżać. Przypomniał sobie, że kiedyś próbowała z nim flirtować. Nic z tego, znał jej męża od co najmniej trzydziestu lat.

Po drodze zatrzymali się, żeby wypić kawę i coś zjeść. Koń też był głodny, ale poza wodą nic dla niego nie mieli.

Showers rozmienił kilka dolarów na drobne i jeszcze raz zadzwonił do domu. Bez rezultatu. Jack też nie odbierał.

Wsiedli do chevroleta.

— W Wirginii Zachodniej powinniśmy być bezpieczni — odezwał się. — Potem przejedziemy przez góry, prosto do Shenandoah.

— Może lepiej zostać tutaj?

— To znaczy gdzie?

— Mam rodzinę w okolicy.

— U mojego przyjaciela na pewno nikt nas nie znajdzie.

Wąska, kręta, gęsto zaludniona dolina biegła z północnego wschodu na południowy zachód. Mimo otwartych okien upał stał się trudny do wytrzymania. Showers, zlany potem, był coraz bardziej zmęczony. Zaczął martwić się o konia. Całe szczęście, że przynajmniej May mogła spać.

Nie jechał zbyt szybko, starając się oszczędzać biedne zwierzę. Na jednopasmowej drodze co pewien czas za chevroletem wlokło się kilka samochodów, które wyprzedzały go w najbardziej niebezpiecznych miejscach.

Nagle w lusterku zobaczył szybko zbliżającą się furgonetkę, a za nią jeszcze jeden wóz. Kiedy zwolnił, żeby tym razem przepuścić pędzących bez narażania się na wypadek, w oknie furgonetki dostrzegł lufę karabinu, a potem jasne włosy i znajomą twarz.

Zredukował bieg i wcisnął pedał gazu do oporu. Silnik zakrzuszył się niepokojąco, a potem zaryczał. Powoli, metr po metrze odległość od furgonetki zaczęła rosnąć.

May otworzyła oczy, przestraszona.

— Co się stało?

— Nie do wiary! To ten cholerny Bonning!

— Jesteś pewien?

— Tak. Ma broń.

Bez wahania otworzyła schowek na rękawiczki i wyciągnęła pistolet.

— Z tyłu jedzie jeszcze jeden samochód. Na razie nic nam nie mogą zrobić.

Wychyliła się przez okno.

— To jakiś mercedes.

Usłyszeli wystrzał. Do diabła! Uświadomił sobie, że popełnił straszliwy błąd: kiedy przejeżdżali przez Romney, jeszcze w Wirginii Zachodniej, powinien był skręcić w lokalną drogę, która prowadziła bardziej na południe. Ale nie zrobił tego, chcąc jak najszybciej dotrzeć do celu, a teraz...

May schowała głowę do środka.

— Co teraz?

— Uciekamy dalej. W najbliższym miasteczku poszukamy policji. Zresztą wszystko jedno kogo.

Furgonetka zaczęła ich wyprzedzać. Showers rozpaczliwie kręcił kierownicą w prawo i w lewo, o mało nie wywracając przyczepy. Gnidosz pewnie oszaleje ze strachu.

— Zabijemy się! — krzyknęła aktorka.

To chyba nieuniknione, pomyślał.

Tymczasem ona, z pistoletem w rękę, przedostała się na tyle siedzenie i opuściła boczną szybę.

— Następnym razem daj im się zbliżyć!

— Będziesz strzelać?

— Tak!

— A umiesz?

— Tak!

— Tylko go nie zabij!

— Dlaczego, do diabła?

Szosa biegła wzdłuż wąskiego, krętego strumienia. Na kolejnym łuku kapitan o mały włos nie wjechał do rowu.

Nagle jedna z kul Billy'ego przebiła zderzak chevroleta. Mam nadzieję, że nie trafią w przyczepę, pomyślał. Zaczął żałować, że schował swój pistolet tak głęboko pod siedzeniem. Teraz nie zdoła go wyciągnąć bez zwalniania.

W tym momencie kierowca furgonetki dodał gazu.

— Zbliżają się!

May wycelowała. Był dla niej pełen podziwu. Lenore leżałaby pewnie na podłodze, umierając ze strachu.

Strzeliła — raz, drugi, trzeci. Hałas niemal ogłuszył Showersa. Z prawego przedniego koła furgonetki posypały się iskry, a potem odpadł kawałek felgi.

Kolejna kula rozerwała oponę na strzępy. Furgonetka zakołysała się, zawadziła o błotnik chevroleta, a potem wypadła z drogi. Kapitan z trudem utrzymał kierownicę.

W lusterku pojawił się mercedes. Był o wiele szybszy od furgonetki.

Wjechali na niewielkie wzgórze, skręcając w prawo, potem w lewo. Na horyzoncie zobaczyli wąski mostek, a tuż za nim polną, boczną drogę.

Showers postanowił zaryzykować. Przed skrzyżowaniem z całej siły nacisnął na hamulec: bezwładna przyczepa poleciała w bok, ułatwiając mu skręt. Kiedy tylko przednie koła chevroleta wylądowały na piaszczystej nawierzchni, obrócił kierownicę w drugą stronę, wcisnął pedał gazu i włączył napęd na obie osie. Teraz miał przewagę nad mercedesem.

Wyboiste koleiny pięły się pod górę. Rozpędził chevroleta do sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. Przy tej prędkości w ścigającym ich samochodzie mogła pęknąć oś, ale tym akurat martwił się najmniej.

Najgorsze, że nie wiedział, dokąd prowadziła ta droga. Mogła się nagle skończyć nad jakąś przepaścią.

Na kolejnej dziurze May uderzyła głową w drzwi. Zerknął w lusterko. Przez chwilę w kłębach kurzu błysnęła chłodnica mercedesa. Jego kierowca znalazł się na rzeczy... Kolejny strzał był na szczęście niecelny.

Droga skręcała ostro w prawo. Przyczepa zachwiała się niebezpiecznie, niemal przewracając chevroleta. Przed następnym zakrętem strzałka dochodziła do osiemdziesiątki. Pościg zniknął wreszcie z tyłu.

Niestety, tym razem nie dał rady. Wrzucił dwójkę, ale było już za późno: chevrolet obrócił się o dziewięćdziesiąt stopni i uderzył w nasyp po przeciwnej stronie. Kiedy nagle zgasł silnik, usłyszeli rżenie konia.

Na szczęście mercedes nie nadjeżdżał. Musiał wypaść z drogi na poprzednim zakręcie.

Nie zwracając uwagi na przenikliwy ból w nodze, Showers chwycił broń i wygramolił się z samochodu.

— May, wysiadaj! Szybko!

Wyskoczyła na drogę, z trudem utrzymując równowagę.

— Jesteś ranna?

— Nie bardzo. — Podniosła do góry pistolet. Na czole miała krew.
— Trzeba uwolnić konia!

Pokuśtykał do przyczepy, ale drzwi nie chciały się otworzyć, zaklinowane przez uderzenie. Z oddali dobiegł warkot silnika mercedesa.

Wreszcie sforsowali przeszkodę i przerażony gniadosz wyskoczył ze środka. Miał zakrwawioną przednią nogę. Showers i May z największym trudem utrzymali uzdę.

— Na górę! — krzyknął kapitan. — Musimy schować się w lesie!

Kiedy wreszcie sforsowali stromą skarpe i zanurzyli się w gęstwinie gałęzi i liści, usłyszeli strzały. Dalej teren był prawie płaski, ale w pewnym momencie ucieczkę uniemożliwiło zwalone drzewo.

Showers przeprowadził konia dookoła przeszkody, a potem podał uzdę May.

— Zabierz go na szczyt. Zaraz cię dogonię.

— Davidzie!

— Idź już! Dam sobie radę!

W tym momencie zrozumiał, że kocha ją ponad życie. Schował się za pnem, ładując magazynek do pistoletu. Aktorka i gniadosz zniknęli wśród drzew.

Nagle u dołu skarpy usłyszał jakiś hałas. Chevrolet całkowicie zablokował przejazd, zmuszając ścigających do pozostawienia mercedesa na drodze. Teraz wdrapywali się niezdarnie na zbocze, krzycząc i klnąc.

Wreszcie zobaczył dwóch mężczyzn. Mieli na sobie garnitury i krawaty, a w rękach trzymali pistolety. Kimkolwiek byli, nie poruszali się tak dobrze po lesie jak oficer Gwardii Narodowej.

Wstrzymał oddech. Oparł pistolet o powalone drzewo i wycelował. Chociaż był jednym z najlepszych strzelców w swoim batalionie, a przeciwnik nie wydawał się zbyt wymagający, wcale nie ułatwiało to decyzji, którą musiał podjąć za chwilę. Przez wszystkie lata służby — w wojsku, potem w rezerwie, wreszcie w Gwardii — nigdy nie zabił człowieka, nigdy do nikogo nie strzelał prawdziwymi nabojami. A teraz nadszedł czas próby.

Nie mogło pójść łatwiej. Jeden ze ścigających sam wystawił się na cel, mierząc w kierunku May. Showers złożył się do strzału i trafił go w pachwinę. Strugi krwi rozprysnęły się dookoła, a trafiony mężczyzna upadł plecami w krzaki. Jego partner odpowiedział ogniem. Jedna z kul trafiła w pień, za którym schował się kapitan.

Powoli obrócił pistolet. Tym razem chybił, ale zmusił przeciwnika do ucieczki. Ranny wił się z bólu na ziemi.

Teraz. Nie czekając już ani sekundy dłużej, Showers wyskoczył zza pnia i zaczął uciekać, klucząc między drzewami. Wyczerpany, dotarł wreszcie na wierzchołek, gdzie czekała May z koniem, oboje równie wystraszeni. Na widok Showersa osunęła się na ziemię.

— Trzeba było uciekać dalej — powiedział, pomagając jej wstać.

— Nie chciałam cię zostawiać samego — wykrztusiła.

— Trafiłem jednego z nich.

— To dobrze.

Objął ją i rozejrzał się dookoła. Wąska ścieżka prowadziła wzdłuż grzbietu wzgórze na północny zachód, z dala od drogi.

— Wkrótce tu dotrą — odezwał się. — Żarty się skończyły.

Zerknęła na nogę gniadosa.

— Jest skaleczona, ale może na niej stać i nie kuleje.

— Módl się, żeby tylko nas utrzymał.

Podprowadził ogiera do dużego kamienia, próbując dosiąść zwierzęcia na oklep. Był tak zmęczony, że udało mu się dopiero za drugim razem. Potem pomógł May zrobić to samo i ruszył w kierunku ścieżki.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Kiedy rządowy boeing 707 zbliżał się do bazy Andrews, nad Waszyngtonem wisiała gruba warstwa burzowych chmur. Doświadczony pilot zatoczył szerokie koło nad zatoką Chesapeake i zszedł do lądowania od południowego wschodu.

Na płycie lotniska czekała limuzyna — przysłana przez prezydenta, dowiedział się Moody. Miał nadzieję, że to nie jedyne wyróżnienie, które go spotka.

Deena nalegała, żeby najpierw zawieźć ją do domu. Tłumaczył, że to nie po drodze, że prezydent czeka... Na próżno. Tak jak przewidywał, bardzo źle zniosła podróż. Starczyło jej sił tylko na pierwszy dzień wizyty w Chinach.

W końcu ustąpił. Miał już dość humorów i kaprysów.

Razem z Deeną wysiadł z samochodu Richmond. Wprawdzie też chciał pojechać do Białego Domu, ale Moody zdołał mu to wyperswadować. Zamienił tylko kilka słów, tłumaczył, a na oficjalne sprawozdanie przyjdzie czas na najbliższym posiedzeniu rządu. Wreszcie podsekretarz zdał sobie chyba sprawę z tego, że szef gabinetu wkrótce zostanie jego bezpośrednim przełożonym, i zgodził się.

Kiedy prezydent wypowie magiczne słowo: tak, trzeba będzie zostawić Richmonda na dotychczasowym stanowisku, zamykając w ten sposób usta starym wygom z departamentu, którzy zaczną narzekać na przybysza z zewnątrz. Richmond zapowiadał się na lojalnego podwładnego. Nigdzie nie jest przecież napisane, że nie mogłby awansować, kiedy Moody zostanie wiceprezydentem... Zawodowi dyplomaci potrafią czekać.

Prezydent przyjął go w salonie na drugim piętrze. Wyciągnął rękę na powitanie.

— Czytałem wszystkie raporty, Bob. Muszę przyznać, że spisałeś się naprawdę niezle.

— O ile można wierzyć japońskiemu premierowi, ratyfikacja to formalność, kwestia kilku tygodni, może nawet mniej. Chcą, żeby świat dał im wreszcie spokój.

— Kiedy mówią, że zrobią coś szybko, trzeba czekać dwa razy dłużej. Przekazałeś moje zaproszenie dla premiera na jesień?

— Oczywiście, podkreślając przy okazji, że najpierw muszą ratyfikować pakt. Chce przyjechać i porozmawiać o handlu. Dał mi do zrozumienia, że oczekują czegoś w zamian.

— Wymiana podarunków, co? Zobaczymy. — Prezydent usiadł, zapraszając gościa, żeby zrobił to samo. — Napijesz się kawy, Bob?

— Chętnie. — Długa podróż samolotem dała się Moody'emu we znaki.

— Wracając do sprawy, trzeba też pomyśleć o ratyfikacji w Kongresie...

— Tak jest, sir. Zamierzałem zabrać się za to zaraz po powrocie.

— Ale przecież są wakacje. Większość kongresmanów wyjechała.

— Od czego mamy telefony, sir? Poza tym pomyślałem, że byłoby dobrze, gdyby Wally Sandinauskas i kilku innych członków rządu odwiedziło co ważniejsze miasta. Trzeba mówić o zanieczyszczeniach, marnotrawstwie energii, zapewniać, że nikt nie straci pracy. Niech zaczną o tym pisać w każdej gazecie.

— Dobry pomysł, o ile się zgodzą.

— Nie odmówią, jeśli to pan będzie tego chciał, sir.

Prezydent wyprostował się na krześle.

— Zanim wrócisz do pracy, Bob, chcę ci coś powiedzieć. Robię to z prawdziwą przyjemnością.

Tak właśnie musiała czuć się May, kiedy po nominacji do Oscara czekała na ogłoszenie wyników, pomyślał Moody. Tylko że w końcu go nie dostała, a on... Ze starym też nigdy nic nie wiadomo. Czekał cierpliwie.

— Jeśli się zgadzasz — zaczął prezydent — chciałbym przedstawić Senatowi twoją kandydaturę na stanowisko sekretarza stanu.

Moody, nieco oszołomiony, przypomniał sobie wieczór, kiedy został wybrany gubernatorem. Teraz cieszył się tysiąc razy więcej. Zmęczenie minęło w jednej chwili.

— Jestem zaszczycony, sir. I bardzo, bardzo wdzięczny.

— Zamierzam zrobić to na jesieni. Jak tylko Senat ratyfikuje pakt. Zaniemówił. Nagle jesień wydała się tak odległa.

— Bardzo się cieszę, sir — wykrztusił wreszcie — ale uważam... że lepiej mianować mnie wcześniej.

— Dlaczego, Bob? Jako sekretarz stanu miałbyś zupełnie inne zadania. Wolę, żebyś na razie zdobywał głosy w Senacie.

— Formalności związane z samą nominacją zajmą sporo czasu, panie prezydencie. Zanim wszystko zostanie załatwione, będę się zajmował sprawą paktu. Ale jako świeżo mianowany sekretarz stanu zyskam dużo większą siłę przebicia.

— Tak myślisz?

— Tak, sir. Nie chciałbym okazać się zarozumiały, ale proszę pokazać, że mi pan ufa.

— Hmm.

— Podjąłbym nowe obowiązki, kiedy tylko Japończycy podpiszą ratyfikację. — Czuł, że musi przestać. Zaczynał błagać.

— Kogo proponujesz na swoje miejsce?

— Wolfensona, sir. To pierwszorzędny fachowiec. Absolwent Columbii.

To nie to samo, co Harvard, Yale albo Princeton, ale powinno wystarczyć.

— Jak dobrze zna Kapitol?

— Tak samo jak ja, sir. — Kłamstwo. Liczyło się tylko to, że Wolfenson był jego człowiekiem. Można na nim polegać w stu procentach. Chyba się trochę zagalopowałem, pomyślał. Chcę zbyt dużo, jak na jeden raz.

— Rozważę jego kandydaturę, Bob. A jeśli chodzi o ciebie... Skoro uważasz, że lepiej przyspieszyć nominację, zgadzam się. Muszę przyznać, że twoje rady są bardzo przekonujące.

— Jestem niezmiernie zaszczycony, sir.

Prezydent uśmiechnął się. Na koniec postanowił zażartować:

— Ale chyba pokładasz zbyt wielkie nadzieje w Japończykach...

Jeśli cokolwiek mogło poprawić humor Deenie, to właśnie wieść o nominacji. Moody wpadł do gabinetu i chwycił słuchawkę, zanim jeszcze usiadł w fotelu.

Ale linia była zajęta. Odczekał chwilę i jeszcze raz wykrecił numer. Znowu zajęte. Pewnie gadała z jakąś przyjaciółką, użalając się nad swoim losem... Wezwał sekretarkę.

— Annę, chcę rozmawiać z żoną. Próbuje co pięć minut, aż do skutku.

— Tak jest, sir. — Podała mu wydruk z komputera z numerami telefonów. — Ułożyłam je według ważności. Mam zacząć pana łączyć?

Zerknął na kartkę. Najchętniej ogłosiłby całemu światu, że został sekretarzem stanu, ale musiał poczekać, aż oficjalnie zrobi to prezydent. Pewnie zorganizuje konferencję prasową.

Nic się jednak nie stanie, jeśli powie paru przyjaciołom. Kiedy był u prezydenta, dzwonił Wally Sandinauskas. Może zacząć od niego?

— Chwileczkę — odezwał się. — Co to za porucznik Anderson? Z Pentagonu?

— Nie, sir. To porucznik policji z Marylandu,

— Dlaczego umieściłaś go na pierwszym miejscu, do diabła? Chodzi o darmową wycieczkę po Białym Domu, czy co?

— Mówił, że to pilne. Dzwonił trzy razy. W sprawie pańskiej córki. Moody spuścił wzrok.

— W porządku. Dzwon do mojej żony.

Porucznik był gdzieś w terenie. Policyjna telefonistka odnalazła go przez radio.

— Panie Moody! — Miał prowincjonalny akcent. — Dziękuję za telefon. Przepraszam, że przeszkadzam w pracy, ale...

— Proszę przejść do rzeczy! Podobno to coś pilnego.

— Tak, sir. Odnaleźliśmy porzucony samochód, który jest zarejestrowany na nazwisko pańskiej córki. May Moody, zgadza się? Żółty volkswagen, rocznik 1979, na kalifornijskich numerach.

Kiedyś May wjechała nim po pijanemu prosto do oceanu. Może znowu sięgnęła do kieliszka.

— Nie miałem z nią ostatnio kontaktu. Wyjeżdżałem za granicę.

— Policja drogowa z Kalifornii dostarczyła nam jej nowy adres, tu w Waszyngtonie. Od kilku dni nie pojawiła się ani w domu, ani w teatrze, gdzie pracuje.

— Czy nie za dużo zachodu z jednym porzuconym samochodem?

— Widzi pan, sir, chodzi o to, że kilka kilometrów od samochodu, w lesie, miejscowa policja znalazła ciało. Zakopane w płytkim grobie. Wydobyto z niego zwłoki białej kobiety w wieku około dwudziestu lat. Miała ciemne włosy. Została zamordowana.

Moody nie wiedział, co odpowiedzieć. W głowie kłębiły mu się tysiące myśli, jedna straszliwsza od drugiej.

— To ona?

— Nie wiemy, sir.

— Jak to nie wiecie?! Do diabła, to gwiazda filmowa! Kupcie sobie jakąś gazetę, to zobaczycie.

Przesadzał. W ciągu kilku ostatnich lat rzadko o niej pisano.

— Jest gorąco, sir. Ciało nie wyglądało zbyt dobrze... Jednym słowem, chcielibyśmy, żeby pan tu przyjechał i dokonał identyfikacji.

Moody uspokoił się. To jakaś pomyłka. Ktoś musiał ukrąść samochód May. Nie miała powodu wypuszczać się tak daleko z miasta.

— Dziś po południu nie mogę. — Na biurku leżał raport Biura Bezpieczeństwa Państwa: w Belize znowu wybuchły walki. Na razie obyło się bez ingerencji amerykańskich żołnierzy. — Dopiero wieczorem.

— Kiedy tylko panu wygodnie, sir.

Szef Spencera zdumiał się, kiedy zamiast obiecywanego reportażu o koniach dostał do ręki historię morderstwa. Kogo zainteresuje dziup wysadzony w powietrze gdzieś na farmie w Wirginii? Jak wszyscy waszyngtońscy weterani dziennikarstwa świecie wierzył, że żadna wiadomość nie jest wystarczająco sensacyjna, dopóki nie dotyczy jakiegoś polityka.

— Samochód należał do mojego kuzyna. To od niego dowiedzia łem się o memorandum Napiera.

Napier. Japończycy. Pierwsze strony gazet.

— Wystarczy, Jack. Jedź tam, do diabła. Jak tylko będziesz wiedział coś więcej, zadzwoń.

Zastępcy szeryfa nie wpuścili Spencera na farmę Showersa. W małym szpitalu niedaleko Dandytown dotarł tylko do rejestracji. Alixe Percy wciąż przebywała na oddziale intensywnej terapii i lekarze nie pozwalali na odwiedziny. Bez żadnych wyjątków. Wracając do miasteczka, uświadomił sobie, jak bardzo polubił tę kobietę. Była tak inna od wszystkich, które poznał w Waszyngtonie. Miał nadzieję, że David będzie wiedział coś więcej.

Wayne Bensinger siedział w biurze, ubrany w nieśmiertelny, pognieciony garnitur. Powitał Jacka dość chłodno.

— Chyba pan słyszał, co się stało? — zapytał, wycierając okulary w krawat.

— Czytałem notatkę w *Washington Post*.

— Taak. Dzwonili tu. Nawet nie chcieli przyjeżdżać — patrzył podejrzliwie. — Nie wie pan, gdzie możemy znaleźć kapitana Showersa?

— Sam próbuję się z nim skontaktować.

— Szeryf Cooke chce go aresztować.

— Co?

— Mój szef się zgodził. Cała afera wygląda cholernie poważnie.

— Przecież to był jego samochód.

— Zgadza się. I on ostatni nim jechał. Co więcej, kiedy wracał z ćwiczeń, wziął amunicję z magazynu w forcie Hill. Jak dotąd nie stwierdzono, żeby zginęły tam jakieś materiały wybuchowe, ale kto wie?

— Niech pan nie będzie śmieszny.

— Widziano go razem z kobietą, tą aktorką. May Moody. Co pan o niej wie?

Spencer wzruszył ramionami.

— Zupełnie nie w typie Davida. Była gwiazda Hollywood, która próbuje wrócić na afisze.

— Jej ojciec to szycha w Waszyngtonie. Dziwne, że jeszcze nie zadzwonił.

— Może nie ma czasu.

— Najbardziej obciąża kapitana testament pani Percy. Znaleźliśmy kopię w archiwum hrabstwa. Jako jedyny spadkobierca, w wypadku jej śmierci odziedziczyłby ponad siedem milionów dolarów. Nie muszę chyba dodawać, że wszyscy wiemy, jakie kłopoty finansowe przeżywa ostatnio.

— Jak ona się czuje? Wyjdzie z tego?

Bensinger rozłożył ręce.

— Straciła kawałek nogi i sporo krwi. Została poparzona. Ma wstrząs mózgu. — Zamilkł. — Ale cały czas jest przytomna. Pytała o pana. Najpierw o kapitana, a potem o pana.

— Czy mogę ją zobaczyć?

— Nie.

— A dziewczyna? Becky?

— Zginęła na miejscu. Nie widziałem ciała. Nie chciałem. Wystarczył mi widok Vicky Clay.

— Dostał pan analizę komputerową, którą wysłałem?

— Tak. B—E—C. Bardzo interesujące. Ale bezwartościowe w sądzie. Pokazałem to mojemu szefowi. Nawet nie spojrział.

Przez chwilę siedzieli bez słowa. Ogromna mucha zabzyczała im nad głowami, a potem usiadła na aktach.

— Panie Bensinger, czy naprawdę pan sądzi, że mój kuzyn mógł zrobić coś takiego?

Zastępca prokuratora okręgowego miał bardzo nieszczęśliwą minę.

— Nie. Podobnie jak mój szef. Ale szeryf nie ustąpi. Ludzie w okolicy są na niego wściekli. Szczególnie Lynwood Fairbrother. Morderstwa nie robią dobrej reklamy wyścigom, z których żyje całe Dandytown.

— A co pan o tym myśli?

— Chciałbym, żeby już było po wszystkim. To jasne, że sprawa przekracza nasze kompetencje, ale szeryf za nic w świecie nie wezwie policji stanowej. Gdybyśmy mieli do czynienia z przestępstwem federalnym, dochodzenie automatycznie przejąłoby FBI, a tak... Dlatego miałem nadzieję, że pan Moody w końcu zadzwoni.

Bensinger wstał i wsunął ręce do kieszeni.

— Pani Percy mówiła, że w jej sejfie w banku jest coś dla kapitana Showersa.

— Czy można to zobaczyć?

— Nie — pokręcił głową. — Trzeba by mieć pełnomocnictwo od pani Percy. Sprawdziliśmy, wystawiła dwa: dla dużej firmy prawniczej w Waszyngtonie i właśnie dla kapitana. Rozmawiałem z prawnikami. Powiedzieli, że najpierw muszą się z nią skontaktować, ale na razie lekarze mówią: nie. — Wyciągnął chusteczkę do nosa. — Przepraszam. Mam katar sienny.

— Powinien się pan wyprowadzić. To nie najlepsze miejsce dla alergików.

— Szczególnie od kiedy zaczęto zabijać tu ludzi. — Zamilkł na chwilę. — A jeśli chodzi o sejf... Spróbujemy zdobyć nakaz od sędziego Merricka. Może się zgodzi. Dla dobra kapitana.

— Poprosi go pan?

— Najpierw muszę porozmawiać z szefem. Ale proszę się do tego nie mieszać.

— W porządku. Chciałbym tylko wiedzieć, co pan tam znajdzie.

Bensinger wstał, dając Spencerowi do zrozumienia, że rozmowa jest skończona.

— Na pańskim miejscu trzymałbym się od tego wszystkiego z daleka. Jeśli sprawy potoczą się nie po myśli szeryfa, może nawet pana aresztować. Jako współnika.

Policja w hrabstwie Maryland nie miała oddzielnej kostnicy, więc zwłoki znalezionej w lesie kobiety zostały zabrane do chłodni miejscowego szpitala. Leżały w czarnym, zwyczajnym worku.

— Obawiam się, że to nie będzie szczególnie przyjemne — ostrzegł porucznik.

— Widziałem już gorsze rzeczy — odparł Moody.

— Jak to?

— Walczyłem w Wietnamie.

— Aha. Ja też, ale mimo wszystko...

Pomocnik patologa rozsunął zamek błyskawiczny. Ciemne, wybałuszone oczy niemal wypływały z oczodołów. Spuchnięta twarz była żółtozielona, a miejscami sina. W długich, splątanych czarnych włosach wciąż tkwiły liście i grudki ziemi. Szyja została rozcięta, a poszarpane brzegi rany rozeszły się na boki.

Moody widział żołnierzy, który umierali, przytrzymując sobie rękami jelita. Pochylił się. Chciał być absolutnie pewien, chociaż robiło mu się coraz bardziej niedobrze.

— To nie May — oznajmił w końcu. — Nie wiem, czyje to ciało, ale to nie ona.

— Żadnych wątpliwości, sir? Rozkład posunął się tak daleko, że...

— Widzę. — Oceniał długość worka. — Nawet gdyby w ogóle nie dało się rozpoznać twarzy, moja córka jest o wiele wyższa.

Kiedy wyszedł z kostnicy, zatrzymał się na chwilę na chodniku. Kierowca czekał w samochodzie, z włączonym silnikiem. Padał deszcz. Tu i ówdzie wśród chmur rozbłyskiwały gwiazdy. Na horyzoncie widniał złowieszczy łańcuch ciemnych wzgórz, za którymi zaczynała się Wirginia Zachodnia. Jej bliskość onieśmiała Moody'ego.

Nagle poczuł zmęczenie. Wbrew oczekiwaniom Deena nie zachwycała się zbytnio nominacją. Odmówiła nawet pójścia na okolicznościową kolację, wykręcając się wyczerpaniem po podróży do Japonii. Oczywiście nawet nie chciała słyszeć o przyjeździe tutaj. Nie mógł zrozumieć, dlaczego jego małżeństwo tak szybko staczało się w prze-

paść... Geneva nigdy się nie zmieniała. Była zawsze taka sama. Od początku do końca.

— Z powrotem do Waszyngtonu, sir? — zapytał kierowca, kiedy Moody wszedł do samochodu.

— Nie. Jedziemy do Baltimore. Pośpiesz się.

Limuzyna zrobiła duże wrażenie na strażniku przy drzwiach w domu Blocha. Ale Bernie długo nie podnosił słuchawki domofonu, a kiedy wreszcie to zrobił, musiał powiedzieć coś nieprzyjemnego, bo odzwrotnemu wyraźnie zrzędnęła mina.

— Może pan wejść na górę, sir — odezwał się, zrezygnowany.

Miliarder był ubrany w szlafrok i kaptur. Jak na takiego grubasa, ma zaskakująco chude nogi, pomyślał Moody.

— Zlituj się, Bobby... Wiesz, która jest godzina?

Nie odpowiedział. Zaciśnął tylko zęby i wszedł do salonu. Za oknami migotały światła portu.

— Chcesz się czegoś napić, Bobby?

— Nie.

— Na pewno? Bo ja tak.

— Niech będzie. Nalej mi trochę bourbona. Bloch podszedł do baru i stanął plecami do gościa.

— Słyszałem, że zostałeś sekretarzem stanu. Moje gratulacje. Kto by pomyślał...

— Skąd to wiesz?

— Od Sherrie. Chyba rozmawiała z Deeną. Niedawno. Ty wtedy gdzieś pojechałeś, zgadza się?

— Do zachodniego Marylandu. Identyfikowałem zwłoki dziewczyny. Miała poderżnięte gardło. Policja myślała, że to May. Niedaleko stamtąd znaleziono jej samochód.

Miliarder odwrócił się, błąd z przerażenia.

— Ale to nie była ona, prawda? — Odstawił szklanki.

— May zniknęła, podobnie jak Showers i koń. Przed godziną widziałem trupa z na pół odciętą głową. Samochód Showersa wyleciał w powietrze: jedna kobieta zginęła, druga wylądowała w szpitalu. Kurwa, Bernie, w co ty się bawisz?

— Nie mam z tym nic wspólnego.

— Gówna prawda.

— Bobby, uspokój się. Przecież jesteśmy przyjaciółmi.

— Vicky Clay i jej mąż też nie żyją. Cztery trupy, a ja nie wiem, gdzie się podziewa moja córka!

Bloch wypił łyk whiskey, a potem westchnął:

— To prawda, trochę przesadzili. Ale ja naprawdę nie mam z tym nic wspólnego.

— Chcę usłyszeć wszystko, co wiesz. Opowiedz mi o swoich przyjaciółach w New Jersey, Bernie. To ich sprawka, zgadza się?

— Ależ skąd. Są uczciwymi biznesmenami, jak ja i ty. Wszystko zlecają prawnikom.

— Ale chcą mieć tego konia?

— Nawet jeśli tak, to co? Bóg wie, kto jeszcze chce tego pieprzonego konia. Tylko że teraz ma go Showers. O ile wiem, ma też May...

— Zwariowałaś? Nie próbuj mi teraz wciskać kitu, że ten sukinsyn porwał May. Może jeszcze powiesz, że on sam wszystkich pozabijał, co?

Miliarder aż się spocił.

— Ci ludzie z Wirginii to wariaci. Szaleńcy. Myślą, że przez ostatnie dwieście lat nic się w tym kraju nie zmieniło; że jest tak jak wtedy, kiedy zaczynali wojnę domową... Słuchaj, moim zdaniem wszystko zrobił ten dzieciak, Billy Bonning. Chciał się zemścić. Najpierw został wyrzucony z farmy, a potem ktoś ukatrupił mu siostrę. Może jej mąż, a może nie. Kiedy Billy pobił swoją eks-żonę, Showers zagroził, że go zastrzeli. To wszystko. Żałuję, że go zatrudniłem. Zresztą już dla mnie nie pracuje. Powtarzam, nie miałem z tym nic wspólnego.

— Bernie, dzwonię do FBI, choćbym miał wyciągnąć z łóżka samego dyrektora. Ale rano w całym stanie aż się zaroi od agentów.

Bloch usiadł z wrażeń.

— Nie rób tego, Bobby. Nie ma potrzeby. Na miłość boską, tylko nie federalni... Cholera jasna.

— Sam jestem pieprzonym federalnym, Bernie, a moja córka zaginęła. I, do diabła, zamierzam ją odnaleźć!

— Daj spokój. Nie odzywała się do ciebie od lat. Może być wszędzie. Obaj doskonale wiemy, jakie numery potrafiła kiedyś wykręcać. Poszła do kina na sąsiedniej ulicy, a znalazła się w Meksyku.

— Powiedziałeś, że jest z Showersem. Skąd to wiesz, do cholery? Jeśli mi zaraz wszystkiego nie powiesz, sam się dowiem, przysięgam.

Wstał, ruszając w stronę drzwi. Bloch chwycił go za rękę.

— Poczekaj, stary. Najpierw wrywasz mnie ze snu, a potem każesz odpowiadać logicznie na pytania. Siadaj. Zaraz dojdziemy do porozumienia.

— Dojdziemy do porozumienia? Co ty pieprzysz? To nie żaden interes.

— Usiądź, Bobby. Proszę. Wszystko ci opowiem.

Moody zawahał się, ale w końcu zwyciężyła ciekawość. Aby się uspokoić, wypił łyk bourbona.

— Dżokej i Bonning próbują się nawzajem pozabijać, to jasne. Sprawa z koniem wynika przypadkiem, podobnie jak udział May w tym wszystkim. Jestem pewien, że Showers nie dopuści, żeby stała się jej jakaś krzywda. A jeśli mimo wszystko nie da rady, ochronią ją moi przyjaciele.

— Jak to?

Miliarder uśmiechnął się przyjaźnie.

— Próbują odzyskać konia, przyznaję. Muszą go mieć. To dla nich bardzo, bardzo ważne, rozumiesz? Ale nikomu nie zrobią krzywdy. Muszą dbać o swoją reputację. Zgoda, coś złego może się przytrafić Billy'emu, to prawda. Mam nawet nadzieję, że tak będzie. Ale na miłość boską, przecież nie tkną twojej córki. Znajdą ją tylko, a potem przywiozą do domu, całą i zdrową. Uwierz mi.

— Wszystko, co powiedziałeś, przeraża mnie jeszcze bardziej. Do diabła, sam znajdę May. A jeśli coś nie spodoba się twoim przyjaciółom, to trudno.

Nagle Bloch zrobił się śmiertelnie poważny. Spojrzał chłodno na Moody'ego.

— Nie zadzwonisz do FBI, Bobby. Nie będziesz z nikim o tym rozmawiał.

— Kiedy zostałem szefem gabinetu, powiedziałem ci, że nie zamierzam cię chronić. Ani ciebie, ani twoich przyjaciół. Od tamtej pory nic się nie zmieniło.

— Posłuchaj, jeśli raz zaczniesz mówić, wywołasz lawinę. Wszystko runie jak domek z kart. To naprawdę śmierdząca sprawa.

— Nie rozumiem.

— Koń został ukradziony. Nie mam pojęcia, jak moi przyjaciele wpłatali się w coś takiego, ale musieli sfałszować papiery. Inaczej nie mógłby startować w wyścigach.

— Zawsze mogli zwrócić go właścicielowi.

— I co, odebrać znaleźne? To niemożliwe. W każdym razie stąd pomysł z aukcją. — Miliarder pochylił się. — Wiesz, co się stanie, jeśli moje związki z nimi wyjdą na jaw? Nie zapominaj, że miałem też kontakty z tobą. Nadal je mam. Sfinansowałem kampanię wyborczą twojej partii, a teraz zbieram pieniądze na pakt. Naprawdę myślisz, że senatorzy ratyfikują go za darmo? Jeśli cała sprawa trafi do gazet, jestem skończony, a ty razem ze mną. Twój ukochany prezydent to naprawdę kapryśny sukinsyn. Zgadnij, czy spodoba mu się skandal wokół osoby nowego sekretarza stanu? Już nigdy cię nie wpuszczą do Białego Domu, mój drogi.

Moody opadł bezwładnie na fotel. Był naprawdę cholernie zmęczony.

— Moi przyjaciele zatroszczą się o wszystko. Zresztą nie pierwszy i nie ostatni raz. I nie oni jedni. Do dzisiaj nikt nie wie, czy Jack Kennedy naprawdę pieprzył się z Marilyn Monroe... A afera Watergate? Zapewniam cię, że to nieszczęsne włamanie to tylko wierzchołek góry lodowej. Tak naprawdę chodziło o grube miliony. Sporo facetów w Waszyngtonie powinno trafić za kratki, i co? Nic. Była sprawa, nie ma sprawy.

Bloch opróżnił szklanekę. Powoli odzyskiwał pewność siebie.

— Jak zwykle, chodzi o pieniądze. Dużo pieniędzy. Moi przyjaciele wiedzą, co robią. Zajmiemy się Billym i Showersem. A twojej córce nawet włos z głowy nie spadnie.

Moody nie miał już siły myśleć.

— Daję ci dwadzieścia cztery godziny. Jeśli do tego czasu May się nie znajdzie albo przynajmniej nie zadzwoni i nie powie, że wszystko w porządku, idę do FBI.

Miliarder wyczuł blef. Pokręcił głową.

— Bądź rozsądny, Bobby. Naprawdę nie wiemy, gdzie się przy czaili. To musi potrwać trochę dłużej. Daj nam czas do końca tygodnia. I nie martw się. Wszystko będzie w porządku, jak zawsze.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Skalista ścieżka schodziła w dolinę. Wkrótce ogier zaczął jednak utykać. Dali mu trochę odpocząć, a potem ruszyli dalej pieszo. Nie wychodzili z lasu, unikając dróg. Noc spędzili pod drzewami, przytuleni do siebie i przykryci kurtką Showersa.

Następnego dnia od rana zaczęło padać. Przemoczeni do suchej nitki, postanowili zaryzykować i znaleźć jakąś farmę. Ludzie, którzy na niej mieszkali, byli biedni. Mężczyzna zmizerowany od ciężkiej pracy, jego żona gruba od kiepskiego jedzenia. Kiedy May wyciągnęła studolarowy banknot, stali się podejrzliwi. Przez chwilę kapitan myślał, że korzystając z okazji, wieśniacy po prostu ich obrabują, ale małżeństwo dało gościom jeść, natomiast odmówiło pieniędzy. Kiedy nakarmili gniadosza i prowizorycznie opatrzyli zranioną nogę, farmer zawiózł Showersa do odległego o trzydzieści kilometrów miasteczka. Rozsypujący się grząz, którym jechali, miał co najmniej dziesięć lat więcej niż volkswagen May, ale wkrótce się okazało, że jedyna ciężarówka do wynajęcia w całej osadzie była w niewiele lepszym stanie.

Kiedy nie bez trudu załadowali na nią konia, ku przerażeniu kapitana zwierzę osunęło się na deski ładowni.

— Trzeba z nim zostać — zdecydował.

— Ja poprowadzę — odparła May.

Dotknął jej czoła. Była blada i trzęsła się z zimna.

— Masz gorączkę.

— Ale znam drogę lepiej niż ty.

Ani farmer, ani jego żona o nic nie pytali. Przed odjazdem May jeszcze raz zaferowała kobiecie studolarówkę.

— Niechże pani ją weźmie. To co dla nas zrobiliście, jest warte dużo więcej.

Kobieta spojrzała nieufnie na banknot, ale w końcu schowała go do kieszeni fartucha.

— Proszę jechać ostrożnie, panienko.

Kiedy wreszcie stanęli, był środek nocy. Zrobiło się zimno. May wyłączyła silnik i wysiadła z kabiny. Przez całą drogę gniadosz leżał nieruchomo, ale teraz podniósł łeb. Showers poklepał go uspokajająco.

Znajdowali się na zrujnowanej stacji benzynowej; o tej porze opustoszałej i zamkniętej na cztery spusty. Gdzieś w oddali zaszczekał pies. May podeszła do budki telefonicznej. Po krótkiej rozmowie odwiesiła słuchawkę i wróciła do ciężarówki.

— Jak tam koń? — zapytała.

— Trudno powiedzieć. A ty?

— Dam sobie radę. — Oparła się o klapę ładowni. — Zadzwońłam, żeby ich uprzedzić. Już na nas czekają. Zostało tylko kilka kilometrów. Będziemy tam naprawdę bezpieczni.

W rzeczywistości podróż trwała prawie godzinę. Kiedy dotarli na miejsce, ujrzał potężnego, brodatego mężczyznę w kombinezonie, a obok niego aktorkę oraz jakąś inną kobietę — niższą i starszą, ubraną skromnie, choć całkiem elegancko. Miała siwe, gładko zaczesane do tyłu włosy. Była bardzo podobna do May.

— Davidzie, przedstawiam ci moją mamę.

Cały zdrtwiał, wydostał się jakoś z ciężarówki i wyciągnął rękę na powitanie. Stali na podjeździe do dużego, kamiennego domu, położonego na stromym zboczu. Gdzieś w oddali, w innych budynkach, paliły się światła. Ze wszystkich stron dolinę otaczały wysokie wzgórza.

— May mówi, że uratował jej pan życie, kapitanie — odezwała się Geneva. — Nie wiem, czy zdołam się panu jakoś odwdzięczyć.

— Już raczej ma przeze mnie same kłopoty. To ja dziękuję za pomoc.

— Porozmawiamy rano. Za domem jest stara szopa. Tyrone z resztą chłopców zaprowadzi tam konia, o ile tylko biedak utrzyma się na nogach.

Gniadosz poruszył się. Potężny mężczyzna, prawdopodobnie właśnie Tyrone, sprawiał wrażenie, jakby bez trudu mógł wziąć konia na plecy.

— Zostanę i pomogę — zaproponował Showers.

— Nie ma potrzeby, Davidzie — odezwała się May. — Musisz odpocząć. Ci ludzie świetnie dadzą sobie radę sami.

— Co więcej, jeszcze dziś Tyrone odstawi ciężarówkę tam, skąd ją pożyczycie. Lepiej, żeby nikt obcy jej tu nie widział.

— Nie wiem, jak pani dziękować.

— Wystarczy, że przywiózł pan moją córkę całą i zdrową. A teraz, zanim coś zjecie, Bella przygotuje wam łóżka.

Zaprowadzono ich do oddzielnych sypialni. Kładąc się w czystej, pachnącej pościeli, Showers zatęsknił za ciepłem ciała May, ale tylko przez chwilę. Był tak zmęczony, że zasnął w ciągu minuty.

Kiedy się obudził, za oknem świeciło słońce. Zerknął na zegarek: południe. Obok łóżka leżało nowe ubranie: spodnie khaki, biała koszula, spodenki i białe skarpetki. W nieskazitelnie czystej łazience znalazł ręcznik, szczoteczkę do zębów oraz maszynkę do golenia. Cały dom był doskonale utrzymany.

May siedziała w kuchni, ubrana w dżinsy i białą bluzę. Wyglądała o wiele lepiej niż wieczorem. Na widok Showersa uśmiechnęła się.

Bella podała mu śniadanie. Kiedy skończył jeść i wypił kawę, Geneva powiedziała:

— Ja wiem już wszystko. Teraz kolej na pana. Proszę ze mną.

Gabinet, do którego weszli, przypominał biuro. Stało w nim biurko, dwa wygodne fotele, biblioteczka oraz dwie szafy pełne akt. Nad kominkiem wisiała wielka mapa Wirginii Zachodniej. Kiedy usiadł, podała mu jakąś gazetę.

— To tygodnik, ale zwykle ma dosyć aktualny serwis. Ten numer przyszedł wczoraj i obawiam się, że nie przyniósł zbyt dobrych wiadomości — wskazała kilka wersów w prawym dolnym rogu pierwszej strony. Nagłówek brzmiał: WYBUCH BOMBY ZABIJA KOBIECĘ W WIRGINII.

Showers nie wierzył własnym oczom: Becky nie żyła, Alixe walczyła ze śmiercią w szpitalu, a on sam był poszukiwany za morderstwo.

Zerwał się na nogi i zacisnął pięści. Na biurku stał aparat telefoniczny.

— Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, chciałbym zadzwonić.

W tym momencie do gabinetu weszła May.

— Davidzie...

Nie zwracając na nią uwagi, podniósł słuchawkę i wykręcił numer własnego domu. Ktoś przecież musi tam być: stajenny, może nawet Jack.

Po kilku sygnałach telefon odebrał jeden z zastępców szeryfa, Haddleford.

— Co ty tam robisz, Albercie?

— To pan, kapitanie Showers?

— Tak. Co się stało? Jak się czuje panna Percy?

— Żyje. Lepiej niech pan tu szybko wraca. Szeryf Cooke chciałby z panem porozmawiać.

Czy mogli namierzyć rozmowę? Dzwonił z innego stanu, ale połączenie było bezpośrednie.

— Gdzie pan teraz jest, kapitanie?

Odłożył słuchawkę. May wzięła go za rękę.

— Jeszcze jedno — ciągnęła Geneva. — W Marylandzie znaleziono samochód May, a w pobliskim lesie zwłoki jakiejś dziewczyny. Podobno pracowała dla pana.

— Taak. Biedna Selma.

— Chyba nie powinien pan nigdzie dzwonić, dopóki nie dowiemy się dokładnie, co zdarzyło się w Wirginii. May mówi, że zastrzelił pan człowieka.

— Nie miałem wyboru.

— Rozumiem. Ludzie, którzy pana ścigają, nie cofną się przed niczym. Tutaj jest pan bezpieczny. Ufam ludziom w miasteczku, w całej dolinie, ale musimy uważać na obcych. Boję się o moją córkę, kapitanie, i nie chcę, żeby stało się jej coś złego.

— Ja również.

— Najbardziej niepokoi mnie mój były mąż. Bardzo kocha May i pewnie zrobi teraz wszystko, żeby ją znaleźć. Lubi działać szybko, a więc nie zawsze najrozsądniej, a, co gorsza, ma władzę i duże wpływy.

Przywykła do wydawania poleceń, pomyślał.

— Może panu bardzo zaszkodzić, kapitanie. May tego nie chce, a ja szanuję jej wolę. Zatem trzeba go jakoś zawiadomić, że córce nic nie grozi, ale tak, aby się nie domyślił, że ona ukrywa się właśnie tutaj. Chciałabym, żeby zostawił pan to mnie.

— Oczywiście.

— Tymczasem proszę się rozgościć. Przez pewien czas musicie tu zostać.

— Pójdę zobaczyć, jak się czuje koń.

Wciąż leżał na ziemi, ale stajenny wyjaśnił, że przez cały ranek zwierzę stało, a nawet wypilo sporo wody.

— Noga wciąż jest spuchnięta, ale wygląda trochę lepiej.

Showers uważnie obejrzał ranę. Moonsugar po wypadku na wyścigach był chyba w większym niebezpieczeństwie, ale wszelkie przewidywania mogły okazać się złudne. Niewielu ludzi zdaje sobie sprawę z tego, jak bardzo delikatne są konie wyścigowe. Dobrze, że przynajmniej nic więcej mu nie grozi.

W tym momencie coś sobie przypomniał. Film. Wyjął go z kamery, kiedy przyjechali do Sheperdstown, ale zupełnie zapomniał o wywołaniu.

— Czy macie tu jakiegoś fotografa?

— Pani Moody zajmie się wszystkim.

Po południu Geneva pojechała do dużego miasta w sąsiedniej dolinie. Prowadziła tam ośrodek pomocy społecznej i kursów zawodowych dla bezrobotnych. Założony, a potem utrzymywany głównie z alimentów, które płacił jej Moody. Mogła wprawdzie zwrócić się o dotację z funduszy federalnych, ale nigdy tego nie zrobiła. Nie chciała, żeby ktokolwiek posądził ją o wykorzystywanie pozycji eks-męża.

Wyjeżdżając, wzięła film do wywołania i obiecała, że zdąży na kolację. Ponieważ Tyrone jeszcze nie wrócił, a gniadoszem zajmowali się stajenni, May postanowiła zabrać Showersa na spacer.

Było gorąco, ale mimo to założył kurtkę, chciał jakoś ukryć pistolet za pasem. Kiedy wyszli na dwór, wziął aktorkę za rękę.

— Wiesz, trochę się uspokoiłam — wyznała.

Za głębokimi rowami po obu stronach drogi stały domy. drewniane, dawno nie odnawiane chałupy. Tylko nieliczne zbudowano z cegły albo otynkowano. Na schodach i gankach siedzieli ich mieszkańcy. Przeważnie kobiety odpoczywające po całodziennej pracy. Wszyscy patrzyli przyjaźnie na przybyszy.

Schodząc w dół, dotarli do starego mostu, przerzuconego przez na pół wyschnięty strumień. Dalej zaczynało się centrum miasteczka. Z wyjątkiem kawiarni, jakiegoś sklepu spożywczego oraz małej stacji benzynowej większość budynków była od dawna opuszczona. Pojedyn-

czy tor kolejowy prowadził do nieczynnej kopalni, której urządzenia zajmowały pobliskie wzgórze.

— Przygnębiające, prawda? — odezwał się kapitan.

— Od lat nic się nie zmieniło. Inne doliny wyglądają jeszcze gorzej.

— Mimo wszystko nikt nie wyglądał na nieszczęśliwego.

— Nie są snobami jak twoi przyjaciele z Wirginii ani chciwymi egoistami, jak większość moich znajomych z Los Angeles, ale trudno nazwać ich aniołami. Mężczyzna, który pił piwo, od lat maltretuje swoją żonę, a ta ładna dziewczyna, która się do ciebie uśmiechała, sypia z każdym napotkanym facetem. Niedawno w pobliskim barze postrzelono jakiegoś człowieka. O mało nie zginął. Mieszkają tu takie rodziny, które nie rozmawiają ze sobą od trzech pokoleń. Zwyczajni ludzie, nie gorsi niż gdzie indziej. Dumni, niezależni i zawsze gotowi podzielić się z przyjacielem ostatnią kromką chleba.

— Często tu przyjeżdżasz?

— Od czasu do czasu. Spędziłam z matką kilka miesięcy po kuracji odwykowej. Dopiero dzięki temu naprawdę przestałam pić.

— Czy twój ojciec pochodzi z podobnych stron?

— Jeszcze biedniejszych. Urodził się niedaleko stąd, trochę dalej w górach.

— Nigdy nie wraca?

— Nie. Chyba przeraża go przeszłość.

— Miał szczęście, że potrafił się wyrwać.

— Niezupełnie. Wszystko zawdzięcza matce.

Wspomniał swoich arystokratycznych przodków z Nowego Jorku. Ciekawe, czyby przetrwali w takim miejscu, pomyślał.

— Masz ochotę na małą wspinaczkę?

— Zgoda, tylko powoli.

— Chodźmy do kopalni. Ze szczytu wzgórza jest wspaniały widok.

Droga okazała się kręta i wyboista. Na tyle trudna, że musieli odpocząć w połowie. Zdjął kurtkę i podwinął rękawy koszuli. Na górę dotarli o wiele później, niż się spodziewał.

Wejście do szybu zamykał zardzewiały łańcuch, a obok, na prowadzących do środka szynach, stał górniczy wózek. Kiedy na nim usiedli, Showers objął May. Zapaliła papierosa i położyła głowę na jego ramieniu.

Widok był rzeczywiście niezwykły: dookoła aż po horyzont rozciągały się zielone wzgórza i wierzchołki gór.

— Zawsze się zastanawiałem, dlaczego ci ludzie tu zamieszkali, dlaczego nie poszli dalej jak reszta osadników.

— To Szkoci i Irlandczycy. Ich rodzinne strony musiały wyglądać podobnie. Kiedy już wybrali sobie jakieś miejsce, nie szukali innego.

— A twój ojciec? Dlaczego szukał lepszego miejsca?

— Najpierw chciał być wykształcony, potem bogaty. Teraz z kolei chce zostać prezydentem. Może kiedyś wreszcie zrozumie, czego naprawdę pragnie. — Podciągnęła kolana pod brodę. — Mam nadzieję, że wtedy wróci w rodzinne strony. Nie można uciec od wspomnień.

Wyobraził sobie May w bawełnianej sukience, bosą, z rozpuszczonymi włosami, siedzącą nad górskim potokiem. Doskonale wiedział, o co chce ją zapytać, powtarzał w myślach to pytanie setki razy, ale nie mógł. Nie tutaj.

— Kochałeś ją? — odezwała się nagle. — Mam na myśli Becky.

— Nie.

— Nigdy?

— To nie o niej wtedy mówiłem. Becky traktowałem niemal jak córkę. Od prawdziwego ojca dostawała wszystko, co chciała. Z wyjątkiem tego, czego naprawdę potrzebowała. Nie mogę sobie wybaczyć jej śmierci.

— A więc była w twoim życiu jakaś inna kobieta?

— Tak.

— Wciąż na ciebie czeka?

— Nie.

— Ja też kiedyś wyszłam za męża. Wszystko zaczęło się od łóżkowej sceny na planie i przetrwało tylko do następnego filmu. Wtedy inna aktorka okazała się lepsza.

— Tak mi przykro.

— Nie potrzeba. W pierwszej chwili byłam zupełnie załamana, ale zemsta okazała się słodka. Wkrótce rzuciła go dla kogoś innego. Wykorzystała, a potem zostawiła.

— Kocham cię, May.

Objął ją i pocałował. Odwróciła wzrok.

— Co zamierzasz teraz zrobić, Davidzie?

— Kiedy koń dojdzie do siebie, oddam go prawowitemu właścicielowi. Potem zajmę się resztą.

— Pomogę ci. Oskarżenie o morderstwo stanie się niedorzeczne, jeśli zeznam, że byłam z tobą przez cały czas. Wyjaśnimy sprawę

konia, pomożemy Alixe, może nawet zdołamy jakoś załatwić Blocha, ale co potem? Zajmiesz się farmą? Poszukasz innej pracy?

— Jeszcze o tym nie myślałem. Na pewno zatrzymam farmę.

— Po co, Davidzie? Dlaczego to dla ciebie takie ważne?

— Rodzina. Mój ojciec...

— On nie żyje. Mówiłeś, że szastał pieniędzmi i w rezultacie niemal stracił farmę. Davidzie, nie interesuje mnie twoja rodzina, czy duch twojego ojca, tylko ty. Dlatego pytam: co ty chcesz robić?

— Nie rozumiem.

— Kiedy byłam nastolatką, mój ojciec został bardzo zamożnym człowiekiem. Chciał, żebym skończyła najlepszą szkołę i znalazła sobie najlepszego męża. Pewnie kogoś takiego jak ty, tylko bogatszego. Co najmniej równie bogatego jak my.

Zamilkła na chwilę.

— Ale ja chciałam czegoś zupełnie innego. Próbowалам zostać kimś więcej niż tylko najlepszą partią w mieście, najładniejszą laleczką do kupienia. Chciałam osiągnąć coś sama. Lubiłam teatr, przez całe liceum grywałam w amatorskim zespole, więc postanowiłam pójść do szkoły Juilliarda. Kiedy ojciec się o tym dowiedział, niewiele brakowało, a wyrzuciłby mnie z domu. Ale zostałam przyjęta do najważniejszego nowojorskiego stowarzyszenia profesjonalnych aktorów, zanim jeszcze ukończyłam studia. A ty? Czy jest coś, czego naprawdę chcesz? O czym marzysz po nocach?

— Zupełnie zapomniałem o twoim teatrze. Wkrótce zaczniesz próby, a na razie ugrzęźłaś tutaj. Musisz jechać do Waszyngtonu.

— Do diabła z teatrem. Znajdzie się inny. Przynajmniej tyle nauczyło mnie życie na scenie.

Showers wpatrywał się w horyzont na wschodzie.

— Wracajmy — powiedziała May.

Kiedy dotarli do domu, zajrzeli do szopy. Gniadosz trzymał się na własnych nogach — i zaczął jeść.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Informacja o ratyfikowaniu paktu przez Japończyków dotarła do Waszyngtonu wewnętrznymi kanałami Departamentu Stanu o dwadzieścia minut wcześniej, niż dowiedziały się o tym agencje. Moody siedział w gabinecie razem z Deeną i czekał. Oboje mieli za chwilę uczestniczyć w oficjalnej konferencji prasowej, a potem zjeść lunch z prezydentem i jego żoną w prywatnym salonie na drugim piętrze Białego Domu. Moody zastanawiał się właśnie, czy prezydent odwołałby nominację, gdyby Tokio nagle zmieniło plany... Deena chyba nie zniosłaby takiego upokorzenia. Była wystarczająco zdenerwowana faktem, że musi usiąść do stołu z nienawidzącą jej Pierwszą Damą. Lunch zapowiadał się koszmarne: przyklejone uśmiechy, fałszywe komplementy, sztuczna konwersacja. Jeszcze gorsze okazało się samo czekanie w niepewności, wciąż bowiem nie wiedzieli, czy w swojej łaskawości prezydent w ogóle zaszczyci ich zaproszeniem do stołu.

Cóż, Deena musi się przyzwyczaić, pomyślał. Tak właśnie wyglądają obowiązki żony sekretarza stanu.

Na razie czekali.

Wreszcie sekretarka przyniosła oficjalny komunikat.

— Uff. Udało się — powiedział, rzuciwszy okiem na kartkę.

— Ratyfikowali?

— Tak.

— Amen. — Deena aż wstała z wrażenia.

— Usiądź, proszę. Prezydent jeszcze nie zadzwonił.

— Nie mam pojęcia, jak ty to wszystko znosisz, Robercie.

— Życie nie składa się tylko z przyjemności.

Odwrócił głowę. Rzeczywiście, jest zaskakująco spokojny. Wciąż myślał o rozmowie z Blochem i braku wiadomości na temat May.

Przez całe życie ufał Berniemu: w polityce, interesach, nieprzewidywanych kłopotach. Ale nigdy dotąd nie powierzył mu życia jedynej córki.

W tym momencie do gabinetu znowu weszła sekretarka. Była tak podniecona, że przez chwile nie mogła wykrztusić z siebie tego, co miała do powiedzenia:

— Sir, prezydent oczekuje pana w Gabinetcie Ovalnym.

Konferencja prasowa okazała się rozczarowująca. Nominacja nikogo nie zaskoczyła. Od wielu dni ćwierkały na ten temat wszystkie wróble w Waszyngtonie, a rano w *Washington Post* ukazał się duży artykuł, który otwarcie przewidywał taką możliwość, co zresztą spotęgowało obawy Moody'ego, że w ostatniej chwili prezydent zmieni zdanie.

Odpowiadając na kilka podchwytliwych pytań, za każdym razem sprytnie nawiązywał do paktu. Jednak ostatnie nieco zbiło go z tropu.

— Panie Moody, czy to prawda, że niektórzy pańscy przyjaciele i dawni wspólnicy w interesach starają się nie dopuścić do ratyfikacji?

O czym ten facet mówi, do diabła? Zbliżył się do mikrofonu.

— Kogoś, kto jest przeciwny wprowadzeniu paktu w życie, nie można nazwać moim przyjacielem.

— Żadnych kompromisów, panie Moody?

— Żadnych. Chodzi przecież o los Ziemi, o przyszłość nas wszystkich.

Prezydent był zadowolony. Na tyle, że podczas lunchu obcesowo przerwał swojej żonie, kiedy ta zaczęła atakować Deenę niedwuznacznymi aluzjami na temat niegodnego reprezentowania kraju podczas oficjalnych wizyt za granicą. W odwecie Pierwsza Dama milczała już do końca posiłku, zrzucając na męża cały ciężar podtrzymywania rozmowy.

Wreszcie koszmar się skończył. Kiedy wrócili do gabinetu, Deena podeszła do barku i wyciągnęła butelkę jacka danielsa.

— Chcesz drinka, Robercie?

Pokręcił głową.

— Dobrze wiesz, że nigdy nie piję w pracy. Ale ty sobie nalej. Zasłużyłaś na niego.

— Co ty powiesz? Dziękuję za pozwolenie — warknęła. — Do

diabła, zasłużyłam dziś na wiele więcej niż szklanę tego cholernego bourbona.

Podszedł do telefonu. Jak zwykle podczas jego nieobecności dzwoniły dziesiątki osób. Najważniejszy był Reidy.

— Witam szanownego sekretarza stanu — odezwał się uniżenie senator. — Nieźle brzmi, prawda? Pewnie będziesz dzisiaj przyjmować gratulacje aż do znudzenia, więc powiem tylko, że nigdy nie miałem najmniejszych wątpliwości co do twojego zwycięstwa. Urodziłeś się w czepku, Bobby.

— Nie chodzi o szczęście, tylko o głosy. Jak wyglądają moje szanse?

— Nie martw się. Senat przyjmie twoją kandydaturę bez wahania. Pozostaje tylko kwestia, kiedy chcesz zostać ukoronowany. Mogę zorganizować przesłuchania przed komisją jeszcze w tym miesiącu.

— Przecież do końca sierpnia macie wakacje.

— Nie szkodzi. Zawsze znajdzie się kilku biedaków, żeby zapewnić kworum. Byłbym zdziwiony, gdyby nie udało się przyjąć twojej, nominacji i ratyfikować paktu w tym samym tygodniu.

— Najpierw pakt.

— Oczywiście. Co powiesz na dziewiątego września?

— Jesteś optymistą.

— Nie, Bobby. Realistą. Zostawmy optymizm prezydentowi.

— Dziewiątego września? Naprawdę?

— Nie żartuję.

— No cóż, nawet nie wiesz, jak bardzo będę ci wdzięczny.

— Myślę, że znajdzie się niejedna okazja, żeby wyrównać rachunki — roześmiał się Reidy.

— Jeszcze raz dziękuję, senatorze. — Moody odwiesił słuchawkę. Uff. Całe szczęście, że jako sekretarz stanu nie będzie musiał się tak bardzo liczyć z dupkami w rodzaju Reidy'ego.

Przejrzał listę telefonów. Wally Sandinauskas, generał St. Angelo, sekretarz skarbu, dyrektor FBI, producent znanego programu publicystycznego. Do diabła, przecież nie oddzwoni do wszystkich. Nie miał na to ani czasu, ani ochoty.

Nagle zauważył pewne nazwisko. Nacisnął interkom.

— Czy pan Kearny zostawił swój numer?

— Tak, sir.

— Proszę mnie z nim natychmiast połączyć.

— Tak jest, sir.

Hal Kearny był dawnym wspólnikiem Moody'ego, jego świadkiem na pierwszym ślubie i przez wiele lat najlepszym przyjacielem, ale nie rozmawiali ze sobą od czasu rozvodu z Genevą. Na pewno nie dzwonił z gratulacjami.

Wciąż mieszkał w Cumberland. Niektórzy ludzie nigdy się nie zmieniają.

— Bobby, to ty?

— Przepraszam, ale musiałem wyjść. Jestem dzisiaj bardzo zajęty.

— Rozumiem. W końcu niecodziennie zostaje się sekretarzem stanu.

— Może kiedyś nazwicie moim nazwiskiem jakąś uliczkę w Cumberland — zażartował.

Kearny nie podjął tematu.

— Mówiłem twojej sekretarce, że to ważne. Chodzi o May.

Moody zmarł. Deena, spacerująca tam i z powrotem z drinkiem w rękę, zauważyła zmianę jego nastroju.

— Co z nią?

— Nie martw się. Prosiła, żeby ci powtórzyć, że jest bezpieczna. Wróci do Waszyngtonu, kiedy tylko będzie mogła. A na razie masz jej nie szukać.

— Do diabła, Hal, gdzie ona jest? W Cumberland? Gdzie?

— Nie chce, żebyś wiedział. Tu jej nie ma. Niedługo do ciebie zadzwoni. To wszystko, co miała do powiedzenia.

— Hal! Na miłość boską! Przecież jesteśmy przyjaciółmi. Gdzie ona jest?

— Przykro mi, Bobby. Obiecałem.

— Do diabła, Hal!

— Naprawdę nie mogę. — Kearny odłożył słuchawkę. \

Moody opadł bezwładnie na fotel, bębniąc palcami o blat biurka.

— Co się stało, Robercie? — zapytała Deena. — Chodzi o May?

Nie odpowiedział. Myślał. To na pewno Geneva. Tylko ona mogła wymyślić coś takiego. May nawet by nie wiedziała, gdzie szukać Kearny'ego.

A więc ukryła się u Genevy. Na pewno. Wybrała najlepsze z możliwych miejsc. Mądra z ciebie dziewczyna, May. W górach Wirginii Zachodniej można schować nie jednego, ale milion koni.

Sam wykręcił numer. Pamiętał go tak dobrze, jakby dzwonił tam codziennie.

Wreszcie ktoś odebrał. Akcent mężczyzny uderzył Moody'ego — tak znajomy, a jednocześnie tak odległy.

— Z kim rozmawiam? — zapytał.

— Mówi Tyrone. To pan, panie Moody?

— Tak, do diabła. Jest moja żona? Geneve?

— Nie, proszę pana. Na całe dni jeździ do Wingo, nie wiedział pan? Proszę chwilę poczekać, podam panu numer.

— Nie trzeba, Tyrone! Daj mi May. Chcę rozmawiać z moją córką.

— May? Nie ma jej tu, panie Moody. Dom jest pusty. Dlatego właśnie przychodzę pilnować wszystkiego.

May nie zgodzi się z nikim rozmawiać, to jasne. Powinien na razie zostawić ją w spokoju, przynajmniej dopóki sam wszystkiego nie przemyśli.

— W porządku, Tyrone, rozumiem. Ale gdyby chciały ze mną rozmawiać — albo musiały — podam ci numery telefonów, pod którymi można mnie zastać.

— Oczywiście, proszę pana. Chwileczkę, znajdę tylko kartkę i coś do pisania.

Kiedy skończył rozmowę, Deena zapytała:

— Kto to, Robercie?

— Nie uwierzysz: policjant z małego miasteczka w Wirginii Zachodniej. Głupi sukinsyn.

— Znaleźli May?

— Co? Nie. Myślałem tylko, że będzie wiedział, gdzie ona jest. Chodź, wyrwiemy się stąd. Muszę odpocząć. Pójdziemy na basen.

Wyobraził sobie Deenę w kostiumie kąpielowym, a potem bez. Przynajmniej tyle może dla niego zrobić w ten wymarzony, wyśniony dzień. Podczas podróży do Azji na pewno nie była gejszą, o nie. Później też nie mieli zbyt wielu okazji... Naprawdę potrzebował odpoczynku. Przez ostatnie kilka tygodni pracował stanowczo za intensywnie. Do diabła, Napoleon znajdował czas na drzemkę nawet podczas największych bitew.

Kilka godzin na słońcu i w wodzie dobrze mu robi. Tylko on, Deena i telefon komórkowy.

Szef Spencera wpatrywał się w ekran, zakłopotany. Artykuł był naprawdę niezły. Równie dobrze mógł wyjść spod pióra... no, jeśli nie Williama Faulknera, to przynajmniej Dicka Francisa. Rzetelnie

opracowane fakty; łącznie z tym, że Showers został oskarżony o podłożenie bomby, chociaż Jack przemilczał podejrzenie, iż ofiara wybuchu, Becky Bonning, popełniła przedtem podwójne morderstwo. Ale...

— Nic nie napisałeś o Japończykach ani nawet o Napierze.

— Przykro mi. Nie miałem żadnego punktu zaczepienia.

— Przecież między tymi sprawami musi być jakiś związek. Doskonały dyplomata składa dymisję w niejasnych okolicznościach, a zaraz potem jego samochód wylatuje w powietrze. Dowiedz się czegoś więcej. Nie znasz nikogo w Agencji?

Podstawowa zasada dziennikarstwa w rozumieniu starego wygi brzmiała tak: „W razie jakichkolwiek wątpliwości należy znaleźć odpowiedniego informatora w CIA albo FBI”.

— Nikt z moich znajomych nie zna się na koniach.

— Daj spokój. Muszą nad tym pracować.

Szef Spencera wcisnął kilka klawiszy i tekst powędrował w redakcyjną czarną dziurę: do komputerowego archiwum.

— Napisz coś lepszego.

Jack potraktował te słowa jako pozwolenie na kolejny wyjazd do Dandytown. Zresztą i tak zamierzał to zrobić: wprawdzie lekarze nadal nie wpuszczali nikogo do Alixe Percy, ale Bensinger zaproponował spotkanie po południu w hotelu w Dandytown, jednocześnie ostrzegając dziennikarza, żeby ten trzymał się z dala od szeryfa Cooke'a. Tymczasem Showers przysłał paczkę ze zdjęciami gniadosza, wyjaśniając w krótkim liście, że trzeba je przekazać Kanadyjczykowi Ryanowi, który miał przyjechać do Wirginii, jeśli tylko rozpozna zwierzę jako swoje.

Spencer zbierał się już do wyjścia, kiedy zadzwonił telefon. Programista z Arlington wymyślił kolejną teorię na temat zadrapań na plecach Meade'a Claya i koniecznie chciał, że Jack coś sprawdził. Z kolei w skrzynce leżał anonimowy list z pogrózkami. Wyróżniał się nie tyle sugestywnym opisem rozkawałkowanego ciała dziennikarza, co faktem, że nie było na nim znaczków. Najwyraźniej ktoś włożył go tam bez pośrednictwa poczty.

W sumie typowy dzień waszyngtońskiego korespondenta.

Na szczęście, samochód nie eksplodował, kiedy Spencer przekreślił

kluczyk w stacyjce. Cieszył się, że znowu wyjeżdża z miasta. W taki upał trudno było nawet zebrać myśli, a co dopiero rozwiązywać zagadki.

Na jednym ze zdjęć Showers i May Moody stali razem z gnidoszem przed drzwiami jakiejś stodoły, uśmiechnięci, zadowoleni. Jack postanowił zatrzymać tę fotografię. Miał nadzieję, że wciąż się uśmiechają — gdziekolwiek byli.

Dotarł do hotelu w Dandytown tuż po trzeciej, ale nie znalazł Bensingera ani w barze, ani w restauracji.

Dwa dziny z tonikiem pomogły mu zabić czas przez następną godzinę, ale kiedy minęła czwarta, zaczął się trochę denerwować. Wreszcie zadzwonił do biura Bensingera. Jego sekretarka powiedziała, że szef wyszedł przed południem i dotąd nie wrócił. Spencer odłożył słuchawkę.

Wrócił do baru i zamówił trzeciego drinka, ale niemal jednocześnie tego pożałował. Najwyraźniej zwrócił swoją osobą uwagę młodego, wyglądającego na dżokeja mężczyzny, który od kilku minut siedział przy drugim końcu kontuaru. Dżokej musiał spaść ostatnio z konia, bo utykał na jedną nogę i używał kuli.

Jack spędził wystarczająco dużo czasu w knajpach całego świata, aby bez trudu rozpoznawać, kto się do niego przysiadł: prostytutka, szukająca towarzystwa rozwódka, znudzony biznesmen, glina, tajniak czy szaleniec.

Opalony młodzieniec najwyraźniej był homoseksualistą: miał charakterystycznie miękkie rysy twarzy, długie rzęsy i ciemne, kręcone włosy. Nie bez trudu wdrapał się na wysokie krzesło obok dziennikarza, który warknął:

— Nie mógłbyś znaleźć sobie innego miejsca, przyjacielu?

— Przepraszam, nie chciałem przeszkadzać. Pan nazywa się Spencer?

— Nawet jeśli tak, co z tego?

— Jest pan kuzynem kapitana Showersa i pisze artykuł o koniach, prawda?

— A pan? Kim pan jest?

— Nazywam się Jimmy Kipp — oznajmił dżokej i wyciągnął rękę. Spencer uściśnił ją niechętnie. — Ścigałem się kiedyś z kapitanem. Uratował mi życie.

David zawsze kogoś albo coś ratował, pomyślał Jack. Zranione konie, bezradne nastolatki, pokrecone życiorysy. On sam nigdy nikomu nie pomógł.

— Co mogę dla pana zrobić? — zapytał oschle.

— Chodzi o to, co ja mogę zrobić dla pana — odparł Kipp. — Wszyscy wiedzą, jakie kłopoty ma teraz kapitan. Stracił pracę, i w ogóle... Wszystko przez ten artykuł o Japończykach.

— Sam go napisałem.

— Wiem. Dlatego ciągle tu przychodziłem. Miałem nadzieję, że znowu się pan zjawi. — Zamilkł, popijając whiskey. — Tamtej nocy przyjaciele zawieźli mnie do Waszyngtonu. Najpierw długo leżałem w szpitalu, potem w domu. Kiedy wreszcie wyzdrowiałem, poszliśmy zrobić rundkę po barach w Georgetown, aż wreszcie trafiliśmy na to przyjęcie. Pan rozumie, tylko dla mężczyzn...

Spencer westchnął. Boże, dlaczego musiał tego słuchać?

— Zabawa była naprawdę niezła. Wielu sławnych ludzi: kongresmani, tancerze, aktorzy, sekretarz żony prezydenta. Ja... nienawidzę plotek, więc nie wymienię żadnych nazwisk...

Oczywiście. Pierwsza Dama miała tysiące sekretarzy.

— ...i mam nadzieję, że pan również tego nie robi, ale co pewien czas niektórzy z gości znikali na górze, w sypialniach. Jeden z moich przyjaciół też to zrobił. Kazano mu zapłacić, więc pożyczył ode mnie kartę kredytową. Wciąż mam rachunek, który mu wystawiono. Oto on.

Kartka papieru znalazła się na kontuarze. Jack nawet na nią nie spojrział.

— Chyba nie próbuje mi pan wmówić, że mój kuzyn ma z tym cokolwiek wspólnego?

— Oczywiście, że nie. Chociaż czasami żałuję...

Spencer skrzywił się, zdegustowany.

— W każdym razie — ciągnął dalej Kipp — dowiedzieliśmy się później, kto jest właścicielem albo najemcą tego domu. Gość nazywa się Peter Napier. Autor memorandum, o którym pan pisał. Obrzydliwy, fałszywy grubas.

— Jest pan tego pewien?

— Oczywiście. Wciąż pracuje dla rządu czy jakiegoś tam Komitetu Narodowego... Wszystko jedno. Dostaje od nich sporo pieniędzy, organizuje za nie przyjęcia i w ten sposób zarabia jeszcze więcej.

— Zna pan adres tego domu?

— Tak. Napiszę go na odwrocie rachunku — zaproponował Kipp. — Proszę. Nie wiem, czy to, co panu powiedziałem, może się na coś przydać, ale chciałem się jakoś odwdziżyć... Jestem wielkim dłużnikiem kapitana. Uratował mi życie, pomógł opłacić leczenie i znalazł nową pracę w Upperville.

Spencer schował kartkę do kieszeni.

— Taak... Dziękuję. Może potrafię to wykorzystać. Zobaczmy. — Z trudem ukrywał podniecenie. Jeśli cała sprawa się potwierdzi, niemało ludzi z hukiem zakończy swoją karierę. Być może wśród nich znajdzie się także wszechmocny Robert Moody... — Lubi pan koniak, panie Kipp? Postawię panu kieliszek pięciogwiazdkowego courvoisiera.

W tym momencie podszedł do nich barman.

— Pan Jack Spencer?

— Słucham?

— Telefon do pana.

Dzwonił Bensinger.

— Przepraszam, że nie przyszedłem — powiedział — ale pomyślałem, że chyba nie powinniśmy się teraz spotykać. Pan rozumie, to nie wpłynęłoby zbyt korzystnie na moją reputację...

— Nie ma sprawy. Nie zmarnowałem czasu.

— Włożyłem to do pańskiego samochodu. Pod siedzenie.

— Co takiego?

— Panna Percy chciała, żeby oddać to kapitanowi. Czy mogę na pana liczyć?

— Tak, raczej tak.

— Może się przyda... Na razie nic więcej nie mogę dla pana zrobić.

— Gdzie pan jest?

— Jadę do domu. Mam nadzieję, że się jeszcze kiedyś spotkamy. Za pewien czas wszystko ucichnie.

— Oczywiście.

Spencer nie wrócił już do baru. Spod siedzenia samochodu wyciągnął dużą brązową kopertę z nazwiskiem Showersa. W środku była kasetka wideo.

Właśnie wkładał ją z powrotem do koperty, kiedy przez okno usłyszał zirytowany kobiecy głos. Podniósł głowę i zobaczył Lenore Fairbrother. Sprawiała wrażenie o wiele mniej zadowolonej, niż kiedy

widział ją ostatnim razem — w Białym Domu, w objęciach Moo-dy'ego — ale równie pijanej.

— Znam cię, dziennikarski szpiegu — powiedziała. — To ty jesteś tym podłym kuzynem Davida.

— Cóż za precyzyjne określenie, pani Fairbrother. — Uruchoił silnik.

Obiema rękami złapała się drzwi, próbując utrzymać równowagę.

— Czego tu wężysz, draniu?

— Zwiedzam okolicę. A co, nie wolno? — Ostrzegawczo nacisnął pedał gazu.

— Gdzie jest David? Powiedz mi, do diabła!

— Wybrał się na przejażdżkę. Konną.

— Gdzie on jest, ty sukinsynu? Gdzie David, do cholery?

Jack z całej siły szarpnął Lenore za rękę. Kiedy puściła klamkę, wrzucił bieg i ruszył. Zanim zniknęła w kłębach kurzu, zdążył jeszcze zobaczyć w lusterku, jak wygraża mu pięścią.

Skręcił na północ, w kierunku autostrady, ale po kilku minutach ku swojemu zdumieniu dostrzegł ją znowu: mały, ciemny punkcik z tyłu szybko urósł do rozmiarów jaguara.

Przyspieszył, znacznie przekraczając dozwoloną prędkość, ale dogoniła go bez trudu. Za chwilę jakiś czujny szeryf wręczy mi coś poważniejszego niż mandat za niewłaściwe parkowanie, pomyślał.

Zbliżali się właśnie do jakiejś furgonetki. Choć z przeciwka nadjeżdżał inny samochód, Spencer wcisnął pedał gazu do oporu i zaczął wyprzedzać. Zdążył niemal w ostatniej sekundzie.

Lenore trzymała się tuż za nim. Prowadziła doskonale; może nawet lepiej niż Jack, ale upał i alkohol osłabiły jej refleksy.

Kiedy dotarli do autostrady, postanowił to wykorzystać. Z pełną prędkością wjechał na pas do skrzyżowania w prawo dosłownie w ostatniej chwili, niemal wpadając w poślizg.

Jaguar nie zdążył powtórzyć tego manewru, lądując na poboczu, i po chwili zniknął z pola widzenia, kiedy obie jezdnie rozdzieliły się ostatecznie. Jack miał nadzieję, że Lenore nic się nie stało, ale nie mógł już tego sprawdzić. Niedługo potem, nie zwalniając poniżej stu trzydziestu, przekroczył granicę sąsiedniego hrabstwa.

Lenore wpadła do domu jak błyskawica. Wbiegła prosto do gabinetu, a kiedy nie znalazła tam Lynwooda, zaczęła przeszukiwać pokój za pokojem, wykrzykując jego imię.

Faibrother stanął na szczycie schodów, pomimo upału ubrany w szlafrok, koszulę i spodnie. Najwyraźniej właśnie drzemał.

— Do diabła, czego się drzesz? — zapytał gniewnie. Zdenerwowany, potrafił krzyczeć równie głośno jak ona.

W odpowiedzi Lenore zamilkła, usiadła na ziemi i zaczęła łkać.

— Co się stało? Upiłaś się?

— Gorzej — odparła głosem małej dziewczynki. — Aresztowali mnie.

Zszedł na dół.

— Za co?

— Za cholerną jazdę pod wpływem alkoholu, ot co — odparła buńczucznie. — Pieprzony zastępca twojego szeryfa.

— Wcale nie jest moim szeryfem.

— Jest. Gdyby nie twoje pieniądze, nigdy nie zostałby wybrany.

— Zaproponowałem jego kandydaturę i sfinansowałem kampanię, ale to wszystko. Tym razem już nie pomoże. Miałaś wypadek?

— Tak.

— Ktoś został ranny?

— Nie. Rozbiłam tylko jaguara, ale za to na drobne kawałki.

— W co wjechałaś?

— Spadłam ze skarpy. Nieważne, Lynwoodzie. Usiądź tu i przytul mnie. Czuję się fatalnie.

Kiedy to zrobił, pocałowała go w stopę, a potem położyła głowę na jego kolanach. Ale Faibrother nie miał ochoty na czułości. Naprawdę musi się przespać.

— Czego właściwie chcesz, Lenore? — Zdumiewające, pomyślał, jak często musi powtarzać te słowa. — Sprowadzić lekarza?

— Nie! Davida.

— Już o tym rozmawialiśmy.

Usiadła.

— Właśnie. Obiecałeś wtedy, że wróci.

— Nic takiego nie obiecywałem.

— Kazałeś szeryfowi wydać nakaz aresztowania.

— Nic mu nie kazałem! To był pomysł Cooke'a.

— Twój, kochanie. Powiedziałeś, że jeśli David zostanie oskarżony o morderstwo, szybciej tu wróci, żeby się bronić.

— Powtarzam ci, to był pomysł Cooke'a! Ja się tylko zgodziłem.

— Wszystko jedno. David nigdy ci tego nie wybaczy.

— Przykro mi, ale to on uciekł, zostawiając nas w kłopotach. Morderstwa, bomby, pożary, śledztwa, artykuły w gazetach. Oto, do czego doprowadził. Nie wiem, czy w przyszłym roku w ogóle będziemy mogli przeprowadzić zawody o Puchar Krajowy. Dzwonią do mnie ludzie z trzech stanów i pytają, czy przyjazd tutaj nie jest zbyt niebezpieczny. Coś koszmarnego.

— Mój tu biedaku... — zadrwiła.

— Najpierw wywołał cały ten skandal, a potem nawet nie kiwnął palcem, żeby go uciszyć. Gorzej, sam zniknął i teraz ja muszę wszystko wyjaśniać. Ned Haney nikomu nic nie powie, Alixe leży w szpitalu, więc wszyscy przychodzą do mnie! Nie rozumiem, jak David mógł okazać się tak nieodpowiedzialny. Zupełnie inny niż jego ojciec. — Zamilkł na chwilę. — I wcale nie byłbym taki pewien, czy zarzuty są całkiem bezpodstawne.

— Świnia!

— Zobaczymy, co powie sąd.

— Jesteś po prostu zazdrosny. Myślisz, że zdradziłam cię z Davidem.

— Pokojówka powiedziała mi, że następnego dnia po śmierci Vicky przywiózł tutaj wszystkie twoje rzeczy. Włącznie z bielizną.

— Na miłość boską, Lynn, ja się tylko rozebrałam.

— Kochaliście się.

— Ty głuptasie. Od dnia, kiedy za ciebie wyszłam, biedny David nawet mnie nie dotknął. Poczytuje to sobie za punkt honoru.

— Nie wierzę ci.

— Muszę się napić, kochanie.

— Nie pozwalam ci.

— I potrzebuję nowego samochodu.

— Naprawdę zniszczyłaś go zupełnie?

— Z prawej strony, tak.

— Zabrali cię na policję?

— Nie. Zastępca szeryfa przywiózł mnie do domu. Ale zostawił wezwanie do sądu. Muszę się stawić rano.

— Zbadali ci alkohol we krwi?

— Nie zgodziłam się na coś tak poniżającego. Ty też byś się nie zgodził, gdyby ktoś potraktował cię równie okropnie. Zupełnie jakbym rozbiła się specjalnie.

— Co tam właściwie robiłaś, do diabła?

— Wybrałam się na przejażdżkę. — Zasłoniła ręką oczy. Był taki piękny dzień...

— Odmawiając testu, automatycznie tracisz prawo jazdy. Takie jest prawo. Mogę ci kupić nowy samochód, ale nie załatwię ci nowego prawa jazdy.

— Naprawdę nie możesz nic zrobić?

— Nie.

— Ale oskarżyłeś Davida o morderstwo!

— Nie!

— Zresztą nieważne. Po co komu to głupie prawo jazdy?

Spróbował wstać. Przytrzymała go.

— Muszę już iść, Lenore. Mam parę spotkań w mieście, muszę też do kogoś zadzwonić.

— Sprowadzisz Davida?

— Nie.

— Wiem, gdzie on jest. Pewnie w jakimś obskurnym motelu, z tą cholerną aktorką z prowincji. Lubi takie szmirowate damulki, oj tak. A najbardziej lubi się z nimi pieprzyć.

Fairbrother wyzwolił się wreszcie z objęć żony. Złapała go za poję szlafroka i sama też wstała. Ledwo trzymała się na nogach.

— Proszę cię, Lenore.

— Mam świetny pomysł, skarbie. Przecież znasz gubernatora. Niech zmobilizują kompanię Davida. Na pewno się stawi. Ma bzika na punkcie wojska.

— Czasami trudno się zorientować, czy mówisz poważnie.

Kiedy wszedł na schody, ruszyła za nim.

— Już wiem! — krzyknęła nagle. — Moonsugar.

— Co?

— To przecież ciągle twój koń. Oddałeś Moonsugar Davidowi, ale nigdy nie podpisałeś żadnych papierów. Od kiedy David wyjechał, nikt się nim nie zajmuje. Masz pełne prawo przywieźć go tutaj z powrotem.

— To prawda, ktoś musi się zająć jego końmi. Nie ufam stajennym Alixe. W porządku, wyślę tam swojego człowieka.

— Chcę, żebyś przyprowadził Moonsugar do naszej stajni!

— Dobrze, już dobrze.

Ruszył na górę. Sam. Kiedy się przebrał i zszedł znowu do holu, Lenore leżała na podłodze i głośno chrapała.

Wieczorem, po kilku godzinach, Lynwood wrócił z Dandytown — i usłyszał złe wieści.

— Co się stało, do cholery?

— Tak jak pan kazał, pojechaliśmy na farmę kapitana. Okazuje się, że codziennie zaglądał tam weterynarz od Neda Haneya. Konie były w doskonałej formie, szczególnie Moonsugar. Zupełnie jakby w ogóle nie zdarzył się wtedy żaden wypadek.

— I?

— Przywieźliśmy Moonsugar do pańskiej stajni. Kiedy stamtąd wychodziłem, czuł się świetnie, ale kiedy wróciłem po kolacji, już nie żył. Pani Fairbrother zrobiła mu zastrzyk z etorfiny. Powiedziała, że miał przecież złamaną nogę.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Jak niemal wszyscy ludzie urodzeni na wsi Moody lubił chodzić pieszo. Mimo rozlicznych obowiązków gubernatora, a potem szefa gabinetu prezydenta, każdego dnia starał się znaleźć czas na przechadzkę — nawet jeśli był to tylko krótki spacer po trawnikach wzdłuż płotu otaczającego Biały Dom.

Tego słonecznego, gorącego poranka spotkał tam dużo mniej turystów niż zwykle: jakąś starszą parę, młode małżeństwo z dzieckiem oraz chłopaka i dziewczynę z college'u. Kiedy wreszcie zrobili już wszystkie zdjęcia, poszli dalej, a on oparł się o ogrodzenie i spojrzał z zadumą na rezydencję, wspaniale usytuowaną na zielonym wzgórzu.

Pokolenia polityków i historyków mówiły o niej jako o „nagrodzie”, ale przecież nie można jej zdobyć na własność. To tylko czasowe wyróżnienie, które można wykorzystać dobrze albo źle.

Uważnie obserwował kilka kolejnych administracji: Cartera, Reagana, Busha. Jedni rządili lepiej, drudzy gorzej; jedni skromniej, drudzy wystawniej. Ale wszyscy popełniali identyczny błąd: zachłystywali się władzą, zaczęli jej nadużywać, aż nagle trzeba było odejść, bo kończyła się kadencja.

Obecny prezydent też kiedyś odejdzie, zostawiając te same nie rozwiązane problemy, na przykład ogromny dług federalny, które odziedziczył po swoich poprzednikach. Natomiast Pakt o Ziemi będzie tylko bezwartościowym świstkiem papieru, o ile nie uda się wprowadzić w życie odpowiednich ustaw.

Pozostawało pytanie: co potem? A właściwie — kto?

„Prezydent Robert Moody” — powtarzał sobie czasami. Nawet najśmielsze marzenia czasami się spełniają. Na razie został sekretarzem stanu — z szansami na wiceprezydenturę w najbliższych wyborach —

i zasiądzie przy stole w Gabinetcie Owalnym tuż koło prezydenta. Ale nic nie trwa wiecznie. Kiedyś on także zwolni to miejsce, tak jak jego wszyscy poprzednicy. Dlatego nie może tracić teraz czasu...

— Czy możemy pana przeprosić?

Odwrócił się. Po drugiej stronie ogrodzenia stały dwie tęgie turystki w średnim wieku. Jedna z nich trzymała w ręku aparat fotograficzny.

— Przepraszam pana — powtórzyła kobieta — ale czy mógłby się pan trochę przesunąć? Chciałybyśmy zrobić zdjęcie, a pan zasłania cały widok.

Uśmiechnął się.

— Oczywiście. Właśnie miałem już iść.

Za kilka minut rozpoczęło się posiedzenie Rady Bezpieczeństwa Państwa. W Belize znowu wybuchły walki i wszystko wskazywało na to, że amerykańscy żołnierze muszą interweniować. Od czasów Wietnamu każdy rząd bał się czegoś takiego jak ognia.

Zbliżając się do Południowego Portyku, Moody spojrzął na Balkon Trumana. Bóg jeden wie, ile razy stał tam razem z prezydentem, próbując podsunąć mu jakiś dokument do podpisu albo wysłuchując kolejnej tyrazy na temat niezłomnych zasad amerykańskiej polityki zagranicznej. W gabinecie miał nawet takie zdjęcie: on i prezydent na balkonie.

Nagle przypomniał sobie ostatni dzień w senacie w Marylandzie: tłumy przyjaciół, zwolenników i współpracowników. Gdyby wtedy zrezygnował, gdyby poprzestał na dwóch kadencjach w rodzinnym stanie, pewnie zakończyłby swoją karierę jako powszechnie szanowany polityk, do końca życia tytułowany przez wszystkich gubernatorem.

Ale teraz było już za późno, żeby się wycofać.

Tuż po spotkaniu rady odbyło się posiedzenie rządu. Później prezydent miał przyjąć kilku ambasadorów i Moody chciał być przy tym obecny, więc kiedy niespodziewanie Sandinauskas zapytał, czy mogą chwilę porozmawiać, sytuacja stała się niezręczna. Chcąc nie chcąc, zaprosił sekretarza energii do swojego gabinetu.

— Co się stało, Wally?

— Senator Sorenson chciałby się z nami zobaczyć.

Moody podszedł do biurka i zerknął do terminarza.

— Dziś nie mogę. Dlaczego po prostu nie zadzwonił, żeby się umówić?

— Wolałby porozmawiać nieoficjalnie, gdzieś poza Białym Domem. Znajdziesz czas wieczorem? Mówił, że to ważne.

Wprawdzie Deena niczego nie zaplanowała, ale on sam powinien odwiedzić kilka osób. Niech wiedzą, że traktuje swoje nowe obowiązki bardzo serio.

— Jak ważne?

— Chodzi o pakt.

— Czego chce, do diabła? Jeszcze jednej autostrady?

— Powiedział, że musimy porozmawiać. Wspominał o jakichś dużych kłopotach.

— Tylko tego nam brakuje. Naprawdę nie mam czasu, Wally.

— Wierz mi, lepiej będzie, jeśli spróbujesz go znaleźć.

Zawahał się.

— Zgoda. O siódmej w Centrum Kennedy'ego.

To ogromne centrum kulturalne z licznymi teatrami, restauracjami oraz podziemnym parkingiem zapewniało pełną anonimowość. O tej porze będzie tam pełno turystów i wielbicieli Melpomeny. Często umawiał się tam na prywatne spotkania, zwłaszcza z kobietami.

— Zamówię stolik na samej górze, gdzieś z tyłu.

Senator z Wisconsin był wyraźnie niespokojny, a nawet wystraszony. Nerwowo przygładził potargane włosy i zamówił manhattana.

— Wally wspominał o jakichś kłopotach — odezwał się Moody. — Myślałem, że wszystko już załatwiliśmy.

Sorenson wziął głęboki wdech.

— Ktoś stara się nie dopuścić do wprowadzenia paktu w życie. W grę wchodzi wielkie pieniądze. Mnie również złożono odpowiednią propozycję.

— I dlatego potrzebuje pan ode mnie, powiedzmy, wsparcia moralnego?

— Nie. Chcę tylko, żeby wiedział pan o wszystkim.

— Senatorze, przeciwnicy paktu nie działają przecież od wczoraj. To nic nowego.

— Ale propozycja, którą mi złożono, wyszła z biura senatora Reidy'ego.

Moody wyprostował się i zmrużył oczy. Zachodzące słońce świeciło mu prosto w twarz.

— O czym pan mówi, do diabła? Reidy pokazał mi właśnie prognozę wyników debaty. Wygrywamy siedemdziesięcioma pięcioma głosami, a zdaniem republikanów zdobędziemy ich nawet więcej.

— Jeśli chodzi o ratyfikację, tak — odparł Sorenson. — Opinia publiczna jest za, więc nikt nie chce tracić wyborców. Ale cała sztuczka polega na tym, że zgodził się pan na rozdzielenie ratyfikacji od głosowania nad towarzyszącymi ustawami, co umożliwi nam wprowadzenie do nich tysięcy poprawek, aż będą po prostu bezwartościowe.

— Nam, to znaczy komu?

— Reidy zdobył poparcie wielu kongresmanów. Też jestem na jego liście, chociaż nikt nie pytał mnie o zdanie. Traktują całą sprawę jak przesądzoną. Jedyne problem, to ile komu zapłacić.

— A ile zaproponowali panu?

— Sporo. I wszystko z legalnych źródeł: przemysł, związki zawodowe, firmy prawnicze. Normalnie, kierownictwo partii uniemożliwia takie praktyki. Tym razem Reidy wręcz zachęcał potencjalnych inwestorów.

Sorenson nie mylił się. Podobnie bywało w przeszłości. Wszelkie próby uchwalenia przepisów, które groziły zmniejszeniem dochodów tak zwanego wielkiego biznesu, owocowały szerokim strumieniem łapówek dla potencjalnych prawodawców.

— W grę wchodzi także inne przysługi — ciągnął dalej. — Na czas debaty zamierzają sprowadzić z Nowego Jorku kilkanaście luksusowych, nazwijmy to, panienek do towarzystwa, gdyby któryś z senatorów zapragnął „konsultacji” przed podjęciem ostatecznej decyzji.

— Skąd pan o tym wie? — zapytał Moody.

— Kongresmani są równie niedyskretni jak wszyscy inni ludzie. Poza tym, tak jak powiedziałem, z jakiegoś powodu jestem na liście Reidy'ego.

— Przejdźmy do rzeczy, senatorze. Jaki jest cel tej rozmowy?

— Chcę być z panem szczery.

— A czego oczekuje pan w zamian za szczerość?

Sorenson otarł chusteczką spoczone czoło. Rozejrzał się dookoła.

— Już mi pan to obiecał, panie Moody. Chodzi o nominację dla mojej żony. Naprawdę chciałaby poznać tych wszystkich sławnych aktorów. Zamówiła już nawet odpowiednią suknię u projektanta w Nowym Jorku, ale głosowanie w sprawie nowych członków rady

nadzorczej Centrum Kennedy'ego jakoś się opóźnia... Dlatego wciąż liczę na pomoc. Nie dopuszczę, żeby ktokolwiek pokrzyżował pańskie, a tym samym i moje plany.

W tym momencie Moody zrozumiał: kongresman musiał wiedzieć coś jeszcze. Pochylił się do przodu i zapytał:

— Czy to już wszystko, senatorze?

Sorenson spuścił wzrok.

— Nie. Pewnie mi pan nie uwierzy, ale najwięcej pieniędzy daje Reidy'emu ktoś, kto rzekomo stoi po pańskiej stronie.

— Kto to taki?

— Bernie Bloch.

Moody poczuł, że czerwienieje. Z trudem opanował gniew. A więc dał się wystrychnąć na dudka. Jak ostatni idiota! Najgorsze, że właściwie wcale nie był zaskoczony. Od pewnego czasu spodziewał się, że Bernie zrobi coś podobnego.

— Jest pan pewien, senatorze?

— Teraz już tak. Z początku nie bardzo wierzyłem, sądziłem, że się mylę, ale sam mi to oznajmił. Dlatego pomyślałem, że pan też powinien wiedzieć...

— Jestem szczerze zobowiązany — rzekł Moody. — Zajmę się tą sprawą osobiście. Proszę tylko nikomu nic nie mówić, a kiedy przyjdzie czas na głosowanie, postąpić tak, jak uważa pan za stosowne.

— Oczywiście.

— Doskonale... Jeszcze raz dziękuję za informacje, senatorze. A teraz pewnie chce pan wracać do żony. — Spojrzał na Sandinaus-kasa. — Wally, możesz poświęcić mi jeszcze parę minut?

Wyszli na szeroki taras, z którego rozciągał się malowniczy widok na granatowe wody Potomacu i uniwersytet Georgetown. Zachodzące słońce odbijało się w wieżyczkach jego zabudowań. Rzeką płynął duży jacht motorowy.

— Więc jednak to ja okazałem się ostatnim grzechotnikiem — powiedział nagle Moody.

— Nie rozumiem.

— Tak się mówi w Wirginii... Nieważne. Popraw mnie, Wally, jeśli coś zle zrozumiałem. Reidy chce zniszczyć pakt, pozwalając rozmaitym lobbystom wywierać nacisk na kongresmanów.

— Zgadza się.

— A później, kiedy prezydent wpadnie w furję, obwini o wszystko Biały Dom?

— Bez wątpienia.

— Ale po co, do cholery? Jego wyborcy nic nie stracą, jeśli pakt wejdzie w życie. Podczas kampanii ani razu nie poruszył tej kwestii, więc o co chodzi mu teraz?

— Bobby, ten człowiek nie lubi przegrywać, a to właśnie ty sprawiłeś, że nie został prezydentem. Nienawidzi cię od dawna. Nie atakował tylko dlatego, że czekał na właściwy moment. Nie mam żadnych wątpliwości. Chce cię po prostu zniszczyć.

Niebo na zachodzie powoli zmieniało kolor.

— Dzięki Sorensonowi możemy go jeszcze powstrzymać, Wally. Jeśli wszystko ujawnimy, prezydent zmusi Kongres do głosowania jednocześnie nad ratyfikacją i ustawami. A jeśli gazety usłyszą o łapówkach, mało kto odważy się powiedzieć: nie.

— To prawda, Bobby, ale nie zapominaj o jednym: jesteś za bardzo związany z Blochem, żeby utrzymać się na stanowisku, kiedy wyjdzie na jaw, że przekupywał kongresmanów. Chyba nie muszę ci przypominać, że twoja nominacja nie została jeszcze przyjęta przez Senat?

Przez resztę wieczoru bezskutecznie próbował dodzwonić się do Blocha. We wszystkich rezydencjach — włącznie z tą na Bahamach — oraz na jachcie zakotwiczonym w Baltimore, włączały się automatyczne sekretarki albo telefon odbierali służący. Coś podobnego zdarzyło się pierwszy raz od trzydziestu lat. Był wściekły.

Reidy przegra. Ale najpierw Bernie.

Przez otwarte okno do pokoju wpadało chłodne powietrze. Moody wpatrywał się w światła domów za rzeką. Deena, dziwnie niespokojna, siedziała obok niego. Kiedy zaproponował, żeby poszła spać, nie zgodziła się.

— Dlaczego musisz z nim rozmawiać właśnie teraz?

— Bo to ważne. Bardzo, bardzo ważne.

— Ale o co właściwie chodzi?

Zmroził ją wzrokiem. Doskonale wiedziała, że niczego się nie dowie. Zawarli taką umowę jeszcze na początku małżeństwa. Ale ona nalegała:

— Czy to ma coś wspólnego z twoją pracą w rządzie?

— Tak. I nie pytaj o nic więcej.

— Chcesz się napić?

— Nie.

Miała na sobie jedwabny szlafrok i najwyraźniej nic pod spodem. Co chwila nerwowo zakładała nogę na nogę.

— Deeno — odezwał się w końcu — powiedz mi szczerze: wiesz, jak skontaktować się z Bernie, prawda?

Trafił. Skuliła się w fotelu. Była naprawdę przerażona.

— Chyba tak — przyznała.

— Co to znaczy: chyba?

— Błagam cię, Bobby, nie zrozum mnie źle. Ostatnio dużo rozmawialiśmy, bo twoja nowa praca mnie przytłacza. Boję się, że sobie nie poradzę... Bernie bardzo mi pomógł.

— Dlaczego nic mi nie powiedziałeś?

— Nie chciałam zawracać ci głowy.

Wciąż pamiętał słowa Lenore Fairbrother. Czyżby Deena naprawdę go zdradzała?

Jakoś nie mógł sobie tego wyobrazić. Chyba Bloch nie jest aż taki głupi?

Ale skoro próbował go wykiwać w sprawie paktu...

— On też ma problemy — mówiła dalej Deena. — Z Sherrie. Znowu zaczęła pić.

Nie odpowiedział. Czekał.

— No dobrze, skoro nalegasz... Znam numer pagera, którego stale ze sobą nosi.

— I oddzwoni, jeśli zostawisz mu wiadomość?

— Tak.

— Więc zrób to. Teraz.

Po dwudziestu minutach zabrzączał telefon. Kiedy Deena wstała i podniosła słuchawkę, poły szlafroka się rozsunęły.

— Bernie, posłuchaj... Bobby chce z tobą rozmawiać.

— Idź do łóżka — powiedział jej Moody. — Przyjdę do ciebie, jak skończę.

Zawahała się, ale po chwili wyszła z salonu. Usiadł wygodnie, kładąc nogi na stole. Tylko spokojnie.

— Gdzie się schowałeś, Bernie? Gdzieś blisko Waszyngtonu?

— Aha.

— Gdzie?
— W Charlottesville. Mam spotkanie w interesach.
— Chcę, żebyś tu dzisiaj przyjechał. Musimy porozmawiać w cztery oczy. Prywatnie.

— Niemożliwe.

— W takim razie ujmę to inaczej. Sprawa jest oficjalna, rządowa.

— Przykro mi, ale naprawdę nie mogę.

Moody zaczął się zastanawiać, czy ktoś może ich podsłuchiwać. Nigdy nie mówił przez telefon niczego, co mogłoby dotrzeć do niepowołanych uszu.

— Posłuchaj, Bernie. Wiem o łapówkach, które płacisz, żeby pakt nie wszedł w życie. Wiem wszystko o tobie i Reidym.

— Kto ci naopowiadał takich bzdur?

— Usłyszałem dość, żeby zmusić was do zeznań pod przysięgą, rozumiesz?

— Rozumiem, ale powtarzam: to jakieś paranoidalne oszczerstwa.

— Naraziłeś na szwank dobre imię prezydenta i rządu Stanów Zjednoczonych, przyjacielu.

— Skończ z tymi górnolotnymi frazesami, Bobby. Życie jest brutalne, a w polityce nie ma miejsca dla mięczaków.

— Dlaczego to zrobiłeś? Nie wystarczą ci twoje cholerne miliony?

— Do diabła, nie bądź naiwny. Myślisz, że spadły mi z nieba? Zastanawiałeś się choć przez chwilę, co oznacza ten zasrany pakt dla mnie i wielu innych ludzi? Chodzi o większe pieniądze i bardziej znane nazwiska, niż ci się wydaje. Republikanie, demokraci; wszyscy są przeciw.

— To nie fair, Bernie.

— Pieprz się, koleś. Kto ma pieniądze, ten ma władzę, i nic na to nie poradzisz.

— Tym razem przegracie.

— Doprawdy? Już za późno, żeby cokolwiek zmienić. Zresztą, czym się zajmujesz? Za miesiąc zostaniesz sekretarzem stanu, a zanim twój ukochany szef zauważy, że zrobiono go w balona, kto wie, może będziesz już wiceprezydentem?

Moody udał, że się zastanawia.

— Nie wchodzę do tego interesu.

Bloch westchnął.

— Wołałem tego nie mówić — odezwał się oschle — ale w końcu mnie zmusiłeś, więc posłuchaj uważnie: nie masz żadnego wyboru.

- Jak to?
- Chyba nie chcesz, żeby zginęła jeszcze jedna młoda kobieta, co? Kalifornijka, do tego całkiem niebrzydka. Znajdą ją w rowie i nikt nie będzie wiedział, dlaczego skończyła tak marnie.
- Mówisz o May?
- Zgadłeś, stary. Podobno kochasz córeczkę, więc nie podskakuj. Powiedziałem moim przyjaciółom, żeby nie robili jej krzywdy, ale zawsze możemy zmienić zdanie.
- Błefujesz, Bernie. Nigdy nie znajdziesz May.
- Czyżby? Schowała się w górach, u Genevy. Wystarczy jeden telefon i za pięć minut będzie martwa.
- Nie zrobisz tego.
- Jeśli mnie zmusisz, zrobię. Przecież mnie znasz. Więc jak będzie? Moody milczał. Wreszcie wykrztusił:
- Zostawcie May w spokoju.
- Świetnie. A więc doszliśmy do porozumienia?
- Jeszcze nie wiem.
- Musimy się spotkać, Bobby.
- Spotkać? Z kim?
- Z przyjaciółmi. Trzeba zadbać o twoje interesy.
- Interesuje mnie tylko May.
- Mylisz się. Pamiętaj, że trwa recesja. Słyszałem, że ostatnio sporo straciłeś na niefortunnych inwestycjach. Chyba nie zamierzasz wegetować na stare lata na rządowej emeryturze, co? Trzeba trochę odłożyć, póki masz okazję.
- Dlaczego ktoś chciałby mi płacić?
- Bo jesteś nam potrzebny, bardziej niż większość tych dupków w Senacie. Reidy to cholerny spryciarz, ale nawet on nie da rady zamydlić oczu prezydentowi.
- Proponujesz mi pieniądze?
- Chcę tylko, żeby wszyscy byli zadowoleni, włącznie z tobą. Spotkajmy się jutro rano: ty, ja, Reidy i może któryś z republikanów, żebyś zrozumiał, o jaką stawkę toczy się gra.
- Gdzie?
- Proponuję neutralny grunt. Wynajmiemy apartament w hotelu i zjemy razem śniadanie. Co powiesz na Hay-Adams? Dwa kroki od Białego Domu.
- O której?

— O dziewiątej. Gdyby Reidy zaczął kręcić nosem, uprzedzę cię wcześniej, chociaż to mało prawdopodobne. Zrobi wszystko, żebyś był po naszej stronie.

— Zgoda, ale pod jednym warunkiem: jutro wieczorem chcę zobaczyć May, całą i zdrową. Pamiętaj, jeśli cokolwiek schrzanicie, nici z naszej umowy.

— Jasne. Co z Showersem?

— Na twoim miejscu zostawiłbym kapitana w spokoju. Ma wpływowych przyjaciół.

— Obawiam się, że musimy spisać go na straty. A koń?

— To już twoja sprawa.

— Świetnie. Nareszcie zacząłeś mówić rozsądnie.

— Dobranoc, Bernie. Tylko nie próbuj mnie wykiwać.

— Nie ma obaw. Wszystko się dobrze skończy.

Kiedy Moody odłożył słuchawkę, przez chwilę siedział nieruchomo. Czekala go pracowita noc.

Ale najpierw musiał coś załatwić.

Wszedł do sypialni. W pokoju było ciemno, ale nie sądził, żeby Deena spała. Na pewno słyszała całą rozmowę.

Kiedy zapalił światło, usiadła na łóżku, wystraszona.

— To ty powiedziałaś Berniemu, gdzie jest May, prawda? Wtedy, w gabinecie, podsłuchiłaś moją rozmowę, a potem wszystko mu powtórzyłaś.

— Bobby...

— Tak czy nie?

— Martwiłam się o nią. Myślałam, że...

— Muszę teraz wyjść i przemyśleć kilka spraw. Wrócę za godzinę, ale zanim to zrobię, masz stąd zniknąć.

— Nie rozumiem.

— Wynoś się. Spierdalaj. Zabierz ubranie, samochód i wszystko, co ci kiedykolwiek kupiłem. Na pewno nie wyszłaś jeszcze z wprawy, jeśli chodzi o rozwody. Zadzwoń do swojego adwokata; zrób, co chcesz, ale ma cię tu nie być, rozumiesz? Między nami wszystko skończone. Jak sama słusznie zauważyłaś, po prostu się nie nadajesz.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

May i David leżeli na prześcieradle: nadzy, wyczerpani, spleceni w objęciach. Dotąd spali w oddzielnych pokojach, ograniczając się jedynie do przelotnych pocałunków, ale tego dnia Geneva pojechała na noc do znajomych w Wingo, więc zostali sami, jeśli nie liczyć Belli oraz ludzi Tyrone'a, na zmianę pilnujących ogiera w szopie.

Po obiedzie jak zwykle długo rozmawiali, a potem wybrali się na spacer. Kiedy wrócili, poszli prosto do łóżka i kochali się namiętnie, nie zważając na to, co może usłyszeć w swojej sypialni służąca. Wreszcie May zasnęła z głową na piersi Showersa, z udem między jego kolanami.

On także drzemał, ale budził się co chwila, nękany ciągle tymi samymi sennymi koszmarami: wizją umierającej w bezruchu Vicky Clay i twarzą człowieka, do którego strzelał w lesie. Wtedy wsłuchiwał się niespokojnie w odgłosy nocy: pohukiwanie sowy, warkot przejeżdżającego niedaleko samochodu, bzyczenie owadów, miarowy oddech May. W pokoju było niemal zupełnie ciemno, nieliczne gwiazdy i schowany za chmurami księżyc dawały niewiele światła.

Na nocnym stoliku leżał pistolet. Od przyjazdu do miasteczka Showers nie rozstawał się z nim nawet na chwilę.

Nagle usiadł na łóżku, cały spocony. Spojrzał na zegarek.

— May, obudź się!

W odpowiedzi coś wymamrotała, ale spała dalej.

— May! — potrząsnął ją za ramię.

Wreszcie zareagowała.

— Co się stało?

— Chcę jechać. Teraz.

— Jechać? Dokąd?

— Oddać konia.

— Jak to? — przecierała oczy.

— Zawieziemy go do Neda Haneya, wiesz, tego, który prowadzi dom aukcyjny. Jeśli tak bardzo im zależy, proszę bardzo, niech sobie biorą. Chcę z tym skończyć raz na zawsze.

— Ale dlaczego, Davidzie?

— Bo to nieważne. Becky i Selma nie żyją, Alixe leży w szpitalu, a my ukrywamy się tutaj. Jak długo można tak żyć? A wszystko przez tego cholernego konia. Wreszcie zrozumiałem, na czym mi naprawdę zależy. Na tobie, May. Reszta jest naprawdę nieważna.

— Dobrze, Davidzie... — objęła go mocniej. — Ale zróbmy to rano.

— Nie. — Wyzwoliwszy się z objęć May, Showers wstał. — Teraz. Zrobimy to jeszcze tej nocy. Ubieraj się i zadzwoń do Tyrone'a. Niech przyprowadzi jakąś ciężarówkę.

Kiedy rozmawiała przez telefon, umył zęby i ogolił się. Teraz, kiedy się zdecydował, nie chciał tracić więcej czasu.

— Spróbuje coś wynająć przy autostradzie — oznajmiła, odkładając słuchawkę. — Obiecał, że przyjedzie tak szybko, jak tylko będzie mógł, chociaż najwyraźniej uważa nas za szaleńców.

— I ma rację. Chyba naprawdę musiałem stracić rozum.

Czekając na samochód, wypili po filiżance kawy. Żadne z nich nie miało ochoty na śniadanie.

— A co z moją matką?

— Tyrone wszystko jej wyjaśni. Zresztą później sama będziesz mogła tu zadzwonić.

Na podjeździe do domu zamigotały reflektory.

— Już przyjechał? — zdziwiła się May.

Kiedy kierowca wyłączył silnik, usłyszeli charakterystyczny trzask otwieranych drzwiczek. Jedne, drugie, trzecie. To wcale nie była ciężarówka.

Kapitan odstawił filiżankę. Zgasił światło w kuchni, a potem złapał May za rękę.

— Szybko. Wyjdziemy tyłem.

— Co takiego?

— Pospiesz się.

Wybiegli na dwór, ale zapomnieli przytrzymać drzwi, które zatrzasnęły się głośno. Co za idiota ze mnie, zaklął Showers. Ledwie

zdążyli schować się za krzakami, usłyszeli tupot kroków, a potem zobaczyli jakąś postać. Kiedy intruz wszedł do domu, kapitan szepnął:

— Teraz!

Trzymając się cienia, pobiegli w stronę szopy. W tym momencie w jej wrotach stanął jeden z ludzi Tyrone'a, ubrany w robocze spodnie khaki i podkoszulek bez rękawów. W rękę trzymał strzelbę.

— Na ziemię! — krzyknął do niego Showers.

Ale mężczyzna zrobił tylko krok do przodu, zaintrygowany, co się dzieje w domku. Zanim zdążył wycelować, kula trafiła go prosto w pierś.

Strzelba upadła kilka metrów od ciała. Kapitan potoczył się po ziemi, podniósł broń i wypalił, prawie na oślep. Mimo to po chwili usłyszał jęk jednego z napastników.

Przez następne sekundy nic się nie działo. Zaczął biec, ale nikt do niego nie strzelał. Kiedy dotarł do szopy, obejrzał się. W oddali zamigotały światła jeszcze jednego samochodu.

Aktorka założyła gniaadoszowi uzdę.

— Zostaw tego cholernego konia! Musimy uciekać.

— Nie, Davidzie. Przyjechali, żeby go zabić, tak samo jak i nas.

Niestety, tylne drzwi szopy okazały się zbyt wąskie, aby przepchnąć przez nie ogiera. Nie mieli jednak wyboru.

— Szybciej!

Kule uderzyły w drewniane ściany, zasypując wewnątrz odłamkami. Showers chwycił wiszący na ścianie bat i z całej siły uderzył zwierzę w zad: raz, drugi, trzeci. W końcu framuga puściła. May z trudem utrzymała uzdę, kiedy koń stanął na tylnych nogach. Potem pociągnęła gniaadosza w krzaki, ale ku zdumieniu kapitana zamiast pod górę ruszyła w lewo.

Dogonił ją.

— Dokąd idziesz?

— Tam jest ścieżka, którą dotrzemy do kopalni. Tylko miejscowi wiedzą, gdzie się zaczyna.

Wąska droga prowadziła raz pod górę, raz w dół. Mozolnie omijały wielkie głązy i pokonywali zwalone drzewa. W pewnym momencie Showers został z tyłu, nasłuchując odgłosów pościgu.

W oddali szczekały psy, szosą w dolinie jechał jakiś samochód, ale prześladowcy zgubili chyba trop. Tymczasem w wielu domach zapaliły się światła.

— Powinniśmy zatelefonować — powiedział, kiedy znowu dogonił May.

Zatrzymała się na chwilę, kręcąc głową.

— Tylko niepotrzebnie kogoś narazimy. Do rana przeczekamy w kopalni. Wkrótce muszą stąd odjechać. Strzelanina zaalarmowała całe miasteczko.

Showers dotknął boku konia. Był cały zakrwawiony, pewnie od przeciskania się przez drzwi szopy.

— Zgoda.

Drewnianym mostkiem przeszli nad szosą, a potem wspięli się na przeciwległe wzgórze. W pewnym momencie ścieżka dotarła do drogi, którą wybrali się na spacer pierwszego dnia. Tuż przed szczytem ogier zaczął dyszeć ze zmęczenia.

Jednak zardzewiały łańcuch na bramie kopalni okazał się całkiem mocny. Kapitan uderzył w niego ciężkim kamieniem — ale narobił tylko hałasu, który rozniósł się echem po całej dolinie.

— Trudno, muszę użyć pistoletu.

Miał jedynie nadzieję, że samo echo nie wystarczy, aby zlokalizować miejsce wystrzału.

Kłódka rozpadła się na kawałki. Weszli do środka, a potem zamknęli za sobą bramę. May wyciągnęła zapalniczkę. Zakastała. W kopalni było o wiele zimniej niż na powierzchni.

— Wchodziłaś tu kiedykolwiek? — zapytał.

— Tak, przed laty. Niestety, niewiele pamiętam. Ale uważaj: tii i ówdzie są boczne szyby, a jeden z nich opada pionowo w dół. Kiedyś znajdowała się w nim winda.

— Daj mi rękę. I zapalniczkę. Musimy oszczędzać gaz.

Ruszyli naprzód: mężczyzna, kobieta oraz koń. Showers zapalał na chwilę małeńki płomień, a potem robił kilka kroków w ciemnościach. Powtarzał ten rytuał, dopóki nie dotarli do pierwszego rozgałęzienia.

W prawo i w lewo odchodziły boczne tunele.

— Którędy do windy?

— Chyba w prawo. Nie jestem pewna. Zresztą może to jeszcze nie tutaj?

Podniósł kawałek węgla i cisnął go przed siebie. Po chwili bryłka uderzyła w twarde podłoże. Ruszyli dalej, ale kilkanaście metrów dalej odgłos kroków jakby się zmienił. Showers przystanął, zaniepokojony.

W coraz słabszym świetle zapalniczki zobaczył drewniany stempel, a za nim czarną otchłań. Rzucił jeszcze jedną bryłkę. Tym razem długo nie słyszeli nic, aż wreszcie rozległ się plusk.

— Jesteśmy w szybie windy — powiedział. — Musimy się cofnąć.

Koń bezskutecznie próbował zawrócić w ciasnym korytarzu, ale w końcu May zdołała wyprowadzić go tyłem. Minęli skrzyżowanie i weszli w lewy tunel.

— Pójdziemy tak daleko, jak się da, a przynajmniej do najbliższego zakrętu — zaproponował. — Przecież nie mogą przeszukać całej kopalni.

— Wątpię, żeby w ogóle próbowali. Nie mają czasu. Kiedy Tyrone wróci, postawi na nogi wszystkich sąsiadów.

Poruszali się po omacku, dotykając rękami śliskich ścian. Wreszcie May zapytała:

— Może już starczy?

— Dobrze.

Wyciągnął zapalniczkę. W słabym świetle zobaczył wystraszoną, zabrudzoną węglem twarz aktorki. Pochylił się, chcąc ją pocałować, ale po chwili płomień zgasł na dobre. Usiedli na ziemi. Zerknął na fosforyzujące wskazówki zegarka. Na powierzchni zaczynało świtać.

Ogier poruszył się niespokojnie. May wypuściła na chwilę uzdę z dłoni.

— Kochasz mnie, Davidzie?

— Tak.

— Powiedz to sam.

— Kocham cię.

— Nienawidzę ciemności. Zaczynam mieć klaustrofobię.

Przytulił ją.

— Pewnego dnia będziemy opowiadać naszym wnukom, jak spędziliśmy noc w kopalni, uciekając przed zbirami, którzy chcieli nas zabić.

— Pocałuj mnie, Davidzie.

Kiedy to zrobił, oparła głowę na jego ramieniu.

— Ja też cię kocham. W końcu zrozumiałam, co naprawdę znaczy miłość.

Zamilkła. Showers spojrział na zegarek. Czas płynął tak niemiłosiernie wolno... Każda minuta wydawała się wiecznością. Wkrótce May zasnęła. On sam także zaczynał drzemać.

Nagle coś go obudziło. Jakieś głosy. Odległe, ale wyraźne. Trzech ludzi, rozwścieczonych i zdyszanych.

Delikatnie uwolnił się z objęć aktorki, wyciągnął pistolet zza pasa, minął konia i ruszył w kierunku wyjścia z kopalni. Kiedy dotarł do skrzyżowania z głównym tunelem, zobaczył światła latarek.

Ostrożnie wychylił głowę zza rogu.

Stali przy wejściu, niezdecydowani. Ciemnoszare niebo nad ich głowami robiło się coraz jaśniejsze.

— Na pewno weszli do środka — przekonywał pozostałych jeden z mężczyzn. — Kłódka była przestrzelona. Popatrzcie! Ślady podków.

— Rozwalili Franka pierwszą kulką...

— Chcesz iść pierwszy?

Cisza.

— Pójdziemy wszyscy razem. Trzeba to szybko załatwić i wracać.

Nagle kapitan usłyszał za plecami jakiś hałas i ze zdumieniem zorientował się, że to ogier! Zaniepokojony głosami nieznajomych, musiał wyciągnąć uzdę z ręki śpiącej May, a teraz powoli truchtał korytarzem w stronę wyjścia. Showers chciał go złapać, ale w ciemnościach źle obliczył odległość i potknął się, a potem upadł. Próbował jeszcze wstać, aby naprawić swój błąd, ale było już za późno. Koń, coraz bardziej wystraszony gwałtownymi ruchami, zarżał i popędził przed siebie.

Kapitan zaklął bezsilnie. Teraz zginą wszyscy.

Trzej mężczyźni zobaczyli galopujące zwierzę i bez namysłu otworzyli ogień. Korytarz zatrząśnięty od huku wystrzałów, a ogier, rozrywany kolejnymi kulami, uderzył o ścianę, stanął na tylnych nogach, a potem przewrócił się bezwładnie na bok, rżąc w agonii. Po chwili potężne cielsko znieruchomiało.

W tym momencie Showers poczuł, że ktoś go dotyka. May. Cała się trzęsła. Objął ją, dając znak, żeby nic nie mówiła.

Zapadła cisza. Kiedy wreszcie opadły kłęby dymu i pyłu, trzej mężczyźni nadal stali tam gdzie przedtem.

— Nie rusza się — powiedział jeden.

— Może po prostu zostawili go w kopalni, a sami uciekli dalej...

— Chyba nie zamierzamy tego sprawdzać, co?

— Chcę tylko wiedzieć — czy to na pewno właściwy koń. Przeprowadź Bonninga.

A więc będzie ich czterech. Showers nie pamiętał, ile zostało mu naboju w magazynku. Chyba strzelił tylko raz, w kłódkę...

Poczekaj, aż przyjdą, a potem zabije tyłu, ilu zdoła. Nic więcej nie mógł zrobić.

Tymczasem oni podeszli do martwego ogiera, oświetlając go latarkami.

— Nie żyje.

— Chyba ten... Ma białą gwiazdkę na czole.

W wejściu do kopalni pojawił się Billy. Ukląkł koło zwierzęcia.

— Musieliście od razu zabijać?

— Mieliśmy się go przecież pozbyć, zapomniałeś? Nie gadaj, tylko sprawdź, czy wszystko się zgadza.

Bonning obejrzał łeb ogiera. Szuka numeru na wardze, domyślił się Showers.

— Tak, to on.

— Jesteś pewien?

— Oczywiście.

Wtedy jeden z mężczyzn podniósł pistolet i strzelił Billy'emu w tył głowy.

— Nareszcie załatwione.

— Zabierajmy się stąd.

— Nie tak szybko. Nie powinniśmy zostawiać żadnych śladów.

— Przecież nie wykopimy im grobu.

— Możemy wszystko podpalić.

— Zwariowałeś? W powietrzu jest pełno pyłu węglowego.

— W samochodzie mamy kilka ładunków. Możemy zdetonować je przy wejściu.

— Po co, durniu? Dookoła mieszkają sami górnicy. Bez trudu dostaną się do środka.

— Więc oblejemy ciała benzyną, a potem podłożymy pod nie ładunki. To powinno wystarczyć.

— A jeśli dziewczyna i ten facet są w środku?

— Wtedy zostaną tam na zawsze. No dobra, nie traćmy czasu. Idź i przynieś wszystko.

Co robić, zastanawiał się nerwowo Showers. Strzelać? Ale czy zdoła trafić choć jednego z nich?

— May — szepnął — czy jest stąd jakieś inne wyjście?

— Boże, nie wiem. — Była bliska paniki.

Jeszcze raz wyrzął zza rogu. Za chwilę w środku zostanie ich tylko dwóch. Spróbuje podejść jak najbliżej. Może zabije obu, a może sam zginie. Ale przynajmniej da szansę May.

Zrobił krok do przodu i zawadził butem o kawałek węgla. Słyszac hałas, jeden z mężczyzn ostrożnie ruszył w głąb korytarza. Showers cofnął się i przywarł do ściany, ukryty w bocznym tunelu. Oczekał, aż przeciwnik go minie, a wtedy cisnął kilka bryłek do odgałęzienia po przeciwnej stronie. Mężczyzna, zupełnie zaskoczony, odruchowo rzucił się w kierunku domnianego wroga i wpadł do szybu windy.

Dwaj pozostali, słyszac rozpaczliwy krzyk towarzysza, pobiegli w jego stronę. Ale w tym momencie na zewnątrz rozległy się strzały, więc zawrócili do wyjścia, zdezorientowani. Jeden dostał niemal od razu. Showers usłyszał głos Tyrone'a:

— Poddajcie się, sukinsyny!

W odpowiedzi człowiek w korytarzu opróżnił cały magazynek, a potem schował się głębiej, aby raz jeszcze załadować broń. Doskonale wiedział, że zginie, ale wciąż mógł kogoś zabić, zanim to nastąpi. Więc kiedy ludzie Tyrone'a odwrócili jego uwagę ogniem, Showers nie wahał się ani chwili dłużej. Wyskoczył ze swojej kryjówki, raz za razem naciskając spust.

Kiedy wracali z kopalni, wschodzące właśnie słońce oświetlało na czerwono budynki, twarze i liście na drzewach.

Przed domem Genevy zobaczyli kilka samochodów. Dwudziestu ubranych po cywilnemu mężczyzn wycelowało pistolety i karabiny w nadjeżdżającą ciężarówkę.

— Zostaliście otoczeni przez FBI! Rzućcie broń i nie stawiajcie oporu! — rozległ się głos z megafonu.

Tyrone zatrzymał się i wysiadł z kabiny.

— Nazywam się Tyrone McPhee — oznajmił, wyciągając oznakę. — Jestem tutejszym konstabłem, a to są moi ludzie. O co chodzi?

Jeden z mężczyzn w garniturach opuścił broń.

— Agent Anderson, Federalne Biuro Śledcze. Szukamy panny May Moody i Davida Spencera Showersa.

— No cóż, siedzą tam — odparł Tyrone, wskazując ciężarówkę — ale niewiele brakowało... Chyba się trochę spóźniłście, chłopcy.

Moody siedział w samochodzie, obserwując limuzyny i taksówki podjeżdżające pod Hay-Adams. Pierwszy pojawił się rolls-royce Berniego. Razem z Blochem wysiadł z niego jeszcze jeden mężczyzna. Chwilę potem taksówka przywiozła Reidy'ego.

Odczekał jeszcze kilka minut, a potem ruszył w stronę wejścia.

Apartament, w którym mieli się spotkać, znajdował się na ostatnim piętrze, na rogu budynku. Moody był tam kilka razy, kiedyś nawet spędził noc z pewną kobietą. Z okien rozciągała się wspaniała panorama centrum Waszyngtonu.

Nacisnął dzwonek i stanął w zasięgu wizjera. Drzwi otworzył Bloch.

— Spóźniłeś się.

— Musiałem spaść na chwilę do Białego Domu. Nie zapominaj, że jestem odpowiedzialny za politykę zagraniczną tego kraju.

— Chyba coś już o tym słyszałem... Nie zajmujemy ci zbyt wiele czasu.

Weszli do salonu. Reidy siedział w fotelu, zdenerwowany. Maska wyszukanej uprzejmości gdzieś zniknęła. Po drugiej stronie, na sofie, ujrzał Lynwooda Fairbrothera. On także nie robił wrażenia zachwyconego całą sytuacją. Poza nimi w pokoju nie było nikogo. Na stole stał serwis do kawy.

— Jesteś pewien, że możemy tu bezpiecznie rozmawiać? — zapytał Moody, zajmując wolny fotel. Gestem podziękował za kawę.

— Tak jak mówiłem — odparł Bloch — z pozoru wszystko wygląda na małe śniadanko w interesach. Hay-Adams żyje z takich spotkań.

— Co on tu robi? — Moody wskazał Fairbrothera. Pytanie zabrzmiało jak policzek.

— Chciałeś zobaczyć republikanina. Chyba trudno o lepszy wybór.

— Czy wie pan, po co się tu zebraliśmy, panie Fairbrother?

— Żeby porozmawiać na temat paktu.

— Rzecz jasna, nieoficjalnie — wtrącił się Bloch.

— Powiedziano mi, że chce pan znać moje zdanie w tej sprawie — ciągnął dalej Lynwood. — Tak się składa, że mam poważne zastrzeżenia. Uważam, że wprowadzenie w życie ustaleń paktu zaszkodzi amerykańskiej gospodarce.

— Czy wspiera pan działania pana Blocha?

— Nie rozumiem.

— Próbuję tylko ustalić, jak liczna jest opozycja. Nie dam się

wyprowadzić w pole. Będę z wami współpracował tylko wtedy, jeśli pakt naprawdę nie ma szans.

— Zapewniam, panie Moody, że wyrażamy poglądy niemal wszystkich biznesmenów i przemysłowców.

— A jakie jest stanowisko partii republikańskiej?

— Uważamy, że prezydent popełnia błąd. Od samego początku bezskutecznie próbowaliśmy dać mu to zrozumienia. Jeśli to jeszcze możliwe, proponujemy w ogóle wycofać się z paktu, a jeśli nie, złagodzić jego ustalenia tak, aby nic nie znaczyły.

— I wspieracie swoje propozycje napływem świeżej gotówki na Kapitol?

— To prawda, ponieśliśmy pewne wydatki, jak zwykle zresztą w takich sytuacjach.

Reidy poruszył się niespokojnie.

— W porządku, rozumiem. — Moody pokiwał głową. — Jeśli taki filar republikańców jak pan zaangażował się osobiście, chyba rzeczywiście nie powinienem się dłużej zastanawiać.

— Wyraziłem tylko własne zdanie na ten temat, ale jest wielu, bardzo wielu, którzy myślą podobnie. Prezydent musi to wreszcie zrozumieć.

— Oczywiście — odezwał się Bloch. — Dziękujemy za przybycie, panie Fairbrother. Był pan bardzo pomocny.

— To wszystko? Myślałem...

— Chcieliśmy tylko, żeby pan Moody usłyszał wszystko osobiście od pana. Teraz już rozumie... Do zobaczenia na wyścigach.

Lynwood wstał i zmarszczył brwi.

— Jak sobie życzycie, panowie. — Wyszedł, starannie zamykając za sobą drzwi.

Reidy pochylił się w stronę Moody'ego i dolał sobie kawy.

— Więc jak będzie, Bobby?

— To już chyba ty mi powiesz.

— Podobno Bernie wtajemniczył cię w naszą... hmm, strategię legislacyjną.

— Strategię? Jeśli ratyfikujecie pakt, a potem uniemożliwicie wprowadzenie go w życie, prezydent będzie skończony jako polityk.

— Od samego początku dobrze wiedziałeś, że pakt nie miał żadnych szans.

— Nie, nie wiedziałem. Dopiero teraz zaczynam to rozumieć. Szczególnie od kiedy zaczęliście napełniać kieszenie kongresmanów.

— Więc czego chcesz?

— Przede wszystkim muszę się upewnić, na ile nieunikniona jest przegrana. Ilu członków tego szacownego gremium zdołaliście przekupić?

— Siedmiu — odezwał się Bloch.

— Siedmiu? I uważacie, że pakt nie ma żadnych szans?

— W Senacie to wystarczy, Bobby. Kilkunastu kolejnych rozumie nasz punkt widzenia. Nie zapominaj też o tych, którzy niezależnie od wszystkiego powiedzieliby: nie.

— Nie ma o czym gadać, sprawa jest przesądzona — podsumował Reidy. — Więc jak, idziesz z nami, czy nie?

— Czy mogę dostać trochę kawy? — zapytał Moody. W odpowiedzi Bernie napełnił filiżankę.

— Musisz się zdecydować — nie ustępował Reidy. — Albo staniesz po naszej stronie i też na tym skorzystasz, albo spadniesz ze stołka razem z prezydentem.

— To zależy.

— Od czego? Przecież zagwarantowałem twoją nominację. Nie myśl, że wszystko poszło tak łatwo. Niektórym senatorom z komisji nie podoba się twój styl pracy. Krótko mówiąc, uważają cię za nieokrzesanego prostaka. Gdyby nie to, że doprowadziłeś do ratyfikacji paktu przez Japończyków, nie wiem, czy dałbym radę.

— Czy Japończycy też zapłacili?

Bloch uśmiechnął się.

— Nikt ich nie prosił. Ale na pewno byliby skłonni chronić swoje inwestycje.

— Zważywszy, co dla ciebie zrobiłem — mówił dalej Reidy — nie powinieneś narzekać.

— Być może — odparł Moody — ale sekretarze stanu przychodzą i odchodzą. Zbliżają się wybory, więc czas pomyśleć o przyszłości, senatorze. To poważna sprawa. Moje milczenie wiele dla was znaczy. Chyba powinniście bardziej o mnie dbać. Tymczasem Bernie wspominał ostatnio o bardzo nieprzyjemnych rzeczach, które miałyby przytrafić się mojej córce. A ja nie lubię, kiedy się mnie straszy, rozumiecie? W sumie jesteście mi jeszcze sporo winni.

— Czego chcesz, Bobby?

— A co proponujecie?

Bloch zapalił cygaro.

— Jeśli pakt upadnie, sporo akcji pójdzie w górę. Weźmy na przykład jedną z moich fabryk. Wczoraj notowano ją po czternaście i jedną czwartą, o dziewięć punktów mniej niż tegoroczne maksimum. Przewiduję, że po głosowaniu cena szybko dojdzie do co najmniej trzydziestu.

— Bernie, jestem wyższym urzędnikiem państwowym. Nie wolno mi grać na giełdzie.

— Tobie nie, ale ludziom, którzy zarządzają twoimi pieniędzmi — tak. Udzielę im odpowiednich wskazówek. Zresztą, do diabła, przecież sam mogę dokonać transakcji. Wystarczy wstawić fikcyjne daty na dokumentach. Nie musisz dawać żadnych pieniędzy z góry, a kiedy odejdziesz z rządu, będziesz zdumiony, jak cholernie stałeś się bogaty.

— Konkretnie, jaką sumę masz na myśli?

— Nie wiem. Siedmio-, może nawet ośmiocyfrową. Jak już sam zauważyłeś, to zależy.

Moody zwrócił się do Reidy'ego:

— A ty? Zgadzasz się?

— Wciągnę cię na moją „listę płac” z prawdziwą przyjemnością, Bobby.

— Świetnie. Co jeszcze proponujecie?

— Jak to, co jeszcze?

— Ja pierwszy zadałem to pytanie.

— Czyżbyś był aż taki chciwy?

— Chcę tylko wiedzieć, jak daleko sięga wasza determinacja.

Reidy westchnął.

— Chyba nie sądzisz, że robię to dla pieniędzy. Odrzucenie paktu oznacza klęskę twojego obecnego szefa. Od dawna postawił wszystko na jedną kartę, więc w następnych wyborach nie będzie miał żadnych szans, a partia zacznie gorączkowo szukać innego kandydata.

— Czyli ciebie?

— Ostatnim razem zająłem drugie miejsce.

— Ale nie dostałeś zbyt wielu głosów.

— Dla równowagi na stanowisko wiceprezydenta potrzebuję kogoś niekatolika ze Wschodu. Wszystko mi jedno, kto nim zostanie, więc nie miałbym nic przeciwko byłemu gubernatorowi Marylandu.

— Mam traktować twoje słowa jak obietnicę?

— W walce o prezydenturę nie ma żadnych obietnic, dobrze o tym wiesz. Wygrywa najsilniejszy albo najsprytniejszy. A tobie nie brakuje ani sprytu, ani siły.

— Jesteś usatysfakcjonowany? — zapytał Bloch.

— Nie, Bernie. Najpierw muszę zobaczyć May. Kiedy sprawisz mi tę przyjemność?

— Zadzwoń, gdzie trzeba, a teraz czekam na odpowiedź.

— Więc zadzwoń jeszcze raz. I to szybko.

— W porządku, nie denerwuj się.

Moody dopił kawę i wstał.

— Muszę się odlać. Pozwolicie, że skorzystam z ubikacji?

— Musisz przejść przez sypialnię — odezwał się Reidy.

Ale klamka ani drgnęła.

— Cholera, zamknięte.

— Wynajęliśmy to tylko na godzinę — powiedział Bloch — wiec pewnie nie sądzili, że będziemy jej potrzebować.

— Pójdę poszukać pokojówki — oznajmił Moody.

— Nie możesz się wstrzymać? Już prawie skończyliśmy.

— I co, mam potem sikać pod drzewem w parku? Zaraz wracam.

— Wychodząc, zostawił drzwi otwarte na oścież.

Pokojówka roznosiła właśnie ręczniki do innych pokoiów na piętrze. Zagadnął ją głośno, tak aby usłyszeli go Bloch i Reidy:

— Nie możemy się dostać do łazienki. Ma pani klucz?

Odparła z hiszpańskim akcentem:

— Przepraszam, sir. Nie rozumiem po angielsku.

— Łazienka. Potrzebuję łazienki. Czy mogę skorzystać z którejś innej?

Wzruszyła ramionami.

Wszedł do sąsiedniego apartamentu i zamknął za sobą drzwi. W środku było pełno mężczyzn w kuloodpornych kamizelkach z napisem FBI.

— Wszystko nagraliście? — zapytał.

Zamiast odpowiedzi dowodzący operacją agent wskazał ręką czarno-biały monitor, stojący na magnetowidzie. Bloch gdzieś dzwonił, a Reidy nerwowo przemierzał pokój. Cyfry w prawym górnym rogu pokazywały datę i czas.

— A moja córka?

— Właśnie otrzymaliśmy wiadomość. Nic jej już nie grozi.

— Dobra, bierzcie ich.

Agenci wyciągnęli pistolety i wybiegli z pokoju. Moody stanął przed ekranem, delektując się zaskoczeniem na twarzy Blocha. Reidy bezsilnie uderzył głową w ścianę. Po chwili w ruch poszły kajdanki. Niezbyt godny koniec, ale trudno. Za to dziennikarze się ucieszą. Cóż za wdzięczny temat do wieczornych wiadomości. Na wiele, wiele tygodni.

Moody miał tylko nadzieję, że lekcja nie pójdzie na marne.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Pewnego letniego popołudnia na główną ulicę w Dandytown wjechał niezwykle konwój: samochód policji stanowej z Wirginii Zachodniej, trzy rządowe limuzyny oraz stara ciężarówka-chłodnia do przewozu piwa, wypożyczona przez Genewę od zaprzyjaźnionej firmy w Wingo. Na schodach budynku sądu czekała na przybyszy grupka ludzi: Jack Spencer, Wayne Bensinger i kilku zastępców szeryfa. Cooke nie wyszedł ze swojego biura, chociaż poinformowano go przez radio o przyjeździe agentów FBI.

Ubrudzone węglem i krwią ubranie kapitana nie prezentowało się najlepiej, podobnie zresztą jak potargane włosy May. Objęła Showersa, niepewnie rozglądając się dookoła. Spencer wyciągnął rękę na powitanie:

— Mało brakowało, co? Mam nadzieję, że wszystko w porządku.

— Już nigdy nie dam nikomu powiedzieć złego słowa o tamtejszych góralach.

— Twój Kanadyjczyk przyjeżdża jutro. Rozpoznał konia na zdjęciach, ale chce się przekonać na własne oczy.

— Niestety, nie przywożę dobrych wieści. — Showers wskazał ciężarówkę. — Ogier jest tam. Martwy. Podziurawili go jak sito. Coś okropnego.

— No cóż, sami skończyli podobnie.

— To prawda.

— Podobno osobiście zabiłeś jednego z nich...

— Mylisz się. Trzech.

Przez chwilę stali bez słowa.

— Przepraszam, kapitanie — odezwał się Bensinger — ale musimy załatwić pewne formalności.

— Oczywiście.

Na drzwiach sali sądowej znajdowała się tabliczka z nazwiskiem sędziego: THOMAS H.MERRICK. Kiedy Showers i May weszli do środka, Bensinger pospieszył do gabinetu swojego szefa. Prokurator okręgowy siedział za biurkiem, zmęczony, bez krawata na szyi.

— Już tu są.

— Wiem.

— Wciąż nie chce pan zrezygnować?

— Nie mogę. Szeryf nie wycofa zarzutów, przynajmniej dopóki Lynwood Fairbrother nie odwoła zeznań.

— A gdzie on teraz jest?

Prokurator wzruszył ramionami.

— W Waszyngtonie. Podobno sam ma jakieś kłopoty.

— Będzie pan oskarżał osobiście?

— Ty to zrób, Wayne. Znasz całą sprawę o wiele lepiej niż ja. Zresztą mam już tego dość. Wychodzę. Muszę wreszcie odpocząć.

Termin przesłuchania wstępnego został wyznaczony zaledwie przed kilkoma godzinami, kiedy FBI powiadomiło władze hrabstwa Banastre o aresztowaniu Showersa i aktorki. Kiedy pomocnik szeryfa odczytał oskarżenie, Bensinger wstał.

— Jeśli Wysoki Sąd pozwoli — zaczął — prokuratura chciałaby dołączyć do akt dwa dokumenty, bezpośrednio związane z dokonany przestępstwem.

— Proszę kontynuować — odparł sędzia. Miał ponad osiemdziesiąt lat, ale wciąż był pełen wigoru.

— Pierwszy z nich to zeznanie złożone dziś rano pod przysięgą przez obecną tu pannę May Moody. Dotyczy ono oskarżonego, Davida Spencera Showersa, a ściślej miejsca jego pobytu w czasie, w którym popełniono morderstwo. Panna Moody oświadczyła, że przez cały dzień nie rozstawała się z kapitanem Showersem nawet na chwilę.

— Sąd włącza zeznanie do akt sprawy. — Merrick wziął dokument do ręki i zaczął go przeglądać.

— Przedstawimy teraz ekspertyzę Charlesa Andersona, agenta Federalnego Biura Śledczego, dotyczącą ładunku wybuchowego, który został zabezpieczony dziś rano podczas czynności służbowych prowadzonych przez pracowników Biura w Wirginii Zachodniej. Agent Anderson stwierdził znaczne podobieństwo odnalezionego ładunku do

tego, którego wybuch w pojeździe należącym do oskarżonego Showersa spowodował śmierć Rebeki Bonning oraz obrażenia, których doznała panna Alixe Percy.

— Sąd włącza ekspertyzę do akt sprawy.

Merrick spojrzął w głąb sali. Szeryf Cooke siedział w pierwszym rzędzie widowni, z niezwykłym zainteresowaniem oglądając czubki swoich butów.

— Czy oskarżenie chce jeszcze coś dodać?

— Nie, Wysoki Sądzie.

— Doskonale. — Sędzia odwrócił się do Showersa. — Czy ma pan obrońcę, kapitanie?

— Nie, Wysoki Sądzie.

— I tak nie będzie panu potrzebny. Sąd wyda teraz wyrok. — Merrick uderzył młotkiem. — Powództwo zostaje oddalone z braku dowodów! Jest pan wolny, kapitanie Showers. Szeryfie, proszę się zbliżyć.

Cooke wstał. Miał wyjątkowo nieszczęśliwą minę.

— Słucham, Wysoki Sądzie?

— Powiem panu tylko jedno słowo. Niech pan je powtórzy Lynwoodowi Fairbrotherowi. Listopad!

— Listopad?

— Jak rozumiem, właśnie wtedy odbędą się wybory szeryfa. Próbował pan oczernić dobre imię tego człowieka nie uzasadnionymi oskarżeniami. Nie zamierzam tolerować takich praktyk w naszym hrabstwie i dlatego przekażę stosowny raport do Richmond — oznajmił Merrick, podnosząc się z fotela. — Sąd ogłasza sprawę za zamkniętą.

Kiedy wyszli na dwór, May pocałowała Showersa.

— Wiesz, co czuję? — zapytała.

— Zapewne zmęczenie.

— To prawda, jestem zmęczona. Ale przede wszystkim szczęśliwa. Czuję, że mamy przed sobą wspaniałą przyszłość.

— Tak, May. Już niedługo.

— Powinniśmy już jechać, panno Moody — powiedział towarzyszący im agent FBI. — Mam rozkaz zawieźć panią do Waszyngtonu.

— Do mojego ojca, prawda?

— Otrzymałem instrukcje, aby dostarczyć panią do biura dyrektora agencji całą i zdrową. Nic więcej mi nie wiadomo.

May spojrzała na Showersa.

— Nie mogę mu teraz stawić czoła, Davidzie. Po prostu nie mogę.

— Panna Moody nie jest już aresztowana, prawda? — zapytał kapitan.

— Nie, sir. Złożyła stosowne zeznania.

— Więc dlaczego nie zawiezie jej pan prosto do domu, żeby odpoczęła? Z pewnością pan Moody nie miałby nic przeciwko temu.

— Oczywiście, sir, jeśli tylko wyrazi takie życzenie...

— Przecież właśnie je wyraziła.

Odprowadził ją do samochodu.

— Jednak musisz się kiedyś spotkać z ojcem — powiedział. — Na pewno martwi się o ciebie.

— Trochę za późno.

— Próbował nam pomóc. Weź to pod uwagę.

— Nawet nie chcę o nim myśleć, Davidzie. Nie jedziesz ze mną?

— Nie mogę. Jeszcze nie teraz. Muszę coś załatwić.

— Przyznaj, że po prostu trudno ci się oderwać od tego miejsca.

Uśmiechnął się. Miał jej tak wiele do powiedzenia...

— Jutro przyjeżdża Kanadyjczyk, a wieczorem będę u ciebie.

Wyśpij się.

— Nie zniosę samotności.

— Ja też.

— Weź ze sobą sporo rzeczy.

— Rzeczy?

— Ubrań. Chcę, żebyś został ze mną dłużej.

Pocałowała go namiętnie.

— Po namyśle stwierdzam, że zmieniłam zdanie — powiedziała, próbując się uśmiechnąć. — Nie musisz przywozić żadnych ubrań. Nie będą ci wcale potrzebne.

Zaśnie, zanim wjadą na autostradę, pomyślał.

— Do jutra, May.

Kiedy limuzyny odjechały, pojawił się Jack.

— Musimy dokończyć pewną sprawę, kuzynie.

— Chodźmy.

Wszystkie rzeczy osobiste Becky zostały odesłane do rodziny, ale magnetowid wciąż stał w domku, podobnie jak reszta mebli. Spencer położył na stole walizkę, którą przyniósł ze sobą.

— Nie chcesz się najpierw czegoś napić? To dosyć nieprzyjemne.

— Nie, dziękuję. Im szybciej zaczniemy, tym szybciej skończymy.

Jack wyjął z walizki dwie wideokasety i włożył jedną z nich do kieszeni magnetowidu. Po chwili na ekranie pojawiło się nagie ciało Vicky Clay siedzącej okrakiem na swojej kochance.

— Już to widziałem — odezwał się Showers. — A przynajmniej część.

— Zobacz resztę.

Kiedy wreszcie kapitan ujrzał twarz drugiej kobiety, jego zdziwienie nie miało granic.

Vicky kochała się z Lenore.

— Wystarczy — powiedział.

— Nie sądzę.

W tym momencie na ekranie pojawiła się naga Becky.

— Na miłość boską, Jack, nie możesz mi tego oszczędzić? Biedna dziewczyna nie żyje! Kto to w ogóle nagrał?

— Nie wiadomo. Może Billy, może sama Becky. Nie musisz tego oglądać, to prawda. Ale posłuchaj, o czym rozmawiają.

Vicky zaczęła się naśmiewać z Becky, że ta kocha się w Davidzie, ale nigdy z nim nie spała, bo jest zbyt mało atrakcyjna, aby kiedykolwiek poszedł z nią do łóżka. Obie z Lenore opowiadały o swoich intymnych kontaktach z Showersem, próbując przelicytować jedna drugą.

Dziennikarz nacisnął pauzę.

— Czy to prawda?

— Proszę cię, Jack.

— Jasne, że sypiałeś z Lenore. Ale nie wiedziałem, że kochałeś się także z Vicky.

— Tak. Tylko raz. Dawno temu.

— To chyba niezwykle uczucie być pożądanym przez takie trzy kobiety.

— Tylko dlatego, że wygrywałem wyścigi. Kiedy zwyciężasz, sam stajesz się nagrodą.

— Dla dziwek.

— Przestań.

— Oglądaj dalej.

Vicky, najwyraźniej pijana, zaczęła się przechwalać, że tej nocy znowu zaciągnie Davida do łóżka. Zaproponowała zakład: która z nich zrobi to pierwsza, wygrywa. Lenore odparła dumnie, że może mieć Showersa, kiedy i gdzie tylko zechce. Zaczęły się obrzucać wyzwiskami, aż wreszcie żona Fairbrothera ubrała się, a potem wyszła, stukając wysokimi obcasami o drewnianą podłogę.

— Wygrała? — zapytał Jack.

Kapitan przypomniał sobie nagą Lenore, klęczącą przed nim na trawniku tamtej nocy. Wreszcie zrozumiał, dlaczego była taka wściekła, kiedy odrzucił jej propozycję.

— Nie — odparł.

Vicky została sama z Becky. Wygram, oznajmiła, uśmiechając się figlarnie. Powiedziała, że wie coś, co zainteresuje Davida. Coś o gniadoszu, którego miał kupić na aukcji Bernie Bloch. Potem wymusiła na dziewczynie obietnicę, że Lenore o niczym się nie dowie.

Obie kobiety wstały z łóżka. Becky zniknęła w łazience, a Vicky wyszła z pokoju. Dalej na taśmie nic już nie było.

Spencer wyłączył magnetowid.

— Becky powiedziała mi wtedy o koniu — odezwał się Showers. — Tak się wszystko zaczęło.

— Rozmawiałeś tamtej nocy z Vicky?

— Nie. Prosiła, żebym to zrobił, ale splawiłem ją. Była tak naćpana, że z trudem trzymała się na nogach.

— A potem Becky wstrzyknęła jej etorfinę, być może dlatego, że Vicky chciała ci przeszkodzić w kupnie tego ogiera.

— Chyba zwariowałeś.

— Są dowody.

— Bzdura. Becky nigdy by nie zrobiła czegoś podobnego.

Dziennikarz włożył do magnetowidu drugą kasetę.

— Wspominałem ci o moim przyjacielu, który wrzucił do komputera zdjęcie przedstawiające zadrapania na plecach Meade'a?

— Tak. O ile pamiętam, niewiele z tego wynikło.

— Wręcz przeciwnie. To łebski facet. Opracowuje trajektorie naszych rakiet międzykontynentalnych.

Kiedy włączył taśmę, na ekranie telewizora ukazały się powiększone krwawe pręgi, piegi i znamiona. Chwilę później fotografię zastąpiły wygenerowane przez komputer linie.

— Wyizolował i uzupełnił najgłębsze spośród zadrapań, uzyskując to, co najprawdopodobniej Vicky próbowała wryć na plecach męża. Komputer przeanalizował miliony kombinacji i wyprodukował to. Patrz.

— Już mi mówiłeś...

— Po prostu patrz.

Stopniowo na ekranie powstały trzy litery: dwie pierwsze wyraźne, trzecia o wiele mniej.

— Widzisz? B, E oraz C. Trzecią literą mogło być także N albo R, ale komputer uważa, że C jest najbardziej prawdopodobne.

— A więc Becky, ale także Bernie. Bernie Bloch. Naprawdę, Jack, to nic nie znaczy.

— W biurze prokuratora uważali podobnie. I całe szczęście.

— Nie rozumiem.

— Facet od trajektorii nie poddał się tak łatwo. W końcu ustalił, że rysunek składał się z dwóch rodzajów zadrapań; jednych bardzo płytkich, drugich o wiele głębszych. Ale dziewczyna była przecież niemal zupełnie sparaliżowana, ledwo poruszała palcami. Mój przyjaciel zaczął więc podejrzewać, że kiedy Vicky napisała coś na plecach Meade'a, zobaczył to morderca, który przyszedł sprawdzić, czy Clayowie jeszcze żyją — a ponieważ nie mógł już usunąć zadrapań, więc wrył inne litery, dużo wyraźniejsze. Gdyby szeryf sprawdził paznokcie wszystkich obecnych wtedy w hotelu, znalazłby u kogoś ślady krwi Meade'a.

Złamany paznokieć. Ciemny prążek. Showers zaczynał rozumieć.

— Spójrz teraz. Tym razem komputer zostawił tylko najłżejsze zadrapania.

Na ekranie znowu pojawiły się trzy litery.

L—E—N.

— O Boże — wykrztusił wreszcie kapitan.

— Niewiele to pomoże nieszczęsnej Becky, ale jeśli połączyć fakty z obu taśm, można wyciągnąć bardzo ciekawe wnioski. Wprawdzie pójście z tym do tutejszego szeryfa nic nie da, ale myślę, że policja stanowa byłaby zainteresowana. Albo FBI, skoro już wmieszało się w sprawę dzięki interwencji tatusia twojej uroczej przyjaciółki.

Showers siedział bez ruchu.

— Jako żona właściciela hotelu miała dostęp do kluczy — ciągnął dziennikarz. — Może nawet własny komplet, zważywszy na jej oryginalne zainteresowania erotyczne... Jesteś zaskoczony, Davidzie?

Przecież sam chciałeś, żeby opowiedzieć ci wszystko, co zdołałem ustalić. Właśnie to zrobiłem.

— Wiem.

— Wśród wielu osób, do których wysłała mnie Alixe Percy, była także pani Fairbrother. Kiedy z nią rozmawiałem, kilkakrotnie zażartowała na temat żon, które zabijają swoich mężów tak, że nikt nigdy się o tym nie dowiaduje. Wtedy pomyślałem tylko, że ta kobieta ma szczególne poczucie humoru.

— Daj mi taśmy.

— Bensiger widział pierwszą z nich — odparł Spencer. — Sam ją wyciągnął z sejfu Alixe.

Kapitan bez słowa poszedł do kuchni.

— Dzwonisz na policję?

— Nie. Szukam jakiejś benzyny.

— Do diabła, Davidzie, chyba nie chcesz... Możesz jeszcze potrzebować tych kaset.

— Nie. Sam powiedziałeś, że nie pomożemy już Becky. Ani Vicky. A ja dam sobie radę bez nich.

— Posłuchaj, rozumiem, że kochałeś kiedyś Lenore, ale w końcu morderstwo to morderstwo. Cholera, przecież tak samo zabiła potem twojego konia, jak mu tam było... Moonsugar.

— Wiem. I nie robię tego w imię miłości do Lenore. Po prostu nie chcę żadnego procesu, przesłuchań, zeznań w sądzie i tak dalej. Zamierzam jutro wyjechać z Dandytown.

— Więc pozwolisz jej uniknąć kary tylko dlatego, że koliduje to z twoimi osobistymi planami?

— Tak, właśnie dlatego.

— Powinieneś przynajmniej powiedzieć o wszystkim Lynwoodowi Fairbrotherowi. Niech wie, z kim mieszka pod jednym dachem.

Showers ruszył w kierunku drzwi.

— Lenore sama udowadnia to aż nadto wyraźnie każdego dnia. Nie jestem zainteresowany dostarczaniem mu dogodnego pretekstu do rozwodu. Wolę, żeby nadal mężczyli się razem. Trudno chyba wymyślić lepszą karę dla obojga.

— Aż któregoś dnia ona wstrzyknie mu etorfinę?

— To już zmartwienie pana Fairbrothera, nie moje.

Kiedy znaleźli się na podwórzu, kapitan oblał taśmy benzyną i podpalił.

— Właśnie unicestwiłeś jeden ze wspaniałych artykułów, który chciałem napisać. Na szczęście w komputerze w biurze mam drugi, już prawie gotowy.

— O czym, Jack? — zapytał znużonym głosem Showers.

— Pamiętasz tego drania Napiera? Tego, który kłamał, że napisał memorandum? Prowadzi burdel dla gejów w Georgetown. Co więcej, prawdopodobnie utrzymuje go z pieniędzy Komitetu Narodowego. Wiem o wszystkim od twojego przyjaciela Jimmy'ego Kippa. Tym razem siedzą po uszy w gównie, Davidzie. Osobisty sekretarz Pierwszej Damy jest tam stałym klientem. Kipp zgodził się złożyć zeznanie pod przysięgą. Załatwimy całą administrację.

— Włącznie z ojcem May.

— Przecież to on wyrzucił cię z pracy.

— Nie zgadzam się.

— Mógłbyś wrócić do Departamentu Stanu. Nawet awansować.

— Nawet nie chcę o tym słyszeć. Powiedziałeś kiedyś, że nie wiesz, jak wynagrodzić mi szkody, które wyrządził twój artykuł w *Washington Post*. Otóż teraz właśnie masz okazję. Zostaw Napiera w spokoju.

— Z powodu Moody'ego?

— Tak. Nie zamierzam niszczyć własnego teścia.

Częściowo stopione pudełka kaset zaczęły wydzielać kłęby gryzącego dymu. Cofnęli się.

— Nie ma co, nie ułatwiasz mi kariery dziennikarskiej — zauważył z przekąsem Spencer.

— Skup się na wystawach i wernisażach. To o wiele pożyteczniejsza działalność.

— A historia sfałszowanego konia? Też już prawie napisana.

— Nie mam nic przeciwko temu, żebyś ją opublikował. Może powstrzymamy w ten sposób amatorów kolejnych oszustw.

— Dzięki.

— To ja dziękuję, Jack. Zrobiłeś dla mnie naprawdę bardzo dużo.

— Powinienem zadzwonić do Waszyngtonu. Wprawdzie nie pozwoliłeś mi mieszać się do wielkiej polityki, ale może zdołam jakoś przekonać szefa...

— Pospiesz się. Chcę odwiedzić Alixe.

— Ja też. Nigdy przedtem nie spotkałem tak niezwykłej kobiety. Showers został na podwórku, wpatrując się w oczyszczające płomie nie. Dzięki Bogu. Po Becky i Vicky zostaną tylko napisy na grobach.

Spencer wrócił szybciej, niż się sam spodziewał.

— Sensacja goni sensację — powiedział. — Ale tym razem to czysta sprawiedliwość.

— O czym ty mówisz?

— Ktoś — i pewnie nigdy się nie dowiemy, kto — wysadził w powietrze Berniego Blocha. Podłożył bombę do jego samochodu, w garażu. Była z nim jakaś blondynka. Nie mogli jej zidentyfikować.

Ostatni punkt codziennego rozkładu zajęć Moody'ego stanowiło zawsze „spotkanie z prezydentem, Gabinet Ovalny”. Tylko że ten dzień różnił się od wszystkich poprzednich.

Położył na biurku krótki, dwuzdaniowy list, a potem cofnął się na swoje miejsce. Przez chwilę prezydent patrzył ponuro na kartkę.

— „...ze skutkiem natychmiastowym” — przeczytał na głos. — Nie ma aż takiego pośpiechu, Bob. Odlóżmy wszystko o kilka dni, może nawet tygodni, jeśli zechcesz.

— Lepiej nie, sir. Jeśli mam to zrobić, najlepiej właśnie teraz. Byłbym tylko źródłem dodatkowych kłopotów, a i tak zapowiada się ich niemało.

— Usiądź, Bob. Proszę.

Moody zajął miejsce w fotelu. Nigdy przedtem nie czuł się aż tak nieswojo.

— Jesteś pewien, że twoja rezygnacja jest absolutnie konieczna?

— Tak, sir. Przyjaźniłem się z Blochem od bardzo dawna. Nie wiem, co mógł zrobić w moim imieniu. To samo dotyczy Reidy'ego. Gdybym został, miałby pan związane ręce.

— Czy już wiedziałeś, że zrezygnujesz, kiedy zgadzałeś się na tamto spotkanie?

— Tak, sir.

— Robercie, jesteś niezwykłym człowiekiem. Żaden prezydent nie miał tak oddanego współpracownika jak ja.

— Dziękuję, sir.

— I co teraz zrobisz?

— Jeszcze nie wiem, ale jakoś dam sobie radę. Na razie wyjadę z Waszyngtonu. Może trochę pojeżdżę po świecie, a może wrócę w rodzinne strony. Kto wie, może pewnego dnia wystartuję w wyborach do Senatu i znowu będę pana odwiedzał, sir, tym razem jako kongresman.

— Mam szczerą nadzieję, że tak się stanie.

— Dziękuję panu, sir. Za wszystko.

Ale prezydent wcale nie chciał zakończyć rozmowy.

— Jak myślisz, czy po tym wszystkim uda się ratyfikować pakt?

— Na pewno nie w tym roku — odparł Moody — i nie pójdzie tak łatwo. Z drugiej strony, znalazł się pan teraz w doskonałej sytuacji. Każdy, kto zechce powiedzieć nie, będzie się musiał gęsto tłumaczyć, szczególnie jeśli jest teraz związany z Reidym.

— Jak zwykle masz rację, Bobby. — Prezydent raz jeszcze spojrział na rezygnację, a potem wsunął ją do skórzanej teczki, kończąc w ten sposób karierę niedoszłego sekretarza stanu. — Jeśli opanujemy sytuację w Belize, chcę wyskoczyć na tydzień lub dwa nad ocean. Czy zechciałbyś... oczywiście z żoną, pojechać razem z nami?

— Właśnie się z nią rozwodzę.

— Och. Tak mi przykro. — Jednak wyraz jego twarzy mówił coś zupełnie innego.

Moody wstał.

— Dziękuję za zaproszenie, sir. To bardzo miło z pańskiej strony. Na pewno się jeszcze zobaczymy, jeśli nie w Cape Cod, to gdzie indziej.

— Oczywiście. — Podali sobie ręce. — Jeśli nie masz nic przeciwko temu, Bob, chciałbym, żebyś nadal mi doradzał w sprawie paktu i nie tylko...

— Z prawdziwą przyjemnością, sir — odparł Moody. Ale nie miał żadnych złudzeń. Wkrótce ktoś przejmie jego obowiązki: przy odrobinie szczęścia Sandinauskas, a może generał St. Angelo — i w Waszyngtonie szybko zapomną o byłym szefie gabinetu.

Ruszył do drzwi.

— Bob?

Odwrócił się. Nigdy przedtem nie widział prezydenta tak przeraźliwie samotnego.

— Słucham, sir?

— Naprawdę nie wiem, co bez ciebie zrobię.

— Dziękuję, sir. Na pewno da pan sobie świetnie radę.

Kiedy wracał do swojego gabinetu, nie spotkał nikogo po drodze. Już przedtem zwolnił sekretarkę. Ku jego zdumieniu zaczęła płakać. Zarówno ona, jak i Wolfenson mogli zostać w Białym Domu na co najmniej równorzędnym stanowisku, zgodnie z żelazną zasadą, że podwładni nie ponoszą żadnych konsekwencji w związku z odejściem szefa.

Schował do nesesera zdjęcie May, natomiast podobiznę Deeny wrzucił do kosza na śmieci. Swoją fotografię z prezydentem na Balkonie Trumana zostawił na ścianie — ku przestrodze następcy.

Wciąż przysługiwała mu rządowa limuzyna, ale ponieważ kierowcę także odesłał do domu, musiał złapać taksówkę. Kiedy wyszedł przez Zachodnie Skrzydło, spojrzął na oświetlony reflektorami Północny Portyk, jego białe kolumny i półokrągłe okna na drugim piętrze. Pierwszy raz wszedł tam w dzień inauguracji prezydenta, aby popatrzeć z góry na zwyczajnych śmiertelników na Pennsylvania Avenue. Popatrzeć i pomarzyć...

A teraz sam był tylko przechodniem.

Kiedy oddawał przy bramie przepustkę — laminowaną kartę z kodem paskowym — wartownik wcale się nie zdziwił. Takie wieści rozchodzą się szybko.

— Dobranoc, panie Moody. Mam nadzieję, że wkrótce znowu tu pana zobaczymy.

— Dziękuję. Dziękuję za wszystko.

Strażnik otworzył bramę i wypuścił go na ulicę.

Pracując w Białym Domu, Moody starał się nigdy nie zapominać, że kiedyś nadejdzie taki dzień, w którym będzie musiał odejść, tak jak wszyscy jego poprzednicy. Ale dopiero teraz zrozumiał, co wtedy przeżywali.

Coś się skończyło i już nigdy nie wróci.

Zawsze maszerował prosto przed siebie, samemu wyznaczając cele, a potem je realizując. Poświęcił sprawie paktu całą swoją energię, wiedzę, doświadczenie i spryt, a teraz, kiedy zwycięstwo było tak bliskie, musiał odejść. Dołączyć do tysięcy pięćdziesięcioletnich mężczyzn w szarych garniturach, przemierzających codziennie ulice Waszyngtonu.

Chociaż w ciągu dnia nic nie jadł, nie chciał iść do żadnej z pobliskich restauracji, gdzie dotąd bywał tak często. Nie zniósłby szeptów, ukradkowych spojrzeń, ironicznych komentarzy.

Wreszcie zatrzymał taksówkę i wsiadł do środka, zamyślony.

— Dokąd? — spytał zniecierpliwiony kierowca.

Właśnie, dokąd?

— Proszę do Watergate.

— Do hotelu?

Co za ironia losu, pomyślał.

— Nie. Pod wejście dla mieszkańców.

Pokojówka była zupełnie zaskoczona. Od wielu miesięcy nie wrócił tak wcześnie do domu.

— Mam przygotować obiad, panie Moody?

Postawił neser na marmurowej posadzce w przedpokoju. Deena zabrała wszystkie ubrania i biżuterię, ale kosztowne meble — które sama starannie dobierała — zostały, dzięki czemu mieszkanie nie robiło aż tak przygnębiającego wrażenia. Musi się stąd wynieść, zdecydował. Ale na razie pojedzie nad ocean. Nie miał zamiaru zajmować się przeprowadzką.

— Dziękuję — odparł. — Zjem coś na dole.

Znalazła go przy stoliku pod oknem, wpatzonego w ciemne wody Potomacu. Prawie nie tknął jedzenia.

— Tato...

Zaskoczony, a może nawet wystraszony, odwrócił głowę. Od czasu ich ostatniego spotkania postarzał się o dziesięć lat.

Usiadła, zanim zdążył wstać. Po chwili odezwał się pierwszy:

— Podobno nie chciałaś mnie widzieć.

— Przepraszam — odparła — ale musiałam się trochę przespać.

— Pewnie przeszłaś tam prawdziwe piekło, i to częściowo przeze mnie. Wybacz mi, May, ale nie wiedziałem, że Bernie... Zupełnie go nie znałem. Żałuję, że obudziłem się tak późno. Zrobiłem, co mogłem, ale...

— Wiem, tato. Kiedy wracaliśmy z Wirginii, słyszałam w wiadomościach, że został aresztowany.

— Od razu wyszedł za kaucją. Powinni byli wyznaczyć miliard dolarów.

— On nie żyje, tato.

— Jak to?

— Ktoś podłożył bombę w jego samochodzie. Była z nim jakaś kobieta. Ale nie Sherrie — dodała szybko.

Moody opadł bezwładnie na krzesło.

— O Boże.

— Dzwoniłam do ciebie do Białego Domu. Dowiedziałam się, że odszedłeś. Na zawsze.

— Tak. Na zawsze.

— Czy oni...

— Nie. Sam zrezygnowałem. Tak jak twój przyjaciel Showers. I z tego samego powodu co on.

— Ta praca wiele dla ciebie znaczyła.

— Już nie.

Położyła rękę na jego dłoni.

— Czy grozi ci jakieś niebezpieczeństwo?

Uśmiechnął się krzywo.

— Masz na myśli drani z New Jersey? Więcej by stracili, niż mogą zyskać. Poza tym, jeśli chodzi o tego cholernego konia, naprawdę niewiele wiem.

— Wychodzę za mąż, tato.

Był bardziej zdziwiony, niż się spodziewała.

— Naprawdę? Myślisz, że nasza rodzina wytrzyma zastrzyk błękitnej krwi z Wirginii?

— *Nie* ma żadnej błękitnej krwi. *Jest tylko* David.

— Chcesz wziąć ślub właśnie tam? Między jednym a drugim polowaniem na lisy?

— Nie. Pobierzemy się w domu mamy, za kilka dni, bo on musi wkrótce wyjechać. Dlatego do ciebie przyszedłam. Geneva uważa, że powinieneś być na naszym weselu, ale nie wiedziała, czy się zgodzisz.

Ścisnął ją mocno za rękę.

— Przyjadę na pewno.

Zanim Showers i Spencer wrócili ze szpitala, zrobiło się ciemno. Usiedli na ganku.

— Chcesz się napić? Chyba znajdę coś w kuchni.

— Z przyjemnością.

Jack przyniósł whiskey. Nazywała się „Dżentelmen z Wirginii”.

— Pamiętasz, jak schowaliśmy się kiedyś za stajnią i wypiliśmy całą butelkę naraz? — zapytał.

— Potem weszło ci to w krew — odparł kapitan.

— Nie tak prosto wyzwolić się z nałogu.

- A w ogóle zamierzasz spróbować?
- Teraz, kiedy znalazłem taką czarującą towarzyszkę do kieliszka? Miał na myśli Alixe.
- Ona też cię bardzo polubiła.
- To wspaniała kobieta. Nic jej nie złamie.
- Podobnie jak May.
- Jeśli chcesz, będę twoim drużbą.
- Nie myślałem o nikim innym.

Nagle usłyszeli szczekanie. Z pobliskich krzaków wybiegł owczarek Showersa i usiadł u jego stóp.

- Czy już wiesz, co robić dalej? — zapytał Spencer.
- Tak. Podjąłem decyzję jeszcze w forcie Hill. Wracam do armii.
- Chyba nie mówisz poważnie?
- Jestem teraz najstarszym kapitanem w swoim batalionie, a za dwa tygodnie będę prawdopodobnie najstarszym majorem w całej Trzeciej Armii.

— Słyszałem, że zamierzają zredukować etaty.

— Użyłem moich znajomości. Czasami warto. Do emerytury zostało mi siedem lat, może dłużej. Mam nadzieję, że zdążę awansować na podpułkownika.

— Dlaczego nie zaciągniesz się do Legii Cudzoziemskiej, co?

— Nie rozumiesz, Jack. Naprawdę lubię wojsko. Gdyby nie farma, już dawno bym tam wrócił.

— I zamierzasz pogodzić małżeństwo z aktorką, która będzie grać w sztukach i kręcić filmy, z bieganiem po jakichś bagnach?

— Jakoś damy sobie radę.

Przez chwilę milczeli, popijając whiskey. W oddali rozległo się pohukiwanie sowy.

— A co zamierzasz zrobić z farmą?

— Właśnie o tym chciałem z tobą porozmawiać. Słyszałeś kiedykolwiek o Henrym Showersie, człowieku, który założył ją na początku osiemnastego wieku?

— Moja kochana mamusia na pewno mi o nim opowiadała, ale nic już nie pamiętam.

— Był garbarzem, robił też uprząże dla koni. Ziemia, na której teraz siedzimy, dostała się w jego ręce w zamian za dług. O ojcu Henry'ego, ubogim rolniku, wiemy tylko tyle, że miał szczęście przypluć do Ameryki na angielskim, a nie irlandzkim statku.

I z takich właśnie ludzi po dwustu latach powstała amerykańska arystokracja: krew jakiegoś angielskiego chłopca, kilka nędznych szkap trzymanych przy chałupie i kopanie tego samego pola dłużej niż inni, pozwalają uważać się za lepiej urodzonych. To czysty nonsens, Jack, ale nazwano go tradycją. Trudno się więc dziwić ludziom pokroju Berniego Blocha, że próbują dorównać naszym przodkom.

— Mimo wszystko nie przypominam sobie, żeby ktokolwiek z nich popełnił morderstwo albo próbował przekupić senatorów.

— Kto wie, co byśmy znaleźli, gdyby poszukać wstecz? Mógłbyś się nieco zdziwić. To samo dotyczy twojej gałęzi rodziny. Cóż z tego, że nasz uświęcony praprapradziadek przybył do Ameryki na pokładzie „Mayflower”? Był tylko bednarzem. Przez całe życie robił beczki, do tego najwyraźniej nie najlepsze, bo umarł biedny jak mysz kościelna. Pierwsze prawdziwe pieniądze w rodzinie Spencerów zarobił dopiero jego wnuk, zresztą na handlu rybami. Ale nasze matki zachwyciły się swoim pochodzeniem, jakby przyszły na świat co najmniej jako księżniczki.

— Chyba nie bardzo cię rozumiem. Wstąpiłeś do partii socjalistycznej, czy co?

— Próbuję ci tylko wytłumaczyć motywy mojej decyzji. Kilka lat temu pojechałem do Bostonu odwiedzić groby naszych dostojnych przodków z rynsztoka. W miejscu gdzie Spencerowie zbudowali podobno swój pierwszy dom, stoi teraz biurowiec ze szkła i stali. A jednak niebiosy nie runęły, wody oceanu się nie rozstały, a ziemia nie pluje piekielnym ogniem.

— Do czego zmierzasz?

— W związku z moimi planami chcę cię prosić o pozwolenie... Jeśli nie liczyć mojej siostry, która już się zgodziła, nie mam innych żyjących krewnych.

— Ale co chcesz zrobić, na miłość boską? Postawić biurowiec?

— Chcę oddać tę ziemię.

— Na przytułek?

— Nie. Ojciec i dziadek przewróciliby się w grobie. Zamierzam przekazać ją rządowi federalnemu.

— Drogi kuzynie, stwierdzam stanowczo, że pobyt w kopalni nie wpłynął zbyt korzystnie na stan twojego umysłu.

— Dom zostanie zamieniony w muzeum. W końcu kiedyś jadł tu

śniadanie sam generał Lee. Natomiast dookoła, o ile tylko zgodzą się na to władze miasta, powstanie cmentarz wojskowy.

— Nie wystarczy im Arlington?

— Tam nie ma już prawie miejsca. Wiem, że rząd szuka nowych terenów dla weteranów z czasów drugiej wojny światowej.

Spencer napił się jeszcze whiskey.

— Mój drogi kuzynie, oświadczam uroczyście, że nie mam nic przeciwko twoim zaszczytnym planom.

— Dziękuję, Jack.

— Może pochowają tu kiedyś naszego przyjaciela Boba Moody'ego. Służył przecież w Wietnamie, prawda?

— Ale dostał Srebrną Gwiazdę. Tacy jak on trafiają do Arlington.

— No cóż, nic nie szkodzi. Sam możesz tu skończyć, wcześniej czy później. A jeśli wyślą cię do Belize albo w inne równie przyjemne miejsce nawet całkiem wcześnie.

Showers pomyślał o May.

— Wolałbym później. Mam pewne plany na najbliższe trzydzieści lat.

OD AUTORA

Powieść ta jest fikcją literacką. Choć została oparta na osobistych doświadczeniach autora, który mieszka na Wschodnim Wybrzeżu, wszelkie podobieństwo do rzeczywistych osób, wydarzeń i miejscowości w Dystrykcie Kolumbia, Wirginii, Wirginii Zachodniej oraz Marylandzie — z wyjątkiem wymienianych w tekście postaci historycznych — jest czysto przypadkowe i nie zamierzone.

PODZIĘKOWANIA

W napisaniu tej książki szczególnie pomogli mi moi przyjaciele: Heather Freeman z Berryville w stanie Wirginia oraz Bob Welsh z Barrington w stanie Illinois. Zawdzięczam im wszystko, co wiem o koniach. Dziękuję również za rady pisarzowi Dickowi Francisowi.

Składam także podziękowania tym wszystkim, z którymi od lat współpracuję jako dziennikarz. Nigdy nie poznałbym Waszyngtonu bez Jeffrey'a Bergnera, Jima Coatesa, Torriego Clarke'a, Boba Funsetha, Texa Harrisa, Elaine Povich, Arniego Sawislaka, Wendy Webber Toler i Mary Frances Widner.

Szczególne wyrazy uznania należą się mojemu wydawcy Dominickowi Abelowi oraz redaktorom Ruth Cavin i Tomowi Dunne.

Dziękuję mojej żonie Pameli oraz synom Ericowi i Colinowi — chociaż tylko oni wiedzą, jak bardzo i za co.

Nigdy nie spłacę również długu wdzięczności wobec mojego prapradziadka Johna Showersa, który w czasach niewolnictwa przeniósł się z Wirginii do Nowego Jorku; a także wobec jego syna Williama, który zginął za jedność Unii w wojnie domowej. Ja sam od wielu lat mieszkam w Wirginii oraz Wirginii Zachodniej i mam tylko nadzieję, że niniejsza książka dostatecznie wyraża głębokie uczucia, jakie żywię wobec tych dwóch stanów.